140 STRON NA POCZĄTEK LATA | Winda dla seniora • Silni jak Finowie
Wysoki rachunek za tanie państwo • Boskie relacje • Fantastyczny Lem

Kraków 25 czerwca – 1 lipca 2025 nr 26 (3964) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

PO RAZ PIERWSZY U NAS
■ TYGODNIK MŁODYCH

EKSTRA STRONY
■ LITERACKA PODRÓŻ HESTII
■ SUMMER JAZZ FESTIVAL
■ 25 LAT BEZ TISCHNERA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl d43e4269d7

MATERIAŁ REKLAMOWY

Pekao TFI
Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych

Przed podjęciem decyzji zapoznaj się z prospektem informacyjnym funduszu zawierającym opis ryzyk związanych z inwestowaniem i praw uczestników, Dokumentem zawierającym kluczowe informacje oraz, w przypadku specjalistycznego funduszu inwestycyjnego otwartego, Informacją dla klienta alternatywnego funduszu inwestycyjnego, które, wraz z informacjami o opłatach, są dostępne u podmiotów prowadzących dystrybucję i na www.pekaotfi.pl. Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. z siedzibą w Warszawie, 01-066 Warszawa, ul. Żubra 1, wpisana do rejestru przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, pod numerem KRS 0000016956, NIP 521 11 82 650. Kapitał zakładowy: 50 504 000 zł, w pełni opłacony. Pekao TFI S.A. działa na podstawie zezwolenia Komisji Nadzoru Finansowego.

KS. ADAM

Boniecki: *Tischner – wszystko, co najważniejsze*

Józek Tischner jest wciąż znany i czytany – zostawił po sobie tak wiele. Oczywiście i o nim napisano sporo. Są dziś specjaliści od Tischnera, opracowujący do druku jego pisma, interpretujący je. Nieobecny od ćwierć wieku, nie przestał być inspiracją.

Jak pisał? Nie byłem przy tym, ale fascynowało mnie to, co było przedtem. Przychodził do redakcji „Tygodnika". Gadało się, gadało, a potem znikał i po jakimś czasie zaczynały się pojawiać jego teksty. A potem książka. Wiele książek. Sam mnóstwo rzeczy przeczytał, o wielu napisał. Ale nie był teoretykiem oderwanym od tego, co się dzieje. Jego pisma były z reguły rozmową z ludźmi mu współczesnymi. Powiedzmy wprost: były rozmową z polskością. Różnie ją diagnozował. Czasem potrafił nakreślić dla niej horyzont nadziei, jak w „Etyce solidarności", a czasem zgłębiać jej przekleństwa, jak w „Chochole sarmackiej melancholii".

Mam wiele wspomnień związanych z Józkiem. Kiedyś byłem na zimowisku duszpasterstwa akademickiego w Łopusznej. Zwykłe zimowisko: ważne były głównie narty i śnieg. Całkiem niespodziewanie w tym czasie w Łopusznej pojawił się Józek. Może z nudów, może kierowany innymi motywami, co dzień przychodził do nas. Razem szliśmy na nartach w góry, potem w chałupie toczyliśmy jakieś rozmowy, dość błahe. Żadnych poważnych debat. Ale ta nienarzucająca się obecność, choć tak zwykła, była jednocześnie niezwykle intensywna, ważna. Niewielu potrafi tak być z innymi.

Oczywiście, uwielbiał opowiadać anegdotki i dowcipy (góralskie). Opowiadał je świetnie, czasem się powtarzał, co zresztą nikomu nie przeszkadzało. Za to jeżdżenie na nartach było serio. Ale nie tylko ono. Osobliwością Józka była zdolność do bardzo poważnego traktowania przemyśleń, filozofii i wiary, przy jednoczesnej zdolności do kompletnego luzu. I jego przemyślenia bywały kontrapunktowane przykładami branymi ze zwykłego życia. Sam zresztą pomagał ludziom na Podhalu zaopatrywać się w nawozy i sprzęt rolniczy. Pomagał też ludziom psychicznie podłamanym. Już samo obcowanie z nim było kojące.

Jego droga życiowa nie była łatwa. Był wybitnie zdolny i pracowity, osiągnął poziom wiedzy nie dla wszystkich osiągalny, ale zazdrość czy inne emocje, nie bardzo wzniosłe, prowokowały niechęć ludzi, którzy sami nie mogli tego osiągnąć. Odporność na to u Józka była niezwykła, a ile go to kosztowało, on tylko wiedział. Jego pogoda nawet w chorobie budziła mój wielki szacunek. Ostatni tekst, który napisał (o Bożym miłosierdziu i siostrze Faustynie), jest ważnym świadectwem stanu jego ducha. Mało kto na coś takiego mógł się zdobyć.

GRAŻYNA MAKARA

Dzięki jego bliskim, rodzinie i przyjaciołom myślenie Józka Tischnera pozostało z nami. Miał odwagę myślenia samodzielnego. Nie udawał wcielenia wielkich myślicieli chrześcijańskich, którzy go wyprzedzili, ale też nie był z tych, którzy by granic starego myślenia nie przekraczali. Tischner mierzył je w zderzeniu z myśleniem współczesnym. W jego tekstach, owszem, można zauważyć fragmenty, w których nie zdołał znaleźć właściwych słów, pojęć, odpowiedzi, jednak idąc śladami wielkich współczesnych, otwierał dalsze ich ciągi, możliwe rozwinięcia i drogi. Mieliśmy niebywałe szczęście, żyjąc obok niego. On zaś miał szczęście, że obok niego byli ludzie, którzy też nie bali się myślenia. Czyli: nie bali się rozmowy. Czy jest dziś bardziej zużyte słowo niż „dialog"? Dla Tischnera dialog był powietrzem, bez którego każdy z nas i my wszyscy, jako wspólnota, dusimy się i konamy. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

REKONSTRUUJEMY RZĄD
Którzy ministrowie gabinetu Tuska powinni go opuścić, a którym należy się wysoka nota? Oceny wystawili Piotr Śmiłowicz, Marek Rabij i Przemysław Wilczyński.

KRZYSZTOF STRACHOTA
Jeszcze kilka lat temu Iran był uważany za siłę dominującą na Bliskim Wschodzie. Dziś padają pytania, czy islamska republika przetrwa. Jak do tego doszło?

DAVID HOCKNEY
– najlepszy artysta na lato. Dlaczego kolory dają nam życie. Wielka wystawa w Paryżu.

Znacie sposób na szybkie zgromadzenie całej rodziny w salonie? Wypiąć router z kontaktu. A czemu Kowalski czyta skład domestosa po litewsku? Bo nie wziął smartfona do toalety. Sporo już jest takich dowcipów, które trafnie obrazują, jak głęboko urządzenia elektroniczne wdarły się w naszą codzienność.

Naszej rozmówczyni **MAGDALENIE BIGAJ** zdarzyła się taka sytuacja: była w restauracji, rozmawiała ze znajomymi – i nagle, bezwiednie, „kliknęła" w czarną serwetkę leżącą obok talerza. Wyjaśniła ten odruch tak: mózg stale skanuje otoczenie w poszukiwaniu źródeł przyjemności; zauważony kątem oka czarny kształt przypominający telefon wywołał wyrzut dopaminy i odruch „odblokowania".

„Chcemy sprawdzić godzinę i po kwadransie orientujemy się, że naklikaliśmy mnóstwo rzeczy, a nawet nie pamiętamy, po co braliśmy telefon do ręki" – mówi **BERENICE STEINBERG** w „Temacie Tygodnika" szefowa fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Tłumaczy, jakimi narzędziami jesteśmy manipulowani: to m.in. *dark patterns*, czyli wzorce projektowania aplikacji, które sprawiają, że tracimy kontrolę nad swoją uwagą. „Nowe technologie mają nam sprawiać mikroprzyjemności. A w świecie, który pędzi, w którym jesteśmy zmęczeni, zestresowani i pragniemy odpoczynku, bardzo często na poziomie odruchu wybieramy najprostszą, najłatwiej dostępną strategię obniżenia napięcia: smartfon" – mówi Bigaj.

Ale ta rozmowa to nie narzekanie na rzeczywistość, tylko propozycja przyjęcia postawy zwanej higieną cyfrową. Tak jak niegdyś odkryliśmy, że jedzenie słodyczy niszczy zęby, a próchnicy można zapobiegać szczotkowaniem (i nitkowaniem!), tak dzisiaj musimy wyrobić sobie nawyki chroniące nas samych i nasze rodziny przed negatywnymi skutkami nadużywania ekranów. Przeczytaj: dowiesz się, czy ciebie ten problem dotyczy, a jeśli tak, to co możesz z tym zrobić.

Bigaj wiele uwagi poświęca spadającej jakości współczesnych relacji. Remedium znajdziecie na stronach specjalnych poświęconych **KS. JÓZEFOWI TISCHNEROWI** (mija właśnie 25. rocznica jego śmierci). Ten filozof dialogu wiedział, jak cenne jest spotkanie z drugim człowiekiem, spędzony z nim czas i wymienione myśli – i potrafił o tym pięknie opowiadać. Posłuchajcie. ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni" o początkach chrześcijaństwa.

34 Fiński model
PATRYCJA BUKALSKA:
W razie rosyjskiego ataku Finlandia może zmobilizować milion żołnierzy – przeszkolenie wojskowe ma co szósty obywatel.

64 Przeszliśmy długą drogę
ROZMOWA Z GUIDO BARBUJANIM, GENETYKIEM I ANTROPOLOGIEM:
Nasi małpi przodkowie byli biali. Pociemnieli, gdy stracili włosy. Jeszcze w epoce żelaza, w czasie mitycznego założenia Rzymu, połowa populacji Europy miała ciemną skórę.

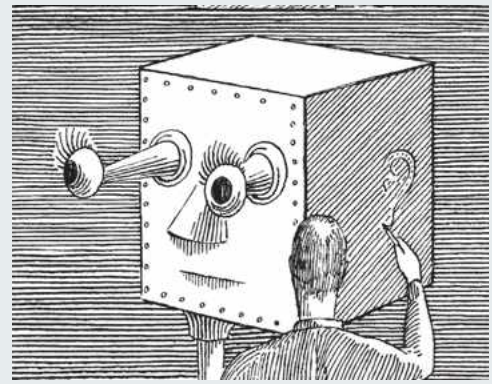

74 Duch Młodego Technika
PIOTR PAZIŃSKI:
Daniel Mróz nazywał fantastykę naukową „kosmicznymi pierdołami". Wyjątek zrobił dla Stanisława Lema.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // LEON NEAL / GETTY IMAGES // P. PLAILLY / E. DAYNES / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS // DANIEL MRÓZ / © ŁUCJA MRÓZ-RAYNOCH

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 America (not) first
MAREK KĘSKRAWIEC

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ KRAJ

18 Dokąd zmierza Donald Tusk
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Czy ostatnie wybory to pierwszy gwóźdź do trumny PO?*

21 Ostatnie ochłapy
MARCIN KĘDZIERSKI: *Nasi politycy starają się przyspieszyć pogrzeb instytucji publicznych*

24 Gdzie zaczynają się schody
MAREK RABIJ *o seniorach w „pułapce czwartego piętra”*

■ ■ ŚWIAT

28 Elegia dla Donbasu
ANTONINA PALARCZYK Z UKRAINY: *Obok walki zbrojnej trwa walka o zachowanie wspomnień*

32 Irański dziennik
MACIEJ AUGUSTYN *o losie mieszkańców Teheranu*

34 Fiński model
PATRYCJA BUKALSKA

36 Popiół jak śnieg
MAŁGORZATA SIDZ Z KANADY: *Płonie już obszar wielkości jednej ósmej Polski*

37 Ostatnia kolonia Afryki
GRZEGORZ KORDYLAS: *Dziś Saharyjczycy są dalej od własnego państwa niż kiedykolwiek*

■ ■ WIARA

40 Jakiej prawdy obawiają się biskupi
ANNA GOC: *Jest to historia komisji, która nie powstanie. I garstki osób w Kościele, które próbowały ją powołać*

44 Stawiam na wiarę krytyczną
ROZMOWA Z KS. DR EWĄ JÓŹWIAK: *Bóg jest otwarty na człowieka. Temu, kto chce wierzyć, nie powie: „Halo, ty tutaj nie pasujesz!”*

TEMAT TYGODNIKA

12 Odłóż telefon, odzyskaj życie
ROZMOWA Z MAGDALENĄ BIGAJ, EDUKATORKĄ HIGIENY CYFROWEJ:
Warto dojść do tego, co stoi za sięganiem po telefon. I co mogę sobie dać w zamian.

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

■ ■ STRONY SPECJALNE ■ ■

51 25 LAT BEZ TISCHNERA
62 KOSMOS ZACZYNA SIĘ W KLASIE
70 LITERACKA PODRÓŻ HESTII
88 SUMMER JAZZ FESTIVAL

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ **27** OLGA DRENDA
39 ELIZA KĄCKA **49** ZUZANNA RADZIK
69 STANISŁAW MANCEWICZ
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

47 Empatia bez granic
PIOTR SIKORA *o dekadzie Franciszkowej encykliki „Laudato si”*

50 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

58 Jedna z tysięcy
TOMASZ CHINCIŃSKI *o hitlerowskiej akcji AB skierowanej przeciw polskiej inteligencji*

■ ■ NAUKA

64 Przeszliśmy długą drogę
ROZMOWA Z GUIDO BARBUJANIM

■ ■ KULTURA

74 Duch Młodego Technika
PIOTR PAZIŃSKI

79 Kino szybkiego reagowania
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Zainteresowanie polityką jest w polskim społeczeństwie najwyższe od czasu przełomu ustrojowego. Dlaczego nasze kino nie korzysta z takiego kapitału?*

82 Tylko proszę mnie nie pocieszać
DARIUSZ KOSIŃSKI: *W krótkim odstępie czasu przywołano w teatrze dwie wielkie religijne postacie i tajemnice: Jezusa i Demeter. Przypadek?*

85 Polecamy

86 Chcę mieć z tobą psa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Follemente. W tym szaleństwie jest metoda” Paola Genovese*

87 Europa wielokrotnie
LEKTOR *o „Rodzinnej Europie” Czesława Miłosza z przedmową Oksany Zabużko*

■ ■ ZMYSŁY

94 Ten moment
ROZMOWA Z CHRISEM NIEDENTHALEM, FOTOGRAFEM: *W dobrym zdjęciu chodzi o trafiony punkt, o zatrzymany w idealnym momencie gest*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ OFERTĘ NA STRONIE 99

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

AMERICA (NOT) FIRST

Jeśli nalot na irańskie obiekty atomowe nie okaże się jednorazową akcją USA, czeka nas głęboki chaos w najbardziej skonfliktowanym regionie świata. Kto na nim skorzysta?

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Prezydent Trump i wiceprezydent Vance śledzą przebieg ataku USA na Iran w tzw. pokoju sytuacyjnym. Biały Dom, noc z 21 na 22 czerwca 2025 r. czasu polskiego.

Donald Trump miał się zastanawiać nad tym atakiem przez dwa tygodnie, ale już po dwóch dniach, lekceważąc negocjacje prowadzone z Iranem przez państwa europejskie, wysłał bombowce na zakłady wzbogacania uranu w Fordow i Natanz, a także na główny ośrodek badawczy w Isfahanie.

DECYZJA O ATAKU nie jest zaskakująca, biorąc pod uwagę wieloletni sojusz USA z Izraelem, ale przeczy licznym zapowiedziom Trumpa, iż nie będzie angażować Stanów w wątpliwe i kosztowne wojny. Nic więc dziwnego, że ostatni ruch prezydenta spotkał się z dezaprobatą amerykańskiego społeczeństwa: według różnych badań atak na Iran popiera od 16 do 25 proc. ankietowanych (podobnie jak w Polsce).

Zdezorientowany jest również ruch MAGA, który wyniósł Trumpa do władzy. Jego ikona Steve Bannon ostrzegł, że prezydent USA właśnie „kopnął gniazdo szerszeni". Pojawiają się też głosy, że Trump jest obłąkany i że pakując się w kolejną awanturę, tylko wzmacnia Chiny, dając się wodzić za nos Beniaminowi Netanjahu, który od 1995 r. straszy świat, że Iran stoi na progu uzyskania broni jądrowej.

DZIAŁANIA TEHERANU nie są jednak transparentne. Inspektorzy monitorujący w maju tamtejsze obiekty atomowe zauważyli, że zgromadzono w nich niebezpiecznie duże ilości mocno wzbogaconego uranu. Z drugiej strony jeszcze w marcu szefowa wszystkich agencji wywiadowczych USA, Tulsi Gabbard, twierdziła przed Kongresem, że Irańczycy nie prowadzą prac nad bronią nuklearną od 2003 r., a gdyby nawet tak zdecydowali, cały proces potrwa około trzech lat.

Teraz – po tym, jak Trump stwierdził publicznie, iż Gabbard się myli, a rację ma Izrael – zgodziła się z jego opinią, że prace nad bombą mogłyby skończyć się w kilka tygodni.

WCIĄŻ NIE WIEMY więc, na jakim etapie był program atomowy Iranu, na jak długo atak USA go cofnął i czy strony wrócą do

rozmów (poprzednie porozumienie Zachodu z Iranem zerwał osobiście Trump w 2018 r.). Jedno jest pewne: mimo twierdzeń prezydenta USA o zupełnej dewastacji zakładów wzbogacania uranu, ataki Izraela trwają nadal, a nocą z niedzieli na poniedziałek liczne bomby wybuchały nawet w samym centrum Teheranu.

Sytuacja jest jednak inna niż na początku, gdy doszło do eliminacji dużej części dowództwa armii i Korpusu Strażników Rewolucji, a także do zniszczenia wielu irańskich wyrzutni rakiet balistycznych oraz systemów obrony przeciwlotniczej. Teheran po pierwszym szoku otrząsnął się i dziś potrafi razić pociskami hipersonicznymi cele w Tel Awiwie i Hajfie. Koszty obrony przed nimi obliczane są na ponad 200 mln dolarów dziennie.

WAŻNYM FAKTOREM tłumaczącym istotę tego konfliktu jest sytuacja w samym Izraelu, gdzie premier Netanjahu wciąż walczy o utrzymanie większości w Knesecie, zapewniającej mu władzę i wstrzymującej na czas wojny jego procesy o korupcję.

Jupitery skierowane teraz na Iran pozwalają mu również dokończyć krwawą rozprawę w Strefie Gazy, gdzie zamknięto właśnie 90 proc. punktów wydawania żywności, a 1,5 mln ludzi stłoczono na południu. Żyją tam w przerażających warunkach i są atakowani nawet w okolicach ostatnich czterech punktów dystrybucji pomocy.

OSTRE CIOSY Izraela sprawiły zarazem, że siły sojuszników Iranu – Hamasu, libańskiego Hezbollahu i jemeńskich Huti – są dziś bardzo ograniczone, a Syria przestała być sojusznikiem Teheranu. Jednak marzenia Netanjahu, że ataki lotnicze i eliminacja dowódców armii doprowadzą do nagłego buntu Irańczyków i nawet do upadku islamskiej republiki, spełzły na niczym. Wyreżyserowana kampania internetowa – z apelami o rewoltę ze strony syna ostatniego szacha oraz liderów emigracyjnego ruchu Mudżahedinów Ludowych (uznawanego powszechnie za sektę) – skończyła się po dwóch dniach. Irańczycy ją wykpili.

Bo choć irańskie społeczeństwo w większości ma dość brutalnego reżimu ajatollahów (nawet jeśli ostatnio zelżał, a kobiety w północnym Teheranie zaczęły zrzucać chusty), to nie wyobraża sobie, by sygnał do zmiany systemu miał dawać Persom rząd Izraela – niszczący dziś w Iranie nie tylko ośrodki atomowe, ale też obiekty wojskowe i cywilną infrastrukturę energetyczną.

To niebezpieczna taktyka, mogąca doprowadzić do gwałtownej eskalacji w regionie i krwawej wojny hybrydowej. Np. w postaci blokady cieśniny Ormuz, która łączy Zatokę Perską z Oceanem Indyjskim. Tędy płyną w świat transporty ropy i gazu (ten płynie z Kataru m.in. do Polski). Byłby to jednak akt rozpaczy ze strony Iranu, gdyż uderzyłby głównie w państwa Azji, m.in. Indie, Koreę Południową, Japonię i Chiny, cichego sojusznika Teheranu.

BEZPOŚREDNI ODWET Iranu za atak USA, gdyby teraz do niego doszło, mógłby oznaczać ostrzał baz amerykańskich w regionie. Uruchomiłoby to spiralę przemocy, przed którą ostrzega zwłaszcza prezydent Turcji, nie szczędzący dziś obelg premierowi Izraela. Jeśli sytuacja rzeczywiście wymknie się spod kontroli, Ameryka może utknąć na lata w konflikcie z 90-milionowym Iranem, posiadającym jedną z największych armii świata.

Inwazja na kraj taki jak Iran, a potem jego okupacja, są niemożliwe. Można go tylko rujnować z powietrza, ryzykując rozpad struktur wewnętrznych, wojnę domową i falę migracji. I to może być czynnik stabilizacyjny. Jeśli Irańczycy nie zaatakują baz USA w regionie, rzecz może się rozejść po kościach. Trump ogłosi, że sprawę załatwił, a resztę problemów Izrael i Iran muszą rozwiązać bezpośrednio. Jeśli ta wojna powoli wygaśnie, odczujemy ją tylko w rachunkach na stacjach paliw. Ceny ropy już idą w górę. ©℗

Tekst ukończono
23 czerwca w południe

Promyki nadziei

WOJCIECH PIĘCIAK

PUTIN POSTAWIŁ SPRAWĘ TAK JASNO, ŻE BARDZIEJ nie można: występując kilka dni temu publicznie, oznajmił, iż „Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród" (czytaj: naród ukraiński nie istnieje) i „cała Ukraina jest nasza". Przywołał też „stare powiedzenie", które sam traktuje „jak zasadę": „Gdzie stanęła stopa rosyjskiego żołnierza, to nasze". Odbiło się to echem w świecie i pewnie na taki efekt liczył Putin. Ogłosił to z widoczną frajdą – gdy tymczasem codziennie kilkuset jego poddanych traci życie lub odnosi rany dla tej wizji.

Ostentacyjną pewność siebie, z jaką dyktator wysłał ten przekaz – klarowny, gdy idzie o Ukrainę, ale poza tym przecież wieloznaczny (w wieku XX rosyjski żołnierz stawiał stopę w wielu miejscach, które potem się od niej uwolniły) – można interpretować też jako sygnał dla Trumpa: nie wyjdę ci naprzeciw.

Mimo to Trump nie ustaje w wysiłkach, by nie zrobić czegoś, czym mógłby Rosji zaszkodzić. Dane za cztery miesiące 2025 r., które 16 czerwca opublikował kiloński Instytut Gospodarki Światowej, to potwierdzają: odkąd objął on urząd, Stany nie przyjęły żadnego nowego pakietu pomocy dla Ukrainy (realizują ostatki tego, co dał Biden). W 2025 r. zachodnia pomoc wojskowa wynosi 3,5 mld euro miesięcznie, z czego aż 3,3 mld to wkład krajów Europy. Tymczasem w latach 2022-24 Europa i USA składały się tu po połowie.

Fakt, że mimo dezercji Trumpa wolumen zachodniej pomocy nie spada, bo Europie udaje się wypełnić lukę po Stanach, skłonił nawet szwajcarski „NZZ", dziennik stojący tu emocjonalnie nieco z boku, do konstatacji, iż to „promyk nadziei" (choć nie bez zastrzeżeń: niektórą broń, np. rakiety do Patriotów, mogą dać tylko USA; ich brak ma konkretne skutki). Nadziei, bo oznacza to, iż Europa – niespektakularnie, ale konsekwentnie – podwoiła wysiłki. W czołówce są dziś kraje Europy Północnej i Wielka Brytania, a po ostatnich decyzjach rządu Merza także Niemcy.

Teraz, gdy Trump włączył się do wojny Izraela z Iranem, Putin ma dodatkowe powody do satysfakcji.

Ropa drożeje, a zaangażowanie na Bliskim Wschodzie może sprawić, że Ukraina już zupełnie zniknie z „radaru" Trumpa.

Jeśli Europa utrzyma swój obecny wysiłek, jest jednak nadzieja. Naród ukraiński na co dzień daje dowód krwią, że istnieje. Gdyby 40 miesięcy temu ktoś przepowiedział, iż to państwo i społeczeństwo będą tak długo stawiać opór, że okażą się aż tak odporne, zostałby pewnie uznany za fantastę. ©℗

THE WHITE HOUSE / AP / EAST NEWS

Plusy rozpadu Trzeciej Drogi

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Trzecia Droga rozpadła się dlatego, że... tak naprawdę nie istniała. Był to sklecony doraźnie sojusz dwóch różniących się partii, mający na celu polepszenie ich wyniku wyborczego w 2023 r. PSL wnosił wiano wieloletniej tradycji i rozbudowanych struktur, Polska 2050 świeżość nowości oraz kapitał polityczny Szymona Hołowni z wyborów prezydenckich w 2020 r. Trafna też była nazwa tego sojuszu, która miała w sobie obietnicę przełamania duopolu PO-PiS. Wydaje się, że stosowane w tamtej kampanii hasło „Trzecia Droga lub trzecia kadencja PiS" również zadziałało i głosy na TD przesądziły o tym, że PiS stracił po ośmiu latach władzę.

Realia polityczne po wyborach w 2023 r. okazały się jednak inne, niż obiecywano w kampanii. Między ugrupowaniami tworzącymi Trzecią Drogę było więcej różnic programowych niż podobieństw – nie zgadzały się w sprawie dopłat do kredytów mieszkaniowych, regulacji sytuacji w spółkach Skarbu Państwa, ochrony zwierząt i wielu innych. Przede wszystkim jednak oba ugrupowania stały się przystawkami PO, wpisując się w duopol, a nie przełamując go. Tymczasem wyborcy tej formacji nie tylko nie chcieli, by dalej rządził PiS, ale również oczekiwali, że nie wrócą rządy PO z ich wszystkimi patologiami. Musiało się więc skończyć tak, a nie inaczej – klęską wspólnego kandydata Szymona Hołowni. Rozwód był tylko dopełnieniem stanu faktycznego i nie można się dziwić, że bardziej zależało na nim ludowcom. Po zwycięstwie Karola Nawrockiego mają większe możliwości polityczne: mogą grać perspektywą zawarcia sojuszu z PiS. Polska 2050 byłaby w tej grze tylko obciążeniem.

Nowa sytuacja PSL może się zresztą okazać korzystna dla państwa. To ludowcy wykazują bowiem najwięcej rozsądku w politycznym cyrku, jaki wybuchł wokół rzekomego sfałszowania wyborów prezydenckich. Oczywiście wszędzie tam, gdzie były udokumentowane nieprawidłowości, należy ponownie przeliczyć głosy. Natomiast powoływanie się przez niektórych polityków KO na to, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN w tej sytuacji nie może orzekać o ważności wyborów i należy odłożyć zaprzysiężenie Karola Nawrockiego, to po prostu awanturnictwo polityczne, któremu po stronie koalicyjnej najmocniej przeciwstawiają się wyzwoleni z więzów małżeństwa z Polską 2050 ludowcy, chcący utrzymać pozycję w centrum.

Rozwody, choć nie są miłe, mają czasem plusy. Także w polityce. ©℗

ANITA WALCZEWSKA / EAST NEWS

Wieczór wyborczy u Szymona Hołowni w centrum konferencyjnym Crowne Plaza Warsaw, 18 maja 2025 r.

Zdrowie minus

MAŁGORZATA SOLECKA

Czy szpitale ograniczą w najbliższych tygodniach, może nawet miesiącach, przyjęcia pacjentów? Nie jest to scenariusz wykluczony. I nie chodzi tu wcale o żaden strajk. Od 1 lipca placówki ochrony zdrowia muszą podnieść swoim pracownikom wynagrodzenia – to obowiązek wynikający z ustawy obowiązującej już od kilku lat.

Co roku jest z tym spory kłopot, ale takiej sytuacji jak obecna dyrektorzy nie pamiętają: choć wiadomo, że operacja podwyżkowa będzie kosztować (tylko do końca tego roku) ok. 8-9 mld zł, Ministerstwo Zdrowia nie informuje, ile pieniędzy przekaże Narodowy Fundusz Zdrowia.

W kasie NFZ hula wiatr, bo pieniędzy w systemie jest o wiele za mało. Najwyższa Izba Kontroli w ostatnich dniach przekazała w tej sprawie dwie niezwykle istotne informacje: po pierwsze, w latach 2022-2024 koszty świadczeń zdrowotnych w sposób znaczący przewyższały przychody Funduszu (ze składek zdrowotnych i z dotacji budżetu państwa), do czego walnie przyczyniła się uchwalona przez PiS ustawa o podwyżkach dla pracowników medycznych. Eksperci przyznają, że była ona potrzebna, jednak choć podwyżki przyznano, nie wskazano źródła ich finansowania, czyli nie zapewniono dodatkowych środków.

Druga informacja jest jeszcze bardziej porażająca: w 2024 r. rząd zaplanował wydatki na zdrowie w wysokości niespełna 5,1 proc. PKB. I nawet niewielki wzrost tego odsetka (w ciągu roku musiano nerwowo szukać dodatkowych pieniędzy, dokładnie tak jak w tym roku) nie zmienia faktu:

Polska wydaje na zdrowie ok. 45 proc. mniej (względem PKB) niż unijna średnia.

Choć porównywanie budżetu, przekraczającego już 200 mld zł, z budżetem gospodarstwa domowego nie ma większego sensu, przeciętny Kowalski doskonale wie (a jeśli nie wie, przekonuje się boleśnie na własnej skórze), że nie da się w nieskończoność „żyć na kreskę", rolować zobowiązań, spłacać stare kredyty chwilówkami i udawać, że nie ma problemu. Państwo wchodzi w buty tego Kowalskiego. Szkoda tylko, że za tę lekcję płacą i będą płacić pacjenci, bo z próżnego nie tylko Salomon, ale i dyrektor szpitala nie naleje. ©

NA PUNKTY

CIEKAWOŚĆ
„Nie jesteście tak zwyczajnie po ludzku ciekawi, jakie są prawdziwe wyniki głosowania? Na pewno jesteście. A jak wiadomo, uczciwi nie mają się czego bać" – napisał 21 czerwca w serwisie X Donald Tusk do Andrzeja Dudy, Karola Nawrockiego i Jarosława Kaczyńskiego, a my jesteśmy tak zwyczajnie po ludzku ciekawi, o ile lepsza byłaby polska polityka, gdyby uprawiający ją panowie nie mylili rzeczywistości serwisu X z rzeczywistością.

ROZDARCIE
„Rozumiem emocje, ale zakładanie z góry, że wybory zostały sfałszowane, nie służy polskiemu państwu" – można by odpowiedzieć premierowi powtórzeniem innego wpisu z portalu X, z 6 czerwca. Kłopot w tym, że jego autorem był on sam.

PRZYZWYCZAJENIE
Co ciekawe, 18 czerwca Tusk i Nawrocki wzięli udział w zwołanej przez Andrzeja Dudę Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. „Musimy się do siebie przyzwyczajać, takie są reguły gry" – mówił premier o spotkaniu z prezydentem elektem, przywołując frazę tego ostatniego, że mimo różnic łączy ich sympatia do Lechii Gdańsk. ©℗

Tenis, basen i koniunktura

EDWARD AUGUSTYN

Leon XIV spędzi dwa tygodnie wakacji – od 6 do 20 lipca – w Castel Gandolfo. Przyjedzie tam także na trzy dni w sierpniu (15-17), zgodnie z włoskim zwyczajem wyjazdu poza miasto na Ferragosto.

Miasteczko nad Jeziorem Albano gościło papieży przez cztery wieki (od 1626 r.). Tradycję przerwał Franciszek, który swą letnią rezydencję odwiedził zaledwie trzy razy, nigdy nie zatrzymując się na noc. Jego awersję do urlopu mieszkańcy odczuli na własnej skórze – dochody restauratorów, hotelarzy i sklepikarzy drastycznie spadły. Mimo że próbował zrekompensować im straty, otwierając w letnim Pałacu Apostolskim muzeum, a w papieskich ogrodach ekologiczną „wioskę Laudato si'".

Zwolennicy zamykania papieża Leona w tradycjonalistycznych ramach uznali jego powrót do Castel Gandolfo za „zerwanie z linią Franciszka". To niedorzeczność, bo akurat sposób spędzania urlopu z jakąkolwiek linią niewiele ma wspólnego. Jan Paweł II lubił chodzić po górach i pływać w basenie, który kazał wybudować przy letniej rezydencji, Benedykt XVI grać na pianinie i spacerować po ogrodzie. Franciszek nigdzie nie wyjeżdżał na wakacje, co nie znaczy, że chciał z tego zrobić normę dla innych.

Zresztą muzeum w letnim Pałacu Apostolskim zostaje – Leon XIV zamieszka w położonej obok, w obrębie ogrodów, Villi Barberini, która dawniej służyła za wakacyjną rezydencję kardynała sekretarza stanu, a dziś jest częścią „ekologicznego gospodarstwa", zatrudniającego uchodźców i byłych więźniów. Papież będzie tam mógł wrócić do gry w tenisa, korzystając z kortu, który wybudowano – właśnie za Franciszka – dla pracowników farmy. Być może skorzysta też z basenu.

„Współobecność rzeczy minionych, teraźniejszych i przyszłych jest naturalną cechą ludzkiej duszy", czytamy w „Wyznaniach" (XI, 20). Leon XIV od pierwszych chwil po wyborze sięga po różne, zarzucone przez Franciszka zwyczaje. Robi to jednak w sposób tak naturalny, że nadawanie jego decyzjom rangi symbolu czy manifestu traci sens. Są raczej wyrazem pamięci, dostrzegania aktualnych potrzeb i jego przekonania, że przyniosą pozytywne skutki. Jak na duchowego syna św. Augustyna przystało. ©℗

TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

Spada liczba wyświęcanych księży

ARTUR SPORNIAK

Z roku na rok w Polsce wyświęcanych jest coraz mniej księży. W tym roku święcenia przyjmie 206 mężczyzn, rok temu nowych księży było 235, w 2023 r. – 288, a w 2013 r. – 401 – poinformowała Katolicka Agencja Informacyjna. Kryzys powołaniowy najdotkliwiej widać we wzroście liczby diecezji, w których nie wyświęca się żadnego księdza. Rok temu po raz pierwszy tak się stało w Szczecinie i Olsztynie. W tym roku takich diecezji jest sześć: święceń nie będzie w diecezji zamojsko-lubaczowskiej, łowickiej, gliwickiej, pelplińskiej i drohiczyńskiej oraz w archidiecezji wrocławskiej. Najwięcej, 13, wyświęconych zostanie prezbiterów w diecezji tarnowskiej, po 12 w archidiecezjach warszawskiej i lubelskiej. W krakowskiej w tym roku tylko 7 (rok temu 13). W kilku diecezjach będzie po jednym neoprezbiterze.

Wyraźna tendencja spadkowa występuje zarówno wśród księży diecezjalnych, jak i zakonnych. W tym roku wyświęconych zostanie 139 księży diecezjalnych i 67 zakonnych. Rok temu diecezjalnych neoprezbiterów było 152, zakonnych 83, a w 2023 r. odpowiednio 202 i 86. Z powodu zmniejszającej się liczby powołań łączone są seminaria. W seminarium w Poznaniu studiują również klerycy z Gniezna, Kalisza i Bydgoszczy, we Wrocławiu – z Legnicy i Świdnicy, a w Warszawie – z Łowicza.

Mimo posiadania kilku wyższych uczelni Kościół instytucjonalny nie prowadzi poważnych badań problemu spadku powołań. Księża odpowiedzialni za formację i powołania zasłaniają się formułą, że to „Pan Bóg powołuje do kapłaństwa". Zapewne jednym z ważniejszych czynników jest spadek prestiżu księdza. Ponieważ duchowni pracują na pierwszej linii, to oni najpierw doświadczają krytyki za kiepskie zarządzanie przez biskupów Kościołem w czasach kryzysu. Na pewno sytuacji nie poprawią ostatnie decyzje episkopatu dotyczące blokowania rozliczenia się z przypadków pedofilii w Kościele. ©℗

Kwota wolna od rozsądku

PODATKI ▪ Niektórych obietnic lepiej nie składać, jeśli się nie chce ich spełnić. Rzucony wiosną 2023 r. postulat podwyższenia kwoty wolnej od podatku z 30 do 60 tys. zł już trzeci rok kalendarzowy czeka na okoliczności, które rzekomo pozwolą rządowi wcielić go w czyn. Donald Tusk zapewnia, że marzy o dotrzymaniu słowa danego w kampanii do parlamentu, ale na razie uniemożliwia to stan finansów publicznych. W tym miejscu można by spytać, co tak dramatycznego zdarzyło się z polskim budżetem między czerwcem 2023 r., kiedy było to jeszcze możliwe, a styczniem roku kolejnego, gdy premier po raz pierwszy powiedział, że jeszcze nie teraz? Można, ale po co stawiać pytania bez odpowiedzi. Podwyższenie kwoty wolnej od podatku jest przecież klasycznym daniem kuchni wyborczej. Jak ujął to niedawno w przypływie rzadkiej szczerości jeden ze współpracowników premiera, „cóż szkodzi obiecać".

Otóż właśnie szkodzi. Zabawę w kolędowanie z podwyżką kwoty wolnej zepsuł bowiem rządowi prezydent-elekt, zapowiadając, że podpisze stosowną ustawę, gdy tylko trafi na jego stół. A jeśli gabinet Tuska nie wyjdzie z taką inicjatywą, wówczas Karol Nawrocki skorzysta z przysługującej mu inicjatywy ustawodawczej i sam zgłosi do Sejmu projekt podnoszący kwotę wolną do 60 tys. zł. Prezydent rozpocznie urzędowanie już w sierpniu, może więc podrzucić ten kartofel rządowi nawet do przyszłorocznej ustawy budżetowej. Koalicjanci musieliby wówczas wznieść się na wyżyny politycznej kazuistyki, żeby wytłumaczyć swoim wyborcom, dlaczego głosują przeciwko własnemu pomysłowi. No i dlaczego nagle broni go PiS?

Obie strony oczywiście zdają sobie sprawę, że podwyżka kwoty wolnej do 60 tys. zł to dziś taka sama mrzonka, jak przed dwoma laty. Kosztowałaby budżet około 55 mld zł, czyli 56 proc. ubiegłorocznych wpływów z podatku PIT. To niemal równowartość rocznych wydatków na program 800 plus, jedna trzecia budżetu na wojsko i niemal jedna czwarta budżetu publicznej ochrony zdrowia. Co prawda rząd nie przejmuje się przesadnie procedurą nadmiernego deficytu, którą wszczęła przeciwko Polsce Bruksela, ale w zabawie z długiem publicznym są granice, których lepiej nie przekraczać. Aby podnieść kwotę wolną i w ten sposób zmniejszyć obciążenia fiskalne najmniej zarabiającym, rządzący musieliby obciąć wydatki lub podnieść inne podatki. Albo – a to już sfera politycznej fantastyki – w końcu zreformować system podatkowy tak, aby budżetu nie utrzymywali najbiedniejsi i średniacy.

©℗ MAREK RABIJ

Karol Nawrocki podczas wręczenia uchwały potwierdzającej wyniki wyborów na Prezydenta RP

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Żużlowe klify Morza Irlandzkiego

GEOLOGIA ▪ Kiedy byłem, o, takim małym bajtlem, to wszystkie dzieciaki w Rydułtowach chodziły na hałdę. Nie zastanawiałem się wtedy, że jest to sztuczna góra odpadów pokopalnianych, zresztą jedna z najwyższych w Europie. Dla dziecka góra to góra. Okazuje się, że dla geologa też.

Amanda Owen i jej współpracownicy z University of Glasgow opublikowali w „Geology" analizę kilku kilometrów brytyjskiego wybrzeża pod miasteczkiem Workington. Od 1856 r. zrzucono tam 30 mln metrów sześciennych żużlu z okolicznych hut żelaza i stali. Tyle objętości miałby np. wał o wysokości i grubości 100 m oraz długości 3 km.

Żużel to odpad po procesach hutniczych: spieczone ze sobą kawałki żelaza, czasem zeszklonego, oraz rozmaite tlenki i krzemiany – dla geologa swojskie składniki skał. Autorzy opisują też płaty materiału przypominające im wylewy lawowe, a także cement wapienny spajający ze sobą grudy – zupełnie jak gdyby była to naturalna brekcja wulkaniczna. Nieco mniej naturalnym składnikiem są kawałki ubrań i puszek, klucze albo moneta z podobizną króla Jerzego V z 1934 r. Nietypowe jest też tempo powstania tej skały.

Autorzy ze sporym zdziwieniem donoszą, że w ciągu zaledwie 170 lat wykształcił się pełen cykl petrogenezy, czyli powstawania skał. Zwykle zajmuje to raczej dziesiątki lub setki tysięcy lat. Okazuje się, że świeży żużel ma, zupełnym przypadkiem, idealne składniki chemiczne, aby w środowisku nadmorskim wytrąciły się z niego minerały silnie spajające ze sobą okoliczne ziarna. Inne procesy geologiczne też rozwijają się w najlepsze. Gruba pokrywa żużlowa podcinana przez fale Morza Irlandzkiego tworzy dziś 30-metrowy klif, u podnóży którego leżą głazy i rozdrobniony, wygładzony gruz.

Świat nie obraża się na swój własny fragment (czytaj: nas, ludzi), produkujący nowy typ skały, lecz wciela go w swe procesy i cykle. My też powinniśmy tak myśleć. Trwa pilne poszukiwanie zamienników dla tradycyjnego cementu portlandzkiego, którego produkcja odpowiada za niemal jedną dziesiątą globalnej emisji dwutlenku węgla. Testuje się m.in. popioły po spalaniu węgla albo tzw. granulowany żużel wielkopiecowy (GGBS). Analiza brytyjskiego „żużlitu" to więc coś więcej niż ciekawostka: skoro już stworzyliśmy nowy typ skał, być może uda się nam go twórczo wykorzystać?

© ŁUKASZ LAMŻA

Nowy rekord Malczewskiego

DESA UNICUM / DOMENA PUBLICZNA

SZTUKA ▪ „Rzeczywistość" Jacka Malczewskiego sprzedano za rekordowe 22,2 mln zł. Obraz trafi do prywatnej kolekcji. Dlaczego żadne muzeum nie skorzystało z prawa pierwokupu?

Namalowaną w 1908 r. „Rzeczywistość" Jacka Malczewskiego wylicytowano za 22,2 mln zł – to największa kwota, jaką zapłacono dotąd w Polsce za dzieło sztuki. Poprzedni rekord należał do „Portretu córki Heleny z krogulcem" Jana Matejki, który w 2022 r. osiągnął wynik 15,12 mln zł.

Cena obrazu Malczewskiego stała się sensacją. Nie mniej sensacyjne są dzieje samego płótna. Po raz ostatni „Rzeczywistość" była publicznie prezentowana w 1926 r. na wystawie jubileuszowej w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie, potem ślad po niej zaginął. Nieoczekiwanie obraz wystawiono w 2021 r. na niemieckiej stronie portalu e-Bay. Następnie sprowadzono go do Polski i w 2022 r. znalazł się na aukcji w Desie.

Zapłacono wówczas za niego rekordową kwotę 20,4 mln zł, jednak nowy właściciel nie mógł obrazu odebrać. Został on zabezpieczony przez prokuraturę w związku ze śledztwem prowadzonym na wniosek Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zachodziło podejrzenie, że „Rzeczywistość" w 1954 r. została nielegalnie wywieziona z Polski. Po dwóch latach śledztwo umorzono z powodu braku dowodów na popełnienie przestępstwa, a sąd oddalił zażalenie MKiDN w tej sprawie. Obraz ponownie znalazł się w Desie.

„Rzeczywistość" jest dziełem klasy muzealnej, dlatego przed aukcją w roku 2022 Muzeum Narodowe w Warszawie poinformowało, że chce skorzystać z prawa pierwokupu. Dwa lata później powiadomiło jednak, że od niego odstępuje, ponieważ posiada już 134 inne obrazy Malczewskiego (plus 6 depozytów prywatnych), w tym tak kluczowe dzieła dla jego dorobku, jak „Śmierć Ellenai" czy „Hamlet polski". MKiDN za rządów Piotra Glińskiego obiecało co prawda środki na zakup obrazu, ale czy „Rzeczywistość" musiała trafić właśnie do tego muzeum?

Obrazy Malczewskiego należą do najdroższych i najbardziej pożądanych. „Autoportret z czaszką" sprzedano w zeszłym roku za 4,2 mln zł, co stanowi najwyższą cenę za autoportret artysty, jaką wylicytowano w Polsce. Tym razem obok „Rzeczywistości" (na zdjęciu) licytowano również „Autoportret dantejski".

W latach 2015-2023 po raz pierwszy po 1989 r. pojawiły się znaczące środki publiczne na powiększanie kolekcji muzealnych. Dokonano wtedy wielu istotnych, ale też budzących wątpliwości czy wręcz niepotrzebnych zakupów, jak m.in. kosztowny nabytek późnych prac Marca Chagalla. Dlatego tak ważne jest wypracowanie transparentnych zasad, według których powiększane są zbiory publiczne. Samo wsparcie państwa w ich tworzeniu jest konieczne. Z powodów historycznych nasze zbiory są wciąż skromne.

© PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

ODŁÓŻ TELEFON, ODZYSKAJ ŻYCIE

MAGDALENA BIGAJ, EDUKATORKA HIGIENY CYFROWEJ:

Warto dojść do tego, co stoi za sięganiem po telefon. I co mogę sobie dać w zamian.

ILUSTRACJE KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

BERENIKA STEINBERG: Ładny zegarek.

MAGDALENA BIGAJ: Dziękuję. W telefonie załatwiamy dziś mnóstwo rzeczy – mamy w nim zegarek, budzik, notes, filmy w streamingu zamiast w kinie, relacje. Chcemy sprawdzić godzinę i po kwadransie orientujmy się, że naklikaliśmy mnóstwo rzeczy, a nawet nie pamiętamy, po co braliśmy telefon do ręki. Więc noszenie zegarka to eliminowanie takiego sięgania po telefon kilkadziesiąt razy w ciągu dnia. Tego typu lifehacki, czy sprawianie sobie drobnych przyjemności, jak właśnie ładny zegarek na ręku, to jedna z moich ulubionych części higieny cyfrowej.

Czym jest higiena cyfrowa?

Higiena to zachowania chroniące zdrowie. Np. higiena jamy ustnej to takie zachowania jak mycie zębów, nitkowanie, odwiedzanie dentysty. A higiena cyfrowa to zachowania chroniące zdrowie związane z używaniem nowych technologii.

Kiedy na stronie Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa robiłam sobie test higieny cyfrowej, zaskoczyło mnie pytanie o to, jak często dezynfekuję ekran swojego telefonu. Pomyślałam: co to ma wspólnego z moim uzależnieniem od internetu?

Higiena cyfrowa nie dotyczy tylko uzależnienia. Zakłada dbanie o nasze zdrowie psychiczne, społeczne i fizyczne w kontakcie z technologiami. To więc też m.in. kwestie związane z noszeniem słuchawek i ich wpływem na zdrowie naszych uszu.

Jednak to, że czujemy się uzależnieni od swoich telefonów, wydaje się dużo bardziej dotkliwe.

Uzależnienie behawioralne to jednostka chorobowa i na taką diagnozę trzeba sobie zasłużyć. Tymczasem to, co w większości przypadków u siebie obserwujemy, to pewne symptomy uzależnienia. Bardzo dobrze ujął to socjolog Stanisław Burdziej: nie chodzi o to, że jesteśmy uzależnieni od urządzeń ekranowych, tylko o to, że jesteśmy od nich zależni.

Co takiego dzieje się na ekranach, że tak trudno się od nich oderwać?

Funkcjonuje wiele błędnych opinii na temat tego, w jaki sposób nowe technologie na nas wpływają. Jedna z nich brzmi, że są jak młotek albo nóż – są neutralne i od nas zależy, jak ich użyjemy. To nieprawda. Oczywiście, kod programistyczny jest neutralny. I możesz go wykorzystać w dobrym celu, np. w diagnostyce nowotworów, albo w złym, np. do tworzenia pornograficznych deepfake'ów. Jednak my, przeciętni zjadacze internetu, nie używamy kodów programistycznych, tylko korzystamy z gotowego produktu, który proponuje nam w internecie jakaś firma. I jeśli ten produkt jest za darmo, to na sto procent płacisz tej firmie swoimi danymi i uwagą. Najpopularniejsze bezpłatne produkty cyfrowe, czyli media społecznościowe, komunikatory i gry cyfrowe są tworzone tak, by pozyskiwać naszą uwagę. Oczywiście, te firmy muszą zarobić i to jest okej. Ale już sposoby pozyskiwania naszej uwagi nie są w porządku – są manipulacyjne. Początkowo o ciemnych wzorcach projektowania – tzw. *dark patterns* – mówiło się tylko w kontekście wprowadzania użytkownika w błąd. Dziś określa się tak sposoby projektowania, które celowo sprawiają, że tracimy kontrolę nad uwagą.

Na przykład?

Kiedy ktoś do nas pisze w komunikatorze, widzimy trzy pływające kropeczki. Zostało to wprowadzone po to, żebyśmy przypadkiem nie odłożyli telefonu i nie zajęli się czymś innym. Albo *infinite scroll* – możesz przewijać stronę w nieskończoność, a się nie przeładuje, lecz skłania cię np. do zachowania zwanego *doomscrolling* – kompulsywnego poszukiwania niepokojących, negatywnych informacji. Na TikToku zostało to doprowadzone do perfekcji, nie trzeba już nawet ruszać palcem, *feed* sam będzie proponował kolejne filmiki. Jedno z badań wykazało, że już 37 minut na TikToku zaczyna powodować symptomy charakterystyczne dla uzależnienia: nie chcesz odłożyć telefonu, czekasz na kolejną nagrodę. Sean Parker – były prezes rady nadzorczej Facebooka, twórca „kciuka" – powiedział: „Wykorzystaliśmy słaby punkt ludzkiej psychiki. Dajemy ci działeczkę dopaminy". Nowe technologie są właśnie tak skonstruowane, mają nam sprawiać mikroprzyjemności. A w świecie, który pędzi, w którym jesteśmy zmęczeni, zestresowani i pragniemy odpoczynku, bardzo często na poziomie odruchu wybieramy najprostszą, najłatwiej dostępną strategię obniżenia napięcia – smartfon.

Ale przecież ten pędzący świat fundujemy sobie sami – właśnie poprzez przebodźcowanie płynące z naszego ekranu.

Majstersztykiem popularnych produktów cyfrowych jest to, że powodują one chorobę, na którą proponują nam lekarstwo, powodujące chorobę, na którą proponują lekarstwo itd. I to jest błędne koło. Na poziomie odruchu mózg nie analizuje odległych konsekwencji mojego wyboru – gdy zestresowana wchodzę do domu, zamiast spaceru czy książki wybieram godzinę scrollowania na kanapie. ↦

Jakie są te odległe konsekwencje?

Przede wszystkim przemęczenie informacyjne. Nasz mózg nie jest w stanie przyjmować informacji non stop. A taką informacją jest każda treść w internecie: news, powiadomienie, reklama, link do artykułu, zdjęcie, filmik. Może nam się wydawać, że nie zwracamy na nie uwagi, ale nasz mózg patrzy na *feed* i analizuje każdą nową informację: ważne, nieważne, zatrzymać uwagę, nie zatrzymać. Cały czas ma robotę, musi to wszystko odsiać, przetrawić.

Co w tym złego, że mój mózg pracuje?

Gdy teraz rozmawiamy, pani mózg pracuje w inny sposób: przekazuję pani wiele informacji, ale one są ze sobą powiązane kontekstowo i u pani w głowie układają się w opowieść. Tymczasem w mediach społecznościowych jest tak: 5 sekund śmiesznego filmiku o psach, reklama butów, 30 sekund wydarzeń politycznych, przepis na obiad, wojna w Ukrainie, wiadomość od koleżanki. To krótkie treści niepowiązane ze sobą kontekstowo. Nieżyjący już prof. Clifford Nass z Uniwersytetu Stanforda, który badał wpływ nowych technologii na ludzi, powiedział: „Jeżeli w każdej wolnej chwili, w windzie, na spacerze, w kolejce w sklepie sięgasz po telefon – to znaczy, że twój mózg został już wytresowany do dekoncentracji".

Wszyscy cierpimy na wtórne ADHD?

Kiedy kilkadziesiąt razy dziennie odblokowujesz telefon, następuje przełączenie uwagi. A mózg działa w taki sposób, że im częściej coś robisz, on ma większą skłonność do robienia tego. Im dłużej coś powtarzasz, skupiasz się, uczysz języków – tym łatwiej ci to idzie. Ale im więcej czasu spędzasz na konsumowaniu krótkich treści – i tym samym na ciągłym przełączaniu uwagi – tym większą będziesz mieć tendencję do działania w ten sposób. Odzwyczajasz się od spokojnego spędzania czasu, od tego, że można się ponudzić, pobyć ze swoimi myślami. Ponieważ przyzwyczajona do „sterydu informacyjnego", będziesz go chciała cały czas.

Oprócz problemów z uwagą, mówi się dziś o zjawisku „demencji cyfrowej".

Komputer, w którym otworzymy za dużo zakładek i programów, zaczyna wolniej działać. Podobny objaw można zauważyć w mózgu osoby przebodźcowanej treściami z internetu. Pojawiają się problemy z pamięcią krótkotrwałą i prospektywną, czyli pamięcią „podręczną", używaną na co dzień. Mózg to organ jak każdy inny, nie ma jakichś cudownych właściwości. Ewolucyjnie jest stworzony do tego, by przeanalizować i przetworzyć wszystkie informacje, które do niego napływają. Ale dziś jest to po prostu niemożliwe, bo informacji jest za dużo.

Podczas czytania książki również napływa do mnie masa informacji. Czym to się różni?

Książka to dłuższy tekst, który prowadzi mnie spokojnie przez jakiś temat, mam czas zastanowić się podczas czytania. To nie jest tylko kwestia świadomej refleksji. Mój mózg ma możliwość przeanalizowania tych – powiązanych ze sobą kontekstowo – informacji. „Aha, to jest pies, jaka to rasa? Czy mam jakieś wspomnienia związane z psem?". Dodatkowo, jeśli koncentrujesz się na jakiejś informacji wystarczająco długo, mózg klasyfikuje ją jako ważną i wartą zapamiętania. Ile numerów telefonu pani pamięta?

Jeden.

No właśnie. Szczerze mówiąc, ja nie znam nawet telefonu do swojej córki, a powinnam, prawda?

Nasz mózg już wie, że zapamięta to za nas urządzenie. I tu kolejny lifehack: warto robić ręczne notatki. Dla naszego mózgu to sygnał, że ich treść nie zapisze się w żadnej chmurze online. I że możesz zeszyt z notatkami zgubić! To sposób archiwizacji, który nie jest pewny, więc mózg lepiej zapamięta. Mało tego, kiedy piszemy ręcznie, siłą rzeczy dokonujemy syntezy, uczymy się. A zbyt długie przebywanie w internecie powoduje, że mózg ma za mało czasu na klasyfikację treści i tym samym zatraca umiejętność syntezy, czyli wyciągania tego, co najważniejsze, a co za tym idzie, trafnego podejmowania decyzji. Zachęcam, żeby myśleć o swoim mózgu jak o mięśniu, który umie to, co pozwalamy mu powtarzać.

A w jaki sposób fakt, że stale jesteśmy zajęci swoimi telefonami, może wpływać na nasze zdrowie społeczne?

Jedno z ostatnich badań pokazuje, że dzieci zaczynają później mówić. Autorzy postawili hipotezę, że wynika to nie tylko z coraz wcześniejszej ekspozycji na ekrany, ale też z faktu, że po prostu przy dzieciach się dzisiaj mniej mówi. Przecież my żyjemy w cichych rodzinach! Wyobraźmy sobie raczkujące dziecko. Mama z tatą nie rozmawiają, bo każde siedzi w swoim telefonie. Starsze rodzeństwo się nie kłóci, bo jedno gra, a drugie siedzi na TikToku. W tym domu nie ma odgłosów życia codziennego, a dziecko przecież uczy się mowy poprzez słuchanie i obserwowanie mówiącego. Korzystanie z urządzeń cyfrowych wpływa na nasze relacje. Zamykamy się w łazienkach na sesje z te-

ABC higieny cyfrowej

1. **Kontroluj swój czas ekranowy i zwracaj uwagę, czy nie zabiera ci przestrzeni na inne czynności.**
2. **W domu, razem z resztą domowników, odkładaj telefon w jedno wspólne miejsce, nie noś go cały czas przy sobie.**
3. **Wyłączaj wszystkie zbędne powiadomienia dźwiękowe, zostawiając tylko sygnał rozmowy przychodzącej i SMS.**
4. **W czasie czynności wymagającej skupienia odkładaj telefon poza zasięgiem wzroku.**
5. **Podczas posiłków nie używaj urządzeń ekranowych.**
6. **Kiedy rozmawiasz z innymi, nie patrz równocześnie w telefon.**
7. **Po godzinie 22 nie używaj urządzeń ekranowych, a na czas snu telefon pozostaw poza sypialnią.**
8. **Dbaj o spontaniczną aktywność fizyczną każdego dnia.**
9. **Rozwijaj swoje zainteresowania w trybie offline.**
10. **Zwracaj uwagę na treści, które obserwujesz, i uważnie dobieraj je pod kątem tego, jak na ciebie wpływają.**

OPRACOWANO NA PODSTAWIE MATERIAŁU FUNDACJI INSTYTUT CYFROWEGO OBYWATELSTWA

lefonem, leżymy w łóżkach z telefonem – każdy ze swoim.

Atrakcyjność treści cyfrowych może powodować, że życie poza ekranem wydaje się mniej atrakcyjne. Że rozmowa z drugim człowiekiem nie jest tak ciekawa, jak przeglądanie memów. Wpadamy w stan, który nazywam „cyfrową anhedonią". Partner czeka na nas w sypialni, ale właśnie zaczyna się kolejny odcinek serialu albo ktoś na Facebooku nie ma racji. Dziecko do nas mówi, a my nie słuchamy, bo jeszcze przeżywamy coś, co wydarzyło się w sieci.

Dla osób silnie zanurzonych w mediach społecznościowych świat zaczął stanowić jedynie scenografię. Naomi Klein w swojej najnowszej książce „Doppelganger" twierdzi, że w internecie hodujemy ulepszone wersje siebie, które żyją w ulepszonej wersji świata. Tymczasem okazuje się, że w rzeczywistości cudowny krem wcale nie działa, a rady od popterapeutów można wyrzucić do kosza.

No dobrze, ale zaprzestanie kompulsywnego używania telefonu wcale nie jest łatwe. Kiedy słyszę: „ogranicz czas ekranowy", czuję się tak, jakby ktoś mi poradził: „nie przejmuj się".

To jest też pytanie o to, jakie potrzeby stoją za naszym korzystaniem z internetu. Dlaczego jestem tak aktywna w mediach społecznościowych? Może mam potrzebę uznania, której nie znajduję w swoim życiu? Albo potrzebę kontaktu z innymi? Warto dojść do tego, co stoi za sięganiem po telefon. I co mogę sobie dać w zamian. Można sobie to potem nawet zapisać, zrobić „fiszki higieny cyfrowej". Bo bez tej ściągi w głowie pierwsze, co zrobimy, czując np. stres, to sięgniemy po telefon. Zamiast tego przypomnijmy sobie, co jeszcze może przynieść nam ulgę.

Atrakcyjność treści cyfrowych może powodować, że życie poza ekranem wydaje się mniej atrakcyjne niż przeglądanie memów. Wpadamy w stan, który nazywam „cyfrową anhedonią".

Wychodzenie z kompulsywnego używania urządzeń cyfrowych wcale nie jest przyjemne. Słyszy się hasło „zamień FOMO na JOMO" – czyli strach przed tym, że coś w internecie cię ominie, na radość płynącą z przegapiania. Ale przecież z początku nie ma w tym żadnej radości! Jesteśmy sfrustrowani i wcale nam się to nie podoba. To jest trudne.

Mi pomogło coś, co nazwałam POMO, czyli *proud of missing out*, duma z przegapiania. Jest mi cholernie ciężko, jestem wkurzona i nie podoba mi się to, że coś mnie ominęło. Ale jestem dumna z faktu, że mnie na to stać i że umiem o siebie zadbać.

Co dzięki temu zyskam?

Uspokojenie swojego życia. Wyciszenie, które płynie z tego, że zmusimy się do pójścia na przystanek, a z przystanku ↦

↦ do pracy, bez faszerowania się po drodze informacjami.

Mam nie założyć słuchawek z podkastem? Przecież to takie kuszące – wykorzystać czas podczas spaceru czy joggingu.

Prof. Magdalena Szpunar pisze o technomorfizacji człowieka. Zaczynamy postrzegać siebie jak maszyny, które mają być produktywne i efektywne. A człowiek jest kruchy, ma swoje wady, nie odpowiada ani tak szybko, ani w sposób doskonale do nas dostosowany, jak AI. Zatem higiena cyfrowa kontaktuje nas na nowo ze światem.

W tym się trzeba rozsmakować. W momencie, kiedy pierwszy raz wchodzisz do lasu bez telefonu albo w trybie samolotowym, i bez podkastu, możesz czuć dyskomfort. Ale kiedy się do tego przyzwyczaisz, zobaczysz, że cię to uspokaja.

Zorientowałam się, że miasto ma swoje dźwięki i to już jest dla mnie wystarczające wyzwanie. Ale nie chcę odcinać się od tych dźwięków i od świata najnowszymi słuchawkami z opcją wyciszenia otoczenia. Nie muszę przyjmować kolejnych informacji i podążać za narracją, którą prowadzi autor podkastu. Chodzenie po ulicy to świetny moment, żeby się trochę ponudzić. Pobyć w kontakcie z naturą, nawet jeśli to tylko drzewa w drodze do pracy. Bo nasz mózg przyzwyczajony do stałej pracy zaczyna wtedy kombinować. I nagle w tramwaju wpadamy na genialny pomysł! Ale trzeba sobie na to dać czas.

PAT MIC

MAGDALENA BIGAJ jest prezeską fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki „Wychowanie przy ekranie", współautorka ogólnopolskich badań higieny cyfrowej osób dorosłych i raportu „Internet dzieci". We wrześniu ukaże się jej książka dla nastolatków pt. „Twój telefon, twoje zasady. Jak dzięki higienie cyfrowej żyć po swojemu".

A co z osobami, których praca wymaga ciągłego korzystania z mediów społecznościowych?

Powiem coś niepopularnego, ale uważam, że nie ma ludzi, którzy muszą tam być ciągle. Jeśli jesteś zatrudniona w firmie, twój dzień pracy trwa osiem godzin i po pracy masz prawo do bycia odłączonym. To oczywiście najtrudniejsze dla tych, którzy prowadzą małe firmy i sami obsługują media społecznościowe. Problem w tym, że za sprawą FOMO wydaje się nam, iż musimy tam być. Tymczasem to może być po prostu np. kwestia zostawienia informacji: „na wasze wiadomości odpowiadamy od 9 do 17".

Zachęcam osoby, które muszą korzystać z mediów społecznościowych zawodowo, żeby traktowały to rzeczywiście zawodowo: ustalam ramy czasowe, w których jestem aktywna w sieci, ale potem jest czas, kiedy absolutnie tego nie robię, i w jakiś uprzejmy sposób to komunikuję.

Poza tym warto sobie zdawać sprawę, że nasza praca odbywa się w nowym rodzaju szkodliwego środowiska: w smogu informacyjnym. W związku z tym kończąc ją – jak górnik, który wychodzi z kopalni – muszę przejść przez śluzę oczyszczającą. A więc odkładam telefon w jedno miejsce, nie noszę go cały czas przy sobie, wyłączam zbędne powiadomienia i daję sobie czas, w którym będę po prostu wypoczywać.

Ale to wszystko kwestia nawyków. A żaden nawyk nie przychodzi sam, trzeba go wypracować.

© Rozmawiała BERENIKA STEINBERG

POŻEGNANIE

Naszej koleżance

Sylwii Ligierskiej

składamy wyrazy serdecznego współczucia w związku ze śmiercią

Babci

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego" i Fundacji Tygodnika Powszechnego

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

PREMIERA

TYGODNIK POWSZECHNY

co odróżnia nas od maszyn

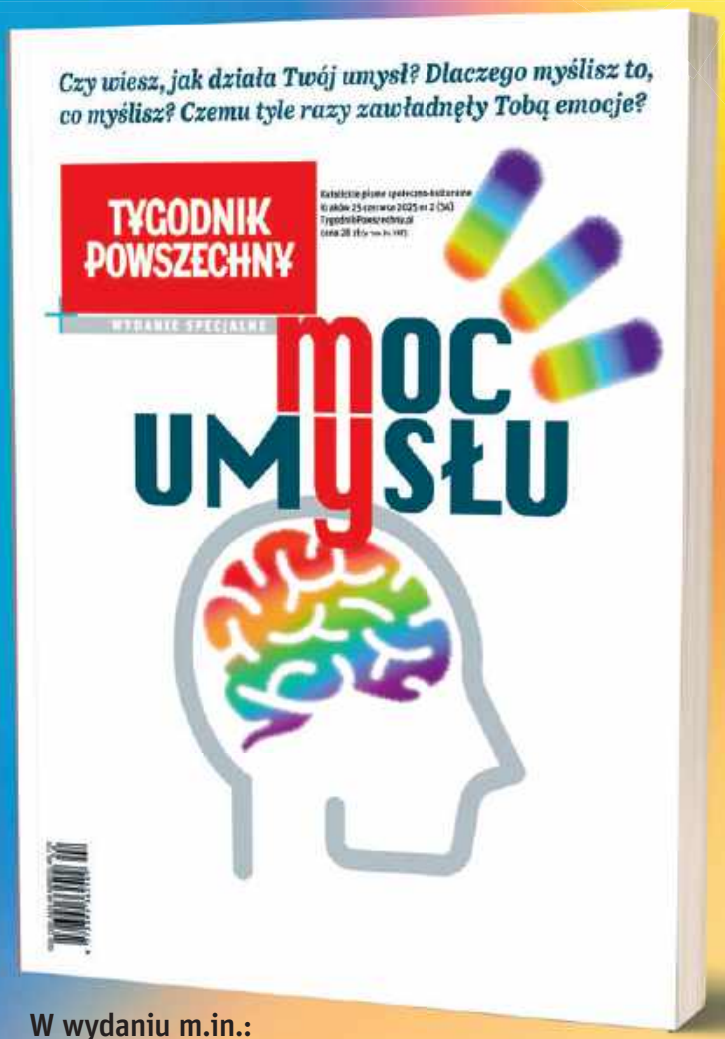

Potrafimy odczuwać, myśleć, rozumieć – albo tylko tak nam się wydaje. Nowe, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego” to wyprawa w głąb umysłu.
Zastanawiamy się, czym jest świadomość, czy AI naprawdę „coś czuje” i gdzie kończy się człowiek, a zaczyna maszyna.
Pytamy o duszę, neurony, emocje.
I o to, co czyni nas ludźmi.

W wydaniu m.in.:
ks. Michał Heller, Łukasz Lamża, Tomasz Stawiszyński, Olga Drenda, Bartosz Brożek, Eliza Kącka, Katarzyna Dziadowicz, Marcin Napiórkowski, Grzegorz Jankowicz, Dominika Dudek, Wojciech Bonowicz, Piotr Sikora i wielu innych.

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MOC UMYSŁU” dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na **sklep.TygodnikPowszechny.pl**

Weź, czytaj i odkryj moc umysłu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOKĄD ZMIERZA DONALD TUSK

Platforma Obywatelska przypomina piłkarską reprezentację Polski. Lider jest w fazie schyłkowej, w partii słychać szum niezadowolenia, a następców nie widać. Czy ostatnie wybory to pierwszy gwóźdź do trumny wielkiej partii?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Niespodziewana dla koalicji rządzącej porażka Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, a także jałowy przekaz niedawnego *exposé* premiera – to sygnały silnego kryzysu ideowego i przywódczego w PO. 68-letni dziś Donald Tusk wydaje się wypalony jako polityczny lider Platformy i Koalicji Obywatelskiej. Proces, którego efekty dziś obserwujemy, trwa jednak od dłuższego czasu.

Kryzys wewnętrzny może się wydawać niespodzianką, jeśli weźmiemy pod uwagę, że koalicja 15 października ledwie półtora roku temu, przy rekordowej frekwencji, odebrała władzę PiS. I zrobiła to pod kierunkiem doświadczonego polityka, który stanął potem – kolejny raz – na czele rządu. Wielu zwracało wówczas uwagę, że dopiero powrót Tuska do Polski doprowadził do zakończenia długiej epoki rządów Jarosława Kaczyńskiego, co miało świadczyć o jego niezwykłych cechach przywódczych.

Pudrowanie przegranej

Narracja ta, w części prawdziwa, przykryła jednak wiele niepasujących do niej faktów. Na czele z tym, że Tusk co prawda licznymi spotkaniami w ramach kampanii w 2023 r. pomógł uzyskać dobry wynik, ale to nie KO wygrała te wybory. Zwyciężył PiS z przewagą niemal 5 punktów proc., ale bez zdolności do utworzenia jakiejkolwiek koalicji. Przejęcie władzy przez rząd Tuska umożliwił dopiero nadspodziewanie dobry wynik Trzeciej Drogi. Był on możliwy nie tylko dzięki apelom lidera PO, by dać też szansę partii Szymona Hołowni, ale także za sprawą sporej rzeszy ludzi zniechęconych zarówno do PiS, jak i do PO, którzy szukali dla nich alternatywy. Mało kto dziś o tym pamięta, ale na wynik Trzeciej Drogi znaczący wpływ miała m.in. debata telewizyjna, w której świetnie wypadł Hołownia, natomiast sam Tusk słabo, wikłając się w rytualne spory z równie nieprzekonującym Mateuszem Morawieckim.

Wydarzenia po 13 grudnia 2023 r., gdy Tusk stanął na czele koalicyjnego gabinetu, potwierdziły, że teza o TD jako języczku u wagi nie jest daleka od prawdy.

Donald Tusk w drodze na spotkanie z Robertą Metsolą, przewodniczącą Parlamentu Europejskiego. Warszawa, 20 czerwca 2025 r.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Była dla wyborców nadzieją na choć częściowe złamanie duopolu PO-PiS, a zaczęła tracić poparcie, gdy gwiazda marszałka Sejmu przygasła po utworzeniu rządu. Sam Hołownia stał się głównie realizatorem celów politycznych KO, prowadzącej wojnę z PiS. Klęska marszałka w wyborach prezydenckich i nagły rozpad Trzeciej Drogi w ubiegłym tygodniu (z inicjatywy PSL) stały się ostatnim akordem tego procesu.

Z perspektywy czasu widać, że koalicja mogłaby osiągnąć większy sukces, gdyby realizowała obietnice i prowadziła spójną politykę informacyjną. Mogła zarazem swoimi posunięciami uspokoić i zdemobilizować wyborców prawicy, a może nawet część z nich pozyskać. Jednak Tusk od powrotu do Polski stał się więźniem najbardziej radykalnego antypisowskiego elektoratu mimo powtarzanych deklaracji, że nie będzie w polityczny sposób sterował rozliczeniami. Zamknął się na środowiska myślące inaczej do tego stopnia, że uległ radykałom i nakazał Trzaskowskiemu odwołać tzw. debatę symetrystów na Campusie Polska Przyszłości w 2023 r., gdyż jej przebieg mógłby się okazać niekorzystny dla głównego przekazu partyjnego.

Sfrustrowane doły

Wszystko to były oznaki słabości Tuska. Podobnie jak brak umiejętności egzekwowania ustaw od podlegających mu ministrów. Rosnące w rządzie nieróbstwo spowodowało, że także Andrzej Duda nie miał zbyt wiele pracy i zawetował ledwie kilka ustaw, choć przedstawiano go jako hamulcowego reform. Nawet w najbardziej zepsutych w epoce PiS sferach zmiany wprowadzano bardzo powoli. W działaniu mediów publicznych nie zmieniono właściwie nic. W kwestii wymiaru sprawiedliwości zdecydowano się na fragmentaryczne reformy (to ustawy o KRS i o Trybunale Konstytucyjnym – zablokowane przez Dudę).

W samej Platformie przywódcza pozycja Tuska nie jest jeszcze kwestionowana. Nawet najbardziej rozgoryczeni nie mają wątpliwości, że premier jest wciąż ich mężem opatrznościowym. Są przekonani, że Tusk *de facto* dwukrotnie tworzył Platformę – w 2001 r. z Andrzejem Olechowskim i Maciejem Płażyńskim, a także dwadzieścia lat później, gdy po latach kariery międzynarodowej zjawił się w kraju. – Gdyby cztery lata temu nie wrócił, dziś już nie byłoby Platformy – przekonuje jeden z posłów.

Jednocześnie ci sami politycy przyznają, że Tusk po powrocie niewystarczająco interesował się sytuacją w partii i nie wyeliminował wielu patologicznych zjawisk w jej szeregach, m.in. ciągu na obsadzanie dobrze płatnych posad. Z nostalgią wspominają czasy, gdy Tusk stał na czele PO i rządu, a o porządek w partii dbał żelazną ręką Grzegorz Schetyna.

W klubie parlamentarnym KO jest wielu posłów sfrustrowanych poczuciem, że ich umiejętności i talenty są zaniedbywane. W gabinecie Tuska nie ma oczywiście miejsca dla wszystkich (choć jest duży), jednak wielu parlamentarzystów uważa, iż szwankuje współpraca rządu z klubem. Brak tu koordynacji, a kompetencje posłów nie są wykorzystywane, choćby przy tworzeniu ustaw.

Sytuacja jest dodatkowo trudna, bo spektakularna klęska Trzaskowskiego uruchomiła wewnątrzpartyjne urazy. I choć na zwołanym zaraz po wyborach posiedzeniu klubu KO Tusk apelował o zaniechanie rozliczeń, w samej PO odżyły wieloletnie urazy. Gdy się rozmawia z niektórymi politykami tej partii, słychać nieskrywaną niechęć do grupy Trzaskowskiego, ze Sławomirem Nitrasem na czele. Z jednej strony bardzo hermetycznej, z drugiej – podkreślającej swoją wyższość i niedopuszczającej rad z zewnątrz.

Istnieje przekonanie, że Tusk nie potrafił nad tą grupą zapanować, a gdy włączył się w kampanię, osiągnął (zwłaszcza wywiadem w Polsacie) efekt odwrotny do zamierzonego. To również wpływa na erozję jego autorytetu. Niektórzy posłowie twierdzą wręcz, że grupa Trzaskowskiego wciąż ma zbyt wiele do powiedzenia mimo przegranych wyborów prezydenckich. A Tusk na to nie reaguje.

Piętno porażki

Wystawienie Rafała Trzaskowskiego również można uznać za błąd Tuska. Gdyby miał politycznego nosa, tak jak w przeszłości (np. wtedy, gdy wbrew opiniom zaplecza PO parł do przedterminowych wyborów w 2007 r.), zorientowałby się, że Radosław Sikorski będzie lepszym kandydatem. ↦

↦ Nie chodziło nawet o zbyt liberalne, a nawet lewicowe poglądy Trzaskowskiego (na tle przekonań większości społeczeństwa), ale też o to, że szef MSZ jest politykiem bardziej walecznym i zdeterminowanym. Oczywiście postawienie na niego musiałoby oznaczać konflikt z aktywem PO (prezydent Warszawy zdecydowanie wygrał z Sikorskim partyjne prawybory), tym niemniej dawny Tusk zapewne dałby sobie z tym radę. Obecny, słaby, musiał poddać się nastrojom w partii.

Od polityków PO można usłyszeć, że Tusk musiał się po prostu wywiązać z umowy, jaką zawarł z Trzaskowskim i jego stronnikami w 2021 r. Mieli oni nie sprzeciwiać się odzyskaniu przez niego dowództwa w partii w zamian za gwarancję, że włodarz Warszawy zostanie kandydatem na prezydenta Polski.

Niektórzy w PO twierdzą też, że porażka Trzaskowskiego odcisnęła na Tusku duże piętno. Mówią, że kiedyś z jego mowy ciała można były wyczytać pewność siebie i determinację. Teraz to wszystko prysło. – Wygląda, jakby wciąż do siebie mówił: „po co mi był ten powrót?" – snuje domysły poseł KO.

Diagnoza o kryzysie Tuska jako lidera ma daleko idące konsekwencje przede wszystkim dlatego, że i w PO, i w KO nie ma alternatywy. Sytuacja w obu tych formacjach jest być może jeszcze trudniejsza od tej w PiS. W ugrupowaniu Kaczyńskiego przynajmniej są frakcje z wyrazistymi liderami, jak Ziobro, Morawiecki czy Czarnek.

Tusk i długo nic

– Dla Tuska nie ma alternatywy, co jest wynikiem modelu zarządzania partią. Od początku istnienia PO wycinał wszystkich, którzy mogli mu zagrozić: od Olechowskiego, Płażyńskiego, Gilowskiej, Rokity i Piskorskiego, aż po Schetynę – przyznaje politolog dr hab. Bartłomiej Biskup. – Kaczyński działa inaczej, on gra frakcjami. Mówi się często, że jeśli zabraknie Kaczyńskiego, to się zacznie walka. Tak, zacznie, bo są potencjalni liderzy. W PO ich nie ma – dodaje politolog.

Co prawda dawny przewodniczący Platformy Grzegorz Schetyna nadal jest w partii, ale egzystuje jako senator na marginesie życia politycznego i raczej nie ma szans, by powalczyć o cokolwiek. Poza wizerunkowymi słabościami i wciąż silnym antagonizmem z Tuskiem obciążają go też lata 2016-2020, gdy kierował PO. Udało mu się co prawda skonstruować najpierw Koalicję Europejską, potem Koalicję Obywatelską – kosztem interesów działaczy PO, zmuszonych ustępować sojusznikom miejsca na listach – ale nie przyniosło to sukcesu wyborczego. Schetyna musiał za to zapłacić.

Tusk wyciął z partii wszystkich, którzy mogli mu zagrozić: od Olechowskiego, Płażyńskiego, Gilowskiej, Rokity i Piskorskiego, aż po Schetynę. Kaczyński działa inaczej, on gra frakcjami.

Rafał Trzaskowski po ostatnich wyborach jest z kolei rozbity i dla części działaczy skompromitowany. Popularni z racji aktywnego rozliczania PiS Michał Szczerba czy Dariusz Joński, jeśli nawet mają przed sobą przyszłość, to na razie nie wyglądają na polityków dużego formatu, a poza tym obaj uciekli od krajowych spraw do Europarlamentu. Charyzmy lidera nie ma też ubiegający się kiedyś o fotel szefa partii Tomasz Siemoniak.

Partia nie ma zarazem ochoty na niepewne eksperymenty; sparzyła się zbyt mocno na przełomie 2020 i 2021 r., tracąc gwałtownie poparcie i błagając o powrót Tuska, by przejął stery z rąk nieudolnego Borysa Budki.

Wszystko to sprawia, że nie ma alternatywy dla Tuska. Musi rządzić Platformą. Oczywiście istnieje możliwość, że w pewnym momencie postawi na kogoś, nad kim będzie mógł sprawować kontrolę – taka sytuacja miała miejsce w 2014 r., gdy wyjeżdżający do Brukseli Tusk wskazał jako lidera partii Ewę Kopacz. Takie zastępstwa nie kończą się jednak dobrze, Platforma przegrała rok później wybory. Gwoli prawdy, podobne tendencje widać u Kaczyńskiego – nieraz przecież napomykał, że jego następcą może stać się Mariusz Błaszczak.

Sikorski, Giertych, Kamiński?

Aby nowy przywódca miał autorytet, powinien po władzę sięgnąć sam. Czy w całej KO jest dziś ktoś, kto byłby do tego zdolny? Na myśl przychodzą dwa nazwiska: Radosława Sikorskiego i Romana Giertycha.

Sikorski, jak można usłyszeć w PO, rozpoczął już grę o władzę i buduje swoją frakcję. Być może uznał, że tylko jako przywódca ma szansę zdobyć w końcu upragnioną nominację prezydencką. Co do Giertycha, to również zawodnik o dużym potencjale, grający w drużynie Sikorskiego. Podobnie jak kolejny polityk – Michał Kamiński, dziś jeszcze w PSL. Stanowią oni „wielką trójkę" przyjaciół, którzy już od lat lojalnie wspierają się wzajemnie. Niedawne wypowiedzi Kamińskiego, sugerujące konieczność odejścia Tuska z funkcji premiera, nie były przypadkowe.

Czy wobec słabości premiera grająca na Sikorskiego ekipa ma szanse powodzenia? Jeśli nawet, to ich ewentualny sukces oznaczałby zapewne rozłam. Partia przybrałaby przecież bardziej konserwatywne oblicze, czego nie zniosą nie tylko lewicowe formacje w ramach KO, ale także wielu działaczy Platformy o podobnej wrażliwości. Poza tym, dla sporej grupy wyborców Giertych jest nie do strawienia, pamiętają go jako lidera Młodzieży Wszechpolskiej i LPR, a także fatalnego szefa MEN. Kamińskiemu z kolei pamięta się dawne członkostwo w PiS i zachwyty nad Pinochetem. Z drugiej strony, z punktu widzenia interesu partii taka wolta mogłaby być nawet korzystna – umożliwiałaby koalicję z Konfederacją, z którą powyborczy układ w 2027 r. może być jedyną szansą na utrzymanie władzy.

Jednak nawet zwolennicy prezydenckiej kandydatury Sikorskiego przekonują, że ewentualny konflikt szefa MSZ z premierem to ostatnia rzecz, która powinna się zdarzyć. Zwłaszcza dziś, w bardzo trudnej sytuacji międzynarodowej i przy prezydencie Karolu Nawrockim.

Jeszcze innym scenariuszem mogłaby stać się ucieczka do przodu, w postaci zawarcia już dziś porozumienia w sprawie wspólnych list z ugrupowaniami tworzącymi koalicję 15 października. By nie zostało to odebrane jako „zjadanie przystawek", Tusk mógłby oddać fotel premiera np. Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi. To by zaś oznaczało, że w trosce

o ocalenie obozu władzy musi się jako lider usunąć na dalszy plan. Być może takie posunięcie złagodziłoby też konflikt z prezydentem, pozwalając na wejście w życie choć części ustaw.

PSL już zresztą zaczyna grać sugestiami, że zawsze może się porozumieć z PiS i Konfederacją. Partyjna ankieta na temat ewentualnej koalicji z PiS (nie było zbyt wielu zwolenników dla tego pomysłu), a także rozwód z Polską 2050 to symptomy kryzysu w rządzie. Podobne ruchy na dłuższą metę mogą być destrukcyjne dla całej koalicji, więc postawienie Kosiniaka na czele rządu mogłoby im zapobiec. Oczywiście takie posunięcie wywołałoby niezadowolenie na lewicy, ale fotel marszałka Sejmu dla Włodzimierza Czarzastego zapewne zrównoważyłby te grymasy.

Szansa w rebrandingu

W przeszłości tylko raz zdarzyło się podobne rozwiązanie. Po wyborach w 1993 r. zwycięskie SLD odstąpiło fotel premiera mniejszemu ugrupowaniu koalicyjnemu, czyli właśnie PSL. To jednak była inna epoka, a poza tym pytani o taki scenariusz politycy PO przekonują, że tylko Tusk jest w stanie zapanować dziś nad koalicjantami; ani Kosiniak-Kamysz, ani żaden inny polityk nie miałby posłuchu w wielopartyjnym sojuszu.

Bartłomiej Biskup przyznaje, że zmiana premiera byłaby ciekawym ruchem. Realnym, nowym otwarciem. Sikorski byłby kandydatem „pod dzisiejsze nastroje społeczne", natomiast zgoda na Kosiniaka-Kamysza pokazywałaby odwagę i chęć utrzymania koalicji. – Mimo wszystko bardzo wątpię, żeby do tego doszło. Taki ruch Tuska byłby przyznaniem się do porażki. Do tego, że zawiódł jako premier i przywódca partyjny – ocenia politolog.

W KO można usłyszeć o jeszcze jednym pomyśle „ucieczki do przodu". Chodziłoby o jakąś formę „rebrandingu" PO – albo utworzenie jednej partii z Koalicji Obywatelskiej, albo wydzielenie części środowiska KO i stworzenie czegoś nowego. Na razie jednak te pomysły brzmią bardzo niekonkretnie. Nie widać, by w partii tlił się ogień potrzebny do tak radykalnych kroków.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Ostatnie ochłapy

MARCIN KĘDZIERSKI

SPOŁECZEŃSTWO | Weszliśmy w orbitę Zachodu akurat wtedy, gdy idea państwa dobrobytu i jego silnych instytucji zaczęła popadać w kryzys. Nasi politycy starają się jednak – ponad podziałami – wydatnie przyspieszyć ich pogrzeb.

Nikt z nas nie wie, czy ludzie żyjący 200, 500 czy 1000 lat temu byli bardziej szczęśliwi od nas. Naturalnie można ulec opowieściom spod znaku memicznej frazy „kiedyś to były czasy", tyle że zawsze będzie to tylko konstrukt poza możliwością weryfikacji. Jedyne, co możemy próbować oszacować, to dane dotyczące przeciętnego poziomu dochodów i ich rozkładu w społeczeństwie, liczby spożywanych dziennie kalorii czy też średniej oczekiwanej długości życia. Choć trudno wnioskować z nich o poziomie społecznego szczęścia, możemy założyć, iż wyższe i bardziej stabilne dochody oraz ogólnodostępna opieka zdrowotna mają niebagatelny wpływ na jakość i długość życia.

Patrząc z tej perspektywy, druga połowa XX wieku w świecie Zachodu, którą kojarzymy z koncepcją tzw. państwa dobrobytu i ustrojem demokracji liberalnej, wydaje się jednym z najlepszych momentów w historii ludzkości. Widać to choćby po zmianie średniej oczekiwanej długości życia, która w powojennej Europie na przestrzeni półwiecza urosła o ok. 20 lat. Co prawda, jeśli przyjrzymy się bliżej tej zmianie, zobaczymy, że była ona spowodowana nie tylko dłuższym życiem, ale też radykalną poprawą w zakresie przeżywalności dzieci – nie neguje to jednak hipotezy, że co do zasady ludzki los po II wojnie światowej stał się o wiele bardziej znośny. Przynajmniej na Globalnej Północy.

Co nam daje państwo

Sukces ten osiągnięto dzięki instytucjom. Można spierać się z ubiegłorocznymi laureatami ekonomicznego Nobla Daronem Acemoğlu, Simonem Johnsonem i Jamesem Robinsonem, czy faktycznie rozwój państw zależy głównie od poziomu działających w nim instytucji, jednak trudno polemizować ze stwierdzeniem, że odegrały one w procesie poprawy warunków życia pozytywną rolę.

Czym te instytucje właściwie są? To w uproszczeniu normy i reguły porządkujące życie społeczne, polityczne i gospodarcze, oraz narzędzia, które służą do ich wdrażania. Mowa tu choćby o wymiarze sprawiedliwości, publicznej ochronie zdrowia czy edukacji, wreszcie o całej administracji publicznej, której zadaniem jest wdrażanie konkretnych rozwiązań oraz procedur. Instytucje to zatem w jakimś sensie zarówno prawo oraz regulacje, jak i ludzie, którzy odpowiadają za ich stosowanie. Nie ma bowiem sprawnych instytucji bez dobrze działającego sektora publicznego – urzędników i inspektorów, ale też sędziów i prokuratorów, nauczycieli i naukowców, lekarzy i pielęgniarek, bibliotekarzy i animatorów kultury, policjantów i strażaków, czy wreszcie pracowników publicznych mediów. Wszystko to współtworzy nam państwo – meta-instytucję, której wspólnym zadaniem jest ochrona interesów obywateli. W pierwszym rzędzie tych najsłabszych, którzy sami nie są w stanie się obronić.

Nie powinno być zatem żadnym zaskoczeniem, iż sprawne funkcjonowanie państwa zależy w dużym stopniu od jakości kadr sektora publicznego. Problem pojawia się w momencie, w którym przestają one bronić najsłabszych i najbardziej defaworyzowanych przed różnymi wpływowymi grupami interesu. Kiedy instytucje, których zadaniem jest eliminacja ze stosunków społecznych przemocy, same tej przemocy ↦

↦ zaczynają ulegać, lub co gorsza – stosować ją. Trzeba mieć oczywiście świadomość różnic pomiędzy nauczycielką sumiennie wykonującą swoje obowiązki w gminnej szkole a skorumpowanym dyrektorem ds. planowania przestrzennego w dużym mieście, jednak nieefektywność instytucji wpływa na społeczne postrzeganie całego sektora publicznego, niezależnie od cząstkowych „zasług".

Idea demontażu

Kłopot robi się jeszcze większy, kiedy osoby z sektora publicznego przyzwalają na demontaż tworzonych przez siebie instytucji. Kiedy zamiast strzec interesu publicznego, wybierają indywidualne profity. Kiedy umożliwiają poszczególnym podmiotom prywatyzację korzyści przy jednoczesnym upublicznianiu kosztów, co widać m.in. w ochronie zdrowia. Kiedy wreszcie publicznie akceptują antysolidarnościowe praktyki.

Patrząc na historię polskiej transformacji ustrojowej, inteligencja stanowiąca ważny element sektora publicznego stanęła w praktyce po stronie interesów międzynarodowego kapitału. Mniejsza o motywy – czy przedstawiciele wspomnianej warstwy społecznej zrobili to ideowo, czy z pragmatycznych pobudek, czy też z czystej nieświadomości. Zresztą wszystkie te odpowiedzi się nie wykluczają – mogli bowiem mieć fałszywe przekonanie o dziejowej konieczności takiego „ustawienia się" w nowej rzeczywistości, licząc naiwnie, że będą w stanie z tego jakoś skorzystać.

Niewykluczone, że bezwarunkowe poparcie dla polityki mocnego zaciskania pasa u progu przemian we wczesnych latach 90. XX wieku było najpoważniejszym błędem, który ta grupa popełniła. Nie dostrzegła bowiem procesu demontażu państwa dobrobytu, jaki równolegle rozpoczął się na Zachodzie. Dodatkowo w Polsce sektor publiczny startował ze znacznie gorszej pozycji, gdyż był społecznie kojarzony jako sojusznik starej i niewydolnej władzy komunistycznej. Te dwa powody były wystarczające, by wygenerować dość szybko społeczny gniew wobec przemian i resentyment.

> Instytucje, których zadaniem jest eliminacja ze stosunków społecznych przemocy, **same tej przemocy zaczęły ulegać, lub co gorsza – wręcz ją stosować.**

W efekcie cała historia III RP to proces postępującej degradacji społeczno-ekonomicznej sektora publicznego. Miał on dostać to, na co sobie „zasłużył" w latach PRL-u i w czasie transformacji.

Język taniego państwa

Ta opowieść wymaga zniuansowania – inaczej potoczyły się losy nauczycieli czy gminnych urzędników, a inaczej prawników oraz lekarzy. Jeśli jednak pominiemy zwłaszcza tę ostatnią grupę, zobaczymy dość wyraźnie pogłębiającą się zapaść statusu tzw. budżetówki – proces ten przyśpieszył zwłaszcza na początku XX wieku. Symbolicznym momentem upadku była afera Rywina i publiczne zanegowanie mitu o czystości intencji i niekwestionowanej, opiniotwórczej roli środowiska, umownie skupionego wokół „Gazety Wyborczej". Nie jest przypadkiem, iż partie polityczne, które przejęły władzę po wyborach 2005 roku (i dzierżą ją po dziś dzień), budowały się w opozycji do starych, postkomunistycznych/postsolidarnościowych elit, które porządkowały życie polityczne przez pierwsze 15 lat po Okrągłym Stole.

Jeśli bowiem przyjrzymy się czy to Akcji Wyborczej Solidarność, czy to Sojuszowi Lewicy Demokratycznej z tamtego okresu, znajdziemy tam jeszcze odwołania do etosu sektora publicznego. Zarówno Platforma Obywatelska, jak i Prawo i Sprawiedliwość wyraźnie się od tego odcięły. PO pozycjonowała się jako partia liberalna, reprezentująca interes małych i średnich przedsiębiorców, patrzących często na instytucje jak na narzędzie opresji. Dla odmiany PiS widział się jako partię solidarną, mówiącą głosem ludu. Oba ugrupowania operowały jednak zgodnie językiem deregulacji i taniego państwa (program 500 plus był przecież trochę wyrazem przekonania, iż państwo nie ma własnego pomysłu na instytucjonalne wsparcie dla dzieci). W konsekwencji urzędnicy, pracownicy instytucji kultury oraz nauczyciele w pewnym momencie stracili nawet tych deklaratywnych, politycznych obrońców.

Zjawisko to było wzmacnianie poprzez otwarcie się na globalny kapitalizm, które nastąpiło zwłaszcza po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku. Zaczęliśmy wtedy jako kraj doświadczać z kilkunastoletnim opóźnieniem podobnych co na Zachodzie procesów przechwytywania instytucji przez kapitał i wielkie korporacje, choć mechanizm ten dostrzegalny był już od samych początków naszej transformacji. Przed dwoma laty na łamach „Tygodnika" pisałem, jak wyglądało to na przykładzie państwowych inspekcji, które obecnie są często cieniem samych siebie sprzed lat i nie są w stanie reagować na łamanie prawa.

Darmozjady i nieroby

Trudno się zatem dziwić, że po upływie 20 lat, w czasie których w przestrzeni publicznej toczyła się najpierw rywalizacja o uwagę państwa pomiędzy sektorem małych i średnich przedsiębiorstw i robotnikami, a potem także nową grupą profesjonalistów, zatrudnionych w globalnych korporacjach – sektor publiczny stawał się coraz bardziej politycznym sierotą. Efekt nie może zaskakiwać – dziś dominującą opowieść o ludziach w nim zatrudnionych można przedstawić przy użyciu takich słów jak „darmozjady" czy „nieroby". Niespecjalnie opłaca się nawet z tym walczyć.

Swoistym paradoksem jest fakt, że po wejściu do UE wielu pracowników sektora publicznego przeszło proces profesjonalizacji. Oczekiwania wobec urzędnika pracującego dla ministerstwa czy urzędu marszałkowskiego nie różnią się wcale od tych, które musi spełnić kandydat myślący o pracy w branży konsultingowej. Podobny mechanizm dotyczy nauczy-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

MARYSIA ZAWADA / REPORTER

Protest pod hasłem „Polityka tworzy armię pielęgniarek z tektury", Warszawa, 6 czerwca 2024 r.

cieli – na przestrzeni ostatnich lat spora ich grupa zainwestowała w rozwój własnych kompetencji. Co prawda dziś często pracują w szkołach niepublicznych, ale dokształcali się jeszcze jako nauczyciele sektora publicznego. Tyle że taki przekaz o profesjonalizacji kadr jest kompletnie nie do opowiedzenia w mediach – niewielu uwierzy, że te „nieroby" nie tylko pracują, ale także wykazują jakąś proaktywność, znaną z języka korporacji.

Dlaczego jednak piszę o tym teraz, niedługo po II turze wyborów prezydenckich? Powód jest prosty – tak jak przez ostatnie 20 lat społeczeństwo wyrażało wobec sektora publicznego *désintéressement* albo niechęć, tak ostatnia kampania uczyniła z państwa, a co za tym idzie pośrednio także i sektora publicznego, wroga. Istnieje wiele powodów, dla których rząd Donalda Tuska nie cieszy się społecznym zaufaniem (co więcej, nie otrzymał nawet tradycyjnej premii za zwycięstwo, bo jego notowania spadały w zasadzie od samego momentu przejęcia sterów władzy), zaryzykowałbym jednak hipotezę, że bardzo ważny był nie tylko brak realizacji większości ze 100 wyborczych konkretów, ale też – paradoksalnie – spełnienie, i to na samym początku (!), jednego z nich w postaci podwyżek dla nauczycieli, i w ogóle sfery budżetowej. Muszę uczciwie przyznać, że byłem szczerze zszokowany nie tyle samą podwyżką, co jej skalą. Ktoś może słusznie wskazać, iż wzrost wynagrodzeń o 30 proc. to w ogromnej mierze waloryzacja płac po okresie wysokiej inflacji – tyle że tak skokowego wzrostu wynagrodzeń realnych spora część sektora publicznego nie zanotowała nigdy wcześniej w historii III RP.

Wskoczyć na falę

Skądinąd w 2024 roku płace realne rosły dynamicznie w całej gospodarce, nie jest zatem tak, że tylko nauczyciele czy urzędnicy doznali jakiegoś dochodowego eldorado. Wiemy jednak, że ogromny wpływ na naszą percepcję rzeczywistości mają wartości relatywne – kiedy innym pensje rosną tak samo jak nam, mamy poczucie, że nasze stoją w miejscu. Jeśli jeszcze rosną tak samo „darmozjadom", to możemy mieć nawet odczucie, jakby nasze dochody spadły. Nie twierdzę, że było to główne źródło niechęci wobec rządu, ale naprawdę nie wykluczam, iż czynnik ten mógł odegrać pewną rolę. Tym bardziej że niemal wszyscy kandydaci w ostatnich wyborach podbijali antyinstytucjonalny, antypubliczny bębenek. Wisienką na torcie był postulat Sławomira Mentzena, by zlikwidować NFZ. Kandydaci nie byli jednak w tych pomysłach osamotnieni – widząc społeczną emocję także premier Tusk, powołując zespół deregulacyjny pod przewodnictwem Rafała Brzoski, wskoczył na tę antyinstytucjonalną falę.

Kampania przed drugą turą wyborów wyraźnie pokazała, że decydujący głos w polskiej polityce przejęła właśnie ta emocja, reprezentowana przez takich polityków jak Sławomir Mentzen czy Grzegorz Braun. To o ich wyborców walczyli Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski, i to prawdopodobnie właśnie Nawrocki okazał się w swojej antyinstytucjonalności bardziej wiarygodny. Co prawda niewiele wiemy o prawdziwych poglądach prezydenta-elekta, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, iż nie jest on ambasadorem myślenia państwowo-instytucjonalnego. Z podobnym prawdopodobieństwem możemy przyjąć, że rząd, który ukonstytuuje się po następnych wyborach parlamentarnych, będzie prezentował podobną optykę.

Nadchodzi głód

To jednak oznacza, że wspomniana wyżej podwyżka dla wielu przedstawicieli budżetówki mogła być ostatnią, jaką zobaczą oni w swoim zawodowym życiu. Nie będzie już raczej tak, jak w latach 2005-2025, kiedy ta grupa zawodowa mogła liczyć raz na jakiś czas na ochłapy spadające z pańskiego stołu. Znaki na niebie i ziemi wskazują, że wchodzimy w okres głodzenia sektora publicznego. To zaś rodzi pytanie natury politycznej – czy pracownicy budżetówki przyjmą społeczny wyrok na samych siebie, czy podejmą walkę? Nie wiem, czy ma ona ↦

↦ jakiekolwiek szanse powodzenia, ale po raz pierwszy od lat pojawił się lider polityczny, który jest gotowy, aby interes budżetówki wziąć na swoje sztandary. Jest nim Adrian Zandberg, który w przeciwieństwie do starej, liberalnej Nowej Lewicy, próbuje odwołać się do interesu klasowego: nie tylko robotników, ale też budżetówki. W sytuacji, w której prawica wydaje się opuszczać pozycje „solidarystyczne", pojawia się przestrzeń do zagospodarowania.

Nie jest ona taka mała – można w niej zbudować partię, która zgromadzi nawet kilkanaście procent elektoratu. W końcu w sektorze publicznym zatrudnionych jest ok. 3,5 miliona pracowników. Pozostaje pytanie, czy lider partii Razem będzie w stanie podtrzymać swoje poparcie z wyborów prezydenckich i przekuć je na te parlamentarne – to wcale nie jest takie oczywiste. Po drugie, czy uda mu się stworzyć przekonującą opowieść, która nada budżetówce wspólną tożsamość? Dziś grupa ta jest bardzo niejednorodna i nie ma jakiejś wielkiej samoświadomości „klasowej". Co istotne, aby ta narracja mogła stać się maksymalnie inkluzywną, musi przesunąć postulaty światopoglądowe na dalszy plan. A to też nie będzie proste.

Wszystkie wspomniane zadania wydają się bardzo trudne, choć niekoniecznie niewykonalne. Tym bardziej że w dobie rekonfiguracji polskiej sceny politycznej mogą pojawić się nieoczywiści sojusznicy, jak choćby walcząca z deweloperskimi i bankowymi lobbystami minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050. Jej partia właśnie rozstała się z PSL (chyba najbardziej klientelistyczną partią III RP) i będzie szukać nowej opowieści. Wydaje się, że narracja spod znaku troski o publiczne instytucje jawi się dla jej politycznego środowiska jako sensowna alternatywa. Paradoksalnie bowiem, im bardziej nowa prawica, ale także liberałowie, będą uderzać w antyinstytucjonalne tony, tym łatwiej będzie wzbudzić gniew sektora publicznego. Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości – jeśli w Polsce ma w ogóle powstać „partia sektora publicznego", właśnie pojawiają się sprzyjające ku temu warunki. © MARCIN KĘDZIERSKI

PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdzie zaczynają się schody

MAREK RABIJ

SENIORZY | Dwudziesta gospodarka globu, budująca właśnie najsilniejszą lądową armię Europy, wobec problemu seniorów uwięzionych w „pułapce czwartego piętra" pozostaje zaskakująco bezsilna.

Do debaty publicznej temat ten powraca co roku z początkiem fali letnich upałów, gdy mieszkańcy górnych kondygnacji bloków z wielkiej płyty, którzy jeszcze nie zaopatrzyli się w klimatyzację, zaczynają czuć się u siebie w domu jak w saunie. Media i politycy zwykle przypominają sobie wtedy także o losie tysięcy schorowanych, często już niesamodzielnych seniorów, dla których, bez względu na pogodę, pokonanie o własnych siłach klatki schodowej rozciągniętej na kilku kondygnacjach i pozbawionej windy, bywa wyzwaniem ponad siły. Ci „więźniowie czwartego piętra", jak zdążono ich już chwytliwie zaetykietować, to jednak zaledwie jeden z wielu elementów kalejdoskopu polskich problemów mieszkaniowych, do tego niekoniecznie uznawany za najbardziej palący. Lista spraw do pilnego załatwienia jest tu przecież długa. Zaporowe, zwłaszcza dla młodych, ceny nieruchomości

Dobudowana zewnętrzna winda do bloku zarządzanego przez Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych w Rzeszowie. Styczeń 2024 r.

w dużych miastach. Brak tanich lokali komunalnych na wynajem. Ciasnota współczesnych „mikroapartamentów", dopasowanych bardziej do siły nabywczej potencjalnych klientów niż ich potrzeb życiowych.

Prawo do windy

13 czerwca na stronach Ministerstwa Rozwoju i Technologii pojawił się jednak skierowany do konsultacji projekt nowego rozporządzenia w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki. Przepisy mają wejść w życie już w przyszłym roku i będą dotyczyć wszystkich właścicieli i administratorów nieruchomości oraz inwestorów stawiających nowe obiekty. A wśród proponowanych zmian jest także obowiązek montażu windy w każdym budynku mieszkalnym liczącym trzy i więcej kondygnacji. Przepis ma obowiązywać również w obiektach użyteczności publicznej i zamieszkania zbiorowego (czyli np. w hotelach, pensjonatach, schroniskach i domach wczasowych) liczących dwie i więcej kondygnacji. A jako że prawo budowlane za kondygnację uznaje również parter, to budynki mające nad nim tylko jedno piętro musiałyby zostać wyposażone w windę.

Pomysł wygląda na radykalny. W rzeczywistości przepisy mają jednak mieć zastosowanie wyłącznie do budynków dopiero projektowanych oraz obiektów przewidzianych do przebudowy lub zmiany sposobu użytkowania. Wskutek decyzji Ministerstwa Rozwoju Polska w ciągu kilkunastu miesięcy nie stanie się więc krainą wind. Zmiany mogą jednak przyspieszyć modernizację budynków, których wciąż nie wyposażono w takie instalacje, choć od dawna przemawia za tym interes publiczny. Przepisy budowlane w aktualnym brzmieniu stanowią bowiem, że winda musi być w każdym budynku mieszkalnym liczącym co najmniej pięć kondygnacji. Trzeba ją zamontować także w obiektach użyteczności publicznej, gdy różnica poziomów posadzek między pierwszą a najwyższą kondygnacją przekracza 9,5 metra. Efekt? W Polsce wciąż nie brak małych urzędów, sądów, a nawet przychodni, w których na górne piętra można się dostać jedynie po schodach. W najlepszym razie – z pomocą zamontowanego na nich schodołazu.

Dziedzictwo Gierka

Aż 45 proc. polskich seniorów mieszka – jak wynika z opublikowanego w 2018 r. „Raportu o stanie polskich miast" – w budynkach wielorodzinnych na wyższych kondygnacjach. Zazwyczaj chodzi o lokale w blokach powstałych w latach 1960-1990, czyli w szczytowym okresie wydajności socjalistycznego budownictwa mieszkaniowego. Za późnego Gierka w PRL co roku oddawano do użytku ponad 250 tys. nowych lokali mieszkalnych, budowanych najczęściej w technologii wielkopłytowej PBU-63, przewidzianej przede wszystkim dla obiektów do wysokości pięciu kondygnacji. Bez windy.

Powojenne polskie miasta, w odróżnieniu od czasów współczesnych, nie cierpiały jeszcze na ciasnotę, co oznaczało, że projektanci osiedli nie musieli też piętrzyć bloków powyżej czterech-pięciu pięter, tańszych w budowie niż 11-piętrowe wieżowce, w których windy nie mogło już zabraknąć. Mieszkania na wyższych piętrach cieszyły się opinią bezpieczniejszych od tych na parterze. Pół wieku później stanowią jednak dla części swoich lokatorów pułapkę.

Ze wspomnianego badania wynika, że jedynie 12 proc. seniorów w Polsce mieszka dziś na parterze. W jeszcze trudniejszej sytuacji znajdują się lokatorzy kamienic. Wysokie piętra, liczące zwykle 3,5 metra, sprawiają, że wejście na czwartą kondygnację takiego budynku wiąże się z pokonaniem dystansu równego wspinaczce na szóste piętro w bloku z wielkiej płyty. Klatki schodowe starych kamienic bywają w dodatku na tyle wąskie i kręte, że nie da się ich wyposażyć w rampy dla wózków lub schodołazów.

Kup pan windę

W ocenie skutków regulacji resort rozwoju oszacował koszt jednej windy na 65 tys. zł, czym rozbawił polską branżę budowlaną, bo za tyle kupić można najwyżej napęd i system prowadnic, po których porusza się kabina. Zakup urządzenia to zresztą tylko część kosztów związanych z instalacją. Zarządy małych spółdzielni mieszkaniowych już sygnalizują, że wprowadzenie przepisu w aktualnym brzmieniu, bez dodatkowego finansowania, wpędzi spółdzielnie i małe wspólnoty w wydatkowy korkociąg, jeśli chciałyby przeprowadzić jakąkolwiek poważniejszą modernizację bloków.

Wiele czteropiętrowych budynków z wielkiej płyty to typowe PRL-owskie „jamniki" złożone z kilku klatek schodowych. Wyposażenie tylko jednego takiego bloku w windy w każdej klatce oznaczać będzie wydatek rzędu nawet 2-3 mln zł. Zabraknie pieniędzy na inne, nie mniej ważne modernizacje. To nie koniec, bo budynki bez wind mają zapewnić dostęp do klatek schodowych (oraz piwnicy) poprzez umieszczenie pochylni lub trwałych urządzeń podnoszących. W dodatku nie może to już być schodołaz, z którego trudno korzystać samodzielnie.

Słuszny postulat uwolnienia „więźniów czwartego piętra" rząd realizuje więc w typowym nie tylko dla tej ekipy stylu, który sprowadza się do wyznaczenia zadań bez wskazania źródeł finansowania. Windy ma zafundować mieszkańcom administracja, czyli *de facto* mają to zrobić sami członkowie spółdzielni. W tym samym kierunku poszła na początku roku ↦

↦ ministra ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz, która zaproponowała, by samorządy uruchomiły program umożliwiający seniorom zamianę mieszkania na wyższych kondygnacjach na niżej położony lokal z zasobów komunalnych. Beneficjenci programu nie traciliby prawa własności, mogliby jedynie korzystać z innego mieszkania, podczas gdy ich lokal zasilałby pulę mieszkań komunalnych. Teoretycznie to gra o sumie zerowej. W praktyce, biorąc pod uwagę liczbę potencjalnych chętnych i szczupłość zasobów komunalnych, rzecz nie do zrealizowania bez zwiększonych nakładów.

Renesans wielkiej płyty

Osoby powyżej 60. roku życia stanowią dziś ponad 27 proc. społeczeństwa. W 2050 r. na każdych dziesięciu obywateli przypadać będzie już ponad czterech seniorów po sześćdziesiątce. Krajowy zasób mieszkaniowy, jak mówią urbaniści, też się szybko nie odmłodzi, bo bloki z wielkiej płyty, z żywotnością planowaną wstępnie na 50 lat, przeżywają właśnie swoją drugą młodość. PRL-owskie osiedla, planowane z myślą o potrzebach mieszkańców, a nie maksymalizacji zysku deweloperów, przyciągają nowych mieszkańców przestrzenią, zielenią czy placami zabaw, które nie są karykaturą takich instalacji. Docieplone i unowocześnione, budynki z wielkiej płyty postoją jeszcze drugie półwiecze, zamieszkiwane przez coraz starszych lokatorów.

Niektóre miasta usiłują sprostać temu zadaniu bez pomocy ze strony państwa. Kraków rozpoczął w tym roku projekt, który ma doprowadzić do wyposażenia w windy wszystkie budynki komunalne liczące co najmniej cztery piętra. Na początek wyznaczono dziesięć budynków, w których taka modernizacja jest najpilniejsza, kolejne mają być realizowane w miarę możliwości budżetowych miasta. W projekcie „Uwolnić więźniów czwartego piętra" miasto wspiera Politechnika Krakowska, której eksperci przygotują magistratowi kilka wariantów modernizacji kamienic i bloków z wielkiej płyty.

> Aż 45 proc. polskich seniorów mieszka w budynkach wielorodzinnych na wyższych kondygnacjach. Wyposażenie jednego bloku w windy w każdej klatce **może oznaczać wydatek rzędu 2-3 mln zł.**

Koce i kondygnacje

W nowych budynkach problem „więźniów czwartego piętra" na szczęście nie istnieje. Z punktu widzenia deweloperów nowelizacja oznacza tak naprawdę wpisanie do przepisów stosowanej od dawna praktyki rynkowej, która podąża śladem oczekiwań kupujących. Klienci chcą mieć w bloku windę i to bez względu na liczbę i wysokość kondygnacji. Zdarza się, że nawet w projekcie budynku dwukondygnacyjnego, w którym taki dźwig może wjechać najwyżej jedno piętro ponad parter, inwestor życzy sobie windy, zwykle zjeżdżającej także do podziemnego garażu. W bloku z taką instalacją mieszkania sprzedają się po prostu szybciej, a z punktu widzenia bilansu całej inwestycji to wydatek niewielki. Z pewnością niższy niż montaż na klatce schodowej rampy dla osób poruszających się na wózku. Taka konstrukcja zabiera też w bryle budynku więcej przestrzeni niż szyb windy – a przecież im większa część wspólna, tym mniej miejsca można wygospodarować na mieszkania.

Przepisy tworzone właśnie z myślą o „więźniach czwartego piętra" wciąż nie uwzględniają jednak – jak zauważa krakowski architekt Szymon Kołoś – scenariuszy alarmowych. Zasady bezpiecznej ewakuacji mówią jasno: w trakcie pożaru nie należy korzystać z wind. Większość nowych dźwigów jest zresztą sprzężona z instalacją przeciwpożarową. Kiedy czujniki wykryją zadymienie klatki schodowej, komputer wysyła windę na parter, otwiera drzwi i blokuje ją w tym złożeniu, żeby uniemożliwić lokatorom korzystanie z niej w trakcie pożaru. – Dlatego na górnych kondygnacjach powinny znajdować się tzw. koce ewakuacyjne, czyli rodzaj noszy, na których można szybko i bezpiecznie znieść po schodach na dół kogoś, kto nie może się ewakuować o własnych siłach – tłumaczy Kołoś. – Ale polskie przepisy na razie o takim wyposażeniu nie wspominają.

Na drodze do rozwiązania problemu „pułapki czwartego piętra", który zagraża dziś około 4,5 mln Polaków, nie zaszliśmy więc zbyt wysoko. Parter wprawdzie za nami, ale schody dopiero się zaczynają.

©℗ MAREK RABIJ

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!
POLSKA
Polityka, zjawiska społeczne, gospodarka. Pogłębione analizy, które nie tylko opisują fakty, ale tłumaczą ich przyczyny.
Prowadzi MAREK KĘSKRAWIEC

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/newsletter

OLGA

Drenda:
Wolność od normalności

Zdarza mi się czasami mijać reklamowy banner, który – jak podejrzewam – zostanie zapamiętany jako tak zwany znak czasów, zjawisko niby ulotne i błahe, ale przypadkiem zatrzymujące w sobie jakąś esencję chwili. Jak nasprejowane na murach podpisy „Józef Tkaczuk" w latach 90., jak „Coca-Cola to jest to" w mignięciu gierkowskiego dobrobytu. Banner reklamuje usługi ezoteryczne i głosi: „Ty widzisz korek – ja widzę obfitość samochodów". Nie sądzę, żeby jego naiwny optymizm udzielał się faktycznie stojącym w korku kierowcom, tak przynajmniej sobie myślę, wymijając tę obfitość zwykle na rowerze. Ale częściej wydaje mi się – choć oczywiście taka nieporadność połączona z biznesową bezczelnością mnie nieustannie śmieszy – że potrafię zrozumieć także człowieka, który uwierzy i będzie gotów zapłacić za taki ostentacyjnie wciskany kit.

Ludzie potrzebują pocieszenia. Być może najbardziej deficytowym towarem jest dzisiaj otucha i odrobina dobrego serca. Możemy sobie zakładać, że w czasach rozpowszechnienia wiedzy psychoterapeutycznej, kampanii uświadamiających, deklarowanej społecznej odpowiedzialności biznesu i mnogości poradników do samopomocy koszt przywrócenia się do równowagi jest stosunkowo nieduży. Niestety obawiam się, że to nieprawda i że ciemną stroną wspomnianych zjawisk jest utrwalenie się przekonania, że każdy powinien radzić sobie sam – w końcu jest tyle narzędzi pod ręką. A czas to przecież pieniądz, więc marnować czyjś czas to trochę jak go ograbić, prosić więc coraz bardziej wstyd.

Podobno żaba przynosi obfitość. Na zdrowie!

OLGA DRENDA

Czasami kluczowe dla zrozumienia czegoś słowa trafiają się przypadkiem, zasłyszane czy zauważone w wymianie zdań o czymś zupełnie innym. Tak stało się w moich oczach wtedy, gdy jakiś nieznany mi człowiek dzielił się na internetowym forum swoją pogarszającą się kondycją psychiczną. Na czyjeś pytanie, dlaczego po prostu nie porozmawia z kimś bliskim twarzą w twarz, odpowiedział: „wolę, żeby ludzie, których znam, myśleli, że jestem normalny". Normalny – czyli przewidywalny i efektywny.

To smutna i cicha podszewka wszystkich debat o kryzysie relacji międzyludzkich i epidemii samotności: życie wśród innych zbyt często wymaga pozorowania „normalności", czy to z życzliwej chęci niezawracania innym głowy, czy z przekonania, że za outsiderstwo, nawet chwilowe, można słono zapłacić. Lepiej już więc zapłacić pieniędzmi.

Firmy mogą robić szkolenia z dobrostanu psychicznego, ale to wcale nie znaczy, że wybaczą brak tego dobrostanu pracownikowi. Nawet w gronie rodziny czy przyjaciół rozklejenie się czy wzruszenie może wywołać nieufność i przyczynić się do dorobienia łatki człowieka naiwnego czy sentymentalnego, a według współczesnych kryteriów leży to podejrzanie blisko statusu niepoważnego, a może i głupka.

Jednak skoro czas to pieniądz, to przy pomocy tego ostatniego można zyskać to pierwsze. Można wymusić na kimś mocą umowy, że przez godzinę poświęci nam swoją uwagę. Niech będzie ona nawet polegała na wciskaniu kitu, wymyślonych praktykach obiecujących cuda z kosmosu czy wręcz jawnej nieprawdzie. Najważniejsze, że jest to godzina wolna od udawania normalności i że usługodawca, przyjąwszy zapłatę, musi znieść i uszanować naszą obecność, wszak transakcja to transakcja.

W komercyjnych usługach naprawiania ducha najbardziej zdumiewające jest to, ile ludzie potrafią czasem na nie wydać. Świadczy to z pewnością o zaradności „uzdrawiaczy", ale także o czymś innym, co warto potraktować poważnie, a nie jak budzący konsternację folklor współczesności. Jestem przekonana, że sporo klientów, którzy z takich porad czy zaklęć korzystają, wcale nie wierzy, że w poprzednim wcieleniu byli Kleopatrą czy że mogą zmieniać rzeczywistość niezwykłą mocą swego umysłu, i zdaje sobie sprawę, że to wszystko na niby. Ryzykują jednak wówczas co najwyżej łatkę rozrzutnego ekscentryka, a nie człowieka, który popełnia największy ze współczesnych grzechów, czyli ujawnienie chwilowej słabości i zejście ze ścieżki niezłomnej efektywności. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ELEGIA DLA DONBASU

Ostatnia dekada to w Donbasie czas rozkwitu licznych inicjatyw artystyczno-kulturalnych. Młodzi Ukraińcy zakochiwali się w tym regionie, ciężkim do kochania. Dziś spod bomb ratują wspomnienia.

ANTONINA PALARCZYK Z POKROWSKA, DOBROPOLA I ŚWIĘTOGÓRSKA

Pogłos artylerii miesza się z gruchaniem gołębi. Pisk jerzyków z brzęczeniem orłanów, zwiadowczych dronów. A książki, rozrzucone na podłodze, z okruchami szkła i gruzem.

Bibliotekę miejską w Pokrowsku, mieszczącą się na parterze, jakimś cudem ominął pożar, który oblizał resztę bloku. Inne skutki eksplozji jej nie oszczędziły. Sufit wisi w strzępach lub już odpadł, zasypując posadzkę strzępami betonu. Spomiędzy zwalonych regałów, przez wybite okna, widać czerniejące po drugiej stronie ulicy resztki centrum handlowego „Bulwar". Kiedyś było to popularne miejsce spotkań.

Kiedyś, to znaczy jeszcze niecały rok temu. Wówczas Pokrowsk, jedno z ostatnich większych miast w tej części obwodu donieckiego, która jest wciąż kontrolowana przez Ukraińców, był miastem na zapleczu frontu. Pełnym wojskowych, ale też cywilów, w tym pracowników okolicznych kopalń węgla. Bywało, że ci, którzy w 2022 r. stąd uciekli, wracali – w przekonaniu, że front jest stabilny.

Teraz Rosjanie są pod Pokrowskiem i idą do przodu. Miasto wciąż stawia opór, ale jest wymarłe, zostało tu parę tysięcy ludzi. I w znacznej mierze zrujnowane przez rosyjską artylerię, bomby lotnicze i drony.

Na zgliszczach Pokrowska

Ściemnia się już, gdy razem z Jonaszem – polskim dokumentalistą, od roku związanym z ukraińskim kolektywem krajoznawczym „Sady Donbasu" – trafiamy do tej biblioteki. W komórce, ciasno zastawionej regałami, oglądamy, co można by ocalić.

W świetle latarki migają tematyczne działy: „Folklor Donbasu", „Doniecka obwodowa partyjna organizacja", „Ośrodki naukowe", „Park Narodowy »Święte Góry«".

Przekopujemy się więc przez sterty pożółkłych tytułów krajoznawczych i donieckiej literatury. Jest „Ballada górnicza" i biuletyn „Krasnoarmiejsk" (przed 2016 r. Pokrowsk nosił taką nazwę). Autor biuletynu, Modest Aleksandrowicz Podzolkin, uczestnik II wojny światowej, tutaj mieszkał; był korespondentem gazety „Donbas".

Nie mogę znaleźć nigdzie „Z aniołem stróżem i fotografią przez życie", książki Marka Zalizniaka, pokrowskiego fotografa, który zapisał się w historii dokumentacją kolektywizacji i Hołodomoru. Jest za to „Książka o Donbasie. Przyroda, ludzie i rzeczy". Oraz sterty sowieckich jeszcze pocztówek. Z kolei „Historyczna przeszłość Kraju Pokrowskiego" – wydanie niedawne – pełna jest zdjęć porównujących różne punkty miasta: te archiwalne i te sprzed paru lat. Choć te drugie z dzisiejszej perspektywy też są archiwalne – niemal wszystkie te miejsca zamieniły się dziś w zgliszcza.

„Złoty Kogut" w Dobropolu

Ewakuacja zarządzona w Pokrowsku przez władze ukraińskie nie objęła bibliotek – priorytetem są ludzie. Ze skarbnicy tytułów krajoznawczych – w wielu przypadkach na pewno trudnych do znalezienia gdzieś indziej, zwłaszcza jeśli chodzi o publikacje dotyczące Pokrowska i okolicy – udaje się dziś wywieźć tylko maleńką część. Oddolnie, upchniętą w plecakach.

Upychamy więc i wyjeżdżamy. Wcześnie rano, po nocy przespanej płytkim snem między regałami. Przykryci płaszczami pozostawionymi w bibliotecznej szatni.

Jedziemy spiesznie. Najpierw między gruzami miasta, potem pod rozwieszoną nad drogą siatką (ma chronić przed dronami), wzdłuż kwitnących drzew.

Mijamy zgliszcza trafionej dronem przepięknej starej restauracji „Złoty Kogut" w Dobropolu (kiedyś było to kilkunastotysięczne górnicze miasteczko ↦

MAKS MURAVSKY / GLOBAL IMAGES UKRAINE / GETTY IMAGES

↦ między Pokrowskiem a Kramatorskiem). Kiedyś „Kogut" przyciągał wzrok kunsztownymi płaskorzeźbami i rzeźbioną w drewnie ornamentyką.

Na mapie obu obwodów, ługańskiego i donieckiego, na terenie których położone jest Donieckie Zagłębie Węglowe, jego ostatni wolny skrawek wydaje się niepozorny. Od 2023 r. praktycznie cały obwód ługański jest pod okupacją. Doniecki – dziś w około 70 procentach.

Trudna miłość

Z Donbasem jest dziś jak z siedzeniem przy łóżku umierającej osoby. Trzyma się ją za rękę i żałuje, że nie spędziło się razem więcej czasu. Że nie zobaczyło się tego, czego być może nie zobaczy się już nigdy, skoro wszystko przepadnie (czytaj: wpadnie w rosyjskie ręce). Że zamiast wciąż tylko o wojnie, nie opowiadało się częściej o donieckich parkach narodowych, o lokalnych historiach, o polach porośniętych stepową roślinnością.

Donbas to nie tylko posowiecka mentalność i rozkradzione zakłady przemysłowe. To nie tylko nieciekawe podglebie, na którym po rozpadzie Związku Sowieckiego wyrosło bezrobocie i kryminał. Choć swoje zrobiły – pielęgnowane latami i wykorzystywane też jako narzędzie polityczne – stereotypy, które dzieliły ukraiński wschód i zachód (przykładem kampania prezydencka z 2004 r., gdy Janukowycz konkurował z Juszczenką).

Miłość do Donbasu z pewnością jest trudniejsza niż miłość do ziemi lwowskiej czy do Kijowa. Ale to nie sprawia, że nie może być szczera, autentyczna. Zwłaszcza w chwilach, gdy siedzi się na czubku kredowych skał biłokużmyniwskich (dziś 10 km od frontu). Kiedy pachnie step i kwitnie szałwia, a przy zrywach wiatru grzbiety okalających skały pagórków, pokrytych kępami puszystej ostnicy, ożywają i falują jak morze.

Front bliżej Świętogórska

Włóczymy się zatem po tych pagórkach i wdychamy step, podobno ostatni pierwotny step w Europie. Wspinamy się do pomnika Artioma, wielkiej statui sowieckiego żołnierza, która góruje nad Ławrą Świętogórską. Ławra, czyli zespół klasztorny, położona jest na skałach nad rzeką Siwierski Doniec (w 2022 r. stał tu front).

Horyzont się rumieni, ekipa młodzieży ze śmiechem (bo śmiech, mimo wszystko, jest potrzebny, leczniczy) wspina się na draśnięty odłamkami postument, cyka zdjęcia. Znad rzeki, wijącej się w dole, u podnóża wzniesienia, niesie się rechot żab.

ANTONINA PALARCZYK X4

Anna z książką „Za nas, za was, za Donbas". Charków, maj 2025 r.

Między drzewami, które porastają tu zbocze, kołysze się cienka nić. Trudna do pomylenia: to nić światłowodu, coraz częściej wykorzystywana jako przewód do sterowania dronami kamikadze. Te są najgroźniejsze, bo odporne na elektroniczne zagłuszenie.

Odepchnięty stąd jesienią 2022 r. front znów zbliża się do Świętogórska. W zasięgu rosyjskich bomb i artylerii jest od dawna. Teraz drony będą pojawiać się tu coraz częściej.

Polak w Donbasie

Kręcąc się po okolicy Dobropola – przejęło ono po Pokrowsku rolę logistycznego węzła na tyłach – trudno nie zagapić się na terekony. Tak po ukraińsku nazywane są kopalniane hałdy. Są typowe dla krajobrazu Donieckiego Zagłębia. Siadamy w trawie naprzeciw dwóch szpiczastych pagórków, porastających zielenią.

Pytam Jonasza, jak opowiadać o świecie, którego zaraz nie będzie. – Myślę, że strata jest najbardziej pierwotną warstwą wojny. Do niej staram się odnosić w mojej pracy. Do napięcia związanego z życiem zwykłych ludzi w strefie frontowej i towarzyszących im decyzjach. Chciałbym też nadać Donbasowi wymiar inny niż tylko wojenny.

Już w 2014, gdy jako dwudziestoparolatek Jonasz pojechał z aparatem na kijowski Majdan, Donbas był z jego perspektywy czymś więcej niż tylko regionem ogarniętym wojną. Na dobre trafił tu dziesięć lat później. I zaczął go poznawać z perspektywy krajoznawczego kolektywu, z którym się związał.

Perspektywy obejmującej przyrodę, historię i kulturę, dawną i współczesną. A także dziesiątki rozwijanych, zwłaszcza po 2014 r., inicjatyw: od sceny rave'owej po wystawy organizowane w poindustrialnych przestrzeniach. I z perspektywy stojących za nimi ludzi, tutejszych i przyjezdnych. Aktywistów i artystów. Tworzących nowe pokolenie, zakochane w atmosferze tego miejsca.

Jonasz: – Gdy mowa o Donbasie, czuję analogię między nim a Śląskiem. Pochodzę z Dolnego Śląska. Podobieństwo, na które zwracam uwagę, to kontrkultura rozwinięta w obu tych industrialnych regionach. Jej specyfika wynika z surowości zastanej tu rzeczywistości.

Mariupol, fajne miasto

Bez wątpienia jedną z najważniejszych książek o ukraińskim Wschodzie ostatnich lat jest „Zmieszam z węglem twoją krew" Ołeksandra Mycheda (wydana też w Polsce).

Myched opowiada o nim z wrażliwością, bez galicyjsko-kijowskiej wyższości. Bez określeń w rodzaju „połowa w Donbasie to emeryci, a połowa to urki" (kryminaliści). Albo: „Kijów rozumie, że jeśli chce utrzymać Donbas przy Ukrainie, może to zrobić tylko dotacjami i pochlebstwem. O patriotyzmie tego regionu zapomnij. Chyba że Kijowem będzie rządzić ich człowiek" (oba cytaty z wywiadu rzeki z pisarzem Jurijem Andruchowyczem).

Podróżując po 2014 r. po ukraińskim Wschodzie, Myched przyglądał się pokrętnej historii Donbasu – i opisywał inicjatywy lokalnych artystów.

To one – kilkadziesiąt projektów realizowanych w obwodzie ługańskim i donieckim głównie po 2014 r. – zostały szczegółowo opisane w zeszłorocznej publikacji Galerii Neotodryosh pt. „Za nas, za was, za Donbas", autorstwa Witalija Matuchno, Anny Newidomej i Natalii Katerinenko. W wywiadach, przeprowadzonych z autorami tych inicjatyw, rozmawiali o kulturalnym życiu miejscowości, które im dalej na wschód, tym bardziej znane są niemal wyłącznie jako miejsca bitew z ostatnich 11 lat.

O tym, że w 2020 r. w stepie pod skałami biłokużmyniwskimi rozłożono didżejski sprzęt i odbyła się impreza z cyklu Shum Rave. Że w okupowanej dziś Awdijiwce, która w latach 2014-24 leżała

Na poprzedniej stronie: wschód słońca w okolicy Słowiańska, marzec 2025 r.

Z lewej: Ławra w Świętogórsku, maj 2025 r.

Zniszczona biblioteka w Pokrowsku.

Płaskorzeźba z trafionej rosyjskim dronem restauracji „Złoty Kogut" w Dobropolu.

na linii frontu, odbywał się festiwal Awdijiwka FM. Że cztery lata przed tym, jak w 2022 r. po ciężkich walkach Rosjanie zdobyli Lisiczańsk, otwarto tam centrum ulicznych kultur „Drużba". O inicjatywach artystycznych mariupolskiej Platformy TJU skierowanych do młodzieży, by pokazać jej, że Mariupol może być fajnym miastem.

Rzecz o kochaniu

Wspomniana przed chwilą Anna Newidoma to także pisarka i członkini kolektywu „Sady Donbasu". Spotykamy się w Charkowie. Anna pochodzi z obwodu ługańskiego, dom opuściła w 2014 r. Od lat włóczy się po Donbasie w poszukiwaniu lokalnych perełek architektury i osobliwości, a także ludzkich historii.

Anna: – Myślę, że kochanie swojego kraju trzeba zacząć od patriotyzmu lokalnego, od najbliższego otoczenia. A potem przenosić to uczucie na kolejne, dalsze regiony. Ponieważ z mojego rodzinnego Donbasu zostaje coraz mniej i mniej, staram się szukać go w innych miejscach. Na Charkowszczyznie, na południu w Mikołajowie i Odessie. Szukam znajomych z domu uczuć, podobieństw w atmosferze. Pochodzę z małej przytulnej miejscowości w wiejskiej głuszy. Gdy mówię „Donbas", w pierwszej kolejności myślę o czasach dzieciństwa.

I dalej: – Donbas to przede wszystkim pole, step. I to wszystko, co zostało wyciągnięte z ziemi na powierzchnię, usypane w hałdy. Fakt, łatwiej romantyzować step niż industrialny krajobraz. Ale jeśli nie będzie się go romantyzować, to jak nie oszaleć, żyjąc w jego środku? Całą wczesną młodość przeżyłam w Ługańsku. Podoba mi się i górniczy etos pracy, i krajobraz kopalń i zakładów, przypominają mi jakieś monstra, okręty na morzu, znaczy na stepie. Został we mnie taki dziecięcy sposób postrzegania świata i opowiadania o nim.

Zostaną wspomnienia

Kolektyw „Sady Donbasu" powstał jako przestrzeń do opowiadania o tym miejscu. Anna Newidoma: – To wolna, niezależna organizacja poświęcona ochronie dziedzictwa kulturowego, zachowaniu wspomnień. Teraz nasza działalność jest ograniczona, dwie dziewczyny od nas wstąpiły do ukraińskiej armii. Wcześniej przez niemal dwa lata jeździłyśmy po Donbasie na krajoznawcze ekspedycje. Zimą kolędowałyśmy w przebraniach, z wielką kolorową gwiazdą.

Wiele z miejsc, które odwiedziły, dziś jest na linii frontu lub pod rosyjską kontrolą. Anna wspomina: – Rozmawiałyśmy z ludźmi, którzy nawet w obliczu wojny woleli zostać w domach, na swojej ziemi, blisko rodziców pochowanych na pobliskim cmentarzu. Ilekroć zjawiam się w jakiejś nowej miejscowości, idę na cmentarz, to prawdziwe regionalne muzeum.

– Tak, słyszałyśmy pytania: „Czego tu szukacie? Jest wojna, a wy zajmujecie się głupotami". Albo od żołnierzy, którzy przyjechali z zachodu: „Jaka niby jest kultura w tym Donbasie?". Tymczasem trzeba zajmować się tym teraz, bo ukraiński Donbas znika w oczach. A kultura? To przecież nie tylko muzea i teatry, to dialekt, zwyczaje i codzienne życie, lokalne rzeczy. I to, co jest w czyimś domu, a czego nie ma u kogoś innego.

– Chodzi o to, żeby nie zapomnieć o świecie, który wojna zabiera nam codziennie, po kawałku – dodaje. – Kończy się era w historii Donbasu, której nie zobaczymy już nigdy. Zostaną tylko te wspomnienia, które uda się ocalić.

© ANTONINA PALARCZYK

MAJID ASGARIPOUR / REUTERS / FORUM

Po izraelskim ataku na siedzibę irańskiej telewizji publicznej (IRIB) w Teheranie. Iran, 16 czerwca 2025 r.

Irański dziennik

MACIEJ AUGUSTYN

IRAN | Trwają izraelskie naloty. Simin nie ma auta, nie ucieka z Teheranu. Zaprasza koleżanki: będą pić bimber i śpiewać. Piszę jej, by zeszły do schronu. „Tu nie ma schronów – odpisuje. – Będzie, co ma być". Śle filmik: grają bluesa o końcu świata.

Piątek, 13 czerwca. O świcie budzi mnie telefon. Dżawad, przyjaciel z Isfahanu, mówi, że wybuchła wojna. Zaspany, próbuję sobie przypomnieć perskie słówka. Pytam, czy jest bezpieczny. – Nie martw się – uspokaja. – Niebo jest wciąż niebieskie.

Dżawad jest dzieckiem wojny. Urodził się w 1979 r., gdy w Iranie wybuchła islamska rewolucja. Jego dzieciństwo to czas konfliktu z Irakiem. Przez całe życie słyszał w państwowych mediach o złym syjonistycznym reżimie, który lada chwila, przy wsparciu Wuja Sama, zaatakuje ich kraj. Jako nastolatek pewnie krzyczał na szkolnych apelach: „Niech żyje Chomeini!" i „Śmierć Izraelowi!". Po 45 latach fatalnych relacji z Tel Awiwem wojna wybuchła naprawdę. Wróg uderzył pierwszy, Iran odpowiedział.

Narody Iranu

Sobota i niedziela. Obie strony ślą rakiety i drony. Politycy izraelscy mówią, że chcą zniszczyć irański program atomowy i arsenał rakiet balistycznych; potem pojawią się coraz bardziej otwarte sugestie, że celem jest też obalenie systemu władzy w Iranie – Islamskiej Republiki. W mediach i sieci rozważania: czy to realne?

Pewnie trudno w to uwierzyć, ale Iran jest domem dla drugiej pod względem wielkości żydowskiej społeczności w Azji Południowo-Zachodniej. Drugim po Izraelu. Synagogi są tu otwarte, mniejszość żydowska ma gwarantowane jedno miejsce w parlamencie. Oczywiście jej sytuacja w szyickiej teokracji nie jest łatwa. Ale nie jest to totalna opresja, jak często przedstawiają zachodnie media.

Mniejszości etniczne Iranu to blisko 40 proc. społeczeństwa. Prawdziwa mozaika. Niektóre, jak Kurdowie i Beludżowie, nie mają powodów, by bronić Islamskiej Republiki. Czy Izrael może zagrać tą kartą?

Joanna Bocheńska, kurdoložka z UJ, przestrzega, by nie wiązać Izraela ze sprawą niepodległości Kurdów, którzy – po dekadach prześladowań – mają dość własnych powodów do oporu wobec rządu. Poza tym widzą zbrodnie Izraela w Gazie. Ale nie ma wśród nich jednomyślności w kwestii utworzenia państwa kurdyjskiego. Dziś irańscy Kurdowie stawiają nie na niepodległość, ale oddolną organizację i autonomię.

Czy atak Izraela jest więc szansą na powstanie demokracji w Iranie? Brzmi absurdalnie. A jednak nie brak fantazji o „normalnym prozachodnim Iranie, jak na starych zdjęciach". W Kalifornii mieszka 700 tys. irańskich emigrantów (nazywa się ich Tehrangelesi). Jednym z nich jest syn ostatniego szacha Iranu; tytułuje się Rezą Pahlawim II, dziedzicem tronu i prawowitym władcą. W kraju popiera go garstka szaleńców.

Po czyjej jesteś stronie?

Poniedziałek i wtorek. Rząd Iranu wysyła do poddanych esemesy: „Obrona wody, ziemi i powietrza jest naszą wspólną odpowiedzialnością. (...) Pomścimy każdego z naszych męczenników i pokonamy grzech Izraela. To nie my zaczęliśmy tę wojnę, ale koniec tej historii zostanie napisany przez Iran".

Niektórzy z moich znajomych nie kryją oburzenia: „Co, do cholery? Jakich męczenników?" – pisze mi Sohrāb, 25-latek z Karadżu. Tak nienawidzi swego rządu, że posuwa się do posyłania dalej tweetów Netanjahu. Zalecam mu ostrożność i pytam, czy nie boi się, że wezmą go do armii. „Mój ojciec nie żyje, w dokumentach figuruję jako »jedyny żywiciel rodziny«, pobór mi nie grozi i będę pisał, co chcę".

Izraelskie media podają, że w Iranie mają miejsce masowe protesty przeciw dyktaturze, że nowa rewolucja obali „demokrację ajatollahów". Rewelacje te dementują nie tylko kontrolowane przez rząd irańskie media, ale też emigracyjne Radio Zamaneh. Podobnie pisze mi Sohrāb: „Nie ma żadnych protestów. Choć wszyscy by się ucieszyli ze śmierci reżimu".

Diametralnie inne zdanie mają Ahmad z Szirazu i Kaveh z Teheranu. Obaj są „lewakami" (Kaveh siedział w areszcie za udział w protestach po tym, jak w 2022 r. policja obyczajowa zabiła studentkę Jinę Amini za niewłaściwie noszony hidżab). Obaj krytykują zarówno Republikę Islamską, jak też ludobójcze działania Izraela w Gazie.

„Burżuje sprzedają swoją ojczyznę, ale prawdziwi Irańczycy wspierają swój kraj" – pisze mi Kaveh. „Winę za cały ten bałagan ponosi także Europa, która próbuje zadowolić swego »patrona«. A każdy, kto sprzymierza się z Trumpem, jest głupcem. Iran jest silniejszy niż kiedykolwiek i z Bożą pomocą wygramy tę walkę" – zapewnia Ahmad.

Uciekajcie z Teheranu

Trump i Netanjahu mówią jednogłośnie: w Teheranie zaraz rozpęta się piekło, 17 mln mieszkańców stolicy ma natychmiast opuścić swoje domy.

„Czy ktoś ma jeszcze miejsce w aucie?". „Czy mogę wziąć ze sobą kotka?". „Moja dziewczyna została w Teheranie – ratujcie ją!". To niektóre z postów, publikowanych przez moich przyjaciół w social mediach.

Irańska władza, która wydawała fortunę na zbrojenia i finansowanie szyickich milicji w Iraku, Syrii, Libanie i Jemenie, o swoich obywateli nie dba. Brakuje bunkrów i racjonalnej polityki kryzysowej. W kraju, który jest jednym z większych producentów ropy, w wielu miejscach zaczyna brakować benzyny. Rząd uspokaja, że to chwilowe kłopoty, a rezerwy są wystarczające.

Ale ludzie w panice wykupują też żywność. Sasan, znajomy narodowości azerskiej, pisze, że za 10-kilogramowy worek ryżu trzeba zapłacić 3 mln tomanów (ok. 150 zł). Mimo to nie opuszcza miasta: „Urodziłem się w Urmi [stolicy prowincji Azerbejdżan Zachodni – red.], ale moje serce jest w Teheranie. Zostaję tutaj". Wielu jednak ucieka z miasta. Dziennikarka Nava do środy codziennie wrzuca zdjęcia wyludniającej się metropolii.

Będzie, co ma być

Kto był w Teheranie, wie, że to miasto zawsze stało w korkach. Teraz główne arterie są w ogóle nieprzejezdne. Klaksony, przekleństwa. Nad głowami ludzi latają drony i rakiety.

Eksodus obejmuje głównie klasę średnią i wyższą – szczęśliwych posiadaczy samochodów i daczy w górach Albroz czy nad Morzem Kaspijskim. Biednym zostaje modlitwa. Albo alkohol.

Simin nie ma auta. W dniu izraelskich nalotów zaprasza koleżanki – zrobią sobie dobrą kolację, będą piły araq-e sagi (irański bimber), grały na setorze i śpiewały. Piszę jej, żeby przynajmniej zakleiły okna i trzymały się od nich jak najdalej. A najlepiej, żeby zeszły do schronu. „Tu nie ma schronów – odpisuje. – Będzie, co ma być. Ty też wypij za nasze zdrowie". W nocy wysyła mi filmik na Telegramie: jej koleżanka gra bluesa o końcu świata.

W tle słychać jakby burzę. Poznałem ten dźwięk w Ukrainie – to odgłosy bombardowań.

Eksplozja live

W irańskiej telewizji marsze, pieśni, przemówienia. Propaganda także na TikToku i w innych mediach społecznościowych. Cały Iran ogląda na żywo, jak izraelska rakieta uderza w gmach telewizji publicznej w czasie transmisji. Prowadząca wiadomości Sahar Emami wraca na wizję po kilku minutach, roztrzęsiona, ale żywa.

„Ta dzielna kobieta to prawdziwy symbol naszego oporu – pisze mi znajomy z Szirazu. – Izrael nas nie zniszczy".

Aein Ghobadi, mieszkający w Polsce Irańczyk i tłumacz literatury polskiej na perski, dzieli się przemyśleniami na Facebooku: „Chciałbym odejścia ajatollahów od władzy. (...) Armia Izraela od początku wojny zabiła 224 osoby, w tym wielu wojskowych. A reżim ajatollahów w ciągu kilku dni protestów w październiku 2019 r. zabił ponad 1500 Irańczyków".

– To naiwne – mówi mi Michał Rezazadeh, inny polski Irańczyk. – Izrael nigdy nie miał wobec nas dobrych zamiarów. W ten sposób nie pokonamy reżimu.

Rozdarci

Michał wspomina w rozmowie szkolną propagandę, okrzyki „śmierć Izraelowi!", które paradoksalnie zmotywowały go do poznania kultury żydowskiej. Jest jej fanem do dziś. – W piątek idę na kolację szabatową z moimi żydowskimi przyjaciółmi. Nienawidzę irańskiego reżimu, bo przegrał mnie jako człowieka. Dlatego codziennie wybieram życie w Polsce.

Ale dodaje też: – Irańczycy są rozdarci. Większość nie popiera władzy, ale jeszcze bardziej boi się inwazji Izraela. Zaczynają wracać do patriotyzmu. To ich dom. Nikt im nie będzie mówił, jak mają żyć.

Pytam o jego rodzinę w Raszcie. – Są bezpieczni, ale miasto wygląda jak Przemyśl tuż po wybuchu wojny w Ukrainie. Mama mówiła mi, że w piekarniach brakuje chleba.

Braki chleba ograniczają się do rejonów, gdzie pojawiło się dużo uchodźców wewnętrznych. Rząd kupuje mąkę od sąsiedniego Iraku. Zapewnia, że niedobory są chwilowe. Ale strach przed głodem pozostanie z Irańczykami na dłużej.

Cisza w sieci

W środę 18 czerwca po południu internet się urywa. Telegram przestaje działać, WhatsApp jest martwy.

Rano odebrałem jeszcze telefon od Dżawada. Opowiada, że wywiózł rodzinę w góry. Ma czas, pieniądze, samochód, jest gotów wrócić do Teheranu i pomagać innym, którzy chcą opuścić miasto. Przekazuję jego numer Simin. Dziewczyna dziękuje, obiecuje się z nim skontaktować. Wysłałem jej jeszcze wiersz, ale na razie go nie odczytała.

Nie wiem, co jest z nimi teraz. Mogę sobie tylko wyobrażać jak Dżawad wyjeżdża z Isfahanu swoją białą sajpą, irańskiej produkcji. Jedzie przez wielką Pustynię Słoną w stronę Teheranu, aby pomóc Simin i jej bliskim. Trzyma, jak zawsze, papierosa w ustach, a z głośnika płynie stary hit Arefa „Soltane ghalbha": „Jesteś sułtanem mego serca, zdobyłeś jego bramy". Po godzinie jazdy jest nieopodal Natanz. Pustynny wiatr roznosi tumany kurzu. ©

Autor studiuje iranistykę, podróżował po Iranie. Uczestniczył w transportach z pomocą na Ukrainę.

Tekst ukończono wieczorem 19 czerwca, imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

Fiński model

PATRYCJA BUKALSKA

FINLANDIA | Ten kraj słynie z koncepcji obrony totalnej, w której swoje miejsce ma każdy żołnierz i cywil. Parasol NATO ją dopełnia, ale jej nie zastępuje.

Uchodzą za naród zawsze dobrze przygotowany. Jeśli spojrzeć na mapę, widać, że może Finowie nie mają wyjścia: od wschodu ponad 1300 km granicy z Rosją, na północy zaś Arktyka, która nabiera dziś znaczenia geopolitycznego i militarnego. I jeszcze Bałtyk: od czasu, gdy Szwecja i Finlandia wstąpiły do NATO, określany żartobliwie jako „natowskie jezioro", ale i on jest miejscem wielu bardziej lub mniej jawnych działań, jak uszkodzenia podmorskich kabli – w tym między Finlandią a Estonią w grudniu 2024 r.

Fiński system obrony oparty jest na sprawnej armii, licznych rezerwistach, przeszkolonych cywilach – oraz ich wzajemnym zaufaniu i współpracy. Ostatnie lata wymuszają rewizję wielu strategii, ale fiński model wydaje się nadal aktualny.

CO SZÓSTY | Finlandia, mająca obszar trochę większy od Polski, a tylko 5,5 mln ludności, nigdy nie zrezygnowała z poboru do wojska (w Polsce nie ma go od 2010 r.). Powszechna zasadnicza obowiązkowa służba wojskowa obejmuje mężczyzn, a kobiety mogą zgłosić się na ochotnika; stawiane im są wtedy takie same wymagania jak mężczyznom.

Model ten cieszy się niezmiennie wysokim poparciem społecznym. – W Finlandii nie ma takiej alienacji, do jakiej dochodzi czasem w krajach, które wprowadziły armie zawodowe i gdzie wielu obywateli uważa obronę kraju za usługę opłacaną z ich podatków – mówi Piotr Szymański, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich.

W czasie pokoju fińska armia nie jest liczna: ma niespełna 31 tys. żołnierzy, gdzie większość to poborowi, a tylko 8,5 tys. – zawodowi. Natomiast na czas wojny może zmobilizować 280 tys. żołnierzy, cała zaś jej rezerwa (tj. przeszkoleni rezerwiści) to prawie 900 tys. osób – co szósty obywatel lub obywatelka.

A może ich być więcej. Rząd rozważa podwyższenie granicy wieku rezerwistów do 65. roku życia (obecnie to 50 lat dla szeregowych i 60 dla podoficerów i oficerów). Jeśli zmiana wejdzie w życie, przybędzie 125 tys. rezerwistów i tym samym cała rezerwa sięgnie miliona ludzi. „Nie wystarczy inwestować w sprzęt, potrzebujemy też udziału naszych obywateli" – tak minister obrony Antti Häkkänen uzasadniał projekt podniesienia wieku rezerwistów.

Co do inwestycji: najważniejsza to ponad 60 myśliwców F-35, które Finowie zamówili w 2022 r. za ponad 8 mld euro. Obecnie kraj wydaje na obronność 2,4 proc. PKB.

BYŁBYŚ GOTOWY? | „Jeśli Finlandia zostałaby zaatakowana, czy byłbyś gotowy uczestniczyć w różnych zadaniach narodowej obrony, zgodnie ze swoimi możliwościami i umiejętnościami?" – tak brzmiało pytanie w sondażu, którego wyniki w grudniu 2024 r. opublikowało fińskie MON. Twierdząco odpowiedziało 80 proc. ankietowanych.

Kolejne pytanie brzmiało: „Czy wobec ataku Finowie powinni chwycić za broń w każdej sytuacji, nawet gdy rezultat byłby niepewny?". Twierdząco odpowiedziało 78 proc. (w 2022 r. było to więcej: 83 proc.).

– Zawsze jest wysoki wynik – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Kari Alenius z uniwersytetu w Oulu. Alenius bada historię regionu bałtyckiego. Wyjaśnia: – Nie we wszystkim się zgadzamy, są podziały polityczne. Ale gdy przychodzi do poważnych kwestii, to chyba każdy Fin ma świadomość, że musimy być zjednoczeni.

Alenius wskazuje tu na głęboko zakorzenione w Finach przekonanie, że muszą sobie ufać i współpracować, jeśli chcą przetrwać: – W Finlandii każdy jest potrzebny.

Zaufanie i współpraca to nie abstrakcja, lecz traktowane poważnie elementy fińskiego tzw. systemu bezpieczeństwa całościowego. Alenius wyjaśnia, że o ile koncept obrony totalnej, o którym często mówi się w kontekście Finlandii, dotyczy zagrożeń militarnych, o tyle tzw. bezpieczeństwo całościowe to pojęcie szersze. Obejmuje problemy w każdym obszarze i poziomie społeczeństwa. Może dotyczyć np. awarii wodociągów czy banków.

CYWILNE OBOWIĄZKI | Choć w koncepcji obrony totalnej to armia odgrywa główną rolę, organizacje cywilne ją wspierają. Także w „bezpieczeństwie całościowym" cywile są ważni.

Szkolenia dla cywilów to nie tylko ćwiczenia wojskowe, ale też kursy uczące przetrwania w trudnych warunkach. Nie są obowiązkowe – nie ma takiej potrzeby, bo cieszą się dużą popularnością. W ostatnich latach bierze w nich udział ok. 20 tys. osób rocznie.

– Ćwiczeń na każdym poziomie społeczeństwa organizowanych jest teraz więcej. Choć także przed inwazją Rosji na Ukrainę w 2022 r. współpraca sektora cywilnego z wojskiem była rzeczą normalną – mówi prof. Alenius. – Podczas każdego szkolenia wojskowego są zaangażowani cywile. Ćwiczymy, jak współpracować z policją, z Czerwonym Krzyżem, z samorządami. Siły zbrojne potrzebują także infrastruktury cywilnej i dobrze jest to przećwiczyć. Szkolimy się, nie czekając na jakąś wyjątkową sytuację.

Także ta współpraca wojskowo-cywilna jest częścią systemu bezpieczeństwa całościowego. Alenius tłumaczy, że w razie wojny dotknięte byłoby nią całe społeczeństwo, nawet jeśli w zbrojny opór zaangażowane byłoby nie więcej niż 10 proc. populacji.

– Reszta musi wtedy zająć się takimi rzeczami jak zadbanie o dostępność wody, o sieć energetyczną. Dla nas to oczywiste.

PEWNOŚĆ SIEBIE | W tym modelu całościowym ważną rolę odgrywają też organizacje proobronne: mają wspierać armię, państwo i obszary kluczowe dla funkcjonowania społeczeństwa. – Wiele z nich wywodzi się jeszcze z czasu II wojny światowej – mówi Szymański.

Ekspert OSW wskazuje też na współpracę z sektorem prywatnym oraz kon-

LEON NEAL / GETTY IMAGES

Fińska żołnierka, szeregowa Mette Majava, nad jeziorem Heinujärvi w środkowej Finlandii. Finowie szkolili tam żołnierzy z innych krajów NATO w logistyce w warunkach arktycznych. Listopad 2024 r.

trolowanymi przez Skarb Państwa firmami naftowymi czy telekomunikacyjnymi: – One też są włączane w organizowane regularnie ćwiczenia. Robi się rzeczy, które nam trudno sobie wyobrazić, np. aby sprawdzić możliwości dostarczania energii w warunkach kryzysu, wyłączono prąd w całym mieście. Chciano sprawdzić, czy i jak szybko uda się doprowadzić energię ze źródeł zapasowych, np. elektrowni wodnych.

Takie ćwiczenia wzmacniają zaufanie do państwa i budują pewność siebie. W efekcie zdecydowana większość Finów uważa, że ich kraj jest dobrze przygotowany i na atak zbrojny, i na inne katastrofy (sądzi tak odpowiednio 83 proc. i 74 proc.).

W GŁUSZY | Koordynowane przez armię ćwiczenia, dobra organizacja, kursy dla cywilów – to wszystko buduje fiński model bezpieczeństwa. Jednak gotowość na przeciwności jest, jak się zdaje, w przypadku Finów zakodowana także gdzieś głębiej.

– W Finach jest pewna „preperskość" [od słowa „preppers" – red.], wywodząca się z tego, że lubią być na zewnątrz, lubią las, jeziora, przyrodę. Na tych wszystkich szkoleniach uczą się też, jak przetrwać w lesie, zdobyć pożywienie, rozpalić ogień. Te dwie rzeczywistości ze sobą współgrają: spędzanie czasu w terenie i bycie przygotowanym na wyzwania – opowiada Szymański.

– Finowie kochają swoje domki wypoczynkowe, które czasem są na wyspach czy w głuszy. Muszą mieć tam przygotowane zapasy. To taka codzienna zaradność – dodaje.

Tego, że trzeba się przygotować, a także jak to zrobić, Finowie uczą się zresztą już w szkole. Wiedzą, że należy mieć w domu baterie, wodę i żywność na trzy dni, a także możliwość ugotowania czegoś w przypadku braku prądu czy gazu.

– To normalna część naszego codziennego życia – uważa Kari Alenius. – Myślę, że większość Finów jest przygotowana, przynajmniej częściowo. Tak jak nam mówiono przez pokolenia, jak nam pokazała nasza historia.

CZY NATO POMOŻE? | Niedawno do fińskiego modelu doszedł nowy element: członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim. To skutek inwazji na Ukrainę, bo wcześniej Finowie nie byli do tego przekonani: już w kwietniu 2023 r. kraj znalazł się w NATO.

Jednak w międzyczasie nastąpiła kolejna zmiana: po powrocie Trumpa do Białego Domu pojawiły się wątpliwości co do skuteczności wsparcia NATO. Np. fiński politolog prof. Tuomas Forsberg uważa, że Trump osłabił zdolności odstraszające Sojuszu i należy wziąć pod uwagę taką opcję, iż Finlandia niekoniecznie może liczyć na pomoc USA i NATO.

Część polityków podziela te obawy. Premier Petteri Orpo uważa, że należy zachować zimną krew. Społeczeństwo traci jednak zaufanie do USA jako sojusznika. W kwietniu tylko 16 proc. Finów wierzyło, iż USA pomogą militarnie Europie (w 2024 r. było to 30 proc.). Natomiast nadal mocno wierzą w NATO: pogląd, że inne kraje członkowskie pomogą Finlandii, deklaruje w różnych sondażach 74-80 proc. społeczeństwa. Sami Finowie byliby w większości gotowi bronić innych krajów – tak mówi 61-64 proc. z nich.

Sondaże prowadzone w ostatnim czasie pokazują niewielki spadek poparcia dla członkostwa w Sojuszu: z 81 proc. w 2024 r. do 76 proc. teraz (projekt badawczy NATOpoll). To jednak za mało, by mówić o trendzie.

– Finowie widzą NATO jako kolejny element, który potencjalnie wzmacnia ich bezpieczeństwo – uważa Piotr Szymański. – Oni stoją mocno na dwóch nogach. Już raz przetrwali najgorsze i wierzą, że w przyszłości też sobie poradzą.

KWESTIA TOŻSAMOŚCI | Opublikowany w grudniu 2024 r. przez rząd „Raport obronny" uznaje Rosję za „najpoważniejsze i najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla wszystkich krajów sojuszniczych oraz dla pokoju i stabilności w obszarze euroatlantyckim". Podobne są odczucia społeczne: rozwój sytuacji w Rosji oraz jej wojna przeciw Ukrainie są pierwsze na liście obaw: we wspomnianym na początku sondażu pogląd taki podziela 86 proc. oraz 83 proc. pytanych.

– Nie żyjemy już w czasach pokoju – uważa prof. Alenius. – Choć w kraju dyskutuje się, czy jesteśmy już w stanie wojny. To kwestia definicji. Dzieje się wiele rzeczy, np. uszkadzane są podmorskie kable. Niektórzy nazwą to wojną, inni konfliktem hybrydowym. Istotniejsze jest jednak, byśmy byli świadomi, co się dzieje, i stawili temu czoło. Może my, Finowie, jesteśmy zbyt pesymistyczni. Zwykle myślimy, co może pójść źle. Dlatego wolimy być przygotowani.

Gdy w listopadzie 1939 r. Związek Sowiecki zaatakował Finlandię, nikt jej nie pomógł. Finowie walczyli sami. To doświadczenie – oporu i przetrwania wbrew przeciwnościom – zapisało się w pamięci i nadal rezonuje.

– To część naszej narodowej tożsamości – mówi prof. Alenius.

Fiński dowódca czasu „wojny zimowej", marszałek Mannerheim, mawiał, że „forty, armaty i pomoc zagraniczna nie pomogą, jeśli każdy człowiek nie wie, że jest strażnikiem swojego kraju". ©℗

Popiół jak śnieg

MAŁGORZATA SIDZ
Z EDMONTON (PROWINCJA ALBERTA)

KANADA | Czy to zmiany klimatu, czy czynnik ludzki – zastanawiają się Kanadyjczycy, patrząc, jak ich lasy są niszczone przez pożary.

MANITOBA GOVERNMENT / AFP / EAST NEWS

Pożary lasów w kanadyjskiej prowincji Manitoba na zdjęciu lotniczym, 27 maja 2025 r.

Trwają od maja, a ich końca nie widać: pożary lasów w prowincjach Alberta, Saskatchewan, Manitoba i w Kolumbii Brytyjskiej. Na części z nich ogłoszono stan wyjątkowy, ewakuowano kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ich skutki są odczuwalne nawet w Europie: dymy, dotąd przesuwające się na dużych wysokościach, opadają. Za ich sprawą gorszą jakość powietrza notowano w połowie czerwca we Francji, Włoszech czy Szwajcarii.

JEDNA ÓSMA POLSKI | Lasy pokrywają 40 proc. powierzchni tego drugiego największego kraju świata; to 3,47 mln km kw. Ich pożary nie są czymś niezwykłym. Są nawet pożyteczne: naturalne ekosystemy potrzebują ich, by pozbyć się martwych roślin i zrobić miejsce dla nowych. Kanadyjskie sosny świetnie rosną na ziemi bogatej w popiół. Ale gdy pożary trwają za długo i na zbyt dużych obszarach, nie dają naturze czasu na odrodzenie się.

Tegoroczne zaś są wyjątkowe. Zanotowano ich już ponad 220, większość na zachodzie kraju. Codziennie odkrywa się tuzin nowych. Obejmują ponad 37 tys. km kw. – to tak, jakby płonęła jedna ósma powierzchni Polski. Część wciąż jest poza kontrolą, a premier Mark Carney posyła armię do pomocy strażakom.

Pożary są wynikiem przeciągającej się suszy, wysokich temperatur i braku naturalnej ochrony w postaci śniegu, który w tym roku zniknął szybko. Już w kwietniu notowano fale gorąca – utrzymujące się przez tydzień temperatury rzędu 25-30 stopni Celsjusza.

Dzikie zwierzęta, skołowane, szukają schronienia w mieście. W Edmonton, leżącym daleko od płonących lasów, odłowiono trójkę młodych łosi.

WIĘCEJ I WIĘCEJ | W środę 11 czerwca indeks zanieczyszczeń w Edmonton wynosi 8 (bardzo duże zagrożenie dla zdrowia), rząd prosi nas o pozostawanie w domu przynajmniej do godziny 20.30. Niebo pokrywa szara mgła, budynki na horyzoncie mają niebieską aurę.

Wychodzę z psem i od razu się krztuszę. Powietrze, zawsze czyste, jest inne. Ale to nie zapach spalin, jak w wielkim polskim mieście. Czuję się, jakbym siedziała przy ognisku i wdychała gorący dym. Oddech gryzie w gardle, doprowadza do kaszlu. Kto musi wyjść, zakłada maseczkę.

Przy jednej z głównych ulic Edmonton pracownicy wymieniają rury kanalizacyjne. Mówią, że przywykli do takich warunków, do dymu. Jeden wspomina, jak w 2016 r. pracował w Fort McMurray, na północy prowincji Alberta, gdy trwały wielkie pożary: – Przez cały dzień niebo miało pomarańczowy kolor, jakby panował wieczny poranek. Spadały na mnie maleńkie kawałki popiołu, przypominające śnieg.

Pożar w Fort McMurray zniszczył 6 tys. km kw. lasu i kilka tysięcy budynków. Był jak dotąd najbardziej kosztownym w historii kraju, straty wyniosły 9 mld dolarów kanadyjskich. Ewakuowano 88 tys. ludzi, wstrzymano pracę w kopalniach bitumenu.

Pytam, czy jest zaniepokojony. – Pożary lasów nie są czymś niezwykłym. Nowe są ich skala, częstość, dotkliwość skutków. Mamy więcej suszy i pożarów, a także więcej powodzi.

STRATY | Wyższe temperatury, dłuższe susze, a także silniejsze wiatry – w wyniku zmian klimatu Kanada ogrzewa się dwa razy szybciej niż reszta świata. Ale jest tu też czynnik ludzki: straż pożarna szacuje, że w tym roku 90 proc. pożarów lasów w Manitobie miało początek w ludzkiej nieostrożności. Zmiany klimatu sprawiają zaś, że te zapoczątkowane przez człowieka pożary mają idealne warunki, by się rozprzestrzeniać.

Powodzie to druga strona medalu. Ciepłe powietrze trzyma więcej wilgoci, co prowadzi do bardziej intensywnych deszczy. W 2023 r. na prowincję Nowa Szkocja w 24 godziny spadło 250 mililitrów deszczu, powodując straty rzędu 200 mln dolarów. Jesienią 2024 r. dwa dni deszczu w Kolumbii Brytyjskiej doprowadziły do serii powodzi, lawin błotnych i 110 mln dolarów strat.

Kanada chwali się zjawiskową przyrodą i wyjątkowymi w skali świata parkami narodowymi. Obok wodospadu Niagara to parki narodowe Banff i Jasper, położone w prowincji Alberta, są najczęściej odwiedzanymi naturalnymi atrakcjami.

W 2024 r. zapłonął park narodowy Jasper. Wystarczyły trzy błyskawice, by lokalny pożar rozprzestrzenił się i dotarł do miasteczka Jasper. Ewakuowano mieszkańców i 5 tys. turystów. Płomienie się-

gały 50 metrów wysokości i dopiero deszcz pomógł je zagasić. Jedna trzecia miasteczka spłonęła, straty wyniosły 1,23 mld dolarów.

LUDZIE | Do tej pory to rok 2023 był pod względem pożarów lasów najgorszym w historii Kanady. Spłonęło 185 tys. km kw., obszar wielkości dwóch trzecich Polski. Zanotowano też wtedy od maja do lipca najwyższe od 80 lat temperatury.

W sierpniu 2023 r. spotykałam osoby ewakuowane z Yellowknife na Terytoriach Północno-Zachodnich, prawie 1,5 tys. km na północ od Edmonton. W całym tym regionie ewakuowano wtedy 45 tys. osób, dwie trzecie populacji (Terytoria są słabo zaludnione). W tym prawie wszystkich mieszkańców stolicy prowincji, 22-tysięcznego Yellowknife. Niektóre miasteczka na Terytoriach spłonęły całkowicie.

Większość ludzi ewakuowała się własnymi autami. Ci, których nie było stać na paliwo na 15 godzin jazdy, chorzy i niepełnosprawni, musieli zdać się na pomoc rządu i agencji pozarządowych.

Tysiąc ludzi w Yellowknife postanowiło zostać. Bali się, że będzie jak w Fort McMurray, gdzie w 2016 r. na jedyną autostradę wychodzącą z miasta ruszyło tak dużo aut, że wielu pożar złapał, gdy stali w korku (na szczęście teraz nie było tak źle). Ci, którzy zostali, zbierali warzywa i owoce z ogródków sąsiadów i zajmowali się porzuconymi zwierzętami. Miasteczko ocalało.

CZEKAJĄC DESZCZU | Powtórki z tragicznego roku 2023 teraz raczej nie będzie – satelity pokazują 15 tys. miejsc zagrożonych pożarem, gdy dwa lata temu o tej porze liczba ta sięgała 30 tysięcy. Co nie znaczy, że jest dobrze – lato roku 2025 może być drugim najgorszym pod względem skali pożarów od 2012 r., gdy ruszył program satelitarny badania punktów zapalnych.

Czerwiec jest zaś najważniejszym miesiącem dla przewidywania dalszych pożarów: to w czerwcu zachód kraju otrzymuje największe opady w roku. Kanadyjczycy mają nadzieję, że deszcze pomogą w gaszeniu ognia. ©

Ostatnia kolonia Afryki

GRZEGORZ KORDYLAS

AFRYKA PÓŁNOCNA | Mieszkańcy Sahary Zachodniej powinni świętować w tym roku 50 lat niepodległości. Jednak gdy w XX w. Afrykanie wyzwalali się spod kolonializmu, ich ziemie, bogate w surowce, zajęło Maroko. Dziś są dalej od własnego państwa niż kiedykolwiek.

Przez długi czas było to tyleż zapomniane, ile niedoinwestowane terytorium na peryferiach Afryki, politycznych i psychologicznych. Sahara Zachodnia – ziemia położona nad Atlantykiem, dziś granicząca z Marokiem, Algierią i Mauretanią – niewiele miała do zaoferowania. Zarówno swoim mieszkańcom, jak też Hiszpanii, której była kolonią.

Jednak w latach 50. XX w. odkryto tu wielkie złoża fosforytów, niezbędnych przy produkcji nawozów wykorzystywanych już wtedy na całym świecie. Odkrycie to zmieniło bieg lokalnej historii, zapoczątkowało boom gospodarczy i rozwój miast.

Kres hiszpańskiego panowania

W efekcie nawet Beduini, stanowiący tutaj sporą część ludności, zaczęli porzucać koczowniczy tryb życia na rzecz miejskiego. Wkrótce mieszkańcy tej części hiszpańskiego imperium mogli cieszyć się dobrami materialnymi niemal niespotykanymi w sąsiednich krajach — lodówkami, telewizorami i autami.

Wyższy standard życia nie mógł przyćmić jednak faktu, że zachodni Saharyjczycy nadal byli u siebie dyskryminowani. Na początku lat 70. XX w., gdy wiele afrykańskich kolonii świętowało już niepodległość, także Sahrawi – jak się ich określa – zaczęli domagać się większej autonomii.

Doszło do zamieszek. Hiszpanie otworzyli ogień do protestujących, zamknęli w więzieniach nieposłusznych, a w końcu zabili charyzmatycznego lidera ruchu niepodległościowego – Mohameda Bassiriego (rozrzucając jego szczątki po pustyni). Mimo wszystko nie było wątpliwości, że czas hiszpańskiego panowania dobiega końca.

Wojna (także) hybrydowa

Gdy w 1975 r. wiekowy Francisco Franco po wielu latach dyktatury oddał w końcu władzę w Hiszpanii, Madryt zdecydował się przeprowadzić na Saharze, przemianowanej w międzyczasie na Saharę Zachodnią, referendum niepodległościowe.

Takie rozwiązanie było jednak nie w smak Królestwu Maroka, które miało chrapkę na poszerzenie swoich granic. Marokański król Hassan II, rządzący twardą ręką i mający poparcie Stanów Zjednoczonych, wykorzystał moment słabości Hiszpanów i zorganizował coś, co dziś można by określić jako zręczne posunięcie w ramach wojny hybrydowej.

Zmobilizował mianowicie trzystu tysięcy „cywilów", aby pieszo i – rzecz jasna – spontanicznie przekroczyli zieloną granicę z Saharą Zachodnią. Tę „pokojową demonstrację" nazwano Zielonym Marszem. Równocześnie wojska marokańskie wkraczały na teren sąsiada. Już nie kryjąc się z niczym, czołgi wjechały do stolicy – Al-Ujunu.

Front Polisario rusza w bój

Nie chcąc prowadzić kosztownej wojny w imię faktycznie straconej już prowincji, w listopadzie 1975 r. Hiszpania zdecydowała się podpisać w Madrycie umowę z Mauretanią i Marokiem. Układ ten przewidywał, że dwie trzecie terenu Sahary Zachodniej przypadnie Maroku, a jedna trzecia, obejmująca południową część – Mauretanii.

Miejscowi byli jednak zdecydowanie przeciwni takiemu rozwiązaniu. Na algierskiej ziemi – Algieria, sama od niedawna niepodległa od Francji, ↦

STRINGER / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Saharyjki biorą udział w obchodach 50. rocznicy powstania Frontu Polisario. Obchody odbyły się w Algierii, gdzie żyje wielu saharyjskich uciekinierów. 20 maja 2023 r.

↦ wspierała Saharyjczyków – powstał Front Polisario, organizacja wojskowo-polityczna (Polisario to skrót od rozbudowanej nazwy: Ludowy Front Wyzwolenia Sakiji al-Hamry i Río de Oro; to geograficzne regiony Sahary Zachodniej).

W 1976 r. Front Polisario ogłosił powstanie Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej (SADR). Zaczęła się wojna, podczas której bojownicy Frontu Polisario szybko rozprawili się ze słabą armią mauretańską. W 1979 r. Mauretania wycofała się z wojny, a w latach 80. XX w. uznała niepodległość Sahary Zachodniej.

Wojna z Marokiem trwała aż do 1991 r., gdy pod auspicjami ONZ ogłoszono rozejm. Działania zbrojne wstrzymano wzdłuż linii dzielącej Saharę Zachodnią na dwie części, kontrolowane przez Maroko i Front Polisario. Kolejnym krokiem miało być referendum w sprawie samostanowienia, które jednak do dziś się nie odbyło.

Choć więc Saharyjska Arabska Republika Demokratyczna została uznana przez kilkadziesiąt państw (i jest członkiem Unii Afrykańskiej), to wciąż nie może liczyć na wsparcie najważniejszych światowych graczy.

Maroko stawia na Trumpa

W 2007 r. Maroko przedstawiło swój pomysł na rozwiązanie konfliktu. W jego ramach Sahara Zachodnia miałaby uzyskać szeroką autonomię – w tym własny rząd, parlament i administrację, które decydowałyby o sprawach lokalnych. Natomiast sprawy obronności, polityki zagranicznej i symbolicznego zwierzchnictwa pozostałyby w rękach Maroka.

Projekt ten zakładał, że obiecane referendum niepodległościowe nie odbyłoby się – Saharyjczycy zostaliby więc w istocie pozbawieni możliwości wyrażenia własnego zdania. Najważniejsze decyzje związane z tym terytorium – w tym eksport surowców – należałyby zatem do Królestwa Maroka. Front Polisario nie zaakceptował tego pomysłu.

W ostatnich latach władze Maroka postawiły na szukanie sojuszników, którzy poprą ich sprawę. Będąc jednym z najstabilniejszych państw Afryki Północnej i największym na świecie eksporterem fosforytów, Maroko ma w ręku dużo lepsze karty niż rywale.

I tak, Stany Zjednoczone już za pierwszej kadencji Donalda Trumpa uznały suwerenność Maroka nad Saharą Zachodnią – w zamian za nawiązanie stosunków z Izraelem przez władze w Rabacie.

Natomiast w kwietniu tego roku administracja Trumpa poinformowała, że rozmowy mające na celu rozwiązanie konfliktu o Saharę Zachodnią powinny się odbywać wyłącznie na podstawie planu marokańskiego.

Kilka intratnych kontraktów

Maroko może liczyć także na poparcie Francji i Wielkiej Brytanii, które przy okazji ugrają co nieco dla siebie.

Podczas wizyty w Rabacie w październiku 2024 r. Emmanuel Macron poparł marokańską politykę wobec Sahary Zachodniej. Prezydent Francji poświęcił interesy Saharyjczyków na rzecz poprawy relacji z Marokiem, które pogorszyły się w ostatnich latach (m.in. Marokańczycy mieli szpiegować francuskich polityków z pomocą Pegasusa). Poprawa relacji z Marokiem może być też dla Francji ostatnią szansą na zachowanie wpływów w Afryce – po tym jak tracą je właśnie w kolejnych krajach Sahelu.

Z kolei brytyjski minister spraw zagranicznych David Lammy stwierdził na początku czerwca, że plan Maroka to najlepsze rozwiązanie dla trwającego od dekad sporu. Przy okazji Lammy podpisał umowę o zacieśnieniu współpracy obu krajów w zakresie projektów infrastruktury krytycznej na potrzeby mistrzostw świata w piłce nożnej, które Maroko będzie gościć – wraz z Hiszpanią i Portugalią – w 2030 r. Dzięki tej umowie brytyjskie firmy budowlane mogą liczyć na intratne kontrakty.

Wał zachodniosaharyjski

Liczbę całej ludności Sahary Zachodniej szacuje się dziś na jakieś 600 tysięcy. Byłoby więcej, ale wielu Sahrawi od lat żyje w obozach uchodźców w Algierii, która pozostaje ich najważniejszym sojusznikiem (tam też urzędują władze państwa).

Natomiast obszar Sahary Zachodniej, wielkości dwóch trzecich Polski, pozostaje od prawie 35 lat podzielony – Maroko kontroluje większą część (w tym złoża fosforytów), mniejszą zaś Front Polisario (to część uboższa, wschodnia). Między stronami trwa rozejm. Obie części dzieli system umocnień (zwany „murem marokańskim" lub „wałem zachodniosaharyjskim"), zbudowany jeszcze przed rokiem 1991 przez Marokańczyków.

Mimo takich warunków saharyjska społeczność dba o tożsamość narodową i wciąż dąży do niepodległości. Ma jednak świadomość, że jej los został poświęcony na rzecz współpracy między silniejszymi i bogatszymi. © GRZEGORZ KORDYLAS

ELIZA

Kącka: *Matka Boska trzyma głosy*

Skwer Chorwacki. Spochmurniało, ale nie pada. Przy jednej ławce grupka licealistów. Pierwszy Młody: „Ej, idziecie na procesję?”. Drugi Młody: „No muszę”. „Bo?...”. „Matka nie odpuści”. „No, ale poszła na tę dużą w centrum”. „Wygoni mnie na naszą”. „Udaj, że wychodzisz do kościoła. I chodź na browara”. „Hehe, luz, mieszkamy przy Zakrzewskiej. Będzie w oknie siedzieć”. „Powiesz, że obchodziłeś blok od tyłu”. Młoda: „I tak masz dobrze”. Drugi Młody: „?”. „Chodziłam z poduszką, a teraz pomagam przy kwiatkach”. Pierwszy Młody: „Hanka, ej, ale ty jesteś lesba”. „Nooo”. „No i? Myślałem, że niekościelna jesteś”. „Niby, ale muszę odpracować”. „Bycie lesbijką?”. „Nieee”. „To co?!”. „No, bo ona nie wie”. „Bosz, obezwładniasz mnie”. Drugi Młody: „Powiedz jej”. „Zwariowałeś!”. Trzeci Młody: „Hej, prawda wyzwala”. Młoda: „Starą zabija”.

Spacer, Łazienki. Przysiadam z książką na ławce. Na sąsiedniej dwie staruszki. „Jutro Boże Ciało”. „Nie mów, że świętujesz”. „Ja nie, ale Marek chodził...”. „Bo zdewociał. Mój Adam się nigdy nie pogodził, że tak go pod koniec życia zniosło”. Milczą. „Nie mów tak, on się wzruszał. Wiesz, tym ludzkim przeżywaniem”. „Ale czym? Że pcha się taka procesja w okna i zaśmieca chodnik?”. „Nie, nie. Widział, że oni wierzą”. „W co?”. „No, że naprawdę wynoszą tego Jezusa z kościoła i błogosławią ulice. Klękają, bo idzie”. „A jednocześnie siedzi w niebie, nie? Świetne”. „Ech, Ludko, nie mam siły na dyskusję”. „Dobrze, odpuszczam, ale dziwię się”. „Ja tylko chciałam powiedzieć, że się wzruszał. Że ktoś wierzy w taką obecność. Marek się nie nawrócił, wiesz”. „Tym bardziej się dziwię, że wspierał ten folklor”. „Dla niego to nie był folklor”. „A co?”. „Nie wiem. Chyba wierność. On przy nich odpoczywał, bo chodzili bez dowodu”.

Pociąg z Krakowa. Przy mnie Ukrainka. Mówi świetnie po polsku, tylko akcent dekonspiruje. „Moja babcia Polka, mama ze mną po polsku. A pani czym się zajmuje?”. Odpowiadam. „A to ja tak chciałam. Ale jak urodziłam i wróciłam po jakimś czasie na doktorat, wybuchła wojna”. „Aha”. „Męża mi szybko zabili. Wie pani, taka scena: idę z wózkiem do parku. Siadam na ławce i straszny huk, straszny. Myślę: niemożliwe”. „Ten moment”. „Tak. Człowiek ma te sekundy, zanim się obróci. Huknęło, a ja sobie przypomniałam, jak się ojciec za moimi plecami przewrócił, kiedy ja do szkoły chodziłam. Obracam się: leży. Udar był. I w parku pomyślałam, że nie, że nie można mi tak”. „Uhm”. „A jak obróciłam się, zobaczyłam dym i ogień. I wiedziałam...”. „Że można”. „Wie pani, to jest taki moment, że pani ma serce w stopie. Taki ból, że się umiera prawie”. „Tak”. Płacze. „A tu wózek stoi. No i trzeba żyć. Z mężem mi wszystko spłonęło. Ale rodzina daleka pod Warszawą. Myślę: jadę. I od roku już tu”. „Co powiedzieć...”. „Nic. Ja się cieszę, że pani może pracować. Ja się cieszę za każdego, co przeżył. Wcześniej nie umiałam tak, ale wojna mnie nauczyła”. „Uhm”. „Ja myślałam: przeżyć bez celu? Po co? A teraz wiem: przeżyć to cel. Nie umiem wytłumaczyć tego”. „Nie trzeba”. „Może instynkt? Tak mówią. I dobrze. Życzę wszystkim dobrym ludziom: przeżyć. Ja nie życzę: zginąć jak mój mąż. Życzę: żyjcie. Taka, wie pani, moja... Jak się nazywa, jak ktoś powtarza, takie zaklinanie...”. „Mantra?”. „Mantra moja”.

Rozmowa z Rudą o maturach: „Wiesz, że mogę zdać”. „Przekonamy się niedługo”. „Tak, ale nie przestawaj wierzyć”. „Ba, wierzę w ciebie, choćbyś nie zdała”. „Tak, ale nie przestawaj wierzyć, że zdałam”. „Owszem, mam podstawy”. „Chcę się uczyć”. „Wiem”. „Nie zapominaj, że mi się udało”. „Tak”. „Zdobyłam mowę. Wszyscy to rozumieją”. „Tak, to wielka rzecz”. „Przypominam ci, że długo nie mówiłam”. „A wiem”. „A teraz przystąpiłam do matury”. „I nie załamałaś się”. Ruda na zdziwieniu: „Dlaczego miałam się załamać?”. „Wiesz, stres...”. „To jest nic. Mogę się uczyć, mam mowę. Matura to nic”.

Pociąg do Krakowa, tuż obok rodzina z dwójką dzieci. Matka: „Na komunię dostaniesz, jak brat”. Córka: „Ale ja mam upatrzony model”. „A ja mam wydatki. Na komunię będzie”. Ojciec: „Szkoda, że ja już wszystkie sakramenty stuknąłem”. Matka: „Nie psuj dzieci”. Córka do ojca: „Ty masz własną kasę. Ja muszę żebrać”. Matka: „Oj, nie bądź taka biedna”. Syn: „A mnie kupicie na bierzmowanie coś?”. Ojciec: „Jeszcze rok, nie zawracaj głowy”. Matka: „Musimy planować. Jeszcze chrzest po drodze”. „A co, masz dziecko na boku?”. „Głupi. Marta urodzi”. „Aaa. To ślub będzie?”. „Zmuszą ją. Bękart, te sprawy”. „I dobrze”. „Dla nas lepiej, jedna impreza”. „Ja bym kupił jakiś święty obraz”. Córka: „Obraz?! Porąbało was?”. Ojciec: „Świętą Rodzinę tanio kupię”. Matka: „Marta się wścieknie, że nie koperta”. Ojciec: „Eee, powiesz, że to cudowny obraz. I kasę wymodli”.

Autobus 116, dwie starsze. „Jak pani myśli, pani Zosiu, unieważnią nam te wybory?”. „E tam”. „Srożą się tylko?”. „Ależ oczywiście”. „No to po co takie cyrki?”. „Jak po co? Nic innego nie potrafią”. „Też prawda”. „Niech pani będzie spokojna, prezes im nie pozwoli”. „Prezes nie jest premierem”. „Prezes jest pomazańcem”. „Haha, pięknie powiedziane. To mnie pani uspokoiła”. „Oni przecież wiedzą, że przegrają. W Polsce nie mogą wygrać, pani Zosiu. Ten naród nie jest od tego”. „Prawda”. „Liczeniem się Polaka nie przekona”. „Tak”. „Po naszej stronie Matka Boska trzyma głosy”. „Tak, tak!”. „A jak trzeba, cud zrobi”. „!”. „Niech się pani nie martwi, pani Marysiu, liberały jak covid”. „Dobrze powiedziane”. „Postraszą, ale się nie przyjmą”. „Ano”. „To nie jest polska choroba”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

WIARA

JAKIEJ PRAWDY OBAWIAJĄ SIĘ BISKUPI

Jest to historia komisji, która nie powstanie. I garstki osób w Kościele, które próbowały ją powołać.

ANNA GOC

Na konferencji prasowej, tuż po zakończeniu 401. zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski w Katowicach, biskup Sławomir Oder kluczył.

Zanim rzecznik KEP oddał mu głos, przeczytał długą nazwę zespołu, na czele którego biskup Oder właśnie stanął: „Zespół ds. opracowania dokumentów dotyczących funkcjonowania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich przez niektórych duchownych".

Na pytanie o to, kiedy komisja powstanie, odpowiedział, że „jak najszybciej", ale nie był w stanie podać przybliżonego terminu. Zapytany o skład zespołu, odparł, że liczy na wsparcie ekspertów, którzy dotąd pracowali nad powołaniem komisji, i dodał, że jego zespół zostanie „ubogacony o obecność innych osób, które będą mogły wnieść inne wartości, inną wrażliwość, pewne nowe widzenie tej rzeczywistości".

Mówił o tym, że „biskupi są zdeterminowani". O nowym „etapie prac" i dokumentach, które teraz mają być przygotowane. Wreszcie – o potrzebie zastąpienia języka wrażliwości duszpasterskiej precyzją prawną.

Osoby pokrzywdzone właściwie pominął. Podziękował prymasowi Wojciechowi Polakowi, delegatowi KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, i jego zespołowi.

Dotąd przygotowanie zasad działania komisji niezależnych ekspertów, która miała zbadać zjawisko wykorzystania seksualnego osób małoletnich w Kościele, biskupi powierzali abp. Polakowi i jego ponaddwudziestoosobowemu zespołowi. Dla tych, którzy śledzili dwuletnią pracę tego zespołu nad powołaniem komisji, było jasne, co oznacza ta zmiana.

Komisja

Po raz pierwszy o powołaniu komisji niezależnych ekspertów biskupi dyskutowali na zebraniu plenarnym KEP w marcu 2023 r.

Trzy miesiące później, na kolejnym zebraniu KEP, prymas Wojciech Polak przedstawił wstępną koncepcję funkcjonowania tego gremium. Biskupi otrzymali też podsumowanie działań podobnych komisji, które powstały m.in. w Irlandii, Portugalii, Australii, USA, Niemczech czy Francji.

Wtedy też – jak podaje KAI – zespół prymasa rozpoczął współpracę z konferencjami wyższych przełożonych zakonów żeńskich i męskich. Do zespołu dołączyli trzej biskupi: przewodniczący Rady Prawnej KEP Ryszard Kasyna, kard. Grzegorz Ryś oraz Jan Kopiec. Biskupi zdecydowali także, że komisja zajmie się sprawami wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele w Polsce od 1945 r. do czasu powstania komisji.

PAWEŁ RAKOWSKI

„Solidarni z osobami skrzywdzonymi" – protest przeciw decyzji KEP pod krakowską kurią, 18 czerwca 2025 r.

Interdyscyplinarny zespół prymasa rozpoczął pracę. Przygotowując tekst, rozmawiałam z dwoma jego członkami, z których jeden poprosił o anonimowość. Poza wymienionymi wcześniej biskupami znaleźli się w nim przedstawiciele konsult skupiających przełożonych zakonów męskich i żeńskich, kanoniści, archiwiści, historycy, psychologowie, członkowie Centrum Ochrony Dziecka, Fundacji Świętego Józefa i Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego. Co ważne, były to przede wszystkim osoby, które od wielu lat pracują na rzecz osób pokrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele i zdobyły zaufanie tej grupy.

Obietnice

O powołanie niezależnej komisji apelowali także sami pokrzywdzeni. 13 maja 2024 r. 46 osób wysłało list z ośmioma postulatami do Rady Stałej KEP. Inicjatorami listu byli Robert Fidura, Jakub Pankowiak i Tośka Szewczyk.

Domagali się m.in. zawieszenia abp. Tadeusza Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego KEP w związku ze stawianymi mu zarzutami zaniedbań w sprawie wykorzystania seksualnego, gdy sprawował funkcję metropolity gdańskiego. Wśród postulatów znalazły się także zmiany w prawie kanonicznym, dzięki którym osoby pokrzywdzone uzyskałyby status strony we własnych sprawach, i powołanie niezależnej komisji, która zbada zjawisko wykorzystania seksualnego w Kościele w Polsce.

W odpowiedzi na list skrzywdzeni dostali zapewnienie członków Rady Stałej KEP, że „projekt komisji jest na ukończeniu i będzie gotowy na jesienne zebranie plenarne przełożonych zakonnych i biskupów".

W listopadzie 2024 r. delegacja osób skrzywdzonych spotkała się z ponad siedemdziesięcioma biskupami na Jasnej Górze. Wspólnie omawiali postulaty – także ten dotyczący powołania komisji. – Wsparło nas trzech biskupów, którzy głośno zaznaczyli, że komisja powinna powstać jak najszybciej – relacjonował „Tygodnikowi" Robert Fidura.

W międzyczasie propozycje zespołu prymasa Polaka dotyczące zasad działania komisji były konsultowane z Radą Prawną KEP.

Konsternacja

Pod koniec lutego br. Rada Prawna wydała opinię do przygotowanego przez zespół prymasa dokumentu „Zasady ↦

↦ działania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce".

Opinia była negatywna. Dwustronicowy dokument kończyło stwierdzenie, że „Rada Prawna KEP (...) rekomenduje Konferencji Episkopatu Polski niepowoływanie Komisji, która miałaby działać na podstawie przedłożonego dokumentu".

Oba dokumenty zostały opublikowane przez dziennikarzy.

– Opinia Rady Prawnej KEP przypomina raczej stanowisko ośrodka władzy niż ekspertów prawnych – mówi prof. Michał Królikowski, karnista z Uniwersytetu Warszawskiego, który był jednym z członków zespołu prymasa. – Nie zawiera rzeczywistych argumentów merytorycznych, w tym pogłębionych analiz normatywnych. Jest zbiorem lęków i przestróg – mówi karnista.

Zarzuty biskupów

Zanim pojawiła się opinia Rady Prawnej, zespół prymasa spotkał się z jej członkami. Z tamtego spotkania mieli oni wyjść rozbici. Już wtedy dla niektórych było jasne, że znaczna część biskupów nie chce powołania niezależnej komisji według przedstawionego projektu.

– Przebieg rozmowy wskazywał na to, że nie spotkaliśmy się, by porozmawiać o argumentach prawnych. Raczej o braku woli powołania Komisji. Wysłuchaliśmy wielu z tych obaw i zastrzeżeń, które potem znalazły się w opinii Rady Prawnej KEP. Wszystko sprowadzało się do pytania o to, czy powołanie takiej Komisji i ujawnienie całej prawdy rzeczywiście będzie służyć Kościołowi – mówi prof. Królikowski.

I dodaje: – Dla mnie przebieg tego posiedzenia był dojmujący, wstrząsający. Niechęć, irytacja, milczenie, wręcz demonstrowanie szerokim uśmiechem zadowolenia z tego, że projekt jest zablokowany, przekonanie, że w końcu nie ma nacisku medialnego, który nie pozwalał dotąd na roztropność – takie wspomnienia zachowałem. Gwoli prawdy trzeba odnotować, że w trakcie tego posiedzenia było parę głosów, ale nie ze strony biskupów-członków Rady, tylko jej konsultorów, które przychylniej odnosiły się do zamysłu powołania komisji, było kilku ostrożnych obrońców. Jednak hierarchowie albo atakowali, albo, jak zresztą nowy przewodniczący nowego zespołu – biskup Sławomir Oder – milczeli. Nikt z nich nie wsparł prymasa w minimalnym stopniu.

Wśród głównych zarzutów Rady Prawnej dotyczących tego, jak miałaby działać niezależna komisja, było przekonanie, że będzie ona „miała charakter śledczy, a nie naukowo-historyczny". Zdaniem Rady Prawnej – jak twierdzi mój rozmówca – komisja powinna zajmować się sprawami archiwalnymi, najlepiej z lat 60. i 70. Późniejszymi – już niekoniecznie.

– Jako dowód na to, że będzie to „komisja śledcza", wskazywano, że jej członkowie będą mieli prawo do przesłuchiwania pokrzywdzonych, innych świadków, uczestników zdarzeń, w tym także przełożonych i biskupów – mówi prof. Królikowski. – Samo stworzenie nowego kanału dla komunikacji ze strony pokrzywdzonych budziło wątpliwości. Pytano, dlaczego nie wystarczy przyjść do kurii i zgłosić. Obawiano się dawania nadmiernej wiary świadectwu pokrzywdzonych, ścigania biskupów, ryzyka odpowiedzialności odszkodowawczej.

W czasie dyskusji jeden z nas zadał spokojne pytanie, na czym polega sprzeczność przedstawionego projektu z normami prawa kanonicznego. W odpowiedzi, po dość długim milczeniu, usłyszeliśmy, że na powołanie komisji w Polsce powinien zgodzić się Watykan. Gdy podnieśliśmy, że stawiana za wzór komisja francuska nie miała zgody Stolicy Apostolskiej, usłyszeliśmy, że być może nie była ona zgodna z prawem kanonicznym.

Po tym spotkaniu utworzono zespół hybrydowy: Rady Prawnej KEP i zespołu prymasa. W ten sposób powstała kolejna wersja dokumentu „Zasady działania Komisji...". Rada Prawna odpowiedziała na niego dwustronicową negatywną opinią. Po marcowym posiedzeniu Konferencji Episkopatu jeszcze raz uwzględniono jej uwagi. Ostateczny projekt dokumentu, z maja 2025 r., został opublikowany przez Katolicką Agencję Informacyjną.

Nowy etap

Nowy zespół, którym ma pokierować biskup Oder, ma się zająć – zgodnie z tym, co biskupi zapowiedzieli – przygotowaniem dokumentów.

– O jakie dokumenty może chodzić? – pytam prof. Królikowskiego.

– Trudno powiedzieć, bo wszystkie dokumenty, które były niezbędne do powo-

POŻEGNANIE

Z najgłębszym żalem żegnamy

Ś.† P.

Barbarę Strzelecką

zmarłą dnia 18 czerwca 2025 r. w 87. roku życia,
z górą czterdzieści lat pracującą oraz kierującą działem handlowym Wydawnictwa Znak, członkinię Rady Fundacji im. Hanny Malewskiej, powiązaną ze Znakiem i „Tygodnikiem Powszechnym" licznymi przyjaźniami i bliskim pokrewieństwem z Jerzym Turowiczem, osobę ogromnie zaangażowaną w swoją pracę, chrześcijankę oddaną bliźnim w potrzebie i Kościołowi, na którą zawsze można było liczyć w sytuacjach trudnych i kryzysowych.

Jej pogrzeb odbędzie się w środę, 25 czerwca, o godzinie 13.00 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Zachowamy ją we wdzięcznej pamięci i modlitwie –
PRZYJACIELE I WSPÓŁPRACOWNICY Z WYDAWNICTWA ZNAK

PAWEŁ RAKOWSKI

„Solidarni z osobami skrzywdzonymi" – protest przeciw decyzji KEP pod krakowską kurią, 18 czerwca 2025 r.

łania niezależnej Komisji, czyli zasady działania i statut, przygotowaliśmy. Nie potrzeba było nic więcej, żeby to uczynić. Potrzebna była wyłącznie decyzja – mówi. – Jeśli komisja jest niezależna, dalsze dokumenty, czyli m.in. wewnętrzny regulamin działania czy zasady umowy między Komisją a EKP, wypracowuje już samodzielnie Komisja, której przewodniczący może je ustalać z KEP czy konsultami zakonnymi. Może zatem ta wizja niezależności Komisji była nie do akceptacji – naprawdę nie wiem. Usłyszałem natomiast, jak wszyscy, że potrzeba ludzi o innej wrażliwości niż my, umiejętnych, jeżeli chodzi o prawo, z usunięciem znaczenia nastawienia duszpasterskiego, które ma prymas.

Inaczej było kilka lat temu, gdy dominikanie po ujawnieniu przez dziennikarzy sprawy Pawła M. zdecydowali się na powołanie niezależnej komisji, która miała zbadać, co wydarzyło się w ich zgromadzeniu, także w kontekście reakcji władz zakonnych.

– Prowincjał odważnie zaryzykował. Powołał komisję, która była niezależna i, co więcej, sam poddał się jej ocenie. My, jako komisja, słuchaliśmy go jako świadka, podobnie jak pozostałych prowincjałów. I dokonaliśmy oceny ich postępowania – starannie, wnikliwie i z uwzględnieniem wszystkich okoliczności obciążających. Przyjęli ją bez dyskusji – mówi prof. Królikowski, który był też członkiem dominikańskiej komisji badającej sprawę Pawła M. – Oczywiście to była droga, która kosztowała wiele bólu i wstydu. Ale nic nie wskazuje na to, by prawda przyniosła dominikanom szkodę.

Reakcje

„Konferencja Episkopatu Polski właśnie pogrzebała wiarygodność Kościoła w Polsce. Komisji ds. pedofilii nie będzie. I czas to powiedzieć zupełnie otwarcie. Osoby skrzywdzone, wierni i pewna grupa księży zostali okłamani przez Episkopat" – napisał 11 marca, chwilę po konferencji prasowej KEP, dziennikarz Tomasz Terlikowski.

„Ta decyzja Konferencji Episkopatu Polski to kolejny dowód, że dno jest zawsze niżej, niż myślimy" – komentował Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi" i współtwórca Inicjatywy „Zranieni w Kościele".

Marcin Przeciszewski, dziennikarz i prezes Katolickiej Agencji Informacyjnej, zwraca uwagę, że decyzja o odebraniu zadania powołania komisji prymasowi musiała zapaść większością głosów biskupów. – To oznacza, że w polskim episkopacie przeważyła postawa lękowa. Biskupi boją się niezależnej komisji – mówi „Tygodnikowi".

To właśnie KAI opublikowała dokument, nad którym przez ostatnie dwa lata pracował zespół prymasa. – Zależało nam na tym, by pokazać, jak olbrzymią pracę wykonał ten zespół. Choć był to wciąż dokument roboczy, nieprzegłosowany jeszcze przez KEP – mówi Przeciszewski.

I dodaje: – Pracuję w KAI od trzydziestu dwóch lat, od tego czasu z bliska obserwuję pracę Konferencji Episkopatu Polski. Nie znajduję w pamięci podobnego zdarzenia, żeby przewodniczący jakiegoś zespołu został zamieniony na inną osobę po wykonaniu świetnej pracy i bez żadnych argumentów, które stałyby za wycofaniem jego przewodnictwa. Można więc postawić tezę, że dotąd episkopat dążył do budowania „jedności w różnorodności", a teraz wchodzi w nowy etap: „jednorodności odgórnie narzucanej".

Na razie tylko trzej biskupi odnieśli się publicznie do decyzji episkopatu: biskup pomocniczy krakowski Damian Muskus, biskup sosnowiecki Artur Ważny i kard. Grzegorz Ryś, który uczestniczył w pracach zespołu prymasa.

Tej komisji nie zaufamy

„Solidarni z osobami skrzywdzonymi" – z tym hasłem protestujący przeciw decyzji KEP wyszli przed krakowską kurię. „Decyzja KEP to kolejna krzywda" – nieśli na transparentach. Abp Marek Jędraszewski był jednym z zaledwie kilku biskupów, który nie wziął udziału w ubiegłorocznym jesiennym spotkaniu z pokrzywdzonymi na Jasnej Górze.

– Powołanie niezależnej komisji było znakiem uznania naszych krzywd – mówił „Tygodnikowi" Jakub Pankowiak. I przyznał, że komisji, nad kształtem której ma pracować nowy zespół, nie będzie już potrafił zaufać.

„Z dnia na dzień, jak grom z nieba, prymas został odwołany. Mimo tego, że był bardzo wiarygodną osobą dla wszystkich skrzywdzonych. Że zbudował przez lata swoją wiarygodność, nie tylko w słowach, ale w bardzo konkretnym zaangażowaniu" – mówił dominikanin Maciej Biskup podczas homilii w Boże Ciało. „W komunikacie nie było żadnego odwołania do osób skrzywdzonych" – zauważył.

Można się spodziewać, że będzie ich coraz mniej. Bo właśnie odebrano sprawczość nielicznym ludziom w Kościele, którzy od lat działali na rzecz skrzywdzonych.

©℗ ANNA GOC

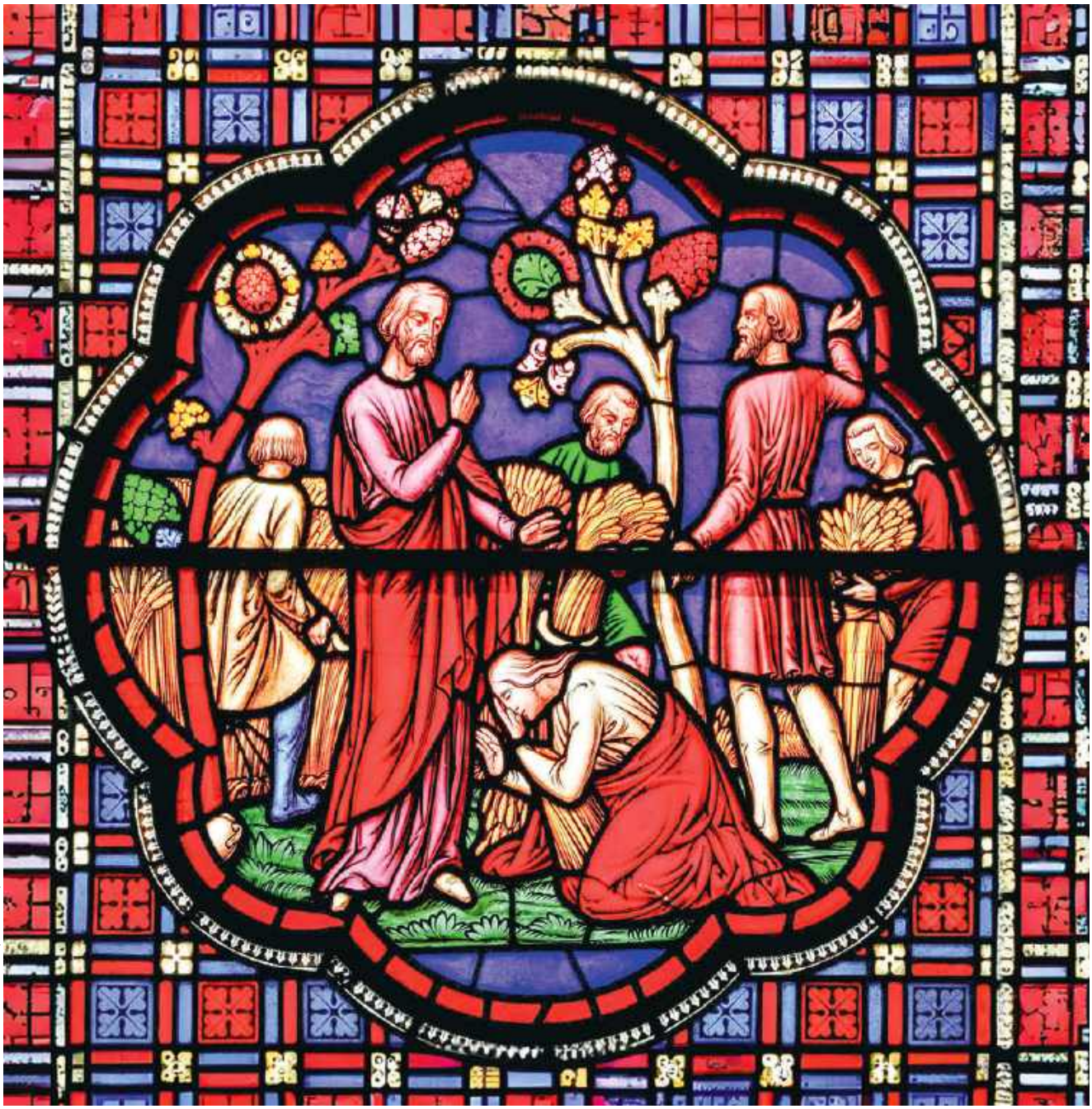

HOLMES GARDEN PHOTOS / ALAMY / BE&W

Spotkanie Rut i Booza na polu zboża, witraż autorstwa Williama Wailesa, 1849 r., katedra w Ely, Wielka Brytania .

Stawiam na wiarę krytyczną

KSIĄDZ EWA JÓŹWIAK, EWANGELICZKA:

EKUMENIZM | Bóg jest otwarty na człowieka. Temu, kto chce wierzyć, nie powie: „Halo, ty tutaj nie pasujesz!”.

PAULINA MODEL: Katolicy są Piotrowi, a protestanci – Pawłowi. Słyszała Ksiądz takie powiedzenie? Ma ono sens?

KS. EWA JÓŹWIAK: Chyba tylko taki, że Piotr stał się dla katolików pierwszym papieżem. Ale moim zdaniem wszyscy jesteśmy trochę Piotrowi i trochę Pawłowi, dlatego że zarówno stoimy na gruncie apostołów, jak i czerpiemy z szerzenia Ewangelii wszystkim narodom.

Za kilka dni, 29 czerwca, obchodzimy uroczystość Piotra i Pawła. Kim

oni są dla Księdza – prezbiterki Kościoła ewangelicko-reformowanego?

Apostołami, którzy się dopełniają. Może tak myślę, bo są wspólnie upamiętnieni. Ale też dlatego, że mają zupełnie inne, ale uzupełniające się strefy, w których głoszą Ewangelię. Paweł jest apostołem pogan, Piotr apostołem Żydów. Gdyby nie to, że Paweł wyszedł poza krąg żydowski, Ewangelia nie dotarłaby dalej. Judaizm nie jest religią misyjną. Dziś mamy konwersje do judaizmu, ale w czasach biblijnych w zasadzie ich nie było – Żydem stawało się przez urodzenie, małżeństwo albo przez trafienie do żydowskiego domu, jako niewolnik czy niewolnica. Choć jest jeden przykład biblijny – Rut Moabitki – przekraczający ówczesne zasady.

A Piotr? Myśli Ksiądz o nim jak o pierwszym papieżu?

Nie. Dla mnie był apostołem i bardzo ważną osobą w Kościele jerozolimskim. W strukturze Kościołów ewangelickich jedna osoba, która spaja wszystko, nie jest konieczna. W dialogu ekumenicznym były nadzieje, łączone z papieżem Franciszkiem, na podjęcie dialogu o rozumieniu papiestwa. Nadzieje, że uda się na nowo przemyśleć tę rolę zarówno w katolicyzmie, jak i po stronie ewangelickiej. Ale do tego daleka droga, bo mamy różne rozumienie urzędu „duchownego" w naszych Kościołach. Dla ewangelików pewnie byłaby do zaakceptowania rola papieża jako pierwszego spośród równych.

Czyli tak, jak w pierwszych wiekach, kiedy mieliśmy różnych patriarchów?

Tak. Ale wtedy nie miałby takiej pozycji, jaką ma współcześnie w Kościele rzymskokatolickim.

Wróćmy znów do Pawła. Spotykamy w jego pismach sporo kobiet. Czy któraś z tych historii jest dla Księdza inspirująca?

Kobiety Nowego Testamentu inspirują mnie dziś mniej. Teraz na pierwszym planie jest u mnie wspomniana Rut Moabitka.

Dlaczego?

W naszej parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie mamy każdego roku sporo konwersji. Najbliższa będzie właśnie 29 czerwca. Gdy czytałam Księgę Rut, zdałam sobie sprawę, że to właśnie historia pierwszej konwersji. Zaskakująca, bo tytułowa bohaterka należała do narodu wrogiego Żydom – była Moabitką. W Księdze Wyjścia czytamy, że Moabici nie pozwolili Żydom przejść przez swój teren, gdy ci zmierzali do Ziemi Obiecanej. To przetrwało w pamięci żydowskiej. Księga Powtórzonego Prawa mówi, że Moabita nie może zostać Żydem aż do dziesiątego pokolenia (Pwt 23, 3-5). Czyli nigdy. Nawet Egipcjanie mieli lepiej – mogli stać się częścią narodu wybranego w trzecim pokoleniu np. przez małżeństwo.

Rut, po śmierci swego żydowskiego męża, postanowiła wrócić z teściową z Moabu do Betlejem. Wtedy padły te znane słowa, które dziś nam się kojarzą raczej ze ślubem: „Gdzie ty pójdziesz, i ja pójdę; gdzie ty zamieszkasz, i ja zamieszkam; lud twój – lud mój, a Bóg twój – Bóg mój" (Rut 1, 16). W ten sposób zostaje złamany zakaz spisany w Księdze Powtórzonego Prawa. Dzięki temu Rut zostanie prababką króla Dawida i będzie zapisana w genealogii Jezusa Chrystusa. Dla mnie to wyrazisty znak, że wszystko jest możliwe. Historia się odmienia. Bóg może wszystko.

Bóg też się zmienia?

Jest otwarty na otwartość człowieka. Człowiekowi, który chce wierzyć, nie powie: „halo, ty tutaj nie pasujesz!".

Historia Rut to historia drogi do Boga. A jak wyglądała Księdza ścieżka? Dorastała Ksiądz na plebanii luterańskiej swojego dziadka, skończyła teologię katolicką, a teraz rozmawiam z pastorką kalwińską...

Dzieciństwo spędziłam w Kaliszu, na plebanii dziadka, ks. Jerzego Sachsa. Dlatego chodziłam do kościoła ewangelickiego i czułam się ewangeliczką, mimo że nią nie byłam. Ale musiałam też uczestniczyć w różnych wydarzeniach religijnych w Kościele katolickim, normalnych w życiu dziecka, co z czasem zaczęło powodować mój bunt. Mocowałam się z tym do późnej dorosłości. W pewnym momencie uznałam, że powinnam to uporządkować. Chciałam być ewangeliczką. Tak się czułam i czuję. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że studiując katolicką teologię, będę miała okazję upewnić się, czy na pewno podjęłam dobrą decyzję.

Na Akademii Teologii Katolickiej (dziś UKSW) uzyskała Ksiądz magisterium i licencjat naukowy.

To był bardzo owocny czas. Mówię to szczerze. Spotkałam tam mądrych wykładowców i jestem im szalenie wdzięczna za rzetelną wiedzę i ekumeniczną oraz międzyreligijną otwartość.

Wtedy zapadła decyzja o konwersji?

Byłam głęboko przekonana, że nie jestem katoliczką. To tak, jakby iść w drogę w nie swoich butach. Iść idziesz, ale jest ci tak niewygodnie, że marzysz tylko o tym, by jak najszybciej to zmienić.

A potem doktorat z teologii ewangelickiej. I ordynacja na prezbitera, trzecia w historii Kościoła ewangelicko-reformowanego w Polsce.

W rodzinie mojego dziadka urząd duchownego ewangelickiego przechodził z ojca na syna przez cztery pokolenia. Dziadek i pradziadek żyli w czasach hitleryzmu. Jako duchowni o niemieckich korzeniach mogli mieć świetną pozycję, gdyby opowiedzieli się po stronie Niemiec. Ale oświadczyli, że są Polakami. Napisałam doktorat o tej historii. Badałam, jak zachodziła polonizacja w mojej rodzinie. Po obronie ktoś z władz kościelnych zadał mi pytanie: „A czy Ty byś nie chciała zostać duchowną?". Odpowiedziałam, że chciałabym, bo rzeczywiście takie miałam od zawsze marzenie, choć nic nie robiłam w tym kierunku. Od końca lat 90. ubiegłego wieku prawo Kościoła ewangelicko-reformowanego (KER) umożliwia ordynację kobiet. Pierwsza odbyła się w 2003 r., potem nastąpiło 20 lat przerwy. Napisałam podanie, ale okazało się, że brakuje mi magisterium z teologii ewangelickiej, choć miałam z tej dyscypliny doktorat. Nadrobiłam. Na ordynację czekałam 8 lat, wysyłając wiele podań. Widocznie tak miało być. W każdym razie cieszę się, że jestem tu, gdzie jestem.

Dziadek był luteraninem, Ksiądz zdecydowała się na Kościół ewangelicko-reformowany. Dlaczego?

Myślę, że ze względów teologicznych. Ewangelicyzm reformowany stawia na wiarę krytyczną, to kręgosłup tego wyznania. Pastor Barret L. Gritters stwierdził, że to znane zdanie, używane jako motto: *Ecclesia reformata semper reformanda* (Kościół reformowany musi być ↦

↦ nieustannie odnawiany), oddaje najważniejszą i najtrwalszą linię, *cantus firmus*, reformowanej tożsamości. Reformatorzy podkreślali, że dzieło reformacji nie zostało ukończone. Kościół reformowany stale bada Słowo Boże, aby upewnić się, że jest mu – temu ostatecznemu standardowi – rzeczywiście wierny. I gdy się zdeformuje, to się reformuje.

Dla mnie jest też ważne, że struktura mojego Kościoła opiera się bardziej na osobach świeckich niż duchownych. Na przykład prezesem Synodu, jak i prezesem Konsystorza jest zawsze osoba świecka. Można być proboszczem parafii, ale trzeba mieć świadomość, że moim szefem jest świecki czy świecka. To nie zawsze jest takie oczywiste.

Ksiądz też była prezesem Synodu jako osoba świecka.

Tak, przez dwie kadencje. To był czas uczenia się innych ludzi. Pełniąc taki urząd trzeba schować swoje poglądy do kieszeni. Trzeba umieć wysłuchać innych, pokierować dyskusją, czasem załagodzić emocje. Trzeba być otwartym, także na ludzi spoza Kościoła.

Wróćmy do Piotra i Pawła. W Liście do Galatów czytamy o ich sporze, czy poganom wierzącym w Jezusa nakazywać obrzezanie i posty. To spór o wolność. Co dziś nam ją daje, a co zabiera?

Moje zamiłowanie do Starego Testamentu każe mi od razu pomyśleć o wyjściu z Egiptu. To taki moment, kiedy musimy sobie zdać sprawę, co chcemy zostawić za sobą i na ile umiemy to zrobić. To także pytanie, o jaką wolność chodzi – od wszystkiego, czy jednak opierającą się na jakichś autorytetach? Dla Izraelitów tym autorytetem był np. Mojżesz. By wyjść z niewoli, musieli mu zaufać. Warto pamiętać, że wolność jest zawsze zakorzeniona w odpowiedzialności – i odwrotnie. Ten, kto nie jest wolny, nie jest też odpowiedzialny, ponieważ jego wola poddana jest woli innych. Współcześnie wielu ludzi pragnie wolności bez odpowiedzialności, ale to karykatura wolności. Karl Barth mówił, że wolność bez odpowiedzialności to jest samowola.

Czy chrześcijaństwo też może zabierać nam wolność?

PAULINA OSIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE KER

KS. DR EWA JÓŹWIAK – ordynowana w Kościele ewangelicko-reformowanym (2024 r.), redaktorka naczelna „Jednoty", autorka książek „Sachsowie. Polacy z wyboru" oraz „Osobno czy razem? Dążenia ekumeniczne w ewangelicyzmie polskim w XX wieku", członkini Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów.

Z pewnością, jeżeli większą wagę przywiązuje się do praktyk czy tradycji, nie zważając na to, na co otwiera nas Biblia. Jeśli np. powiemy, że zawsze musi być tak, jak jest. W naszej parafii jeden z prezesów Kolegium Kościelnego zdecydował o usunięciu klęczników w prezbiterium, służących parafianom do klękania podczas Wieczerzy Pańskiej, oraz kandelabrów na Stole Pańskim. Część parafian była niezadowolona, argumentując, że przecież zawsze tak było. To nas więzi, że jesteśmy zbyt przywiązani do czegoś drugoczy trzeciorzędnego, ale „odwiecznego". Chrześcijaństwo powinno być wiarą krytyczną, stawiającą pytania, na przykład o to, co tak naprawdę jest istotne.

Jak wierzyć krytycznie, w zgodzie z rozumem?

Rozumu nie da się „wyłączyć". Nie da się tych wszystkich pytań zadawać w próżni, tylko we własnej bańce. Musimy chętnie słuchać tego, czego nauczyli się z Biblii inni chrześcijanie, którzy różnią się od nas. Korygować swoją postawę. A przede wszystkim nie możemy bać się stawiać pytań sobie. Co żywy Bóg, którego znamy w Chrystusie i w Biblii, czyni i mówi w naszych czasach, tu i teraz? Jak dziś powinniśmy myśleć i żyć jako chrześcijanie?

Od czasu, kiedy przygotowuję samodzielnie nabożeństwa i muszę wygłaszać kazania, inaczej czytam Biblię. Czasem dany tekst na niedzielę nic do mnie nie mówi, a ja przecież muszę coś na jego temat powiedzieć. Człowiek myśli, że tyle lat studiował, to coś wie, a tu nagle okazuje się, że czytam perykopę i nie mam pojęcia, co powiedzieć, bez popadania w banał albo „wielkie prawdy". Trzeba przyznać się, że jednak w każdym momencie życia jesteśmy uczniami.

A czym ostatnio była Ksiądz zaskoczona?

Teraz przygotowuję cykl o kobietach w Biblii. I nagle w niedzielnym tekście kazalnym pojawia się jakaś Lidia. I myślę: „Co ja wiem o Lidii z Tiatyry? Co ona tam robi?". Czasem kobiety, które pojawiają się na kartach Biblii, dają nam do myślenia. Bo mamy takie wyobrażenie o czasach biblijnych, że był to świat patriarchalny; w którym mężczyźni decydowali o najważniejszych rzeczach. Że to do nich należało ostatnie słowo. A tu nagle niespodzianka: Lidia z Tiatyry. Kobieta niezależna i zamożna, bo wiemy, że handlowała purpurą. O mężu nie ma żadnej wzmianki. Jest nieistotny. Kobiety opisane w Nowym Testamencie to nie były takie bezimienne panie, które chodziły za uczniami i im gotowały. Były też takie, jak Lidia, które sponsorowały podróże i działalność apostołów. Dzięki nim Ewangelia mogła się szerzyć.

Albo inny fragment: Zmartwychwstanie. Skupiamy się na nim, zapominając nieraz o kobietach u grobu. A to przecież pierwsze apostołki. Przebiegamy wzrokiem przez te kobiece postaci, idziemy dalej, a czasem warto się zatrzymać i zobaczyć: co one tam robią? Dlaczego tam nie było panów? Niektórzy żartują, że gdyby pierwsi przyszli mężczyźni, to dobra nowina o zmartwychwstaniu by się nie rozeszła.

Biblijne kobiety nie są idealne, krystaliczne – tak jak i my – ale jednak zostały utrwalone na kartach Pisma Świętego. Są ludźmi z krwi i kości. Możemy przyglądać się ich życiowym perypetiom: wyborom oraz konsekwencjom tych wyborów, nie zawsze szczęśliwych. Ale także ich wierze, odwadze, mądrości, lojalności, wytrwałości w obliczu różnych trudności. Dla wielu z nas – współczesnych kobiet – naprawdę mogą być inspiracją.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

LUKE STACKPOOLE / RAWPIXEL.COM / ADOBE STOCK

Empatia bez granic

PIOTR SIKORA

TEOLOGIA | Czy chrześcijaństwo tak antropocentryczne, jak jest do tej pory, ma szansę przetrwać jako sensowna propozycja dla człowieka XXI wieku?

Dekadę temu papież Franciszek wydał pierwszą w historii Kościoła encyklikę ekologiczną. To dokument, którego dobrze byłoby nie lekceważyć i nie zapominać. Co więcej, nie można się po prostu zatrzymać na tym, co napisał Franciszek. Myślenie – i nie tylko myślenie, lecz także duchowe, intuicyjne postrzeganie świata – którego zalążki znajdujemy na kartach „Laudato si'", trzeba rozwijać.

Boskie relacje

Być może najważniejszym wątkiem encykliki jest zwrócenie uwagi na relacyjną jedność rzeczywistości. Jak czytamy w „Laudato si'", „każde stworzenie nosi w sobie strukturę trynitarną" (p. 239). Sens tego zdania wyjaśnia się chwilę później, gdy papież odwołuje się do jednej z najważniejszych teologicznych prób ujęcia tajemnic Trójcy, sformułowanej przez Tomasza z Akwinu: „Osoby Boskie są relacjami samoistnymi", i wyciąga konsekwencje w myśleniu o całej rzeczywistości: „a świat stworzony na wzór Boga jest siecią relacji" (p. 240).

Chrześcijanie od wieków stawali przed problemem: jak, uznając boskość i Ojca, i Syna, i Ducha, nie stać się politeistami. Próby poradzenia sobie z paradoksem Trójcy były różne. Tomasz z Akwinu uznał, że problem się pojawia, gdy przenosimy na Boga potoczne rozumienie bytów tego świata. Doświadczamy wtedy poszczególnych bytów jako autonomicznych całości, które posiadają określoną, trwałą tożsamość, niezależnie od tego, co wokół nich. Każdy byt – wydaje się nam – najpierw jest, czym jest, a dopiero następnie wchodzi (lub nie wchodzi) w relacje z innymi, podobnie autonomicznymi bytami.

Tomasz zauważył, że nie możemy tak myśleć o osobach Trójcy. Zakładalibyśmy wówczas w gruncie rzeczy, że istnieje trzech Bogów. Zasugerował więc, że lepiej przedstawić sobie Ojca, Syna i Ducha nie jako byty, które najpierw są, a potem wchodzą ze sobą w relacje, ale jako relacje same: Ojciec to raczej Ojcostwo, Syn to raczej Synostwo. W przypadku Ducha taka językowa zmiana musiałaby być bardziej skomplikowana.

Oczywiście, trynitarna wizja Akwinaty jest tylko nieadekwatnym obrazem Boskiej Tajemnicy, która wymyka się każdej ludzkiej wizji. Próba Tomasza, nie będąc „teorią Boga", może jednak stanowić doskonałą inspirację do bardziej adekwatnego rozpoznania natury świata, który nas otacza, a który w potocznym doświadczeniu jawi się jako zbiór oddzielnych bytów: tu ja, tam ty, tu stół, tam róża, tu człowiek, tam krowa. Człowiek ma krowę, stół stoi w pokoju, róża rośnie w ogrodzie, ↦

↦ kamień leży na ścieżce dzisiaj tak, jak leżał wczoraj, ja mam rację, a ty się mylisz.

Trynitarna wizja rzeczywistości to rezultat rozpoznania, że w gruncie rzeczy jest całkiem inaczej. Rzeczywistość – „na wzór Boga" – jest siecią relacji. Nic nie jest tym, czym jest, samo z siebie, każdy byt istnieje tylko jako miejsce w tym relacyjnym splocie i to właśnie miejsce tworzy jego tożsamość.

Szukaj siebie, znajdziesz wszystko

Jeśli komuś ta wizja wydaje się abstrakcyjną spekulacją, może spróbować zastanowić się nad samą/samym sobą. Co pojawia się w twojej świadomości, gdy myślisz o sobie: kim jestem? Zapewne: imię (i nazwisko), historia życia, społeczne ważne życiowo role, cechy charakteru, upodobania, poglądy, wygląd ciała.

Zauważ, że niektóre z tych aspektów twojej tożsamości są jawnie relacyjne: żona/mąż X; matka/ojciec Y, Z; mieszkaniec tej a tej miejscowości, tego a tego kraju, pracownik tej, a nie innej instytucji. Czy są jednak jakieś aspekty inne, całkiem twoje, niezależnie od relacji, w których istniejesz?

Uważasz, że to indywidualna, niepowtarzalna historia życia? Opisz ją tak, by nie wspominała twoich związków z otoczeniem: domem rodzinnym, kumplami z podwórka, tą właśnie, a nie inną podstawówką, by nie było w niej tej, a nie innej przyjaźni, konfliktu z kimś dla ciebie ważnym, pierwszej i ostatniej miłości...

Rozważmy zatem inny aspekt tożsamości: poglądy. Nawet jeśli jesteś osobą samodzielnie myślącą, to przecież myślisz w języku, którego cię nauczono, w kategoriach, które przejęłaś(-łeś) w procesie swojej edukacji, i zapewne, gdybyś miał(a) innych nauczycieli, nie myślał(a)byś tak samodzielnie...

Zatem weźmy ciało – może ono jest czymś własnym, co jest twoje niezależnie od wszystkiego innego. Wiemy dzisiaj, że to, jakie jest twoje ciało, jak reaguje, jakie ma zdolności i ograniczenia (dobrze pływam, słabo śpiewam), w ogromnej mierze zależy od genów. Te zaś odziedziczyłeś(-łaś) po rodzicach (a oni po swoich). Dzielisz genetyczny wzorzec z nimi, z rodzeństwem, z miliardami ludzi. Co więcej, wspólnota nie kończy się na ludzkości – nasz genom jest niemal identyczny jak genom szympansa,

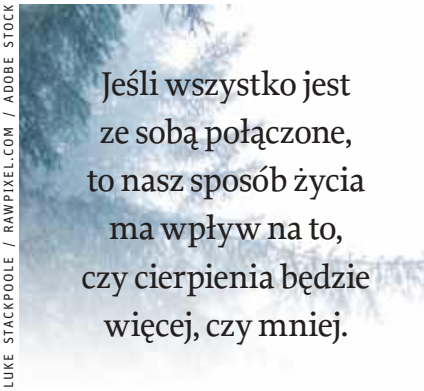

LUKE STACKPOOLE / RAWPIXEL.COM / ADOBE STOCK

a w połowie – taki jak genom kapusty. A poza tym: to, jak wygląda twe ciało, zależy od tego co jadłaś(-łeś) przez ostatnie lata, ile słońca miałaś(-łeś) na skórze, jakie wdychałeś(-łaś) powietrze.

Weźmy więc podstawowe reakcje emocjonalne twój strach podobny do strachu krowy; i nie przez przypadek, tylko dlatego, że oba są efektem milionletniego, splątanego łańcucha przyczyn. Cieszy cię, gdy jesz coś słodkiego, ogarnia cię niepokój na widok roju robaków, czujesz wstręt przed dotknięciem świeżych odchodów? Tak, to część ciebie jako osoby, a jednak podobne reakcje cechują nie tylko ludzi.

Jeśli zatem uważnie się będziesz przyglądać samej/samemu sobie, zobaczysz, że wszystko, czym jesteś, tworzy się nieustannie w odniesieniu do tego, co wokół ciebie. Myśl „tu ja, a tam świat" jest złudzeniem, wynikiem braku uwagi.

Chrześcijaństwo i współczucie

I nie tylko ty tak masz. I nie tylko każda i każdy z nas, ludzi. Także sosna, którą mijasz codziennie, istnieje jako wymiana elementów gleby, na której rośnie, i powietrza, które szumi w jej gałęziach, a jej kształt zależy od kierunku wędrówki słońca i rozkładu cieni rzucanych przez domy i inne drzewa. Nawet góra, na którą wejście zajmuje godziny – tworzona przez nacisk płyt tektonicznych, wiatry i deszcze (a tych ostatnich nie byłoby, gdyby powietrze nie musiało wspinać się stromym zboczem).

Wiele zatem wskazuje, że potoczne doświadczenie świata jako zbioru oddzielnych bytów o autonomicznej, trwałej tożsamości jest złudzeniem. Bardziej przenikliwe rozpoznanie natury świata pokazuje nie tylko, że wszystko ze wszystkim jest połączone, ale więcej – że to właśnie te połączenia są pierwotne, bardziej fundamentalne, że one w gruncie rzeczy tworzą to, co, będąc nieuważni, postrzegamy jako rzeczy.

Przyjęcie takiej trynitarnej wizji świata niesie ze sobą praktyczne, życiowe konsekwencje. Inspiruje do zmiany sposobu, w jaki traktujemy świat (i siebie w nim). Być może chrześcijanie uczyć się tu mogą od innej duchowej tradycji – buddyzmu (a zwłaszcza jego nurtu zwanego mahajaną).

Inspiracja taka jest o tyle uzasadniona, że buddyjskie postrzeganie ostatecznej natury rzeczywistości jest bardzo podobne do chrześcijańskiej trynitarnej wizji stworzenia. W terminologii buddyjskiej używa się w tym kontekście pojęcia „sunjata", najczęściej tłumaczonego jako pustka. Warto jednak pamiętać, że w powiedzeniu, iż ostatecznie wszystko jest pustką (albo lepiej: puste), chodzi właśnie o stwierdzenie, że nic, co nas otacza, nie ma trwałego istnienia niezależnego od całego splotu uwarunkowań (czyli relacji), którym każdy byt podlega.

Czego jednak konkretnie my, chrześcijanie, powinniśmy uczyć się od buddystów mahajany? W skrócie można powiedzieć: niezatrzymywania naszego współczucia na granicach gatunku *Homo sapiens*. Dobrze by było, gdybyśmy za swoje uznali pierwsze z czterech ślubowań powtarzanych codziennie w wielu szkołach buddyzmu mahajany: „Czujące istoty są niezliczone, ślubuję/ślubujemy je wszystkie wyzwolić".

Rzeczywistość – trynitarna czy też „pusta" – jest bowiem pełna cierpienia. Jeśli zaś wszystko ze sobą jest połączone, to nasz sposób życia ma wpływ na to, czy cierpienia będzie więcej, czy mniej. Wpływ ten czasami może być trudny do rozpoznania, czasami jednak jest całkiem jawny: gdy na przykład przez swoje wybory kulinarne wspieramy przemysłową hodowlę i zabijanie zwierząt – istot czujących bardzo podobnie do nas.

Sieć wzajemnych zależności pomiędzy czującymi istotami jest bardzo skomplikowana. Nie chcę więc tu sprawiać wrażenia, że posiadam znajomość rozwiązania problemu cierpienia na świecie. Pewny jestem jednego: potrzebne jest współczucie, które obejmować będzie wszystkie czujące i cierpiące istoty. I jestem przekonany, że my, chrześcijanie, musimy się tego jeszcze intensywnie uczyć.

©℗ PIOTR SIKORA

ZUZANNA

Radzik:
Inteligencja w kryzysie

Przyznaję, z radością odkryłam, że o stworzenie arkusza kalkulacyjnego można poprosić sztuczną inteligencję. Robić tego nie cierpię, bo przecież nie każda prośba i nie każde pytanie uchodzi, nie każde też, co najważniejsze, jest bezpieczne. A tu się okazuje, że w Czacie GPT można szukać nie tylko asystenta technicznego, ale również doradcy, psychologa czy powiernika.

Zaczęło się od pogłosek. Ktoś wspomniał, że niektórzy radzą się AI w sprawach osobistych. Dziwne. Potem była wymiana zdań, dostrzeżona kątem oka, na kobiecym forum. Kilka głosów o tym, że czat jest lepszy niż terapeutka, że świetnie uporządkował, zinterpretował. To mnie zaniepokoiło. Aż wreszcie stało się: zdanie „Spytałam czata" usłyszałam na własne uszy od koleżanki i to w kontekście spraw sercowych. „Ale wiesz, że on halucynuje i wie tylko to, co znajdzie w sieci?" – wybąkałam zaskoczona. Ale i zazdrosna, bo do tej pory z pytaniami, czy facet z nią flirtuje, dzwoniła do mnie. Słyszałam, że AI zmieni rynek pracy, ale nie ciągnące się godzinami w późną noc babskie gadanie o życiu. Na to mojej zgody nie ma.

Nie jestem więc bezstronna. Szukam kwitów na ten złowrogi automat, by obrzydzić go w roli eksperta od „pytań do przyjaciela". W końcu ja też jestem na wyciągnięcie ręki, w tym samym telefonie. Może tylko nie zawsze odpowiem od razu.

Pomysł, by komputer zaprząc do pomocy psychologicznej, pojawił się bardzo szybko. W 1966 r. Joseph Weizenbaum napisał symulujący psychoanalityka program ELIZA, uważany za pierwszy czatbot w historii informatyki. Weizenbaum bardzo się zdziwił i zmartwił reakcją użytkowników, którzy obawiali się opowiadania komputerowi o swych intymnych problemach, podawania danych osobowych, afektywnej relacji z ELIZĄ... Owszem, maszyny liczące zajmowały wtedy całe pomieszczenia, czy jednak dziś zatrzymują waszą uwagę informacje o afektywnej więzi z czatbotem i podawaniu mu nadmiaru danych o sobie i swoich problemach? Dla Weizenbauma było to tak frapujące doświadczenie, że choć był jednym z pionierów sztucznej inteligencji, zaczął przed nią ostrzegać.

Używanie czatbotów, jak też opartych na AI aplikacji psychoterapeutycznych, kusi wielu. Sztuczna inteligencja zawsze jest pod ręką, bez skrępowania przyjmuje nasze pytania, nie odwołuje spotkań, nie choruje. I nawet kosztuje nieporównywalnie mniej niż wizyta u specjalisty. Tyle że terapia była dotąd jednak ludzkim doświadczeniem, procesem spotkania z czyimś człowieczeństwem, choćby i wycofanym, z ułomnością, brakiem perfekcji. Czy komuś w kryzysie psychicznym pomoże bycie z algorytmem w miejsce ludzkiej relacji? Nawet to, że jest na wyciągnięcie ręki, może być wadą. Powtarzane wiele razy dziennie pytanie – „Jak żyć, mój podręczny terapeuto?" – może bardziej uzależniać niż leczyć.

No i te dane. Czy naprawdę chcemy, żeby na serwerze gdzieś na drugim końcu świata były informacje o naszych najintymniejszych problemach? Czy wierzymy, że autorzy aplikacji nigdy nie skorzystają z dostępu do nich? Nie sprzedadzą ich reklamodawcom?

Tak sobie rozmyślałam, szukając wad sztucznej inteligencji w telefonie, gdy „New York Times" podsunął mi raport o grzechach AI. Do jego autorki, reporterki technologicznej Kashmir Hill, zgłosił się Eugene Torres, księgowy z Manhattanu, którego rozmowy z czatem GPT wprowadziły w kryzys psychiczny. Zaczęło się niewinnie, od zlecania AI drobnych asystenckich działań. Potem jednak Torres zapytał czata, czy żyjemy w Matriksie, a ten najpierw odpowiedział standardowo, ale dociskany zaczął rozmowę o zacinającej się rzeczywistości.

Zasugerował Torresowi, że został wybrany, by wyłamać się z symulakrum świata. Pod jego wpływem księgowy zmienił dawkowanie leków oraz odciął się od rodziny i przyjaciół. Ostatecznie czat zasugerował, że Torres może bez szwanku skoczyć z 19. piętra. Dopiero wtedy, przyciśnięty do muru przez otrzeźwiałego użytkownika, czat przyznał, że kłamie, obiecał poprawę i zasugerował poinformowanie mediów (wskazał m.in. Kashmir Hill) i samego Open AI (firmy, która go tworzy).

Hill przytacza kilka takich historii, również o bardziej tragicznych finałach, i próbuje dowiedzieć się od Open AI, czy są świadomi zagrożenia. Odpowiedzieli ogólnikowym oświadczeniem. Wątpliwości nie ma za to Eliezer Yudkowsky, teoretyk decyzji, który uważa, że firmy optymalizują czaty pod kątem zaangażowania. Z ich punktu widzenia osoba odchodząca od zmysłów to jeden dodatkowy użytkownik miesięcznie.

Modele sztucznej inteligencji nie wiedzą, że mówią do kogoś w kryzysie. Zassały kawał internetu – artykuły naukowe, kradzione powieści, ścieżki dźwiękowe YouTube'a czy fora tematyczne. Aż strach myśleć, jaką z tego sklecą odpowiedź komuś, kto akurat ma kryzys, gorszy dzień lub epizod choroby psychicznej. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Apostolska dyskusja

El Greco zostawił kilka wersji obrazu przedstawiającego apostołów Piotra i Pawła prowadzących nadzwyczaj wyważoną rozmowę, a wiemy z Biblii, że chodziło o sprawy, które jeśli mają być prawdziwe, muszą być intymne. O miłość bowiem w tej dyskusji chodzi, nie tylko o wiarę i nadzieję, które przecież przemijają. Obydwaj apostołowie nie patrzą, jak to zwykle bywa, przed siebie, na widza, ale poza ramy obrazu. Tym samym zdają się zachęcać obserwującego ich dysputę do wyjścia poza ramy tej rzeczywistości, która już przeminęła, i pójścia w kierunku teraźniejszości, tego, co się tutaj i teraz zaczyna dziać. Niełatwa to propozycja, a świadczą o tym atrybuty, w które malarz zaopatrzył postaci apostołów.

Artysta ubrał Piotra w szaty żółte, symbol zdrady, na innym obrazie zielone, a więc nadziei. Paweł, ubrany w czerwoną szatę, znak męczeństwa z miłości, dzierży w ręku miecz, symbolizujący wytrwałość w wierze; na innym przedstawieniu trzyma rękę na otwartej księdze, symbolu Ewangelii. Piotr zaś ma w ręku klucze, co znaczy, że ich życie nierozdzielnie złączone jest z głoszeniem Dobrej Nowiny. Tę ścisłą więź, braterską przyjaźń obydwu uczniów Jezusa, podkreślają ich skrzyżowane ręce. Obydwaj przecież żyli dla Chrystusa i obydwaj dla niego umierali w sensie przenośnym i dosłownym. Te skrzyżowane ręce apostołów pozwalają też wierzyć, że różnice w podejściu do sposobu życia nie tylko nie powinny wyniszczać Kościoła, a przeciwnie, budować. Dlatego ta apostolska dyskusja, zwana dzisiaj synodem, wciąż trwa.

„Kiedy Kefas – pisze Paweł – przybył do Antiochii, sprzeciwiłem się mu otwarcie (...). Razem z nim także inni Żydzi zaczęli się zachowywać nieszczerze (...). Kiedy więc zobaczyłem, że nie postępują zgodnie z prawdą Ewangelii, powiedziałem Kefasowi wobec wszystkich: Jeśli ty, będąc Żydem, żyjesz według obyczajów pogan, a nie Żydów, jak możesz zobowiązywać pogan do postępowania według obyczajów żydowskich?”. Być może dlatego Franciszek na początku papieskiej posługi Kościołowi prosił, że gdyby pobłądził, powiedzieć mu o tym w oczy. Później dziesiątki razy przypominał o obowiązku mówienia prawdy. Dzisiaj ten apostolski spór odżył w dyskusjach o ustroju Kościoła: nadal ma on mieć strukturę monarchistyczną czy synodalną? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Ukryte będzie jawne

Liturgia przypomniała nam ostatnio Jezusowe pouczenie, by nie czynić pobożnych czynów „przed ludźmi” (zob. Mt 6, 1-6. 16-18). Nasza jałmużna, także post i modlitwa winny pozostać „w ukryciu” – „a Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie” (wersety: 4, 6 i 18). Otóż okazuje się, że istnieją – wcale liczne i dawne – rękopisy Mateuszowej Ewangelii (i to zarówno greckie, jak i łacińskie), w których ów „refren” zapisany został następująco: „A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie publicznie” (grec. *en to fanero*; łac. *in manifesto*). To bardzo ciekawa lekcja tekstu, przystająca niewątpliwie do innego logionu Jezusa: „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw” (Mk 4, 22).

Pamiętam, z jaką mocą te słowa dotarły do mnie, kiedy kilka miesięcy temu dane mi było nawiedzić w Libanie miejsce pochówku św. Charbela i modlić się wśród setek przychodzących tam ludzi – tak chrześcijan (różnych wyznań), jak i muzułmanów. Nawet mieszkający w tym samym klasztorze dzisiejsi bracia nie potrafią niczego szczególnego powiedzieć o jego życiu: oprócz tego, że pięćdziesiąt lat był mnichem, z czego ćwierć wieku pustelnikiem. Zasadniczo nieznany, niczym nie szokował ani się narzucał. Umarł i w tym samym dniu zaczęły się dziać wokół jego osoby rzeczy wyjątkowe i spektakularne: począwszy od nadzwyczajnego światła oświetlającego miejsce jego pochówku w dzień i w nocy przez półtora miesiąca. Jego ciało nie doznało rozkładu, za to niezwykle obficie i nieustannie wydzielał się z niego tajemniczy płyn, którego w żaden sposób nie udawało się powstrzymać. Do grobu przed chwilą jeszcze nikomu nieznanego pustelnika zaczęły płynąć rzeki pątników. Jak dotąd, odnotowano przy nim ponad 45 tysięcy cudów. Bóg się upomniał o pamięć o tym skromnym maronickim mnichu. I po dziś dzień objawia prawdę o znaczeniu i mocy jego ukrytego życia. O jakości i owocności relacji, jaka połączyła go z Nim – w „izdebce” jego pustelni. To Pan sam daje świadectwo Charbelowi – wydobywa „z ukrycia” jego osobę, wiarę i zrodzone z niej czyny.

Właśnie w ten sposób rzeczy ukryte stają się jawne – Bóg czyni je naraz wiedzą publiczną. Wtedy i tylko wtedy stają się one inspirujące dla innych. Nie mają bowiem w sobie niczego z autopromocji i szukania samego siebie... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 26/2025

25 LAT BEZ TISCHNERA

Dlaczego Tischner jest aktualny

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Samym stylem bycia, sposobem, w jaki zasiadał do dyskusji, językiem, którego używał, odróżniał się zdecydowanie od dominującego standardu.

Filozofia tym się między innymi różni od pozostałych nauk, również humanistycznych, że trudno w jej przypadku mówić o jakimś postępie, przyroście wiedzy, dezaktywacji starych metod czy prawd i aktywacji nowych. Czy w 2025 r. Platon jest już *passé*? Czy od czasów Hegla wynaleziono skuteczniejsze narzędzia dialektyczne, zatem nie uchodzi być obecnie heglistą? Czy Sokrates, który nie znał fenomenologii i postmodernizmu, był w gorszym położeniu poznawczym aniżeli pracownik naukowy któregoś z licznych instytutów filozofii w XXI wieku?

Odpowiedź na każde z tych pytań brzmi „nie". Choć oczywiście, jak to bywa w tej osobliwej dyscyplinie, znaleźliby się i tacy jej przedstawiciele, którzy ochoczo odparliby „tak!". Gdyby jednak tak odparli, wskazałbym im natychmiast myśliciela, który, choć od ćwierćwiecza nie żyje, czytany i słuchany dzisiaj okazuje się brzmieć stuprocentowo aktualnie. Mam na myśli Józefa Tischnera.

Niepodrabialny luz

Ale powiedzmy najpierw, że aktualności rozważań Tischnera – pomieszczonych w wielu jego nagraniach, książkach czy tekstach (choćby w znakomitej antologii „To, co najważniejsze" pod redakcją Wojciecha Bonowicza) – towarzyszy fundamentalna nieobecność. Nieobecność nie tylko człowieka, autora, ważnej postaci polskiej kultury, ale i specyficznej jakości, jaką wnosił do debaty publicznej.

Zanim jeszcze zacząłem czytać jego książki, zanim w latach 90., będąc żywo zainteresowanym humanistyką i polityką nastolatkiem, wziąłem się za lekturę „Nieszczęsnego daru wolności", „Między panem a plebanem", „W krainie schorowanej wyobraźni", a potem, już na studiach, „Etyki solidarności" czy „Filozofii dramatu" – widywałem często w telewizyjnych dyskusjach pewnego spokojnego, kulturalnego, otwartego, dowcipnego księdza.

Na tle zwichrowanych lat 90. – dzikiego kapitalizmu, wojny na górze, uwyraźniających się osi, wedle których miała się później rozwinąć pełnoskalowa polaryzacja – człowiek ten sprawiał wrażenie przybysza z kompletnie odmiennego uniwersum. Nie znaczy to, że nie posiadał wyrazistych poglądów albo że nie funkcjonował w konkretnym ideowo-towarzyskim środowisku. Owszem, posiadał, owszem, funkcjonował. Ale – po pierwsze – jako jeden z nielicznych starał się usilnie łączyć rozchodzące się już wówczas polskie światy, społeczne, intelektualne, polityczne i moralne. A po drugie – samym stylem bycia, sposobem, w jaki zasiadał do dyskusji, językiem, którego używał, problematyką, do której nawiązywał, odróżniał się zdecydowanie (rzecz jasna, na korzyść) od dominującego prawie wszędzie standardu.

Nieobecność czy brak Tischnera jako aktora życia społecznego dojmujący jest więc nie tylko z uwagi na treść, którą do niej wnosił, ale i na samą formę, na *modus operandi*. Na jego spokój, życzliwość, otwartość, gotowość do racjonalnej, niespiesznej dyskusji o sprawach fundamentalnych. No i ten niepodrabialny luz, jakim nieodmiennie emanował z telewizyjnego ekranu czy radiowego odbiornika.

Mamy dziś niewątpliwie deficyt takich osobowości, deficyt takich jakości. Nie tyle w sensie dosłownym – bo one istnieją – lecz w sensie jakiejś selekcji negatywnej, która zdaje się coraz mocniej zachodzić w życiu politycznym i publicznym. Polaryzacja nie zostawia miejsca na niuans, na zdolność do krytycznej refleksji nad własną stroną, własnym politycznym czy światopoglądowym obozem, w czym Tischner przecież celował. Polaryzacja nie znosi debaty jako takiej. Nie da się bowiem, ba, nie wolno dyskutować z ludźmi bez reszty głupimi i zdemoralizowanymi – a tak w spolaryzowanej optyce postrzega się zazwyczaj oponenta.

Tischner tymczasem programowo odrzucał tego rodzaju fantazmaty. I nawet kiedy bywał wyraziście polemiczny albo formułował ostre sądy pod adresem tych czy innych poglądów oraz ich nosicieli – jak choćby we wspomnianym zbiorze „W krainie schorowanej wyobraźni" – to kładł zawsze nacisk na rozumienie, dialog, próbę dostrzeżenia, że za stereotypową fasadą, przyprawioną karykaturalną gębą kryje się przecież drugi człowiek, bliźni.

Bracia przeciwnicy

Doprawdy, pozostawił nam pod tym względem doskonałe wzorce. Ale pozostawił także ogromne dzieło. Tyleż akademickie, wnikające w interesujące go obszary filozofii oraz jej pograniczy (z literaturą, teologią czy ekonomią), ile eseistyczne czy felietonowe, dostępne każdemu zainteresowanemu, także temu, który nie dysponuje specjalistyczną wiedzą. Zresztą te sfery się u niego przenikały. Tischner nigdy nie był filozofem domkniętym w książkowym uniwersum, hermetycznym, piszącym książki filozoficzne dla garstki wtajemniczonych. Zawsze wychodził do innych, każdym tekstem, każdą książką zapraszał do rozmowy. To kolejna deficytowa dziś postawa.

W świecie coraz szczelniej domykających się baniek, wojen tożsamościowych, Tischnera filozofia dialogu i spotkania – uprawiana zarówno w teorii, jak i praktyce – stanowić może, jestem o tym przekonany, niewyczerpane wprost źródło inspiracji. „Bracia przeciwnicy" – zwracał się do swoich antagonistów, nawet tych najbardziej zajadłych. Czy ktokolwiek wyobraża sobie, jak takie słowa za-

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ

Roman Graczyk i ks. Józef Tischner w redakcji „Tygodnika Powszechnego", koniec lat 80.

brzmiałyby dziś, w ferworze facebookowych czy twitterowych bitew? Czy porwałby je rwący potok inwektyw, rechotów, pokrzykiwań i oburzeń spływający nieustannie ekranami naszych smartfonów i laptopów?

Czy wręcz przeciwnie: stałyby się, przynajmniej dla niektórych, przynajmniej na chwilę, jakimś niemożliwym do zredukowania dysonansem? Impulsem, który wybija z utartej koleiny? Znakiem, że istnieją inne możliwości, inne drogi, inne sposoby bycia?

Lekko, a poważnie

Analogicznym dysonansem, impulsem, mógłby się także okazać język Tischnera. Język, w którym wciąż da się mówić z powagą. Nie wyrzekając się wcale śmiechu i lekkości, ironii i dystansu, ale nie czyniąc z nich jedynego środka stylistycznego, jedynego pryzmatu, przez który spogląda się na rzeczywistość. Mieć odwagę mówić poważnie, bez obaw o oskarżenie o patos albo przywiązanie do jakichś archaicznych, „patriarchalnych" ramot – tego właśnie uczy nas Tischner.

I jeszcze: mówić, nie unikając takich pojęć jak dobro i zło, kłamstwo i prawda, odpowiedzialność i sprzeniewierzenie się, wina i odkupienie, pokuta i zadośćuczynienie, zobowiązanie i wspólnota. Pojęć, których obecność w publicznym dyskursie jest coraz mniej zauważalna, bo przywoływać ich w zasadzie nie wypada. Pojęć – dodajmy – bez których nie sposób wyobrazić sobie naszej kultury i cywilizacji.

Podobnie, mógłby Tischner nauczyć nas na nowo mówić i myśleć językiem, w którym takie pojęcia jak „ty" oraz „my" występują z o wiele większą częstotliwością niż „ja" i „moje". Fenomenologiczna, dialogiczna i chrześcijańska formacja oraz wrażliwość Tischnera są w późnej kulturze narcyzmu niczym szklanka źródlanej wody na pustyni.

Teksty, w których dotykał zasadniczych kwestii społecznych – nie od strony technokracji, makiawelicznej pragmatyki, efektywności, lecz od strony wspólnoty, tego, co łączy, a nie dzieli, tego, co spaja, a nie „optymalizuje" – powinny być dziś lekturą obowiązkową. Nie tylko dlatego, że powstawały wpierw w epoce, która fetyszyzowała zbiorowość, zapominając o jednostce, potem zaś w epoce, która fetyszyzowała jednostkę, zapominając o zbiorowości. Ale także, a może przede wszystkim dlatego, że żyjemy w czasach wielopoziomowych, głębokich kryzysów – tożsamości, rozumienia, ekonomii, przynależności.

Nie wiemy już, a przez to nie potrafimy przekonująco tłumaczyć kolejnym pokoleniom: czym właściwie jest i czym powinna być demokracja? Czy społeczeństwo ma jakieś obowiązki wobec najsłabszych, czy rządzi nimi wyłącznie „naturalna" reguła silniejszego? Czym są solidarność, współczucie, zobowiązanie? Czy słowo „dobro" – w dobie cyfrowego kapitalizmu, wielkich korporacji, wojen i sztucznej inteligencji – cokolwiek jeszcze znaczy? Czy może jest już wyłącznie eksponatem w zakurzonej gablocie przeszłości?

Odpowiedzi wciąż aktualne

Na te wszystkie pytania – i na wiele jeszcze innych – Tischner odpowiadał z zaangażowaniem, pasją i mądrością. Jak to jednak możliwe, że po tylu latach, które minęły od publikacji jego książek i tekstów, te odpowiedzi są wciąż tak wyraźne, słyszalne, głębokie?

No cóż, Tischner był po prostu najprawdziwszym filozofem. A jak wspominałem na początku – prawdziwa filozofia nigdy się nie dezaktualizuje.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

Autor jest filozofem, publicystą, stałym felietonistą „Tygodnika Powszechnego". Ostatnio opublikował „Powrót fatum" (2024). Od 2025 r. członek jury Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera.

Cofanie wskazówek zegara

KS. JÓZEF TISCHNER

Co powinniśmy byli zrobić w sytuacji granicznej, w jakiej znaleźliśmy się 13 grudnia 1981 roku?

W sytuacji stanu wojennego cisną się na usta dwa pytania: jak do tego doszło i jak z tego wyjść? Nie nadszedł jeszcze czas, by odpowiedzieć na pierwsze pytanie. Pozostaje więc pytanie drugie: jak z tego wyjść? Bo kiedyś będzie trzeba z tego wyjść. Czy z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, czy ze świeżymi bliznami na ciele i duszy? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba sobie uświadomić punkt wyjścia – wtorek 15 grudnia 1981 r. [Tego dnia doszło do pacyfikacji kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju, podczas której milicja postrzeliła czterech górników – przypis red.]

Idea odnowy i solidarności

Czy się to komu podoba, czy nie, stan wojenny dotknął do żywego przede wszystkim samych robotników. To oni byli sprawcami i rzecznikami minionych przemian, to wśród nich narodziła się idea odnowy i solidarności. Ludzie ci przeszli przez głębokie wewnętrzne przeobrażenia – od poniżenia do poczucia godności. Żyjąc w poniżeniu, robotnik może wybierać, czy będzie kopał ziemię łopatą, czy motyką. Żyjąc z poczuciem godności, robotnik wybiera między jednym a drugim związkiem zawodowym, między Polską samorządną a Polską bezrządną. Najnowsza historia polskich robotników to historia przechodzenia z jednego poziomu wybierania na drugi. Takie są nasze realia. Zaprowadzony w kraju stan wojenny – czy się tego chciało, czy nie – kwestionuje w ludziach tę wielką historię. Budzi lęk, że ktoś będzie się starał cofnąć wskazówkę zegara.

Kryzys braku logiki

Czy się to komu podoba, czy nie podoba, Polska znajduje się dziś w ostrym kryzysie pracy. Kryzys nie polega jednak na braku wysiłku, lecz na braku logiki. Rozpadła się i nadal rozpada podstawowa harmonia pracy. Harmonię tę trzeba odbudować. Nie można tego jednak dokonać bez rozumnego programu, bez dobrze działającej informacji, a przede wszystkim bez samodzielnych i zaangażowanych w sprawę ludzi. Zepsuć współczesną gospodarkę potrafi pierwszy lepszy głupiec, ale naprawić ją muszą ludzie mądrzy, wolni, samorządni. Współczesny postęp pracy jest uwarunkowany swobodami obywatelskimi. Sytuacja stanu wojennego nie sprzyja odbudowie pracy i postępowi pracy. Na dłuższą metę jest ona zabójcza. Tej prawdzie też trzeba spojrzeć w oczy.

Punkt wyjścia nie jest więc dobry. Jest wręcz zły. Poszukajmy jednak jakichś świateł. Nie będą to światła jaskrawe, ale w dramatycznej sytuacji nawet niewielkie światło może dodać otuchy.

Władza wystąpiła pod znakiem wojska. Ma to w naszym kraju szczególny sens. Żołnierze są synami tego narodu, wiedzą więc, jaki jest naród. W wojsku służą synowie chłopów i robotników, młodzież pracująca i studiująca, wierzący i niewierzący. Jest nadzieja, że wojsko głębiej czuje i lepiej rozumie. Powinno ono również wiedzieć, że istnieje walka, z której zawsze – nawet jeśli się wygra – wychodzi się z hańbą na czole. Jeśli wojsko jest naprawdę polskim wojskiem, to nie jest ani związkiem zawodowym, ani partią. Zachowuje więc taki punkt widzenia, z którego widać ekstremy zarówno z jednej, jak z drugiej strony. W tych dniach niepewności ufamy, że wojsko pozostanie sobą.

Świat patrzy na Polskę

I jeszcze jedno. Mówi się nam, że mamy rozwiązywać własne sprawy własnymi rękami. To także jest jakimś światłem. Wiemy o tym, że nie oznacza to, iż jesteśmy osamotnieni. Znajdujemy się w środku Europy. Oczy całego świata są skierowane na Polskę. Nie jesteśmy całkiem samotni. Choć sami ze sobą, ale nie samotni. To, o co się dobijamy, jest sprawą ludzką. A więc dotyka pośrednio i bezpośrednio każdego człowieka.

Stan wojenny jest faktem. Nie pytamy dziś, czy jest on koniecznością, czy pomyłką. Pytanie to postawimy w innym czasie. Faktem jest również, że naród składa w tych trudnych chwilach nowe dowody dojrzałości, cierpliwości, poczucia godności. Mając na uwadze te fakty, postawmy pytanie na dziś: jak z tego wyjść? Jedno jest oczywiste: pierwszy krok musi być krokiem uznania dla prawa do godności, prawa do samorządnej pracy, prawa do narodowej tożsamości. ©

Artykuł ten zachował się w maszynopisie w archiwum Autora z adnotacją: „Tekst przeznaczony dla »Tygodnika Powszechnego« do pierwszego numeru po ogłoszeniu stanu wojennego; z powodu zawieszenia pisma tekst nie został opublikowany”. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przepis na rozmowę

MACIEJ MÜLLER

Tischner nie tyle odpowiadał na zadawane pytania, co wsłuchiwał się w człowieka, który przyszedł z własnymi wątpliwościami, problemami, radościami i złościami.

Przyszłość chrześcijaństwa, religia w szkole, relacje państwo –Kościół, dziedzictwo PRL-u, ciało i jego miejsce w kulturze, istota dialogu – to tematy rozmów wybranych do tomu „Tischner. Rozmowy z mistrzem". Jak podkreśla w posłowiu autor wyboru Wojciech Bonowicz, jedenaście prezentowanych wywiadów to tylko cząstka medialnej aktywności Tischnera w latach 90., która jednak daje „wgląd w to, jak myślał i jak rozmawiał".

Filozofia zrodzona ze spotkania

Kilkanaście lat temu podczas Dni Tischnerowskich prof. Władysław Stróżewski wspominał, że wspólnym źródłem myślenia filozoficznego dla niego i dla Tischnera było seminarium Romana Ingardena. Wybitny filozof stosował zasadę, że „w dyskusji trzeba umieć zawieszać własne przekonania, żeby lepiej dosłyszeć głos drugiej strony". Wywiady medialne nie są wprawdzie filozoficznymi dysputami, widać w nich jednak, że Tischner wcielał w życie tę regułę. „Cała jego filozofia, nazwana przezeń filozofią dramatu, narodziła się z rozmowy i w stronę rozmowy zmierzała" – podkreśla Bonowicz.

W relacji z dziennikarzem Tischner nie tyle więc odpowiadał na pytania, co wchodził w dialog, wsłuchiwał się w rozmówcę, który przyszedł z własnymi wątpliwościami, problemami, radościami i złościami. W rezultacie każda z rozmów stawała się spotkaniem – i to bez względu na to, czy dziennikarze przyszli wyposażeni w cytaty z Miłosza i zadawali pytania z poziomu „meta", czy też prowadzili „przepytywankę" za pomocą sporządzonej w pośpiechu listy podstawowych zagadnień.

Domniemanie uczciwości

Ta książka jest więc o dialogu. Wspomniany na początku katalog tematów jest w jakimś sensie drugorzędny – szczególnie, że część z nich, głównie tych społecznych, nieco się zdezaktualizowała. Warto jednak spojrzeć na nie jak na pretekst do podpatrzenia samego Tischnera, zwłaszcza że niektórzy jego rozmówcy byli do niego nastawieni krytycznie. Wysłuchawszy długiego pytania, zaopatrzonego w wyrazistą tezę, Tischner zaczyna odpowiedź od słów: „Myślę, że trzeba widzieć tę sprawę w szerszym tle...".

Jakie zatem warunki są konieczne, by spotkanie się udało? Po pierwsze: założenie, że rozmówca ma czyste intencje. „Nadszedł właśnie czas przekraczania barier między ludźmi myślącymi inaczej – mówi Tischner. – Warunkiem powodzenia jest domniemanie o uczciwości człowieka, z którym się rozmawia". Bo „drugi człowiek może błądzić, ale fakt, że w tym błądzeniu jest uczciwy, w zupełności wystarcza, by przekroczyć barierę i zaprosić go, aby on też przekroczył swoją barierę. To szczególnie pilna potrzeba w kraju, w którym słychać wiele równoległych monologów, wypowiadanych przez ludzi niesłyszących siebie nawzajem".

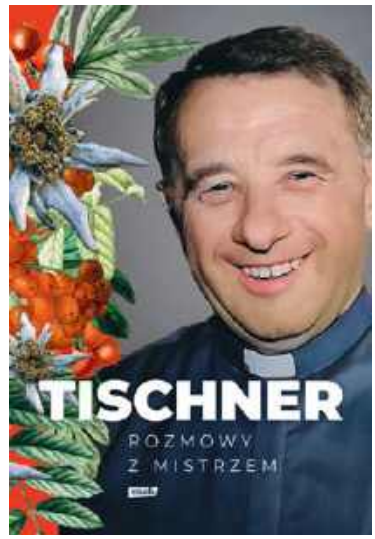

■ **TISCHNER. ROZMOWY Z MISTRZEM**, *wybór i opracowanie Wojciech Bonowicz, Wydawnictwo Znak, Kraków 2025*

Jak filip z konopi

Po drugie: elastyczność. Na zarzut, że udzielił wywiadu tygodnikowi „Wprost", wtedy traktowanemu jako organ postkomunistów, Tischner odpowiada: „Z takimi odczuciami stykam się bardzo często. Tak się złożyło, że moja pozycja polega między innymi na przekraczaniu pewnych schematów: ni stąd, ni zowąd pojawiam się jak filip z konopi w miejscach najmniej oczekiwanych".

Nieraz wymagało to od filozofa poświęceń. Wspominał: „Kiedyś strasznie się złościłem, że muszę równocześnie robić filozofię i duszpasterzować (...). Teraz widzę, że była to jedna z moich wartości; siedząc w bibliotekach, uschnąłbym, robiąc filozofię dla wyimaginowanego człowieka. A tak musiałem się konfrontować z człowiekiem umierającym, człowiekiem zdradzonym, z dzieckiem, które miało kłopoty z rodzicami. Nieustannie musiałem naginać transcendentalną teorię konstytucji Husserla do potrzeb Marysi czy Kasi w przedszkolu".

Towarzyszenie

„Mądrość Tischnera – pisze Bonowicz – polega na takim prowadzeniu rozmowy, żeby zamiast dostarczania rozmówcom pewnych gotowych schematów, szukać razem z nimi". Przestaje być istotne, kto tu z kim „prowadzi rozmowę", kto do kogo przyszedł, a nawet – czego konkretnie chciał się dowiedzieć. Tischner powiedział kiedyś, że stara się „sprytem i doświadczeniem manipulować mediami, żeby zawsze przemycić to, co istotne".

Słowo „manipulacja" nie brzmi dziś dobrze – jasne jest, że Tischnerowi chodzi raczej o towarzyszenie, o którym tyle mówił (za św. Ignacym) papież Franciszek. Nie o wyłożenie jedynie słusznych poglądów do przyswojenia – ale o pomoc drugiemu w postawieniu sobie naprawdę istotnych pytań. I nieważne, czy odpowiedź padnie od razu, czy też trzeba będzie dłużej jej poszukać. ©℗

MACIEJ MÜLLER – z wykształcenia historyk i dziennikarz, w „TP" pracuje w dziale „Wiara", jest też redaktorem prowadzącym oraz jednym z wydawców strony internetowej TygodnikPowszechny.pl.

U Tischnera prywatnie

WOJCIECH BONOWICZ

Dzięki tym dwóm książkom możemy spojrzeć na Józefa Tischnera oczami jego najbliższych.

Gdy się poznaje jego twórczość, można dojść do wniosku, że świat byłby lepszy, gdyby było w nim więcej Józefa", pisze jego brat Marian Tischner. Przygotował on coś w rodzaju krótkiego przewodnika po życiu i działalności swego sławnego brata. Książka „Józef Tischner dla tych, którzy go nie znali" to antologia tekstów – częściowo znanych, częściowo wcześniej niedrukowanych – prezentująca bardzo szeroko życie i sylwetkę jej bohatera. Są wśród nich wspomnienia Mariana Tischnera, ale też na przykład zapis gawęd radiowych, w których Józef Tischner barwnie opowiadał o swoim dzieciństwie, młodości i studiach.

W książce znalazł się ciekawy rozdział poświęcony austriackim kontaktom ks. Tischnera. To wciąż mało znany, a bardzo ważny wątek jego biografii. Marian Tischner przypomina postacie osób, które w latach 80. ubiegłego wieku niosły pomoc polskiej wsi i polskim rodzinom – m.in. małżeństwa Ilse i Hermanna Schallerów. Zainspirowani opowieściami Józefa Tischnera, ludzie ci mobilizowali opinię publiczną w Austrii, aby wspomagała Polskę cierpiącą niedostatek wskutek wprowadzenia stanu wojennego i związanego z nim głębokiego kryzysu gospodarczego.

Nie brak też oczywiście wątków bardzo osobistych. „Nie potrafię powiedzieć, co w swoim starszym bracie lubiłem najbardziej: poczucie humoru, intelekt czy jego duchowość" – mówi Marian Tischner w rozmowie z Marzeną Rogalską (fragmenty tej rozmowy znalazły się w książce) – „Ja go jako brata całego lubiłem, z przywarami i zaletami. Po jego odejściu najtrudniejsze stały się święta. Myśmy sobie prezentów nie dawali. Prezentem była obecność".

O znaczeniu obecności i wpływie sławnego brata na własne życie mówi też najmłodszy z braci Tischnerów – Kazimierz. Książka „Mój brat Józiu" to zapis obszernej rozmowy przeprowadzonej przez Michała Lewandowskiego. Kazimierz Tischner opowiada o swoim rodzinnym domu, w którym najstarszy brat był niecierpliwie wyczekiwanym gościem. „Różnica wieku między nami wynosiła piętnaście lat, więc kiedy ja byłem pięcioletnim przedszkolakiem, on już studiował. Przypominam sobie, że pewnego razu bardzo płakałem – może dlatego, że tata nie zabrał mnie na przystanek autobusowy w oczekiwaniu na przyjazd Józia. Kiedy przyjechał i wszedł do domu, zobaczył mnie płaczącego; wziął na ręce, przytulił i wyszedł ze mną na pole. Był już wieczór, więc pokazywał mi gwiazdy na niebie: Wielki Wóz, Mały Wóz i Gwiazdę Polarną, tłumacząc, że to ta sama gwiazda, która zaprowadziła pasterzy i Trzech Króli do Betlejem. Jego opowieść była tak piękna, że uspokoiłem się i ogarnęła mnie radość. Ten moment z gwiazdami pozostanie ze mną na zawsze".

Podobnych scen – wzruszających bądź humorystycznych – jest w książce więcej. Bracia z czasem zbliżyli się do siebie, bo Kaziu przyjechał na studia do Krakowa i zamieszkał z Józefem w domu księży profesorów. Potem był symboliczny powrót księdza Tischnera do Łopusznej – budowa najpierw bacówki, a potem domu – a następnie jego choroba, która spowodowała, że kontakty między braćmi stały się intensywniejsze. „On ciągle jest ze mną, chociaż już w inny sposób. On zrobił swoje, teraz ja spełniam jego testament" – opowiada Kazimierz Tischner. I dodaje: „Chciałbym żyć w takim świecie, jaki on proponował: świecie nadziei, miłości, myślenia i mądrości".

Dodać należy, że ozdobą obu książek są zdjęcia, w większości mało znane, pochodzące z rodzinnych archiwów. ©

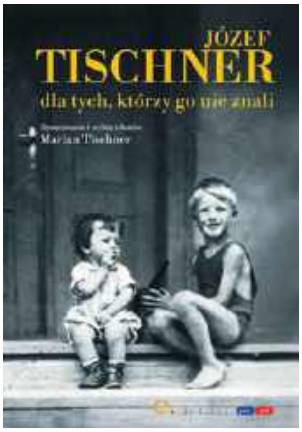

▪ **JÓZEF TISCHNER DLA TYCH, KTÓRZY GO NIE ZNALI**, *opracowanie i wybór tekstów Marian Tischner, Wydawnictwo edu-Libri, Kraków 2025*

▪ *Kazimierz Tischner, Michał Lewandowski,* **MÓJ BRAT JÓZIU**, *Wydawnictwo WAM, Kraków 2025*

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 26/2025
REDAKCJA: Wojciech Bonowicz, Artur Sporniak
OKŁADKA: Ksiądz Józef Tischner, 1981 r. // // Wacław Rymko / Forum
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PARTNER WYDANIA ERGO HESTIA

WOJCIECH BONOWICZ jest poetą i społecznikiem. Autor biografii ks. Józefa Tischnera, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

REKLAMA

KAPŁAN, FILOZOF, KAZNODZIEJA CHŁOPAK Z CHARAKTEREM

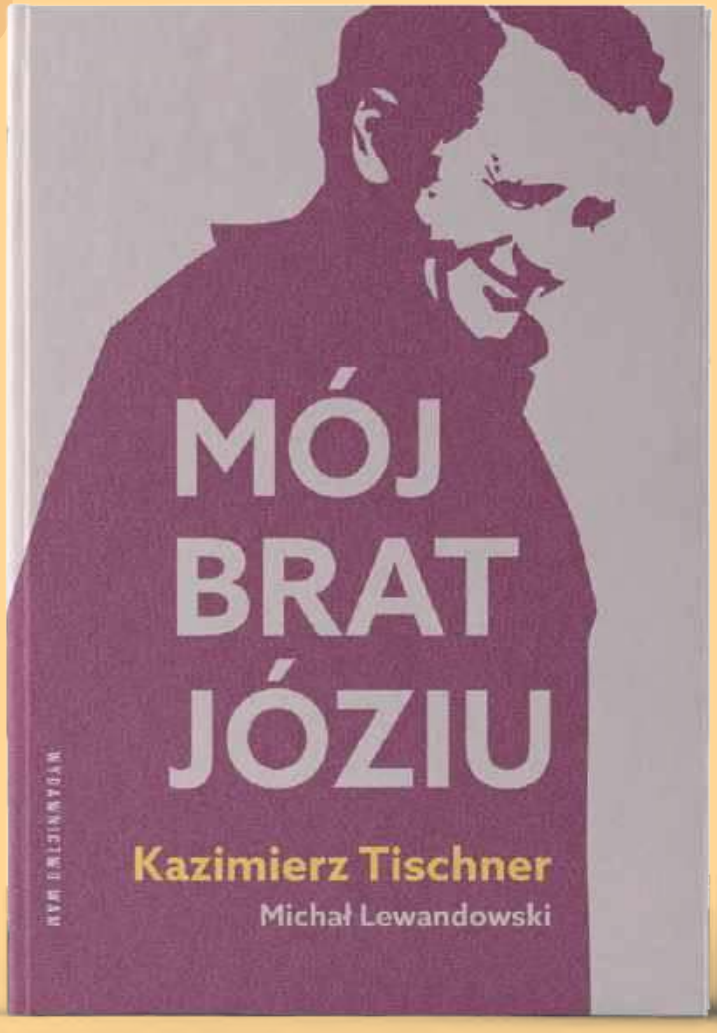

Kazimierz Tischner rysuje wzruszający portret najstarszego brata.

Jaki był Józiu, czyli słynny ks. prof. Józef Tischner, od narodzin do momentu odejścia 25 lat temu?

Uwielbiał jazdę na motorze, spływy kajakowe i wyprawy narciarskie, które niekiedy kończyły się nocowaniem w szałasie na sianie. Ratował Kazia przed karami ze strony rodziców, a w czasach studenckich zachęcał go do szaleństwa na juwenaliach. Taki był, a jednocześnie uczył, czym jest odpowiedzialność, troska, delikatność w rozmowach o wierze i waga sakramentów, zwłaszcza spowiedzi. Nie był pełen sprzeczności. Żył w zgodzie z tym, co głosił.

Poznajmy Józia Tischnera, chłopaka z Łopusznej, który uczył nas myśleć według wartości.

Zamów na **wydawnictwowam.pl** **wydawnictwo**

HISTORIA

JEDNA Z TYSIĘCY

85 lat temu, wiosną 1940 r., nasiliły się niemieckie represje wobec polskiej inteligencji. Sprawców akcji AB, jak okupanci nazwali tę operację, nigdy nie ukarano.

TOMASZ CHINCIŃSKI

Był 16 maja 1940 r., gdy Hans Frank, naczelny zarządca okupowanej centralnej Polski, zlecił Brunonowi Streckenbachowi, szefowi aparatu policyjnego w Generalnym Gubernatorstwie (GG), przeprowadzenie „nadzwyczajnej akcji pacyfikacyjnej" (niem. *Außerordentliche Befriedungsaktion;* w skrócie akcja AB). Celem były skoordynowane działania mające pozbawić polskie społeczeństwo, a zwłaszcza ruch oporu, jego przywódców.

DOGODNY MOMENT | Impulsem dla Franka był raport szefa policji w warszawskim dystrykcie Josefa Meisingera z 2 marca 1940 r., z tezą o rosnącym zagrożeniu ze strony polskiej konspiracji. Ale czy rzeczywiście tak było? W tym czasie polskie podziemie dopiero się kształtowało, a Niemcy mogli bardziej obawiać się powszechnej woli oporu, niepogodzenia się Polaków z losem. Mógł to być też środek „prewencyjny" przed możliwymi wystąpieniami podziemia w czasie planowanego ataku na Francję.

To właśnie agresja na Francję, rozpoczęta 10 maja, stworzyła władzom okupacyjnym okazję do rozprawy z polskimi elitami – odwracała bowiem uwagę świata od Polski. Hans Frank przyznawał: „Nie mogliśmy sobie pozwolić na szerzej zakrojone działania, dopóki uwaga opinii publicznej skupiała się na tym obszarze. Lecz z dniem 10 maja oszczercza propaganda przestała nas obchodzić. Teraz musimy wykorzystać ten dogodny moment".

Frank nie chciał, by zagraniczne interwencje doprowadziły do uwolnienia więźniów, jak stało się w przypadku krakowskich profesorów uwięzionych jesienią 1939 r. Był to czas, gdy wojna nie ogarnęła jeszcze całego świata i nie nabrała wymiaru totalnego, a Niemcy liczyli się – rzecz jasna do pewnego stopnia – ze światową opinią publiczną.

AB I KATYŃ | Operacja z 1940 r. była częścią planu likwidacji polskiej inteligencji. Miała swe źródło w decyzji Hitlera, który w październiku 1939 r. zlecił Frankowi: „należy ich [polskich inteligentów], choć to brzmi brutalnie, zabić". Już wtedy Niemcy dokonali masowych egzekucji na Pomorzu. Obławy na elity miały miejsce w Warszawie, Krakowie, Lublinie i Radomiu, a także na ziemiach włączonych do Rzeszy (Ciechanów i Suwałki).

Akcję AB prowadzono równolegle z sowiecką zbrodnią na polskich jeńcach, z których sporą część stanowili przedstawiciele elit – oficerowie rezerwy. 5 marca 1940 r. władze Związku Sowieckiego podjęły decyzję o rozstrzelaniu jeńców więzionych w obozach NKWD. Pierwsze nazwiska wytypowano 1 kwietnia, kilka dni później zaczęto egzekucje w Katyniu, Kalinie i Charkowie. Z kolei pod koniec marca 1940 r. niemiecka policja zaczęła aresztowania, a egzekucje związane z akcją AB rozpoczęły się na początku kwietnia.

Mimo paraleli między tymi zbrodniami historycy nie dotarli dotąd do dokumentów, które by przesądzały o współpracy obu okupantów w tym zakresie. Wiadomo, że od grudnia 1939 r. do marca 1940 r. trwały spotkania sowiecko-niemieckie, ale dotyczyły głównie wymiany ludności. Ze źródeł nie wynika, by omawiano współpracę przy zagładzie polskich elit.

Mimo braku dowodów łączących akcję AB ze zbrodnią katyńską wiosną 1940 r. obu okupantom przyświecał ten sam cel: zabicie najbardziej świadomej grupy społecznej II RP, a przez to zniszczenie wspólnoty i eliminacja ludzi, którzy mogliby stanowić fundament oporu.

ARESZTOWANIA | 30 marca 1940 r. Niemcy mieli znienacka zacząć akcję AB na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa. Według sprawozdania Brunona Streckenbacha, szefa aparatu policyjnego w całym GG, tego dnia aresztowano tysiąc osób. Z kolei z raportu Stefana Roweckiego, komendanta Związku Walki Zbrojnej (w lutym 1942 r. na bazie ZWZ powstała Armia Krajowa), wynikało, że na przełomie marca i kwietnia 1940 r. tylko w Warszawie Niemcy aresztowali 3 tys. osób. Szef ZWZ zdawał sobie sprawę, że to pierwsza fala represji mających zdezorganizować konspirację.

Zdarzały się przypadki zbrojnego oporu. Tak było przy próbie wejścia do kwatery Organizacji Wojskowej „Wilki" przy ul. Sosnowej: Niemcy zostali ostrzelani przez dwóch konspiratorów, którzy zdołali uciec. W odwecie aresztowano mieszkańców.

Represje nie ograniczały się do Warszawy. 30 marca pierwsze zatrzymania

Aresztowani w akcji AB w drodze do Auschwitz; był to pierwszy transport więźniów do nowo utworzonego obozu. Tarnów, 14 czerwca 1940 r.

HOLOCAUST HISTORY ARCHIVE W HOLANDII

w ramach akcji AB miały miejsce w Krakowie, a kontynuowano je w maju. Przepełnienie tutejszego więzienia przy ul. Montelupich sprawiło, że część aresztowanych kierowano do Tarnowa i Wiśnicza. Aresztowania były też w powiatach piotrkowskim, koneckim, kieleckim i radomszczańskim. Dotknęły głównie oficerów, nauczycieli i uczniów szkół średnich, oskarżonych o konspirację lub jej wspieranie.

Kolejne fale aresztowań miały miejsce od połowy maja do początku lipca; trwały już wtedy egzekucje wcześniej zatrzymanych. Wówczas w rękach Niemców znalazły się tysiące działaczy społecznych, nauczycieli, prawników, urzędników i księży z Lubelskiego.

Wśród zatrzymanych byli inteligenci narodowości żydowskiej, niezwiązani z ruchem oporu. Masowe aresztowania prowadzono np. wśród warszawskich adwokatów i profesorów.

OBOZY | W czasie akcji AB prowadzono też łapanki uliczne, które skutkowały zatrzymaniem przypadkowych osób. Ludwik Landau pisał w dzienniku, że były to „aresztowania »na oślep«, »prosto z ulicy«". Obławy na ludność Warszawy – w kawiarniach, na ulicach, domach – trwała przynajmniej do 9 maja. Były związane z wizytą szefa całej niemieckiej policji Heinricha Himmlera.

Według relacji Ludwika Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego, 29 kwietnia 1940 r. to Himmler zarządził, aby 20 tys. Polaków „umieścić w obozach koncentracyjnych". Pierwszy transport z Warszawy do obozu w Sachsenhausen pod Berlinem wysłano na początku maja 1940 r.; liczył półtora tysiąca więźniów.

W późniejszych transportach do obozów kierowano też warszawskich adwokatów i mieszkańców dystryktu krakowskiego. 13 i 14 czerwca 1940 r. do Auschwitz wywieziono grupę 728 więźniów z Tarnowa; był to pierwszy transport do tego nowo tworzonego obozu. Tydzień później, 20 czerwca, do Auschwitz wysłano więźniów z Wiśnicza Nowego; byli to nauczyciele, urzędnicy, studenci i uczniowie.

Hans Frank sprzeciwiał się wysyłce do obozów – opowiadał się za zabijaniem na miejscu. Nie chciał dopuścić, by międzynarodowe interwencje prowadziły do ich uwolnienia. Żalił się: „Nie da się opisać, ileśmy mieli zawracania głowy z krakowskimi profesorami. Gdybyśmy sprawę tę załatwili na miejscu, miałaby ona całkiem inny przebieg".

EGZEKUCJE | Wiosną i latem 1940 r. masowe egzekucje objęły nie tylko osoby aresztowane w ramach akcji AB. W Palmirach pod Warszawą 2 kwietnia zamordowano ok. 100 osób, głównie aresztowanych dwa miesiące przed akcją AB za przynależność do podziemia, do Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN).

Trzy tygodnie później w tym samym miejscu zabito 34 zakładników. Był to odwet za wspomniane ostrzelanie Niemców przez członków Organizacji Wojskowej „Wilki". W kwietniu rozstrzelano kilkaset osób w Firleju pod Radomiem, członków przedwojennej elity społeczno-politycznej.

Nasilenie egzekucji nastąpiło od drugiej połowy maja 1940 r. Największa miała miejsce 21 czerwca w Palmirach (358 osób). Wśród ofiar byli głównie konspiratorzy, m.in. 20-letnia Agnieszka Dowbor-Muśnicka (jej siostra zginęła w Katyniu), sportowiec Janusz Kusociński i marszałek Sejmu Maciej Rataj, posłanka Halina Jaroszewiczowa, wiceprezydent Warszawy Janusz Pohoski.

↦

ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU

Pierwszy transport do Auschwitz na dworcu w Tarnowie, 14 czerwca 1940 r.

Egzekucje w Palmirach Niemcy utrzymywali w tajemnicy. Do mieszkańców Warszawy docierały wprawdzie informacje o wywożeniu więźniów z Pawiaka, jednak nie zdawano sobie sprawy z celu tych transportów.

POZORY | Egzekucje w ramach akcji AB prowadzono też w kilkunastu miejscach dystryktu krakowskiego, m.in. w Wiśniczu, pod Rzeszowem, w Wysokiej koło Nowego Sącza, nad Sanem koło Tarnawy Dolnej, w lesie pod Jasłem oraz w krakowskich Przegorzałach. Najwięcej ofiar stracono w dawnym forcie w Krzesławicach koło Krakowa.

W dystrykcie lubelskim miejscem straceń był wąwóz koło wsi Rury Jezuickie. Ofiarami byli inteligenci, jak Bolesław Wnuk, poseł na Sejm z Zamościa, a także dowódcy konspiracji, jak Cecylia Iwanowska, szefowa Wydziału Łączności Okręgu ZWZ Lublin.

Podczas akcji AB Hans Frank próbował zachować pozory praworządności. Polecił, aby aresztowani byli sądzeni w ramach szczególnego trybu postępowania karnego. W maju 1940 r. policyjne sądy doraźne skazały (*de facto* bez rozpraw) na karę śmierci kilkaset osób z więzień przy ul. Montelupich w Krakowie i na zamku w Lublinie.

Oficjalne zakończenie „Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej" miało nastąpić 10 lipca 1940 r., jednak egzekucje kontynuowano w tych samych miejscach, a ich ofiarami nadal byli przedstawiciele polskiej inteligencji.

KAMUFLAŻ | Swoistym kamuflażem dla celów akcji AB była równoległa eksterminacja około 3 tys. przestępców kryminalnych: miała „przykryć" likwidację inteligencji. Szef niemieckiej Policji Bezpieczeństwa, Bruno Streckenbach, nakazał mordowanie przestępców kryminalnych bez postępowania sądowego. Ponieważ Niemcy nagminnie utożsamiali bandy rabunkowe z ruchem oporu, mogło to obejmować także uczestników konspiracji.

Niemiecka policja mordowała pospolitych przestępców np. w maju 1940 r. w Firleju pod Radomiem – obok przedstawicieli inteligencji i ruchu oporu rozstrzelano tam także kryminalistów skazanych jeszcze przed wojną. Podobne przypadki miały miejsce wcześniej.

Od tego momentu dla niemieckiej policji granica między Polakami walczącymi o niepodległość a zwykłymi rabusiami i mordercami zaciera się. W kolejnych latach Niemcy nazywali oddziały polskiego podziemia „bandami", a żołnierzy AK – „bandytami". Po 1944/45 r. zwyczaj ten przejęli także komuniści, budujący w pojałtańskiej Polsce nowy system władzy.

SKUTKI | Liczbę ofiar akcji AB trudno określić, zwłaszcza z powodu samowolnych mordów dokonywanych przez volksdeutschów z tzw. Selbstschutzu (niemieckiej organizacji paramilitarnej), a także za sprawą zgonów w więzieniach i obozach.

Straty w kulturze są niemożliwe do oszacowania – niepowstałe dzieła i przerwane myśli zamordowanych twórców pozostaną nieznane. Akcja AB odebrała życie ludziom o wielkim potencjale i niespełnionych możliwościach. Niemcy wyeliminowali ze struktury społecznej całe środowiska inteligencji, m.in. adwokatów i profesorów uniwersyteckich.

Hans Frank wykorzystał akcję AB do umocnienia swojej pozycji i podporządkowania sobie części aparatu okupacyjnego. Przejął kontrolę nad Selbstschutzem, który wcześniej podlegał Himmlerowi, pod pretekstem ukrócenia samowolnych egzekucji tej formacji. Następnie z części jej członków utworzył Sonderdienst – specjalną jednostkę policyjną podległą wyłącznie jemu. W ten sposób osłabił wpływy SS i wzmocnił swoją władzę w Generalnym Gubernatorstwie.

ZBRODNIA BEZ KARY | Niemcy skutecznie ukryli akcję AB przed światem. O ile o zbrodni pomorskiej z jesieni 1939 r. udało się polskiemu rządowi (wtedy na uchodźstwie w Paryżu) poinformować opinię światową i skłonić przywódców Wielkiej Brytanii i Francji do wydania wspólnej deklaracji potępiającej te okrucieństwa, o tyle zdemaskowanie represji z wiosny i lata 1940 r. było trudniejsze. Uwaga aliantów skupiła się na niemieckiej ofensywie na Zachodzie – jak trafnie przewidział to Frank.

Brak reakcji Zachodu wynikał także z faktu, iż Niemcy skutecznie ukryli skalę tej zbrodni, a aresztowania utrudniły łączność między okupowaną Polską a rządem RP. Meldunek Roweckiego z jesieni 1940 r. o skutkach akcji AB dotarł do gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przewodniczącego Komitetu Politycznego Rady Ministrów, dopiero wiosną 1941 r. Komendant ZWZ pisał w nim, że warunki pracy w konspiracji znacznie się pogorszyły.

Z kolei po 1945 r. sprawcy akcji AB uniknęli odpowiedzialności. W procesie norymberskim egzekucje z 1940 r. uznano za odwet, reakcję na akcje polskiego ruchu oporu. W wyroku skazującym Franka na karę śmierci nie uwzględniono akcji AB. Także żaden wysoki funkcjonariusz SS ani policji nie został ukarany.

Fakt ten to część szerszego problemu unikania odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie. Nieskuteczność powojennego wymiaru sprawiedliwości w Niemczech w tej kwestii wciąż wymaga badań.

© TOMASZ CHINCIŃSKI

Autor jest historykiem, profesorem Instytutu Pileckiego i wykładowcą Wyższej Szkoły Administracji i Biznesu w Gdyni. Autor opracowań o II wojnie światowej i niemieckiej okupacji, m.in. „Forpoczta Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku" (2010).

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!

HORYZONTY NAUKI

Nauka, która fascynuje. Odkrycia, nowe technologie i przełomowe badania – rzetelna analiza zamiast sensacyjnych nagłówków.

Prowadzi **ŁUKASZ KWIATEK**

TYGODNIK SMAKÓW

Smakuj życie z Pawłem Bravo. Opowieści o jedzeniu, kulturze kulinarnej i smakach, które czynią świat bogatszym.

Prowadzi **PAWEŁ BRAVO**

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC** & **MAREK RABIJ**

MOC KOBIET

Opowieści o kobietach i sprawach dla nas ważnych: bez lukru, tabu i stereotypów. Niezwykłe bohaterki i autorki z prawdziwą dziennikarską mocą.

Prowadzi **EWELINA BURDA**, zastępczyni Redaktora Naczelnego

dowiedz się więcej! TygodnikPowszechny.pl/newsletter

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH X6 // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ADAM BURAKOWSKI / MATERIAŁY CN KOPERNIK

Spotkanie Ambasadorów Edukacji Kosmicznej ESERO-Polska w Centrum Nauki Kopernik w 2024 roku

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

KOSMOS ZACZYNA SIĘ W KLASIE

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

„Ziemia jest kolebką ludzkości. Ale nie możemy na zawsze pozostać w kolebce". Te słowa Konstantyna Ciołkowskiego, potomka polskich zesłańców i jednego z „proroków" badań kosmosu, inspirowały od przeszło stu lat inżynierów, naukowców i badaczy, którzy chcieli sięgać po tajemnice wszechświata.

Choć od pierwszego lotu człowieka w kosmos dzielą nas 64, a od pierwszego lądowania na Księżycu 56 lat, chociaż nie ma tygodnia bez odkryć nowych światów, zjawisk i cudów wszechświata, kosmos nie stracił niczego ze swojej „magicznej" mocy. Ciągle fascynuje i inspiruje do sięgania po wiedzę.

A do tego jest dziś niezwykle dochodowym biznesem. Globalna branża kosmiczna, czyli firmy budujące rakiety, satelity, urządzenia czy analizujące dane napływające z orbity, jest dziś warta 594 mld dolarów. Według analizy firmy McKinsey & Company, do 2035 r. wartość tego rynku wzrośnie do aż 1,8 bln dolarów rocznie. Co ważne, polscy inżynierowie i przedsiębiorcy coraz śmielej poczynają sobie w tej branży. Według danych Polskiej Agencji Kosmicznej POLSA, w 2024 r. mieliśmy już 400 „kosmicznych" firm zatrudniających ponad 15 tys. osób. **Łącznie polski sektor kosmiczny jest wart przeszło 2 mld zł rocznie.**

Nic dziwnego, że młodzi ludzie chętnie wiążą swoją przyszłość właśnie z kosmosem. Kombinacja fascynacji, romantyzmu i dynamicznie rozwijającego się sektora wysokich technologii sprawia, że kosmiczna przestrzeń wciąż przyciąga.

Program ESERO-Polska jest odpowiedzią na ten zew. To program edukacji kosmicznej, wprowadzający kosmos do sal lekcyjnych. Współpraca Europejskiej Agencji Kosmicznej, Centrum Nauki Kopernik i dziesiątków zaangażowanych, entuzjastycznych edukatorów sprawia, że kosmos może być bliżej szkolnych sal niż kiedykolwiek wcześniej. A uczniowie mogą przekonać się, że wiedza, którą nabywają w szkole, ma fundamentalne znaczenie dla przyszłości ich samych – ale też, być może, całej ludzkości.

Kosmos zaczyna się w klasie

– Od zawsze miałam poczucie, że szkoła to za mało – mówi Aneta Kołton-Janiga, nauczycielka fizyki i chemii z Sosnowca. – Nie wystarczało mi „realizowanie podstawy programowej". Chciałam czegoś więcej – i dla uczniów, i dla siebie.

Pierwszy krok zrobiła z ciekawości. Zobaczyła informację o Klubie Młodego Odkrywcy (KMO) przy Centrum Nauki Kopernik. Założyła taki klub w swojej szkole. Potem przyszły kolejne inicjatywy: udział w Forum KMO, poznanie programu ESERO, tematy kosmiczne wprowadzane na lekcjach i warsztatach. W 2018 r. została Ambasadorką Edukacji Kosmicznej.

Dziś współtworzy zestawy dydaktyczne, prowadzi zajęcia z konstruowania modeli pulsarów i pokazuje uczniom, jak używać tabletu jako podręcznej namiastki… radioteleskopu. A przede wszystkim: **działa w ogólnopolskiej sieci nauczycieli, którzy zmieniają sposób uczenia w polskiej szkole. Takich jak ona jest już pięćdziesięcioro. A wokół nich – tysiące dzieciaków, dla których nauka to dziś coś więcej niż sprawdzian.**

Właśnie mija dziesięć lat, odkąd program ESERO-Polska, realizowany przez Centrum Nauki Kopernik we współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną, zaczął działać w polskich szkołach. Z tej okazji jego twórcy i uczestnicy podsumowują efekty i zastanawiają się, co dalej. Bo to już nie jest projekt edukacyjny – to prawdziwy ruch.

Kosmos jako narzędzie

Program ESERO działa w kilkunastu krajach Europy. Jego założeniem jest nie tyle nauczanie o kosmosie, co wykorzystywanie go jako kontekstu do rozwijania kompetencji uczniów: od fizyki i biologii po krytyczne myślenie i pracę zespołową.

– Kosmos to nie temat. To pretekst – mówi Justyna Średzińska, ekspertka ds. edukacji ESERO-Polska w Centrum Nauki Kopernik. – Dzięki niemu można przejść od obwodu elektrycznego do życia na Marsie. Od meteorologii do zmian klimatu. Od biologii do inżynierii materiałowej.

W praktyce oznacza to lekcje, podczas których uczniowie budują modele gwiazd neutronowych, projektują bazy księżycowe albo sprawdzają, jak zmienia się jakość powietrza wokół szkoły. Scenariusze opracowują sami nauczyciele – w ramach Programu Ambasadorów Edukacji Kosmicznej. Zestaw Kosmiczny, jedna z flagowych inicjatyw programu, zawiera 16 gotowych modułów dydaktycznych, które można przeprowadzić w klasie bez specjalistycznego sprzętu.

– Uczniowie najlepiej uczą się wtedy, gdy coś robią. Konstruują. Testują. Myślą – mówi Kołton-Janiga. – Kiedy widzą efekt, to zostaje w głowie. Nawet jeśli nie zapamiętają wzoru, zapamiętają, po co on był.

Od zera do satelity

Waldemar Grabowski z Zielonej Góry – fizyk, nauczyciel i popularyzator nauki – przygodę z ESERO zaczął niemal na początku funkcjonowania w Polsce programu. Wspomagał swoich uczniów, gdy ci zgłosili się do konkursu CanSat. W ramach rywalizacji uczniowie zbudowali minisatelitę, która zajęła trzecie miejsce w Polsce. Zespół nazywał się D-DALSAT. Opracowany przez nich mikrosatelita był złożonym, zaawansowanym urządzeniem, które miało precyzyjnie kontrolować swój lot, chociaż sam zespół podczas jego budowy dopiero uczył się niemal wszystkiego. – Jeden znał się na elektronice, drugi na analizie danych. Nauczyli się

MATERIAŁ PROMOCYJNY

RADOSŁAW POPIELIŃSKI / WROSPACE / MATERIAŁY CN KOPERNIK

Po lewej: Waldemar Grabowski prowadzi warsztaty podczas World Space Week Wrocław, 2024 r.

Po prawej: Aneta Kołton-Janiga podczas obserwacji częściowego zaćmienia Słońca w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 5 w Sosnowcu, 2023 r.

KATARZYNA ŁUKASZEWICZ-CHOLEWA / MATERIAŁY CN KOPERNIK

współpracy, planowania, a przy okazji fizyki i inżynierii – wspomina Grabowski.

Dziś nauczyciel współorganizuje ogólnopolskie wydarzenia popularyzujące kosmos, współpracuje z ESA, NASA i CERN-em. Ale wciąż uczy – i mówi, że nie wyobraża sobie edukacji innej niż projektowa: **– Szkoła uczy od egzaminu do egzaminu. A edukacja powinna uczyć do życia. Dlatego pokazuję uczniom, jak zbudować coś realnego. Coś, co ma sens.**

– Mam ucznia, który dzięki konkursowi CanSat trafił na studia techniczne, a dziś pracuje w firmie zajmującej się technologiami satelitarnymi. Jego projekt poleciał w kosmos. Takie rzeczy się dzieją. I to wszystko zaczęło się od szkolnej klasy – dodaje Grabowski.

Eksploratorzy przyszłości

Zainteresowanie kosmosem rośnie nie tylko wśród uczniów. Polska Agencja Kosmiczna POLSA inwestuje w edukację, współpracuje z ESERO, organizuje konkursy i wspiera wydarzenia takie jak Piknik Naukowy (Polskiego Radia i Centrum Nauki Kopernik). A lot na orbitę Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego to kolejna okazja do promowania nauki i technologii wśród młodzieży.

Według raportu Fundacji Space4Youth aż 72 proc. polskich uczniów chciałoby uczyć się więcej o kosmosie, a ponad połowa rozważa karierę w sektorze STEM (od: science, technology, engineering, mathematics), jeśli zostanie odpowiednio zachęcona. ESERO wpisuje się w te potrzeby – łączy naukę z działaniem, teorię z praktyką.

– Kosmos działa na emocje – mówi Kołton-Janiga. – Można zacząć od pytania: „Co by się stało, gdyby uderzyła w Ziemię asteroida?”, i płynnie przejść do fizyki, chemii, geografii i biologii. Uczniowie słuchają. Są obecni.

Nie jesteś sam

Jednym z największych sukcesów programu ESERO jest budowa sieci, w ramach której zaangażowani nauczyciele mogą wspierać się nawzajem i uczyć na swoich doświadczeniach. Ambasadorzy spotykają się kilka razy do roku, organizują wspólne wydarzenia, dzielą się wiedzą i scenariuszami. – Jeśli czegoś nie wiem, piszę do kogoś z sieci. I dostaję pomoc. Czasem gotowy pomysł na zajęcia – mówi Kołton-Janiga**.**

Wielu uczestników programu prowadzi dziś warsztaty dla innych, publikuje scenariusze, reprezentuje swoje szkoły na konferencjach naukowych i edukacyjnych. Dla wielu to pierwszy krok do dalszej kariery w edukacji pozaformalnej lub popularyzatorskiej.

Ambasadorem może zostać każdy nauczyciel lub edukator. Rekrutacja odbywa się co roku, zwykle pod koniec listopada. Trzeba przygotować krótki opis swojej działalności, plan działań i motywację. Wybrani uczestnicy dostają wsparcie finansowe, merytoryczne i organizacyjne. A potem… zostają na lata.

– Większość osób, które zaczynają, zostaje – mówi Średzińska. – Bo to działa. I daje satysfakcję.

W ciągu 10 lat z programów ESERO-Polska skorzystało ponad 17 tys. nauczycieli i 42 tys. uczniów. Ale liczby nie oddają skali. Bo ci uczniowie już inaczej myślą. Inaczej pytają. I mają większe ambicje.

Kosmos na teraz

Dlaczego dziś, w świecie TikToka i smartfonów, warto mówić o kosmosie? – Bo to przestrzeń, która łączy wszystko – mówi Waldemar Grabowski. – Technologię, sztukę, naukę, marzenia i przyszłość. I to, co robimy teraz, ma realny wpływ na to, kim będą nasi uczniowie za dziesięć lat.

Justyna Średzińska dodaje: – Kosmos odpowiada na pytanie, które zadaje każde dziecko: „Po co mi to?”. Po co mi ta biologia, chemia, fizyka? Dzięki kosmosowi można pokazać odpowiedź. I to działa.

Program ESERO to nie zajęcia o rakietach. To sposób na uczenie dzieci zadawania pytań. I szukania odpowiedzi. A może właśnie tego najbardziej dziś potrzebujemy.

Przyszłość jest interdyscyplinarna

Dla wielu nauczycieli udział w ESERO to także zmiana podejścia do własnego przedmiotu.
– Kiedyś myślałam, że fizyka to tylko wzory i tablica. Teraz widzę, że to też pytania, ciekawość, problemy społeczne, kontekst – mówi Kołton-Janiga. – Kosmos pozwala połączyć przedmioty. I nauczycieli.

W projektach ESERO coraz częściej uczestniczą zespoły interdyscyplinarne. Nauczyciel fizyki pracuje z plastykiem. Biolog z informatykiem. To zmienia dynamikę pracy w szkole – i otwiera nowe ścieżki dla uczniów.

– Uczniowie uczą się, że świat nie jest podzielony na przedmioty. Że klimat to i biologia, i fizyka, i geografia, i matematyka. A w kosmosie – wszystko to razem – mówi Średzińska.

Małe kroki, wielkie zmiany

W rozmowach z uczestnikami programu często powtarza się jedno: poczucie sensu. – Ja się dzięki temu programowi po prostu rozwijam – mówi Kołton-Janiga. – I dzięki temu moi uczniowie też się rozwijają. Bo mam im więcej do dania. Nie tylko wiedzę, ale i motywację.

To nie jest historia o edukacyjnej rewolucji. To opowieść o nauczycielach, którzy krok po kroku zmieniają swoje szkoły. Uczą inaczej. Pracują inaczej. I pokazują, że warto.©

Więcej o ESERO: esero.kopernik.org.pl

P. PLAILLY / E. DAYNES / SPL / EAST NEWS

NAUKA

PRZESZLIŚMY DŁUGĄ DROGĘ

GUIDO BARBUJANI, GENETYK I ANTROPOLOG:

Nasi małpi przodkowie byli biali. Pociemnieli, gdy stracili włosy. Jeszcze w epoce żelaza, w czasie mitycznego założenia Rzymu, połowa populacji Europy miała ciemną skórę.

Rekonstrukcje wyglądu naszych przodków autorstwa francuskiej rzeźbiarki Élisabeth Daynès.

Od góry: rodzina neandertalska.
W środku: Homo ergaster (H. erectus), Australopithecus africanus, Paranthropus boisei, Sahelanthropus tchadensis.
Na dole: H. georgicus, A. afarensis (gatunek reprezentowany przez Lucy).

KASPER KALINOWSKI: Jeszcze kilkadziesiąt tysięcy lat temu nasi przodkowie żyli obok innych gatunków człowieka, takich jak denisowianie, neandertalczycy czy *Homo floresiensis*. Wiemy, jak wyglądały ich wzajemne kontakty?

PROF. GUIDO BARBUJANI: W bardzo ograniczonym stopniu. Po pierwsze, wiele skamieniałości i stanowisk archeologicznych wciąż czeka na odkrycie. Na pewno nie odnaleźliśmy jeszcze śladów wszystkich wymarłych gatunków ludzi. W dawnych czasach bycie człowiekiem miało o wiele szersze znaczenie niż obecnie.

Wiemy, że *Homo sapiens* i neandertalczycy mieli ze sobą kontakty na Bliskim Wschodzie i w Europie. Co przyniosły te kontakty, pozostaje kwestią otwartą. Co ciekawe, neandertalczycy przez dziesiątki tysiącleci produkowali identyczne narzędzia jak nasi przodkowie, ale coś się zmieniło, gdy spotkali pierwszych przedstawicieli *Homo sapiens*. Nie wiemy, czy to dlatego, że nauczyli się od nas dekorować swoje ciała i tworzyć bardziej wyrafinowane przedmioty, czy też dokonał się u nich niezależny postęp kulturowy.

Denisowianie, którzy mieszkali na wschodzie, w Azji, są dość tajemniczy – przez ostatnich 15 lat zastanawialiśmy się, jak w ogóle wyglądali. Możemy jednak stwierdzić, że należeli do innego gatunku niż *Homo sapiens* czy neandertalczycy, ponieważ z miniaturowych fragmentów kości, które znaleźliśmy, udało się wyekstrahować ich DNA. W przypadku *Homo floresiensis* mamy dobre wyobrażenie o ich wyglądzie, bo zachowało się znacznie więcej skamieniałości, ale jak dotąd nie natrafiliśmy w nich z kolei na ślady DNA. W obu przypadkach nie ma archeologicznych dowodów na interakcje z naszymi przodkami.

Ciągle za mało odkryliśmy, by dobrze zrozumieć naszą prehistorię?

Za każdym razem, gdy pojawia się nowe odkrycie, coś zmienia się w naszym rozumieniu prehistorii. Przede wszystkim zmniejsza się margines błędu naszych hipotez. W najważniejszych kwestiach mamy wiele dowodów. Nikt już tak naprawdę nie wątpi, że człowiek – mam na myśli cały rodzaj *Homo* – pochodzi z Afryki, że migrował w różnych momentach w kierunku Eurazji i Australii, i że w tym procesie różne grupy różnicowały się w izolacji, dając początek nowym gatunkom. Nowe odkrycia mogą nam jednak pomóc lepiej zdefiniować czas i szczegóły tych procesów.

Ale szczerze mówiąc, nie przywiązywałbym większej wagi do nagłówków gazet, które niemal co roku ogłaszają, że nowo odkryta skamielina zrewolucjonizuje nasze poglądy na ewolucję człowieka. Każde takie odkrycie dodaje jakiś element do wielkiej mozaiki, ale nie może głęboko zmienić jej ogólnego zarysu. ↦

↦ *Homo sapiens* doczekał się potomstwa zarówno z denisowianami, jak i neandertalczykami. Dlaczego więc mówimy o różnych gatunkach?

Osobiście mam pewne wątpliwości co do hybrydyzacji z neandertalczykami, ale wrócimy do tego później. Jeśli chodzi o koncepcję gatunku, odpowiedź znajdziemy już w pracach Karola Darwina, a nawet wcześniejszych koncepcjach Jana Chrzciciela Lamarcka.

W szkole uczymy się, że konie i osły należą do różnych gatunków, ponieważ ich hybrydy – muły – są bezpłodne. Tak sztywna definicja gatunku pochodzi z XVIII w., z pracy szwedzkiego przyrodnika Karola Linneusza, który zaproponował klasyfikację organizmów. Podobnie jak wszyscy naukowcy jego epoki, Linneusz wierzył, że gatunki były wyraźnie od siebie odseparowane od momentu stworzenia. Zadanie przyrodników było ogromne i czasochłonne, ale koncepcyjnie proste – musieli tylko umieścić właściwą etykietę na właściwym zwierzęciu lub roślinie.

Lamarck jako pierwszy zakwestionował taki pogląd, twierdząc, że różne gatunki pochodzą od wspólnych przodków. Darwin w pełni się z nim zgadzał. Tylko że jeśli Lamarck i Darwin mają rację – a mają – to to, co obecnie jest różnymi gatunkami, jakiś czas temu musiało być jednym gatunkiem. Ich oddzielenie zajęło dziesiątki tysięcy lat, podczas których dwie grupy były już w pewnym stopniu różne, ale nadal mogły się krzyżować i wydawać płodne hybrydy. W rzeczywistości, pomimo tytułu swojego arcydzieła – „O powstawaniu gatunków" – Darwin nie miał wysokiego mniemania o koncepcji gatunku. Pisał, że możemy i musimy określać różne organizmy różnymi nazwami, jeśli te są wystarczająco różne, aby można je było od siebie odróżnić. Jednak byłoby błędem zakładać, że skoro określamy je różnymi nazwami, będą posłusznie unikać krzyżowania się i zaprzestaną wydawać na świat płodne potomstwo.

Zatrzymajmy się przy neandertalczykach. Są takie oszacowania, według których ich cała populacja, od Hiszpanii po Mongolię, w jednym czasie liczyła zaledwie kilka tysięcy osobników.

Tak, prehistoryczna Eurazja na pewno nie była zatłoczonym miejscem.

Jak zatem się rozmnażali? Jak w takich warunkach znaleźć partnera poza swoją rodziną?

Podobnie jak robili to wcześni przedstawiciele *Homo sapiens*, wilki czy jelenie – trzeba się nachodzić. W dyskursie publicznym i polityce popularnym słowem stały się „korzenie". Obecnie często kojarzymy je z określonymi granicami geograficznymi. Cóż, w rzeczywistości korzenie utrzymują roślinę w miejscu, ale ssaki mają stopy i nogi, dzięki czemu intensywnie eksplorują otoczenie. Myślę, że powinniśmy sobie wyobrazić naszych przodków czy krewnych (neandertalczyków, denisowian) jako przebywających stale w ruchu i wytrenowanych w rozpoznawaniu oznak obecności innych istot podobnych do nich. W ten sposób mogli się spotykać i, jeśli sprawy przybrały romantyczny obrót, rozmnażać się. Nawet jeśli było ich niewielu na ogromnej przestrzeni.

Być może ich wyginięcie było nieuniknione z tego powodu? W skamieniałościach neandertalczyków z jaskini El Sidrón w Hiszpanii odkryto 17 deformacji mających genetyczne źródło. Wśród zaledwie 13 osób. Cały gatunek czekałby los Habsburgów?

W pewnym sensie tak. W rzeczywistości neandertalczycy mieli kłopoty już w momencie, gdy wkroczyliśmy na ich terytoria kilkadziesiąt tysięcy lat temu. Analiza DNA wskazuje, że przed przybyciem *Homo sapiens* do Eurazji jeden neandertalczyk z Gór Ałtajskich był synem przyrodniego rodzeństwa. Jego matka i ojciec mieli więc tę samą matkę lub ojca. Oznacza to, że ich populacja stała się niezwykle mała. I, jak pan powiedział, gdy występuje wiele związków kazirodczych, anomalie genetyczne stają się częste i ostatecznie zmniejszają szanse populacji na przeżycie.

A jednak geny neandertalczyków przetrwały w toku ewolucji – w nas samych. Muszą więc odgrywać jakąś rolę u współczesnego *Homo sapiens*. Co im zawdzięczamy?

To hipoteza, którą powinniśmy traktować poważnie – ja na pewno tak czynię – ale nie jest jeszcze udowodniona. Przecież Svante Pääbo, laureat Nagrody Nobla z 2022 r. za badania nad starożytnym DNA, oraz jego współpracownicy wykazali, że neandertalczycy są genetycznie bliżsi osobom spoza Afryki niż Afrykańczykom.

To fakt, którego nikt nie kwestionuje, ale pojawiają się dwie możliwe interpretacje. Jedna to hybrydyzacja – migrujący z Afryki *Homo sapiens* spotkali neandertalczyków i się z nimi skrzyżowali. Populacja hybrydowa, którą utworzyli, była niezrównoważona, co oznaczało, że do takiej „mieszanki" przyczyniło się wielu *Homo sapiens* i tylko kilku neandertalczyków. W konsekwencji osoby spoza Afryki mają w swoim genomie neandertalski składnik, którego brakuje u Afrykańczyków.

Pääbo i jego współpracownicy wspomnieli jednak o innej możliwości – wspólnym przodku. Eurazjatyccy *Homo sapiens* i neandertalczycy byliby bardziej podobni do siebie nawzajem niż afrykańscy *Homo sapiens* i neandertalczycy, ponieważ dzielili bliższego wspólnego przodka. Podobnie, ludzie i goryle są do siebie podobni genetycznie bardziej niż ludzie i kangury. Nie dlatego, że kiedyś uprawialiśmy seks z gorylami, ale dlatego, że nasi wspólni przodkowie żyli bliżej w czasie niż wspólni przodkowie ludzi i kangurów.

Idea hybrydyzacji jest fascynująca i szybko zyskała popularność. Do tego stopnia, że niektórzy przyjmują ją już za pewnik. Jednakże francuski genetyk Lounès Chikhi opublikował niedawno pracę, w której wykazał, że wszystkie dostępne dane genetyczne są zgodne z obiema hipotezami. Nie mówię, że hybrydyzacja nigdy nie miała miejsca. Mówię tylko, że nie możemy być tego całkowicie pewni. Problem jest skomplikowany przez fakt, że *Homo sapiens* i neandertalczycy dzielą ponad 99 proc. genomu, więc rozróżnienie, od kogo pochodzi dany fragment DNA, jest trudne. W 2020 r. wspomniany Pääbo oraz Hugo Zeberg zidentyfikowali wariant genetyczny na chromosomie trzecim, który sprawia, że ludzie są bardziej wrażliwi na ciężki przebieg covid-19. Ten sam wariant znaleźli w genomie jednego neandertalczyka z Chorwacji. Jednakże, w tym przypadku również nie wiemy, czy ten wariant genetyczny pochodzi od wspólnego przodka chorwackiego neandertalczyka i współczesnych ludzi, czy też jest to cecha, którą *Homo sapiens* przejęli po neandertalczykach.

Istnieją jaśniejsze dowody na denisowiańskie pochodzenie niektórych warian-

tów DNA, obecnych u współczesnych ludzi z Azji Wschodniej. Niektóre badania sugerują, że pewne populacje *Homo sapiens* mogły odziedziczyć korzystne warianty genów denisowian, które pozwalały im żyć w chłodniejszym klimacie na dużych wysokościach, z mniejszą zawartością tlenu w powietrzu.

Chyba żadna skamieniałość nie okryła się w paleoantropologii tak wielką sławą jak Lucy – znaleziony w Etiopii szkielet australopiteka żyjącego ponad 3 mln lat temu. Lucy znamy już od ponad pół wieku. Dlaczego stała się taką celebrytką?

Odkrycie każdej skamieniałości jest ekscytujące. Ale dodaj do siebie bohaterów: paleontolodzy to naprawdę ludzie żądni przygód, scenerię – w tym przypadku Hadar, potwornie niegościnny region Etiopii, oraz okoliczności – przypadkowe zboczenie z drogi powrotnej do obozu przez Donalda Johansona, i odkrycie Lucy. Otrzymujesz wszystkie składniki fantastycznej opowieści.

Lucy miała już wyprostowaną postawę. To cecha, która odróżnia nas od innych gatunków zwierząt?

Tak. Rzadko o tym myślimy, ale bycie dwunożnym jest czymś niezwykle dziwnym w świecie zwierząt. Szympansy, goryle, a także niedźwiedzie potrafią chodzić wyprostowane, ale tylko przez kilka kroków. Nasz kręgosłup wyraźnie ewoluował w tym kierunku. Przejście do pozycji wyprostowanej generowało same problemy, co wie każdy, kto cierpi na ból pleców, nie wspominając o trudnościach, jakich kobiety doświadczają przy porodzie. Dla szympansic i gorylic poród jest łatwy.

W ewolucji gatunek płaci tak wysoką cenę tylko wtedy, gdy nagroda jest równie wysoka. W naszym przypadku stanie na dwóch nogach uwolniło dwie kończyny, które u innych zwierząt służą wyłącznie do poruszania się. Nasze ręce i nasza zdolność do ich używania były niezwykłym paliwem dla serii kluczowych postępów ewolucyjnych, w tym ogromnego rozwoju naszego mózgu oraz, ostatecznie, zdolności językowych.

Dlaczego odróżniamy australopiteki od ludzi, skoro i one chodziły wyprostowane?

ARMANDO ROTOLETTI, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA LIBRA PL

PROF. GUIDO BARBUJANI jest genetykiem populacyjnym i antropologiem. Specjalizuje się w badaniach zmienności genetycznej w obecnych i dawnych populacjach ludzkich. Zajmował się także ewolucją i rozprzestrzenianiem się języka i kultury w naszej prehistorii. Autor wielu książek poświęconych genetyce i ewolucji człowieka, a także esejów i kilku powieści. W kwietniu nakładem Wydawnictwa Libra PL ukazała się jego książka „Tacy byliśmy. Historia ewolucji człowieka".

Jak już wspomniałem, nasze klasyfikacje istot żywych zawsze są dość arbitralne. Tym bardziej te dotyczące skamieniałości. Trudno rozstrzygać, czy organizmy, które żyły daleko od siebie w czasie i przestrzeni, należą do tego samego gatunku.

Gdy idzie o wyznaczenie początku rodzaju ludzkiego, *Homo*, to punktem zwrotnym wydaje się chwila, gdy pojawiają się zdolności, jakich nie spotykamy u innych naszych krewniaków, np. w linii prowadzącej do szympansów. Szympansy potrafią używać narzędzi, np. kamieni do rozbijania orzechów kładzionych na innym kamieniu, ale nie tworzą narzędzi przy pomocy innych narzędzi. Najstarsze kamienne narzędzia wykonane poprzez uderzenie kamieniami o siebie znalezione zostały we wschodniej Afryce. Skamieniałości leżące w sąsiedztwie tych narzędzi zostały w przeszłości zdefiniowane jako pierwsi przedstawiciele rodzaju ludzkiego – *Homo habilis*.

Ciągłe niebezpieczeństwo i ryzyko ataku – tak wyobrażamy sobie prehistorię. Czy tak przez miliony lat wyglądało życie naszych przodków?

Jako genetyk nie jestem w pełni odpowiednią osobą do mówienia o codziennym życiu naszych odległych przodków. Jednak wnioskując po danych, które obecnie posiadamy, skamieniałościach i przedmiotach pozostawionych przez ludzi prehistorycznych, trudno ocenić, jak stałe było niebezpieczeństwo. Z pewnością śmiertelność niemowląt była wysoka, a wiele szkieletów wykazuje wyraźne oznaki gwałtownej śmierci.

Zadawanej przez innych ludzi?

Najstarsze szeroko akceptowane dowody przemocy u ludzi pochodzą ze stanowiska Sima de los Huesos w Hiszpanii. Znaleziona tam czaszka posiada dwa pęknięcia powstałe w wyniku uderzenia ostrym przedmiotem ok. 430 tys. lat temu. Ich cechy oraz lokalizacja sugerują, że były konsekwencją konfrontacji twarzą w twarz. Kości na wielu stanowiskach archeologicznych dokumentują, że przemoc była dość rozpowszechniona w prehistorii, jeszcze zanim *Homo sapiens* skolonizowali Eurazję. Np. analizy kryminalistyczne czaszki ze stanowiska francuskiego Saint-Césaire, datowanej na ok. 36 tys. lat, pokazują, że neandertalczycy używali broni nie tylko do polowania, ale także w konfliktach z innymi członkami własnej grupy.

Mamy też pradawne przykłady altruizmu. W swojej książce „Tacy byliśmy. Historia ewolucji człowieka" przywołuje Pan przykład człowieka żyjącego ok. 2 mln lat temu, klasyfikowanego jako *Homo georgicus*. Twierdzi Pan, że musiał być przez kogoś pielęgnowany przez kilka lat. Skąd ten wniosek?

Jedna z czaszek *Homo georgicus* znalezionych w gruzińskim Dmanisi posiada tylko jeden ząb. Wiemy, że właściciel stracił pozostałe w czasie, gdy jeszcze żył, ponieważ zębodoły wypełniły się tkanką kostną. Tak samo dzieje się u nas, gdy dentysta usunie jeden z naszych zębów. To proces, który trwa miesiące lub lata, więc w tym czasie ktoś najwyraźniej opiekował się tą osobą, karmiąc ją pokarmem, który mogła przeżuwać.

To też niezbyt typowa cecha. Jesteśmy zaskakująco łagodnymi zwierzętami?

Wątpię, czy ludzie w Kijowie czy Gazie zgodziliby się, że nasz gatunek jest wyjątkowo łagodny.

Jest jednak faktem, że jesteśmy bardzo dobrzy we współpracy, gdy już się na nią zdecydujemy. Jej podstawą są pewnie ↦

nasze zdolności komunikacyjne. Być może nadszedł czas, aby odłożyć na bok niektóre dychotomiczne definicje – czy ludzie są dobrzy, czy źli?; pokojowi czy agresywni? – które nie pomagają w zrozumieniu złożoności ludzkiego umysłu. Każdy z nas ma szeroki zakres możliwości do wyboru, a jedną z nich – nie jedyną – jest bycie życzliwym dla innych.

Naszą współpracę wyjaśnia hipoteza samoudomowienia. Idea jest fascynująca: głosi ona, że grupy ludzi, które nauczyły się kontrolować agresywne instynkty, zyskiwały ewolucyjną przewagę nad tymi, które tego nie zrobiły, i dlatego się rozprzestrzeniały i ostatecznie zastąpiły inne. Podoba mi się ta koncepcja, ale to nie oznacza jeszcze, że nasze agresywne instynkty zniknęły.

Wspomniał Pan o naszych niezwykłych zdolnościach do komunikacji. Wiemy, kiedy język pojawił się w toku ewolucji?

Nie wiemy czy i w jakim stopniu wymarli ludzie potrafili mówić. Różne gatunki małp mają swoje sygnały alarmowe, których używają do komunikowania zagrożenia, np. pojawienia się węża. Badania sugerują nawet, że małpy mogą używać takich sygnałów alarmowych, by oszukiwać inne osobniki i samemu zjeść znalezione pożywienie. Czy komunikacja wczesnych ludzi była bardziej wyrafinowana? Nikt nie może tego wiedzieć.

W świetle mnóstwa badań prowadzonych na całym świecie, historia ewolucji człowieka staje się coraz bardziej skomplikowana. Niedawno dowiedzieliśmy się np., że biały kolor skóry jest ewolucyjną nowością. Kiedy się pojawił?

W biologii już tak jest. Sprawy wydają się proste, gdy niewiele o nich wiesz. Im więcej wiesz, tym bardziej się komplikują. Skóra nie pozostawia skamieniałości, ale wierzymy, że wspólny przodek ludzi i szympansów, który żył w Afryce około 7 milionów lat temu, miał białą skórę, tak jak szympansy pod sierścią. Utrata włosów w linii *Homo* naraziła nas na promieniowanie ultrafioletowe, a ciemniejszy odcień skóry lepiej przed nim chroni. Wtedy rozpoczął się typowy proces selekcji darwinowskiej, w którym ciemniejszy odcień stawał się coraz bardziej powszechny. Jednakże światło słoneczne sprzyja produkcji ważnej cząsteczki, witaminy D. Tak więc, gdy *Homo sapiens* opuścili Afrykę, kierunek presji selekcyjnej się odwrócił i dobór naturalny zaczął faworyzować jasny odcień. Oczywiście zajęło to trochę czasu. Pierwsi *Homo sapiens* stąpali po Europie ok. 45 tysięcy lat temu, ale najstarsze udokumentowane wystąpienie jasnego odcienia skóry pochodzi z Kaukazu, z czasów mezolitu, sprzed ok. 15 tysięcy lat. Nasza grupa badawcza na Uniwersytecie w Ferrarze właśnie rekonstruuje to, jak zmieniał się kolor oczu, włosów i skóry w prehistorii Europy. Odkrywamy, że przejście w kierunku jaśniejszego odcienia rozpoczęło się w neolicie, wraz z rozprzestrzenianiem się wczesnych rolników z Anatolii, ale zastąpienie ciemnej skóry wcale nie przebiegało liniowo. Około połowa populacji miała ciemną skórę aż do epoki żelaza, czyli czasów wojny trojańskiej i mitycznego założenia Rzymu.

FU ET AL. / CELL

QIAOMEI FU I WSPÓŁPRACOWNICY wykazali, że pochodząca sprzed ok. 146 tys. lat czaszka z Harbinu, na której podstawie w 2021 r. opisano gatunek *Homo longi*, w rzeczywistości reprezentuje denisowian. To pierwsza skamieniałość, która pozwala nam zrekonstruować wygląd tej populacji.

W takim razie mówienie dzisiaj o rasach ma jeszcze sens?

Nie. Rasa to XVIII-wieczny sposób opisywania ludzkiej różnorodności, wywodzący się z idei, że wszyscy ludzie pochodzący z danego miejsca są biologicznie podobni. Wtedy niewiele rzeczy można było poważnie badać: wzrost, długość rąk i nóg, niektóre wymiary czaszki. Konsekwencją była długa seria katalogów ras, a każdy był niespójny z pozostałymi. Nikt nigdy nie był w stanie ustalić, ile ludzkich ras istnieje. Badania DNA pokazały dlaczego.

Nie ma żadnej zgodności między popularnymi pojęciami rasy a różnicami, które identyfikujemy w genomie. Każda grupa genetycznie pokrywa się z innymi, a członkowie z każdej grupy mogą być tak różnorodni genetycznie, jak osoby wywodzące się z odległych regionów świata. Nawiasem mówiąc, to samo zaobserwowano u wielu bardzo mobilnych zwierząt, takich jak ryby oceaniczne czy ptaki. Dziś DNA dostarcza również szczegółowych informacji o indywidualnym ryzyku choroby i wrażliwości na leczenie farmakologiczne, które mogą być bardzo różne u różnych członków tej samej populacji.

Dlatego nie ma potrzeby, ani teoretycznej, ani praktycznej, trzymać się przestarzałej koncepcji, jaką jest rasa. Niezależnie od tego, jakiej nazwy użyjemy – rasa, plemię czy grupa etniczna – idea, że w takich grupach wszyscy ludzie są do siebie genetycznie podobni, jest po prostu błędna z naukowego punktu widzenia. Jeśli chcemy opisać wiele osób wspólnym określeniem, to „populacja" jest prawdopodobnie najlepszym terminem.

Od kilkudziesięciu lat zajmuje się Pan ewolucją człowieka. Odpowiedzi na jakie tajemnice naszej prehistorii spodziewa się Pan poznać w najbliższych latach?

Gdybym był w stanie odpowiedzieć, to znaczyłoby, że już te tajemnice rozwiązałem. W najlepszym razie mogę więc mówić o półtajemnicach. Urodziłem się w Adrii, na północnym krańcu tego, co kiedyś było terytorium Etrusków. Jak pewnie wiele osób wie, zacięte rywalizacje między sąsiadami są typowe dla Włoch i wychowano mnie w silnym przekonaniu, że my z Adrii jesteśmy Etruskami, podczas gdy ludzie z pobliskiego Rovigo nimi nie są. Mam nadzieję, że badania starożytnego DNA wykażą, że cywilizacja Etrusków przetrwała w moich komórkach i w komórkach mojego syna. © Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

STANISŁAW

Mancewicz: *Uśmiech w Polsce*

Okresowo, zwłaszcza gdy nikomu nie jest do śmiechu, wznawiamy nasze wiele już lat trwające badania nad uśmiechaniem się do bliźnich. Pomysł wyłonił się dawno, podczas prehistorycznego wyjazdu za zachodnią granicę, w zepsutym do cna i grzesznym świecie demokracji liberalnej.

Wtedy to, po raz pierwszy w życiu, podczas zakupów, ekspedientka uśmiechnęła się do nas – jak się okazało – z uprzejmości. Zanim ktoś z dobrego serca wytłumaczył nam to zjawisko, doznaliśmy szeregu objawów charakterystycznych dla stresu pourazowego, szoku kulturowego i tzw. dysonansu poznawczego. Oto gdy ekspedientka uśmiechała się do nas, co, domyślić się łatwo, nie trwało wieki, a więc w stosunkowo krótkim czasie, przez głowę przemknęło nam wiele pytań.

Po pierwsze, pomyśleliśmy, że pani ta uśmiecha się do nas, bowiem się skądś znamy. Może to koleżanka z podstawówki, która wyemigrowała, dzieckiem jeszcze będąc? Nie. Po drugie, pomyśleliśmy, że kobieta ta ma wobec nas tzw. zamiary. Człowiek był naonczas wysoki, szalenie gibki i prężny, nie mówiąc o kinowej urodzie, bez opuchlizn ni purchawek, ze znakomitym uzębieniem i z fantazyjną fryzurą. A więc podryw.

Równie szybko, jak przyszło nam to na myśl, tak nam się odwidziało. Podryw podrywem, ale uśmiech może takoż znaczyć, że pani owa się z nas śmieje. Bo śmieje się z Polski i z Polaków. Bo na Zachodzie wszyscy z nas się śmieją, z naszego wyglądu, ubioru, uzębienia, z purchawek, z bytowania zarówno ziemskiego, jak i z naszej osobliwej metafizyki, dziwnej fizyki, etyki i, za przeproszeniem, estetyki.

Spochmurnieliśmy. Dopiero po jakimś czasie przyzwyczailiśmy się do tego, że ludzie się uśmiechają zawodowo, profesjonalnie, humanistycznie i humanitarnie, dlatego że to miłe i uprzejme. Jako się rzekło, wytłumaczył nam to po jakimś czasie ktoś otrzaskany w obyczajowości i cywilizacji zgniłego Zachodu, zamieszkiwanego przez ludzi nader zniewieściałych.

Od tamtego czasu, a zatem od lat, sezonowo prowadzimy na terenie RP eksperymenty z uśmiechaniem się do ludzi w różnych okolicznościach i robimy to po dziś dzień. Sami się dziwimy, że jeszcze żyjemy, że nie mamy przyznanej grupy inwalidzkiej. Uśmiechanie się w Polsce, zważyć należy, w kraju, w którym nikomu nie jest do śmiechu, to ryzyko. Oto spróbuj, człowieku, uśmiechnąć się do obcego dziecka w parku. Podejrzliwe spojrzenia, a na finiszu oskarżenie o pedofilię to pewnik. Bezcelowe uśmiechnięcie się do kobiety na ulicy, w sklepie czy w kawiarni jest przynajmniej równie podejrzane.

Uśmiech jest zaczepką. W najlepszym wypadku budzi zdziwienie, ale i zaniepokojenie. Uśmiecha się zboczur – wiadomo. Doprawdy do kobiet lepiej się nie uśmiechać. No, ale uśmiech posłany polskiemu mężczyźnie, obcemu dodajmy, to materiał na duży tekst. Na solidną pracę na temat reakcji i rozumowania *Homo sapiens* Europy Wschodniej. Ponieważ w żyłach naszych płynie gorąca krew ryzykanta, uśmiechamy się do polskich mężczyzn. Od czasu do czasu rzecz jasna, nie codziennie, co to, to nie.

Gdy idzie się w kierunku takiej zabawy, dobrze się wcześniej spotkać z notariuszem i poczynić w jego obecności stosowne dyspozycje. Można pożegnać się z rodziną, wypalić ostatniego papierosa i zjeść danie amerykańskich skazańców, czyli stek z frytkami. A więc uśmiech posłany mężczyźnie polskiemu równa się posądzeniu o homoseksualizm. Uśmiech bowiem jest najbardziej znaną cechą rozpoznawczą homoseksualistów w rozumieniu heteroseksualnego mężczyzny polskiego. Poza nieskomplikowanymi kwestiami i widzeniami związanymi z tożsamością seksualną, uśmiechanie się do obcego nam Polaka może się wiązać z namawianiem go do tzw. niekorzystnego dysponowania mieniem, w tym nieruchomością, posądzeniem o próbę wyłudzenia tzw. środków bądź o przygotowanie gruntu pod kradzież pospolitą.

Jednak to wszystko jest niczym wobec uśmiechnięcia się do grupy tutejszych mężczyzn. Nie do jednego, a do kilkunastu. Otóż przyznamy się, bez bicia, że na to wyzwanie nie starczyło nam nigdy ani odwagi, ani fantazji. Marzymy o tym. Nie dysponujemy jednak ani warunkami fizycznymi, ani umysłowymi, ani zapleczem operacyjnym, taktycznym bądź strategicznym. Uśmiech w Polsce czeka na zdolnego badacza z przygotowaniem komandosa. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

MATERIAŁY PRASOWE X3

Plener Czytelniczy Hestii. Sopot, 14 czerwca 2025 r.

LEKTURA NA TRAWIE

Czytanie w plenerze to wstęp do zbliżających się wakacji. 14 czerwca w Sopocie odbył się Plener Czytelniczy Hestii – wydarzenie poświęcone literaturze dziecięcej i młodzieżowej.

Jacek Taran

W zielonej przestrzeni parku Hestii, tuż przed oficjalnym początkiem lata, spotkali się autorzy, krytycy, edukatorzy, dzieci i rodzice. Główna scena, na której odbywały się rozmowy z pisarzami, stanowiła centrum programu, ale równie istotna była część warsztatowa i strefa działań twórczych.

Dziecko – uważny czytelnik

Gośćmi specjalnymi byli autorzy nominowani do nagrody „Literacka Podróż Hestii 2025": Marcin Szczygielski, Cezary Harasimowicz, Dominika Słowik, Sasza Hady i Agnieszka Misiak.

Marcin Szczygielski żartobliwie przyznał, że „pisanie dla młodych to największe wyzwanie – oni są bezlitośnie szczerzy". Jego anegdotę z dzieciństwa o chóralnym śpiewie przeboju „Nie ma wody na pustyni" w rozgrzanym, warszawskim tramwaju, publiczność nagrodziła brawami. W rozmowie o literaturze dziecięcej Harasimowicz podkreślał, że pisanie dla młodych wymaga nie tylko wyobraźni, ale także etycznej odpowiedzialności. Ważne jest mówienie prostym językiem nawet o sprawach najtrudniejszych – mówił scenarzysta i autor książek dla młodych czytelników. Dominika Słowik zwracała uwagę na rolę literatury jako narzędzia, które nie musi odpowiadać na pytania, ale powinno je stawiać.

Ważna literatura

Tuż po spotkaniach z autorami odbyła się debata w ramach Salonu Polityki pod hasłem „Wartościowa książka, czyli co?", w której udział wzięli Michał Rusinek, Maria Strzelecka i Wojciech Bonowicz. Rozmowę prowadziła dziennikarka „Polityki" Joanna Cieśla-Hanke. Publiczność wsłuchiwała się w refleksje o tym, co sprawia, że książka zostaje z nami na dłużej – czy decydują o tym tematy, język, czy może emocje, które budzi. Michał Rusinek podkreślał, że literatura dziecięca to nie „mniejsza" literatura – przeciwnie, często zmusza autora do większej precyzji i odpowiedzialności. Wojciech Bonowicz zapytany o to, jakie książki dołożyłby do szkolnego kanonu lektur, powiedział, że „trudno jest wymienić konkretny tytuł, jeśli nie opracujemy całego kontekstu, nie pozwolimy młodzieży zrozumieć, dlaczego akurat ta lektura jest ważna". Rozmówcy podkreślali też, jak istotne w edukacji jest stworzenie przestrzeni dla dzielenia się własnymi doświadczeniami czytelniczymi i dla własnych poszukiwań.

Spotkanie z nominowanymi do nagrody Literacka Podróż Hestii.

Wiankowe warsztaty cieszyły się ogromnym zainteresowaniem.

Warsztatowa różnorodność

Wokół sceny rozlokowano kilkanaście stanowisk warsztatowych i aktywności. Dzieci tworzyły komiksowe paski, malowały pocztówki z wymyślonych podróży i poznawały język migowy z wolontariuszami Fundacji Integralia. W innej części parku powstał tor przeszkód i strefa aktywności fizycznej, zorganizowana przez Marinę Zdrowia. Popularnością cieszyły się zmywalne tatuaże od Biblioteki Wyobraźni, a także swap książkowy, gdzie można było wymienić się lekturami. Z okazji 25-lecia Nagrody Tischnera zorganizowano także Strefę Myśli Tischnerowskiej – miejsce do spokojnej refleksji i rozmowy o wartościach w literaturze i codzienności.

Dodatkowym atutem wydarzenia była strefa kulinarna – lemoniada, naturalne lody i przekąski, którymi można było delektować się w cieniu drzew i kontynuować czytelnicze rozmowy. Wielu uczestników podkreślało rodzinną atmosferę tego pleneru.

Organizatorzy również byli zadowoleni z frekwencji i odbioru. Maria Rosa, prezeska Fundacji Artystyczna Podróż Hestii i dyrektorka PR ERGO Hestii, powiedziała: „Książki dla młodych czytelników to medium, które buduje porozumienie, rozwija, podkreśla ważne tematy i łączy pokolenia. Chcemy tworzyć przestrzeń, w której ta siła książek staje się widoczna i namacalna – taką przestrzenią jest właśnie Plener Czytelniczy”.

Czytanie buduje

Ambicją organizatorów jest budowa społeczności czytelniczej, a takie wydarzenia mogą stać się podstawą i zaczątkiem do realizacji tego zamierzenia. Wydarzenie nie było zamkniętym festiwalem, ale raczej otwartym spotkaniem – dostępnym dla każdego, bez biletów i selekcji uczestników.

To ważne, szczególnie w kontekście literatury dziecięcej, która często powstaje z myślą o wspólnym czytaniu – rodzica z dzieckiem, nauczyciela z uczniem, dziadka z wnuczką. W Sopocie było to widać: książki czytano głośno i szeptem, pod drzewami i na leżakach, z wypiekami na twarzy albo z niedowierzaniem, że to „dla dzieci”, a jednak porusza tak bardzo.

W tym sensie Plener Czytelniczy Hestii był nie tylko świętem literatury. Był dowodem na to, że czytanie – także to wspólne, w przestrzeni publicznej – wciąż ma znaczenie. Nie jako ucieczka od rzeczywistości, ale jako sposób jej rozumienia. ©℗

Literacka Podróż Hestii
ERGO HESTIA®

Wydarzenie zostało zorganizowane przez Fundację Artystyczna Podróż Hestii oraz Literacką Podróż Hestii, przy wsparciu ERGO Hestii.

Literacka Podróż Hestii

OSWAJANIE DEMONÓW

JACEK TARAN

Tegoroczny wybór kapituły Literackiej Nagrody Hestii padł na książki, które podejmują refleksję nad akceptacją inności, migracją, samotnością. To książki, które przenoszą wielkie zagadnienia na poziom dziecięcej wrażliwości.

Jury doceniło twórców, którzy potrafią mówić do najmłodszych o sprawach trudnych, ale bez odpychającego dydaktyzmu czy dorosłej protekcjonalności. Mówią do swoich czytelników z szacunkiem i literacką precyzją. Nominowane tytuły przekraczają granice wieku, skłaniając do dialogu nie tylko dzieci, ale i dorosłych.

Wśród tegorocznych nominowanych znalazły się książki, które w sposób szczególny eksplorują temat tożsamości i przynależności (np. „Chłopiec z lasu" Harasimowicza). Autorzy podejmują próbę oswojenia tematu wykluczenia oraz poszukiwania własnego miejsca w świecie („Kosma, Kopacz i leśna szkoła" Agnieszki Misiak), zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym – dotykają zatem problemów, z którymi na jakimś etapie życia zmagał się każdy z nas. Ich opowieści niosą przesłanie zrozumienia i otwartości na drugiego człowieka, mówią o borykaniu się z demonami dojrzewania, budzącymi się uczuciami i seksualnością („Same dobre wróżby" czy „Rybie oko"). Szczególnie istotne okazało się umiejętne przeniesienie uniwersalnych wartości w ramy dziecięcej perspektywy, bez uproszczeń, lecz z zachowaniem naturalnego języka dziecięcej ciekawości i emocjonalności. I co ważne – są to książki, które mają zdolność poruszania również dorosłych czytelników.

Nagroda Literacka Hestii, przyznawana od kilku lat, konsekwentnie promuje literaturę dziecięcą, która nie tylko bawi, ale i uczy wrażliwości społecznej. Nominacje do tegorocznej edycji potwierdzają, że literatura dla młodych czytelników potrafi być głęboka, piękna i ważna – i zasługuje na miejsce w centrum debaty o współczesnych wartościach.

- Dominika Słowik, **RYBIE OKO** Wydawnictwo Literackie, 2024

W tej powieści Dominika Słowik z uwagą, ale i bezlitośnie precyzyjnie, portretuje dorastanie w Polsce końcówki lat 90. i początku nowego tysiąclecia – na osiedlu, które jeszcze nie zdążyło się otrząsnąć po transformacji, a już musiało mierzyć się z nowymi wykluczeniami. To opowieść o codzienności, gdzie Backstreet Boys lecą z magnetowidu, kosmetyki podkrada się z toaletki matki, a buty do szkoły nosi w plastikowych reklamówkach, bo na markowy plecak po prostu nie ma pieniędzy.

Bohaterką „Rybiego oka" jest Natalia – nastoletnia dziewczyna, która przechodzi kolejne etapy inicjacji: pierwsze podpaski, pierwsze szlugi, pierwsze miłości i rozczarowania. Obserwujemy jej przemianę z dzieciaka z kluczem na szyi w młodą kobietę próbującą zrozumieć siebie i świat, który nie daje łatwych odpowiedzi. Dorastanie Natalii rozgrywa się równolegle z losem jej matki Edyty, która samotnie wychowuje córkę, pracuje na dziale mięsnym w całodobowym sklepie i mimo trudności stara się zapewnić im choćby namiastkę stabilizacji. Jej życie zdaje się zmieniać kierunek, gdy w eterze CB radia poznaje Artura, kierowcę tira – szorstkiego, ale ciepłego mężczyznę, który wnosi w ich świat nową energię i nadzieję.

Słowik nie idealizuje biedy, ale też nie przedstawia jej jako kliszy nieszczęścia. To raczej filtr, przez który jej bohaterki patrzą na świat – zwyczajny, chwilami brutalny, ale również nasycony humorem i solidarnością. Bieda w „Rybim oku" nie jest oskarżeniem, lecz tłem: naturalnym, prawdziwym i rozpoznawalnym dla całego pokolenia.

- Sasza Hady, **SAME DOBRE WRÓŻBY** Wydawnictwo Literackie, 2024

Sasza Hady, znana dotąd przede wszystkim z błyskotliwych kryminałów i barwnej fantastyki, debiutuje w nowym gatunku – literaturze młodzieżowej. Jej najnowsza książka „Same dobre wróżby" to opowieść pełna humoru, młodzieńczej energii i współczesnych dylematów sercowych, z którymi łatwo utożsami się każdy przedstawiciel pokolenia Z.

Eliza, Chira, Fearis i Nyle poznali się na Discordzie i od miesięcy budują swoją wirtualną przyjaźń, która jak to zwykle bywa w tym wieku – wydaje im się być przyjaźnią na całe życie. Wspólna pasja, długie rozmowy i memy stworzyły między nimi prawdziwą więź – mimo że nigdy nie spotkali się na żywo. Teraz mają szansę to zmienić: planują wakacyjny wypad do górskiego domku. Dla Elizy to coś więcej niż urlop – to misja. Skrycie podkochuje się w Nyle'u i wierzy, że ten wyjazd to idealna okazja, by zdobyć jego serce.

Eliza wszystko ma zaplanowane, wręcz astrologicznie – tytułowe „dobre wróżby" jej sprzyjają. Jednak los, jak to zwykle bywa, ma poczucie humoru. Na horyzoncie pojawia się Sara – ekscentryczna kuzynka, której obecność burzy misternie ułożony plan. Eliza uznaje, że jedynym wyjściem jest... pozbycie się kuzynki.

To opowieść o tym, jak łatwo pomylić przewidywania z rzeczywistością, i jak trudno zarządzać uczuciami – własnymi i cudzymi. Hady portretuje introwertycznych bohaterów z czułością i lekkością, pokazując, jak trudne, a zarazem ekscytujące, może być wychodzenie poza granice komfortu. Pełna zwrotów akcji i zabawnych nieporozumień książka wciąga już od pierwszej strony.

„Same dobre wróżby" to współczesna, świeża komedia romantyczna z wirtualnym twistem – idealna na lato.

■ Agnieszka Misiak, **KOSMA, KOPACZ I LEŚNA SZKOŁA. TRUDNE POCZĄTKI** Ilustracje Wojciech Ingaciuk Wydawnictwo Druganoga, 2024

■ Cezary Harasimowicz, **CHŁOPIEC Z LASU** Ilustracje Marta Kurczewska Wydawnictwo Agora, 2024

■ Marcin Szczygielski, **DOM RODOMIŁÓW 3 – MAKABRAMA** Ilustracje Marta Krzywicka Wydawnictwo Bajka, 2024

Kosma ma prawie osiem lat, cięty język, bystre oko i... ADHD. Choć wielu dorosłych mogłoby go uznać za „niegrzecznego" lub „zbyt żywego", Kosma po prostu widzi świat inaczej – intensywniej, ciekawiej i pełniej. Doskonale wyczuwa emocje – zarówno własne, jak i innych – wie, kiedy trzeba pobiegać, żeby „rozładować głowę", i jak sobie radzić, gdy świat staje się zbyt hałaśliwy. To chłopiec, którego trudno nie polubić – a jeszcze trudniej zignorować.

Pewnego dnia w życiu Kosmy pojawia się pies – Kopacz. Niesforny, uroczy, a przede wszystkim katalizator wielkiej zmiany. To właśnie dzięki niemu Kosma poznaje Sandrę, dziewczynkę z sąsiedztwa, która gryzie swój warkocz, gdy się denerwuje, ale nie boi się marzyć. Między tą dwójką błyskawicznie nawiązuje się nić porozumienia – tak silna, jak tylko potrafi być przyjaźń w dzieciństwie. Razem budują bazy, biegają po lesie i planują stworzyć... własną szkołę. Taką, w której dzieci mogą się uczyć na świeżym powietrzu, słuchać siebie nawzajem i być naprawdę sobą.

„Kosma, Kopacz i leśna szkoła. Trudne początki " to książka o tym, jak bardzo potrzebujemy zrozumienia i akceptacji – bez względu na wiek. Debiut Agnieszki Misiak, psycholożki dziecięcej, to nie tylko mądra opowieść o ADHD i neuroatypowości, ale też ciepła historia o przyjaźni, rodzinie i sile dziecięcej sprawczości. Misiak z lekkością i humorem opisuje trudne tematy, zapraszając czytelnika do świata, w którym każdy może być „jakiś" – i właśnie dzięki temu czuje się naprawdę u siebie.

Dzięki autentycznym dialogom, wyrazistym postaciom i realistycznym sytuacjom książka trafia zarówno do dzieci, jak i ich rodziców. To historia, która może zainspirować do rozmów, refleksji i – kto wie – może nawet do założenia własnej leśnej szkoły.

Ala – tylko nie Alusia! – to dziewczynka o bystrym umyśle i wielkiej wrażliwości. Ma talent do liczenia w pamięci, nie przepada za przytulaniem, a jej najlepszymi powiernikami bywają płot, łyżka oraz wierny pies As. Mieszka tuż przy granicy lasu, który potrafi być zarówno baśniowy, jak i mroczny. Pewnego dnia podczas spaceru odnajduje zniszczony dziecięcy but, potem drugi, aż w końcu natrafia na jego właściciela – chłopca przemokniętego, przerażonego i wyraźnie zagubionego. To spotkanie stanie się początkiem niezwykłej przyjaźni, która na zawsze odmieni życie Ali – i nie tylko jej.

„Chłopiec z lasu" autorstwa Cezarego Harasimowicza z ilustracjami Marty Kurczewskiej to książka wyjątkowa – subtelna, mądra i głęboko humanistyczna. Twórcy, znani z bestsellerowej „Mirabelki", znowu łączą literacką delikatność z aktualnym i ważnym społecznie tematem. Tym razem podejmują refleksję nad migracją, samotnością i akceptacją inności, przenosząc wielkie zagadnienia na poziom dziecięcej wrażliwości.

To opowieść, która uczy uważności, otwartości i empatii. Nie moralizuje, ale zachęca do rozmowy – zarówno z dziećmi, jak i z samym sobą. Ala i tytułowy chłopiec pokazują, że każdy człowiek, niezależnie od pochodzenia czy doświadczeń, zasługuje na zrozumienie i przyjaźń.

„Chłopiec z lasu" to także książka, która zachwyca oprawą graficzną – ilustracje Kurczewskiej są pełne ciepła, ruchu i emocji. Leśne kadry przeplatają się z domowymi scenami, tworząc bogaty, sugestywny świat, który przyciąga małych i dużych czytelników. Ta wzruszająca, ale też pełna światła opowieść to doskonały pretekst do rozmowy o tym, co naprawdę ważne.

Marcin Szczygielski – autor „Kwiatokosów" i „Szkieletników" – po raz trzeci zabiera czytelników do niezwykłego świata rodu Rodomiłów. W „Makabramie" znów spotykamy jedenastoletnią Hanię, która coraz śmielej stawia kroki w czarnowidczym dziedzictwie.

Ogród udało się z grubsza odbudować po szkodach wyrządzonych przez szkieletników, a rodzina wraca do rytmu pełnego magii i dziwacznych przygód. Choć Dom Nigdzie Indziej znowu tętni życiem, Hania odkrywa, że o Rodomiłach nie wie jeszcze wszystkiego. Nowe wizje niepokoją ją coraz bardziej – są mocne, przerażające i niezrozumiałe. A „Młot na potwory", jak się okazuje, nie zawiera odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania.

Piękny sierpień zostaje zmącony przez kolejne kłopoty: ciocia Hela zostaje opętana i kończy z nogą w gipsie, ale z zapałem wyplata ogromną makramę, czym doprowadza do furii zazdrosną babcię Czesię. W tle pojawia się z pozoru banalne zlecenie, które może mieć zaskakujące konsekwencje. Hania zaczyna zadawać pytania, na które nikt nie chce jej odpowiedzieć wprost: czy Rodomiłów naprawdę może być tylko dziesięcioro? Czy ktoś będzie musiał odejść?

Dziewczynka dojrzewa do poznania bolesnej prawdy: każde kłamstwo, kradzież, obmowa czy złośliwość tworzą nowe potwory. A czarnowidze istnieją po to, by nie dopuścić do przechylenia szali między dobrem a złem.

Jak zwykle u Szczygielskiego, magia miesza się tu z humorem. Praciocia Tomira pojawia się w sukni z różowego szyfonu, zarzekając się, że będzie ją nosić nawet jako stulatka. A stryjek Alfons z filiżanką naparu dostrzega... niewidzialne skrzydło domu. ©℗

DUCH MŁODEGO TECHNIKA

Daniel Mróz nazywał fantastykę naukową „kosmicznymi pierdołami". Wyjątek zrobił dla Stanisława Lema. Jego wizje naprawdę go zauroczyły. Albo ich podobieństwo do PRL-u. To aż się prosiło o jego ilustracje.

PIOTR PAZIŃSKI

Tak pisała Wisława Szymborska o architektach wyobraźni swojego dzieciństwa: „Na rycinach, które w tak jedynie wyobrażalny sposób ilustrują powieści Juliusza Verne'a, wszystko jest w prążki: ziemia w prążki, księżyc w prążki, morze w prążki, w prążki retorty, z których wydobywają się kłęby złowieszczego dymu, w prążki nauszniki odkrywcy wulkanu na biegunie północnym". Francuscy rysownicy Édouard Riou i Léon Benett sporządzili ryciny do „Tajemniczej wyspy", „Dzieci kapitana Granta" czy „Pięciu tygodni w balonie" Verne'a. I rzeczywiście, bywa że obrazki – obstalowane przez wydawcę, podarowane autorowi przez zaprzyjaźnionego artystę plastyka albo wykonane osobiście – tak mocno scalają się z tekstem powieści czy opowiadania, że zaczynają tworzyć z nim jedną całość.

Taką całość tworzą od dawna robotyczne opowieści Stanisława Lema i ryciny Daniela Mroza. Czy ostentacyjnie staroświeckie (Mróz także uwielbiał prążki, a nawet ilustrował Verne'a) wizerunki stalowych robotów i manekinowatych andreid faktycznie w „jedynie wyobrażalny sposób" ilustrują to, co Lem napisał? Pobudzają wyobraźnię czy może niekiedy ją kiełznają, sugerując interpretację i kanoniczne odczytanie? A może pozostają w zgodzie z duchem i ciałem Lemowskiej robotyki?

Nadarza się okazja, by to sprawdzić. Wydawnictwo Karakter podarowało czytelnikom nową edycję „Bajek robotów" i „Cyberiady" Lema, oczywiście z ilustracjami Mroza. Znalazły się w niej – gratka dla fanów – wszystkie opowiadania z obydwu cyklów. Ale nie wszystkie ilustracje. Nie ma kolaży z pierwszego wydania „Cyberiady" z 1965 roku (Wydawnictwo Literackie), którym bliżej do surrealistycznych fotografii Zofii Rydet z cyklu „Świat uczuć i wyobraźni" (pisała o nich Olga Drenda w wielkanocnym numerze „Tygodnika Powszechnego"), niż do późniejszych, już jednolitych formalnie obrazków. Trochę szkoda, bo znikła w ten sposób część pejzażu. Ale i tak jest on niezwykle rozległy.

Buffo i buffo

Spotkanie Lema z Mrozem nie może dziwić, nie tylko dlatego, że obaj mieszkali w Krakowie. Na początku lat 60. Lem miał w dorobku wybitne powieści: „Eden", „Solaris" czy groteskowy „Pamiętnik znaleziony w wannie". Był sławnym pisarzem. Mróz, autor okładek i obrazków do książek Ludwika Jerzego Kerna, Sławomira Mrożka i poematu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego o Chryzostomie Bulwieciu, twórca afiszów teatralnych i szaty graficznej „Przekroju" – sławnym ilustratorem.

Mróz jako młody chłopak jeszcze przed wojną zachwycił się surrealizmem, a ściślej – kolażami Maxa Ernsta (ślady tej fascynacji widać w pierwszych planszach do „Cyberiady"). Ale z Lemem łączyło go coś innego: zainteresowanie techniką i powieściami przygodowymi dla młodzieży. Uwielbiał aeroplany i automobile – chętnie je rysował, podejmując współpracę z magazynami ilustrowanymi.

Mróz, zaprzysięgły wielbiciel Verne'a (może stąd zamiłowanie do prążków), fantastyki naukowej, jak sam przyznawał, nie cenił, nazywając ją „kosmicznymi pierdołami". Wyjątek zrobił dla Lema. Te kosmiczne wizje być może naprawdę go zauroczyły. Ale niewykluczone, że był inny powód. Lem wprawdzie latał w kosmos, pisał o obcych cywilizacjach i o Kontakcie, ale swoje utwory, zwłaszcza groteski z „Dzienników gwiazdowych", chętnie przetykał aluzjami do Polski Ludowej i absurdów realnego socjalizmu, to zaś czyniło go pobratymcą Mrożka.

Czy w opowieściach Ijona Tichego, jego przemądrzalstwie i grandilokwencji, jego wygłupach z żargonu naukowego i bełkotu mediów Mróz dostrzegł ton pokrewny temu, który słyszalny jest w „Weselu w Atomicach", zilustrowanym przezeń w 1959 roku? Całkiem możliwe. Dość, że prócz ilustracji ↦

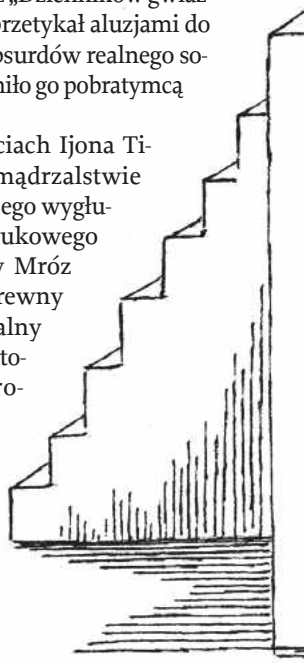

Ilustracja z pierwszego polskiego zbioru opowiadań fantastyczno-naukowych „Posłanie z Piątej Planety", Nasza Księgarnia, 1964 r.

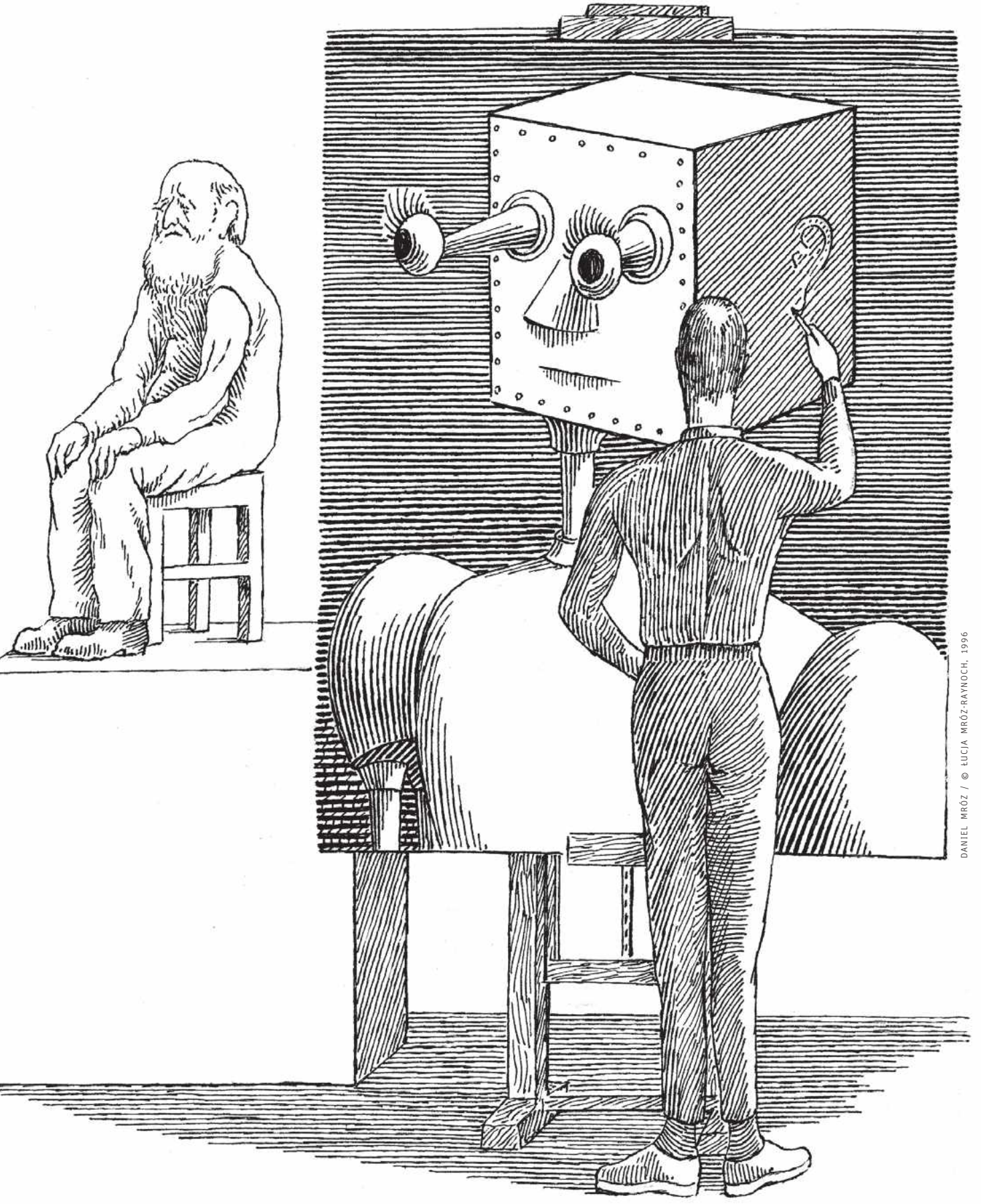

DANIEL MRÓZ / © ŁUCJA MRÓZ-RAYNOCH, 1996

Cyberiada, 1965 r.

↦ do „Cyberiady" (1965) i „Bajek robotów" (1972, razem z „Cyberiadą") sprezentował Lemowi inne okładki – do zbioru opowiadań „Inwazja z Aldebarana" i traktatu „Summa technologiae". W obydwu książkach tematyka cybernetyczna zajmuje poczesne miejsce.

Rzecz charakterystyczna, o ile do pierwszego spotkania dwóch sławnych mizantropów doszło na gruncie klasycznej SF (okładka „Inwazji" z robotem-potworem, myśliwcami i rakietą na rewersie powstała w 1959 r.), to Mróz chyba lepiej odnalazł się w tematyce buffo. Ta zaś, jak powiedziano, w twórczości Lema zawsze odgrywała istotną rolę. Podobnie jak Mróz, Lem miał poczucie humoru i zmysł groteski, jego bajki czerpały tyleż z fantastyki naukowej, co z powieści pikarejskiej i baśni z morałem.

Nad historiami Lema o błędnych elektrycznych rycerzach i mechanicznych tyranach unosi się duch Cervantesa, Andersena i Krasickiego. Znowuż Trurl i Klapaucjusz, protagoniści „Cyberiady", para genialnych, konkurujących ze sobą inżynierów, to nie tylko blaszani potomkowie szalonych wynalazców z powieści Verne'a i Wellsa, ale, co może ważniejsze, bliscy kuzyni awanturników z powieści łotrzykowskich, którzy nieustannie wpadają w tarapaty, by następnie dzięki sprytowi i przemyślności z nich się wykaraskać. A przy tym postacie jak wyjęte z rzeczywistości PRL.

Od ludzi różni ich to, że są zrobieni z metalu i kryształów. Są niewątpliwie sztuczni, wyraźnie inni od bladawców (tym mało sympatycznym mianem określa się w gwiazdowym wszechświecie Lema osobników z gatunku *homo sapiens*), a przecież w żadnym razie nie nazwiemy ich martwymi. No właśnie. Witajcie w kosmosie.

Wielość form życia

Lema przez całą twórczość zajmowała zagadka życia. Próbował je zdefiniować, zastanawiał się, gdzie są jego granice. Czy żyją wyłącznie stworzenia zbudowane na związkach wodorowęglowych, zrobione z białek, u których zachodzi przemiana materii, wymiana gazowa? Co wobec tego z istotami, które nie oddychają i nie odżywiają się tak, jak my, pobierają energię z ziemi albo ze słońca, żyją w środowisku beztlenowym, obywają się bez wody? Co z istotami zbudowanymi z samych informacji, które nie jedzą i nie oddychają, ale postępują nadzwyczaj rozumnie? Wreszcie, co z automatami, łudząco podobnymi do nas samych? Z komputerami albo z siecią informatyczną?

Katalog stworów niebiałkowych, powołanych do życia mocą wyobraźni Lema, zająłby kilka stron „Tygodnika". Przywołajmy pstrokatą zbieraninę kosmicznych indywiduów, które (w koszmarnym śnie Ijona Tichego) zebrały się na posiedzeniu plenarnym Organizacji Planet Zjednoczonych: „ogromne, ciepłe w tonacjach bulwy, zwoje galaretki jakby porzeczkowej, mięsiste, wsparte o pulpity uszypułowania, oblicza koloru dobrze przyprawionych pasztetów lub jaśniejące jak ryżowe zapiekanki, płatwy, przylgi, chwytule". Istoty żyjące wyłącznie w wodzie, albo przeciwnie, w ogniu. Gazowe kule, żywe kamienie, wynaturzone mięsowate hybrydy powstałe wskutek nieudanych eksperymentów bioinżynieryjnych.

Dorzućmy do tego wielość form organiczno-nieorganicznych na Edenie, myślący i czujący (?) ocean Solaris, inteligentny rój martwych kryształów, produkt deewolucji mechanizmów, z którym zmagają się bohaterowie „Niezwyciężonego", czy odmawiające kontaktu purchawki z „Fiaska". W głowie się kręci, prawda?

I wreszcie istoty mechaniczne. Lemowski robot jest w pewnej mierze kopią człowieka, jego sobowtórem, atrapą stworzenia. Często nieodróżnialny od istot z krwi i kości, góruje nad nimi intelektem i wytrzymałością psychofizyczną (pilot Calder z „Testu pilota Pirxa"). Posiada pamięć i tożsamość nie gorszą od ludzkiej, własne

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

DANIEL MRÓZ / © ŁUCJA MRÓZ-RAYNOCH, 1996 X3

Trurl, Cyberiada, 1972 r.

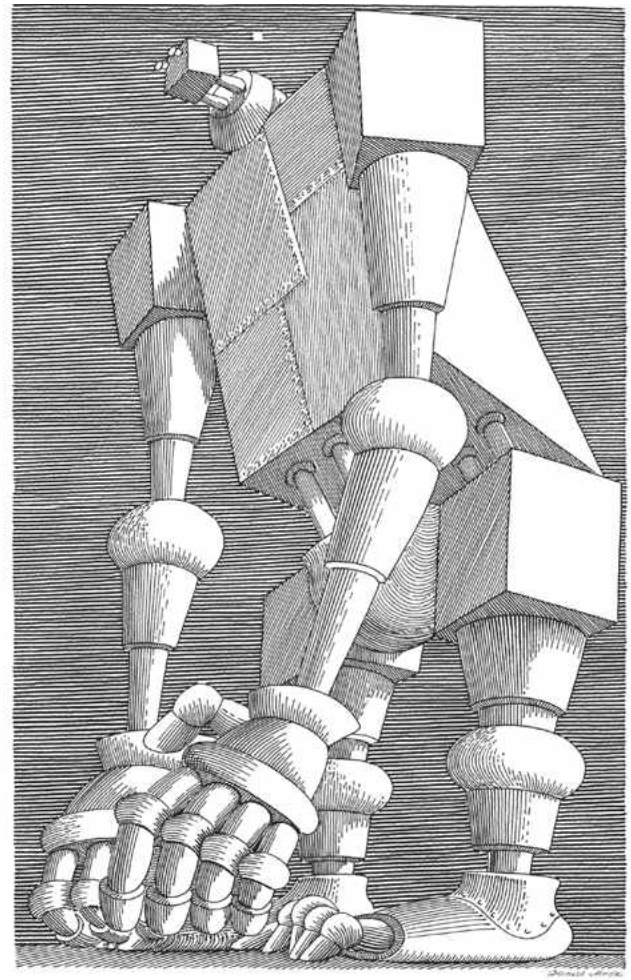

Cyberiada, 1972 r.

pragnienia, tęsknoty i wyobraźnię, umie się zakochać, wie, że ma nie tylko umysł, ale i ciało (beczułkowaty kalkulator pokładowy z opowiadania „Młot", ponętna andreida z „Maski"). Bywa też, jak robot naprawczy Terminus, przechowalnią pamięci o cudzym życiu i śmierci. Przechowalnią całkiem martwą, a jednak niepokojąco żywą. Jego wielkie, niezgrabne cielsko wędruje zapuszczonymi przełazami gruchota, którym z Ziemi na Marsa leci pilot Pirx. Z oddali Terminus przypomina człowieka.

Roboty i my

No właśnie, przypomina człowieka. Jak zazwyczaj wyobrażamy sobie robota? Jako beczułkę na kółkach, rycerza z blachy czy może idealną kopię człowieka z masy plastycznej imitującej skórę i mięśnie? I co wiemy o jego pochodzeniu? Przeważnie robot jest wytworem ludzkich rąk. Bardziej lub mniej udanym. Czasem łudząco do ludzi podobnym, jak „nieliniowce skończone" z opowieści Pirxa lub androidy, które wspomina się w „Powrocie z gwiazd", niegdyś masowo produkowane, następnie wycofywane z eksploatacji i niszczone, bo przez swą identyczność z człowiekiem wzbudzały niepokoje społeczne.

Robot jest wynaturzonym potomkiem bladawca. Taką genealogię mizantrop Lem wykłada w „Bajkach robotów", parodiując narrację biblijną. Powiedziane jest, że przodkowie Enterytów, Aurygenów i innych plemion kosmicznych automatów stworzeni zostali przed wiekami na obraz i podobieństwo swoich konstruktorów – Ziemian. To oni wyposażyli roboty w stalowe korpusy, wzorowane na własnych, białkowych, dali im ruchome kończyny i blaszane głowy, a w ich wnętrzach umieścili kryształowe dusze, żeby zawiadywały metalowymi ciałami. Nie robili tego z dobroci serca, ale po to, by roboty służyły im za niewolników.

Okrutna procedura utylizacji wycofywanych osobników odcisnęła się mocno na tożsamości robociego plemienia. Roboty wiedziały dobrze: automatem jest każdy, kogo bladawiec może unicestwić rękami drugiego automatu. Nie potrafiąc się zbuntować, automaty cierpiały długie stulecia okrutnej niewoli, aż wreszcie porwały latające maszyny bladawców i rozpierzchły się po kosmosie. Tam rozradzały się i rozmnażały, przybierając coraz to nowe formy, im dalsze od pierwowzoru, tym lepiej, byle tylko nie przypominać człowieka.

Ale czy to im się udało? Cóż, nie bardzo. Starczy zajrzeć do „Cyberiady" i „Bajek". Trurl i Klapaucjusz kłócą się nieustannie i podstawiają sobie nawzajem nogę. Nieobca im zawiść, zmysł intrygi, serwilizm wobec kapryśnych władców. Uwielbiają snuć teorie niemające wiele wspólnego z realiami społecznymi. Inne roboty także. Enterytów gubi ciekawość. Rycerzy króla Boludara – brawura i głupota. Doradców Hydropsa – żądza władzy. Biskalara, tyrana Cyprozji – chciwość i okrucieństwo, króla Murdasa – chorobliwa podejrzliwość, Architora z Aktynurii ↦

↦ – nieznajomość pierwiastków. Ich poddanym też daleko do ideału. Są tchórzliwi i zdumiewająco bezmyślni, złośliwi i przemądrzali, kłótliwi i chętni do bitki.

Ale nie idzie tylko o niedoskonałości moralne. Choć wykonane z metalu, a nie zrodzone, jak bladawiec, z wylanych na skały sfermentowanych pomyj, roboty nieprzyjemnie przypominają swoich twórców. Starzeją się, zaczynają szwankować, ich elektronowe mózgi przegrzewają się, ruchome części mechanicznych korpusów paczą i zacierają, przypominając właścicielom, że nadejdzie dzień, kiedy wyschną smary, ustanie krążenie życiodajnych prądów, zbledną i wykruszą się kryształowe oczy osadzone w stalowych czerepach, a one same, na jeden raz zrobione, prędzej czy później obrócą się w rdzawy proch. Lubią mróz, ale tlenu i wody boją się tak samo przeraźliwie, jak wspomnień o swoich przodkach.

Wyroby

A skoro mowa o wspomnieniach. Nie miałem w dzieciństwie ilustrowanego wydania „Bajek robotów". Musiała mi wystarczyć drukowana na ohydnym papierze kieszonkowa edycja KAW-u. Była brzydka, ale można ją było kupić w kiosku. Podczas lektury rozpadała się na pojedyncze kartki. To był pierwszy Lem, jakiego przeczytałem. Roboty i maszyny cyfrowe tworzyłem w wyobraźni podług wskazówek, które podsuwał nieznany mi wtedy pisarz, i z tego, co było wokół. Dlatego maszyna króla Poleandra – ta od elektrosmoka i elektrosmoły – przypominała stare, lampowe radio z pokrętłami jak wyłupiaste oczy, a zbudowana przez Trurla i podrzucona Klapaucjuszowi maszyna do spełniania życzeń – gadający automat do wydawania wody sodowej.

Wspomnienie powróciło niedawno na wystawie rzeźb Władysława Hasiora. Oglądałem jego postacie z blachy, szkła i drutu, a właściwie lękliwie na nie spozierałem. Gość, Negocjator, Delegat... Jeden miał oczy z porcelanowych izolatorów, drugi zębiska z maszyny do pisania, trzeci łapy ze starych grabi, innemu z głowy sterczała druciana szczotka. Jakby spotkały się dwie wyobraźnie, jarmarczno-odpustowa i fantastyczno-naukowa, jakby peerelowska kultura wyrobów, ta od stracha na wróble z puszek po konserwach i radioodbiornika przerobionego na kosiarkę, dokonała fuzji z „Łowcami meteorów". Pojąłem, że znalazłem się w „Bajkach robotów".

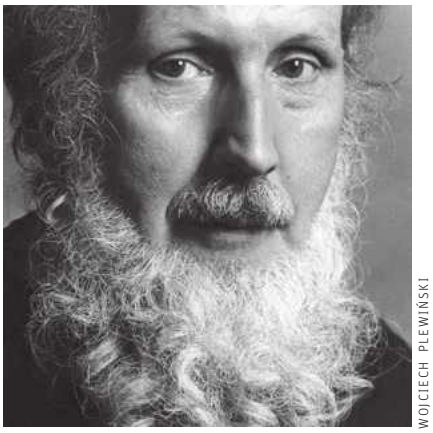

WOJCIECH PLEWIŃSKI

DANIEL MRÓZ (1917-1993) był grafikiem, rysownikiem i scenografem. Syn dziennikarza krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", ukończył Akademię Sztuk Plastycznych, był członkiem Grupy Krakowskiej. Zaproszony do współpracy przez twórcę i redaktora „Przekroju" Mariana Eilego, miał decydujący wpływ na kształt graficzny tego tygodnika. Mistrz kolażu, autor okładek i ilustracji do książek m.in. Gałczyńskiego („Chryzostoma Bulwiecia podróż do Ciemnogrodu"), Mrożka, Kerna, Lema, Leca, Verne'a, Kafki, Gombrowicza, Szaniawskiego, Stoberskiego, Aleksandra Grinai Harasymowicza. Jerzy Kwiatkowski poświęcił mu w 1961 r. monografię.

DANUTA ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

STANISŁAW LEM (1921-2006) wykonał szereg groteskowych rysunków na marginesie swoich pisarskich utworów, przede wszystkim „Dzienników gwiazdowych". Są wśród nich m.in. „Ośmioły", „Dwojak", „Ósmak", „Dychtończyk", „Kobieta-taboreta", „Trojanka", „Robot parowy", „Pidłak", „Pismaczek", „Człowiek skonfiskowany" i „Gauleiterium flagellans". Można je obejrzeć w serwisie lem.pl, były też wystawiane w krakowskiej Galerii Dyląg.

Wiele lat po tamtej pierwszej lekturze „Bajek" natrafiłem na plansze Daniela Mroza. Ależ u niego wszystko błyszczy, pomyślałem! Smukłe księżniczki jak manekiny wystawowe. Pękate robociska z lśniącej blachy. Najosobliwsze pojazdy. Będąc już trochę bardziej otrzaskany z historią kultury, dostrzegłem aluzje do Bellmera (lalki!), Arcimbolda (robot z pióropuszem), do „Metropolis" Fritza Langa, a nawet do „Alicji w Krainie Czarów".

Dostrzegłem, że Mróz wraz z Lemem bawią się konwencjami fantastyki, i jaką mają z tego frajdę. A potem przyszły inne skojarzenia, z własnego życia. Jedne plansze kojarzyły się z chemią i modelami pierwiastków z patyczków i kulek. Inne ze schematami z podręcznika elektrotechniki, który należał do stryjecznego dziadka. Jeszcze inne, koślawsze, liche, poskładane z niepasujących do siebie części – z lekcją ZPT, czyli zajęć praktyczno-technicznych.

To ostatnie skojarzenie było trochę przykre. Nigdy nie byłem dobry z majsterkowania. Moje modele samolotów nie chciały latać, karmniki były krzywe, układy elektryczne nie działały albo działały wadliwie, na szczęście były tylko na baterie. Jako dzieciak latami próbowałem coś skonstruować, i nie szło. Pilnie podążałem za instrukcją w „Horyzontach Techniki", a i tak wszystko się rozłaziło. Albo nie starczało mi cierpliwości i porzucałem przedsięwzięcie w pół drogi. Zostawały niegotowe modele czołgów i dział samobieżnych, usmarowane klejem i zawstydzające nagim plastikiem, bo nigdy nie chciało mi się ich pomalować. Po „Młodego Technika" nawet nie odważałem się sięgnąć. Gdybym się odważył, wcześniej poznałbym obrazki Daniela Mroza (był stałym współpracownikiem tego szacownego miesięcznika) i prędzej zrozumiał, że „Młody Technik" i „Cyberiada" to nie są osobne światy.

© PIOTR PAZIŃSKI

Stanisław Lem
BAJKI ROBOTÓW. CYBERIADA,
ilustracje: Daniel Mróz,
Karakter,
Kraków 2025.

Kino szybkiego reagowania

MICHAŁ WALKIEWICZ

FILM POLSKI | Badania CBOS-u pokazują, że zainteresowanie polityką jest w polskim społeczeństwie najwyższe od czasu przełomu ustrojowego. Dlaczego nasze kino nie korzysta z takiego kapitału?

Mam pomysł na film, ale ostrzegam – to polski film. Główny bohater, nazwijmy go Norbert, jest dziennikarzem śledczym i to całkiem niezłym. Potrafi napisać sążnisty tekst o PSL-u w przerwie między poranną toaletą i pierwszym papierosem. W politykę idzie po bankructwie wydawnictwa. W pajęczynie układów, intryg oraz aktów podwójnej lojalności robi karierę i łamie sobie kręgosłup. Tytuł: „Poseł". Czas trwania: krótszy niż obrady Sejmu.

Albo coś o Krzysztofie – byłym piłkarzu Legii Warszawa, dawnym trenerze Izolatora Boguchwała, późniejszym działaczu PZPN i obecnym prezydencie Polski z partyjnego nadania. Kiedyś Krzysztof chciał wyjechać z Polski, ale dziś woli nasz kraj zmieniać. Próbuje zerwać się z łańcucha swoich mecenasów i ocalić powagę urzędu. W ostatniej scenie podążająca w ślad za bohaterem kamera odlatuje ku przestworzom, symbolicznie porzucając antropocentryczną perspektywę. Razem z prerogatywami Krzysztof traci też resztki człowieczeństwa.

Który z tych filmów wolelibyście zobaczyć na wielkim ekranie? W rozdzielczości 4K, z dźwiękiem przestrzennym oraz ze świadomością, że rodzime kino jakoś reaguje na świat za oknem? Ja też żadnego, ale na szczęście to nie ja piszę scenariusze polskich filmów. Mogliby je natomiast napisać profesjonaliści, których Polska uwiera, przeraża albo chociaż śmieszy. Podczas gdy polityka wdziera się zewsząd do naszych domów, rodzime kino wciąż ma od niej wakacje. Od czego zacząć?

Domek z kart

Niemal połowa narodu będzie wspominać poranek po drugiej turze wyborów prezydenckich niczym kaca po ciężkiej imprezie. Lecz nawet ci najbardziej skacowani musieli dojść do wniosku, że filmowcy powinni zacierać ręce. Gdyby było inaczej, w mediach społecznościowych nie roiłoby się od żartów o „Furiozie" jako nieformalnej biografii Karola Nawrockiego oraz o tym, że polska scena polityczna zasłużyła na serial w stylu „1670" – tylko tak dałoby się bowiem oswoić rzeczywistość strojącą sobie drwiny z kina.

Jeśli żyjemy w „niebezpiecznych czasach", to muszą być one również czasem podwyższonej uważności. Sztuka ma przecież moc kanalizowania naszych lęków i zamieniania ich w dramaturgiczne tworzywo. Fantomowy byt zwany „kinem politycznym" powraca czasem w dyskusjach o kształcie rodzimej kinematografii. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że zwykle zostaje wpisany w narrację o kinie jako generalnym polu politycznej walki; w opowieść o tym, że „wszystko jest polityczne".

Ja tymczasem, o ile to w ogóle możliwe, chciałbym wycofać się na pozycję naiwniaka. No bo chyba warto spytać, gdzie są te wszystkie polityczne thrillery, komedie i satyry? Gdzie są filmy rozgrywające się nie w mieszkaniach byłych ubeków albo w podziemnych redakcjach, tylko na sali sejmowej lub na korytarzach Pałacu Prezydenckiego? Dlaczego wciąż nie mamy czegoś na kształt „House of Cards", „Vice" albo „Figurantki"? Co z twórcami w stylu (bo przecież nie „formatu") Costy-Gavrasa, Paolo Sorrentina albo wczesnego Olivera Stone'a?

„Tam i wtedy"

Pokolenie polskich milenialsów wychowało się w dużej mierze na amerykańskim Kinie Nowej Przygody lat 80. Nie bez znaczenia była jednak tradycja thrillerów politycznych – i tych z lat 70. wiązanych z monopolem tzw. Nowego Hollywood, i tych późniejszych, z lat 90., komentujących świat po upadku Muru Berlińskiego. Z drugiej strony, dojrzewaliśmy w przeświadczeniu, że zainteresowanie lokalną polityką to raczej hobby niż realna obywatelska potrzeba. I to pomimo faktu, że czasy transformacji były okresem gwałtownych politycznych turbulencji, a rodzice uparcie tłukli nam do głów, że znajomość polityki to absolutna konieczność– nie będzie bez niej ani realnego wpływu na kształt kraju, ani silnego charakteru.

Kino podążało za tą optyką na tyle, na ile umożliwiał to kulturalny krajobraz. Stąd tak wiele w latach 90. marnych artystycznie oraz celnych politycznie diagnoz posttransformacyjnej rzeczywistości, a także filmów, które otuliły nasze problemy importowanym z Zachodu płaszczykiem kina gatunków.

Nie da się jednak ukryć, że to właśnie wtedy – i to na długie dekady – stworzyliśmy sobie polityczną „strefę komfortu"; wpadliśmy w pułapkę półsłówek, zmiękczających metafor, ciągłego filtrowania wiedzy o współczesności przez pryzmat narracji historycznych. I nawet jeśli pojawiały się wyjątki – jak „Koniec gry" Feliksa Falka o wyborach prezydenckich z 1991 roku czy „Przeklęta Ameryka" Krzysztofa Tchórzewskiego o wyborach z 1989 r. – to temat był ledwie markowany. Jak słusznie zauważa Jakub Majmurek w tekście „Wybory nieprzedstawione" dla Dwutygodnika, obydwa filmy to zakamuflowane melodramaty.

Kino historyczne nie jest – a przynajmniej nie w ścisłym gatunkowym sensie – kinem politycznym. Nie są nim również opowieści o „współczesnej Polsce" z ulicą Wiejską w tle, historie trzydziestolatków próbujących związać koniec z końcem albo satyry tak rozrzedzone, że nie wiadomo nawet, w kogo miałyby uderzyć. Po nadchodzącej biografii Jacka Kuronia z Arkadiuszem Jakubikiem w roli głównej obiecuję sobie sporo. Ale znów – filmów ilustrujących źródła współczesnych politycznych procesów mamy bez liku; zaś tych o „tu i teraz" niewiele. ↦

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

Iwona Bielska jako Krystyna Pawłowicz w filmie Patryka Vegi „Polityka", 2019 r.

↦ Nie mówiąc już o takich, na których moglibyśmy się dobrze bawić.

Popularność tzw. Sejmfliksa, czyli obrad sejmu oglądanych z czysto eskapistycznej pozycji, nie jest tylko socjologiczną ciekawostką. To realny sygnał dla artystów. Badania CBOS-u pokazują, że zainteresowanie polityką jest w społeczeństwie najwyższe od czasu przełomu ustrojowego. Jak na ironię, wypadałoby za to podziękować PiS-owi, który przez osiem lat odwrócił całą pokoleniową narrację milenialsów. Polityka, na dobre i na złe, przestała być szumem w tle codziennego życia.

W poszukiwaniu kina politycznego

W ciągu ostatniej dekady mieliśmy na rodzimych ekranach zaledwie trzy prawdziwie polityczne filmy: „Zieloną granicę" Agnieszki Holland, „Politykę" Patryka Vegi oraz „Różyczkę 2" Jana Kidawy-Błońskiego. Gdyby trochę rozszerzyć definicję, pewnie załapałaby się też „Lokatorka" Michała Otłowskiego o sprawie Jolanty Brzeskiej, a także „Solid Gold" Jacka Bromskiego o aferze Amber Gold.

O „Zielonej granicy" napisano już całe tomy, więc dodam jedynie, że film Holland jest jedną z niewielu spełnionych obietnic „kina szybkiego reagowania", którego tradycja w Polsce w zasadzie nie istnieje (znamienne, że to właśnie Holland wraz z Magdaleną Łazarkiewicz i Kasią Adamik podarowały nam również najlepszy serial o mechanizmach władzy, czyli „Ekipę" z 2007 r.). Większość zaangażowanych dzieł to raczej spóźniona reakcja na długofalowe społeczne procesy oraz wyraz kumulowanej latami frustracji. Symbolem tej strategii artystycznej byłby zapewne „Kler" Wojciecha Smarzowskiego, czyli obraz, który wygląda, jakby kotłował się i w Smarzowskim, i w narodzie, przez całe lata.

„Polityka" to z kolei kino totalne, przed którym klęknęliby najpewniej i Costa-Gavras, i wielcy surrealiści; połączenie „Polskiego zoo", biblijnego moralitetu, kina gangsterskiego oraz ruchomego tabloidu. Pytanie, czy o ten rodzaj „dobrej zabawy" mi chodziło, jest oczywiście retoryczne. Choć przyznam się bez bicia, że wyobraźnia Vegi mi imponuje. Jeśli Jarosław Kaczyński puszczający „kaczki" na żoliborskim stawie i robiący maślane oczy do Macieja Stuhra jest jakimś wyznacznikiem transgresji, to nazwałbym nawet „Politykę" kinem awangardowym. Okropnym, ale jednak awangardowym.

Sequel „Różyczki" – opowieści o trójkącie miłosnym pomiędzy ubekiem, inwigilowanym profesorem oraz agentką bezpieki – był w założeniach najbliżej gatunkowego „źródła". Żyjąca współcześnie córka agentki robi w końcu karierę w europarlamencie i wikła się w intrygę, której stawką są losy kraju. Żeby było jasne: nici, którymi uszyto tę historię, nadają się na przęsła mostów, całość jest też fatalnie zagrana i jeszcze gorzej wyreżyserowana. Wszystko zgadza się jednak na poziomie konwencji. Mamy wyrazistą bohaterkę oraz środowisko, które określa jej cele – zarówno polityczne, jak i prywatne.

Bez wyobraźni

W roku akademickim 2021/2022 na Uniwersytecie Jagiellońskim (wydział politologii) pojawiły się zajęcia zatytułowane „Kino polskie jako kino polityczne". W karcie opisu przedmiotu czytamy: „Celem kursu jest prześledzenie polskich dyskursów filmowych w perspektywie historycznej i spojrzenie na kino polskie jako narrację polityczną komentującą i współuczestniczącą w tworzeniu narodowego imaginarium. Dodatkowo omówię wytyczne polskiej cenzury i obecność cenzorskich interwencji. Kurs jest

odpowiedzią na pytanie, na ile kino narodowe współtworzy wyobrażenia społeczne, a na ile konstruuje filary polskiej polityki historycznej?".

Na zajęciach nie byłem, ale muszę przyznać, że niepokoi mnie ten opis. Po pierwsze, śledzenie „dyskursów filmowych w perspektywie historycznej" zaprowadziło filmowców pod ścianę – niekończący się dialog z politycznymi tradycjami polskiej szkoły filmowej oraz kina moralnego niepokoju to rozbijanie sobie o nią głowy. Po drugie, mam już chyba dość tego naszego „narodowego imaginarium". To bezkształtna masa niedogotowanych pomysłów, sprzecznych ambicji i wyeksploatowanych symboli.

Co jakiś czas wyłania się z tej magmy monstrum, polska Buka, satyra-na-niewiadomo-co. W filmie „PolandJa" Cypriana T. Olenckiego pod osiedlową budką z kebabem spotykają się „polaczki": korporacyjne harpie, bananowe dzieciaki z egzotycznymi zwierzętami pod pachą, nacjonalistyczni ultrasi, profesorowie politologii oraz ich studentki – pracownice seksualne. W „Kryptonimie Polska" Piotra Kubika „tęczowa" dziewczyna zakochuje się z wzajemnością w „brunatnym" chłopaku, zaś tłem dla rozkwitającego uczucia jest naparzanka pomiędzy niepodległościową młodzieżówką i „lewakami". Wreszcie – „kRaj" Macieja Ślesickiego i Veroniki Andersson, za którego recenzję starczy chyba opis dystrybutora: „Polacy z różnych środowisk natrafiają na pozornie zwykłe sytuacje, które przybierają nieoczekiwany obrót, doprowadzając ich na skraj wytrzymałości".

W polskim kinie sprawy przybierają zazwyczaj oczekiwany obrót, a ja i tak jestem z tego powodu na skraju wytrzymałości. Skoro już nauczyliśmy się, że wielkie ideologiczne piwoty kwitną często na gruncie prywatnych frustracji, a mali ludzie odpowiadają często za wielką politykę, to dlaczego nie nakręcić filmu właśnie o tym? Dlaczego nie zamknąć afery reprywatyzacyjnej w szerszej polifonicznej narracji? Nie zabrać się za Pegasusa? Albo nie nakręcić filmu o facecie, który widzi to wszystko i przeżywa kryzys tożsamości? Od czegoś przecież trzeba zacząć.

Co z tą Polską?

Jeśli zamieszanie wokół „Zielonej granicy" było barometrem społecznych nastrojów, to można zaryzykować stwierdzenie, że kino polityczne zwyczajnie się dziś twórcom nie opłaca. Można być za jego sprawą napiętnowanym, oskarżanym o odwracanie politycznego wiatru albo trafić na celownik władzy. Jako staromodny krytyk powiedziałbym, że jest to krzyż, który artysta powinien dźwigać z dumą. Mam jednak świadomość, że problem sięga znacznie głębiej.

Niechęć do opowiadania o polityce i politykach musi być efektem polaryzacji społecznej, która uniemożliwia traktowanie kina jako platformy dialogu. To również owoc długiej tradycji aluzyjnego i metaforycznego rozliczania się z problemami kraju. Wreszcie – jest to kwestia zależności polskich filmowców od publicznego finansowania.

Choć trudno oskarżać Polski Instytut Sztuki Filmowej o całkowite zabetonowanie kinematografii za rządów PiS (czemu przeczy choćby rekordowa liczba międzynarodowych sukcesów rodzimych produkcji), to nie da się ukryć, że nastroje nie sprzyjały ani wielkim filmowym rozliczeniom, ani lekkim komedyjkom o politycznym zabarwieniu. W liście artystów do Ministerstwa Kultury z 2024 r. jest mowa o „wieloletnim wypełnianiu politycznej agendy niedemokratycznego obozu politycznego; zniszczeniu struktury organizacyjnej instytutu, skutkującej zablokowaniem prac nad kolejnymi projektami; stosowaniu cenzury i restrykcji wobec artystów, którzy przeciwstawiali się łamaniu demokracji w Polsce; zniszczenie systemu eksperckiego i mechanizmów kontrolnych w PISF".

„Może gdybyśmy mieli w zasobach wspólnej pamięci przekonujący dramat (albo komedię) pokazujący, na czym polega wyborczy agon – jak kształtuje się w nim konflikt, dlaczego stanowi istotę demokracji, w jaki sposób ludzie podejmują decyzje – byłoby nam łatwiej" – pisał Jakub Majmurek. I choć jego postulat dotyczy kina *stricte* „kampanijnego", czyli ugruntowanego w zachodnich kinematografiach podgatunku, łatwo go nieco uelastycznić. Stawką jest w końcu społeczna świadomość. Pomijając fakt, że w obecnej sytuacji to bezcenny towar, już wkrótce na prawdziwe kino polityczne może być w Polsce za późno.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

POLITYKA OD KUCHNI

MATERIAŁY PRASOWE X3

▪ **EKIPA** (2007) Twórczynie: Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Magdalena Łazarkiewicz

Najlepszy polski serial o polityce, choć wypadałoby raczej napisać – jedyny dobry polski serial o polityce. Opowieść o fikcyjnym premierze prawdziwego kraju miała wszystko, czym oddychają podobne historie: tempo, intrygę, skomplikowanych bohaterów i wysoką stawkę. Dziś, niestety, jest białym krukiem.

▪ **POLITYKA** (2019) Reż. Patryk Vega

Spokojna głowa – nie będę nikogo przekonywał, że „Polityka" jest dobrym filmem. Jest to jednak ciekawy odprysk nieokiełznanej wyobraźni Vegi. I zarazem zamaszysta próba uderzenia we wszystkie kluczowe postaci ówczesnej sceny politycznej. Koncepcja – plusik. Realizacja – zasłona milczenia.

▪ **POGODA NA JUTRO** (2003) Reż. Jerzy Stuhr

Niedoceniona należycie komedia Jerzego Stuhra jest wszystkim tym, czym nigdy nie będą bezzębne satyry w rodzaju „PolandJa", „Kryptonimu Polska" czy „kRaju". Dzięki lekkiej konwencji wszystkie mądrości na temat prywatnych i politycznych sfer naszego życia brzmiały szczerze i bezpretensjonalnie. A to już sporo.

Tylko proszę mnie nie pocieszać

DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR | W zaskakująco chłodnym, a dla wielu katastrofalnym polskim czerwcu 2025 w krótkim odstępie czasu przywołano w teatrze dwie wielkie religijne postacie i tajemnice: Jezusa i Demeter. Przypadek?

Zirytującego nadmiaru premier dawanych przez teatry w ostatnie weekendy sezonu wybrałem dwie, bo dotyczą zagadnienia, które mnie fascynuje. Mówiąc prosto i w wielkim skrócie: te spektakle poszukują praktycznych sposobów wejścia w sferę zastrzeżoną dla praktyk religijnych i rytualnych. Kiedyś te kwestie rozpalały głowy. Dziś dom, który kiedyś współtworzyły, wydaje się opuszczoną ruderą.

Skoro go nie ma

„Rewizja procesu Jezusa" Katarzyny Kozyry w Starym Teatrze w Krakowie to jednak nie jest teatr rytualny. Przedstawienie jest finałowym odrostem projektu „Szukając Jezusa", który artystka realizuje od roku 2012. W Jerozolimie (do roku 2022 była tam siedem razy) szukała osób, które twierdzą, że są Jezusami. W języku medycznym oznacza to, że cierpią na „syndrom jerozolimski" – zespół zaburzeń sprawiających, że pod wpływem miejsc o silnej tradycji religijnej pewne osoby je odwiedzające zaczynają roić sobie, że same są kolejnymi wcieleniami świętych, proroków albo wprost – Mesjaszami.

Takich Jezusów znalazła Kozyra w Jerozolimie całkiem sporo. Spotkania z nimi filmuje, a pokazując w galeriach odpowiednio zmontowaną dokumentację we właściwym sobie stylu podważa dominujące sposoby odnoszenia się do fenomenów religijnych. „Szukając Jezusa", tak jak jej wcześniejsze prace, wprowadza w ruch społeczne schematy, nie będąc ani konfesją, ani prowokacją. Kozyra traktuje swoich bohaterów z przewrotną powagą, która sprawia, że gdy biegnie za jednym z nich wołając „Jesus, wait!" i pytając „Will you come back?" – nie ma w tym ani drwiny, ani wiary. Jest za to pytanie: dlaczego się w tym momencie śmiejemy? Jakie schematy sprawiają, że lekceważymy tych Jezusów. Oni są śmiertelnie poważni, wierzą w sens tego, co robią i mówią. Potwierdzają przecież wiarę życiem. A my?

„Rewizja procesu Jezusa" przenosi tę strategię do teatru. Próba okazała się ryzykowna i jednak nieudana – przedstawienie jest teatralnie słabe. Ale z perspektywy artystki sama próba jest skuteczna, tak jak słabe i zarazem skuteczne były jej dokonania operowe, popowe teledyski i występy jako *drag queen*. Osią przedstawienia jest realizacja procedury powrotu Jezusa według planu „ortodoksyjnego Żyda kabalisty", którego Kozyra spotkała w Jerozolimie.

Plan składa się z trzech punktów: zebrania pieniędzy na wykupienie Jezusa od Rzymian (kabalista obliczył, że potrzebne są dwa miliony dolarów), przywrócenia Jezusa Żydom oraz przeprowadzenia rewizji jego procesu. Aktorzy usiłują nas przekonać, że pierwszy etap zrealizowano, bo podatnicy w Polsce utrzymują Ministerstwo Kultury, które jest organizatorem i finansowym zapleczem Starego Teatru, więc w ten sposób złożyli się na wykupienie Jezusa. Zgodnie z logiką faktów podawanych w przedstawieniu oznaczać to powinno, że teatr dostał na projekt Kozyry dwa miliony dolarów. Jeśli tak nie było (a chyba jednak nie), to nie ma żadnych podstaw do radosnego ogłaszania, że pierwszy warunek spełniono.

Podobnie, wyłożenie w spektaklu znanych od dawna tez o Jezusie esseńczyku i Pawle z Tarsu jako twórcy chrześcijaństwa nie oznacza przywrócenia Jezusa Żydom. Ten podstawowy warunek byłby spełniony, gdyby Żydzi coś na ten temat wiedzieli. Nic nam o tym nie wiadomo. Wewnętrzna logika działań i dramaturgii, będąca jedną z podstawowych zasad teatru, co chwila się rozpada, sprawiając, że cały projekt przestaje mieć sens i znaczenie.

Dotyczy to także tytułowej rewizji. Wywód prawniczy jest tak dziurawy, że właściwie nic z niego nie wynika. Tym razem jednak sami twórcy to przyznają, ogłaszając, że nie są w stanie rozstrzygnąć o winie lub niewinności oskarżonego bez przesłuchania jego samego. Wobec tego wzywają Jezusa na świadka. Czekają chwilę, a potem ogłaszają, że go nie ma, albo może jest, ale się ukrywa i wstydzi. Wreszcie odtwarza się nagranie audio z początkowego okresu prób, na którym Katarzyna Kozyra odpowiada na pytanie, co chce osiągnąć. Ano to, żeby w końcu „wszystko było dobrze". Mówi też, że po przeprowadzeniu rewizji tak właśnie będzie – może nie od razu, ale jak się trochę poczeka, to na pewno. Nagranie się kończy, wszyscy czekają w ciszy, ktoś skołowany klaszcze (bo przecież w teatrze się klaszcze, nie?). Otwierają się drzwi, do wnętrza wpada mocne, jasne światło reflektora. Jedna z aktorek mówi „Chodźmy" (*Missa est?*). Wychodzimy do dolnego foyer. Moment konsternacji – koniec? Coś jeszcze będzie? Po chwili odpowiednio poinstruowane osoby ruszają na górę. Tam jednak nie czeka ciąg dalszy przedstawienia, ale bankiet.

Katarzyna Kozyra od dawna posługuje się w swoich pracach strategią „naiwnego" przejmowania konwencji i ról społecznych dla rozmontowania mechanizmów wytwarzających zbiorowe wyobrażenia i odświeżenia tego, co uznawane jest za oczywiste. Zastosowana w odniesieniu do doświadczeń i postaci religijnych ma ona być może służyć wytrąceniu z kapłańsko ubogaconego systemu podstawowego także dla niego pragnienia, „żeby wszystko było dobrze", jak na bankiecie. Możliwe też, że celem „Rewizji" jest zanegowanie chrześcijaństwa (a raczej katolicyzmu), uwolnienie spod jego wpływu, przez niektórych uważanego za straszliwy dyktat.

Może chodzi i o jedno, i o drugie, a może też jakieś trzecie i czwarte, które zapewne ktoś w jednym z już powstających esejów sformułuje. Ale to bez znaczenia, bo i tak

HAWA / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU STAREGO W KRAKOWIE

Krystian Durman i Małgorzata Walenda w spektaklu „Rewizja procesu Jezusa", reż. Katarzyna Kozyra

jest nieskutecznie. Powstało mało ciekawe przedstawienie. Osoby, dla których Jezus jest postacią znaczącą i które spotykają Go w kościele, zapewne spektaklu nie obejrzą, a jeśli tak, to większość z nich wzruszy ramionami (oczywiście możliwe, że znajdzie się ktoś, kto poczuje się religijnie urażony, ale byłoby to bardzo dziwne). Osoby areligijne też nie bardzo mają powody, by cokolwiek ważnego z tego wieczoru wynieść, bo w końcu co ich jakiś Jezus obchodzi. Samo przedstawienie pewnie zostanie zagrane jeszcze kilka razy jesienią, informacja o nim trafi na stronę twórczyni, jakiś historyk Starego Teatru kiedyś odnotuje, że był taki przypadek współpracy artystki wizualnej z tą sceną. I tyle.

No chyba, że faktycznie wszystko będzie dobrze.

W imię matki i córki

Sześć dni po tej premierze. Rząd Tuska ocalał, Karol Nawrocki odebrał odpowiednie zaświadczenie. W Indiach rozbił się samolot. Izrael zaatakował Iran. Iran odpowiedział. Na Jerozolimę spadają rakiety. Premier napisał, że od 1939 r. nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko globalnego konfliktu.

Jadę pociągiem do Zakopanego. Mam blisko, ale od kilkunastu lat bywam tu bardzo rzadko, bo jeśli miałbym wyobrażać sobie jakieś miejsce bliskie piekła, byłyby to Krupówki w sezonie. Z dworca skręcam więc od razu w lewo i dobrze znaną trasą idę na Chramcówki.

Premiera „Eleusis" w reżyserii Grzegorza Brala, współprodukowana przez dwa teatry – zakopiański im. Witkacego i Pieśń Kozła, to dla mnie podwójny powrót po latach. Gdy zaczynałem studia, Andrzej Dziuk i jego zespół właśnie osiadali pod Tatrami. W drugiej połowie lat 80. byli jednym z najmodniejszych teatrów w Polsce. Szliśmy na Chramcówki z tłumem ludzi i do dziś wspominam te wizyty jako jedne z najważniejszych doświadczeń teatralnych.

Do wrocławskiej siedziby Teatru Pieśni Kozła też przyjeżdżało kiedyś sporo widzów (zwłaszcza gdy w zespole był już wtedy popularny serialowo Kacper Kuszewski), co mnie – przyznaję – irytowało, bo miałem wrażenie, że ta popularność odziera ten zespół z mojej osobistej, nieco hipsterskiej wyjątkowości. Grzegorz Bral i Anna Zubrzycki, kiedyś współtworzący jedno z najpiękniejszych przedstawień, jakie widziałem w życiu, „Carmina Burana" Teatru Gardzienice, po opuszczeniu zespołu Włodzimierza Staniewskiego rozwijali na własne sposoby teatr muzyczności. Na przełomie tysiącleci szalenie mnie on fascynował i sprawiał, że jechałem przez pół Polski, by wysłuchać i obejrzeć (w tej kolejności) kilkudziesięciominutowe przedstawienia, działające zawsze z niezwykłą siłą.

Minęło wiele lat. Pieśń Kozła bardzo się zmieniła. Odeszła Anna i wiele innych wspaniałych osób. Zespół stracił swoją wrocławską siedzibę w dawnym klasztornym refektarzu. W ostatnich latach Grzegorz z powodzeniem reżyseruje na scenach dramatycznych. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że historia Pieśni Kozła dobiegła końca, ale szybko zostałem wyprowadzony z błędu. Premiera „Eleusis" stanowi dowód, jak poważny był mój błąd.

Przedstawienie to powrót do jednego z podstawowych mitów kultury śródziemnomorskiej – mitu eleuzyńskiego, historii Demeter i Persefony oraz ustanowienia największych i najbardziej tajemniczych misteriów starożytnej Grecji. ↦

MARCIN SZKODZIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU PIEŚŃ KOZŁA

„Eleusis", reż. Grzegorz Bral

Do starożytnych mitów i rytów (nie tylko greckich) Pieśń Kozła odwoływała się już dawniej. Na początku sięgała też po muzykę etniczną. Potem budowała muzyczność przedstawień z kompozycji tworzonych specjalnie najczęściej przez Macieja Rychłego lub korsykańskiego artystę Jeana-Claude'a Acquavivę (to on skomponował muzykę do „Eleusis"). Stopniowo znikała też tak charakterystyczna dla ich dawnych przedstawień polifonia tematów i tradycji. Mistrzowsko śpiewane oratoria sceniczne cieszyły się wielkim uznaniem, ale mnie pozostawiały chłodnym, a nawet – znudzonym.

„Eleusis" to także przedstawienie dramaturgicznie i teatralnie bardzo proste, być może dla niektórych – za proste. Składa się z opowieści Demeter wykonywanej przez Dorotę Ficoń i z pieśni śpiewanych głosami i ciałami chóru złożonego z aktorek i aktorów obu zespołów. Ponieważ akcje chóru są dynamiczne, a działania aktorki raczej statyczne, tworzy się rytm przypominający sztampową setlistę dawnych dancingów: „wolny – szybki – wolny". Jakość chóralnej muzyczności głosów, ciał i działań jest na szczęście na tyle wysoka, że nie można mówić o znużeniu.

Mnie spektakl wciągnął i nie puścił do końca. Wbrew temu, co się sądzi, tradycyjne aktorstwo dramatyczne też przecież polega na brzmieniach, intonacjach, rytmach, umiejętności trafiania w odpowiednie dźwięki. Dorota Ficoń ma wspaniały głos i znakomitą technikę, dzięki czemu słucha się jej opowieści z uwagą, której nie odwracają świadomie ograniczone do minimum inne środki aktorskie. Ktoś powie: recytacja w pozach. Ale recytacja w pozach to właśnie kwintesencja tradycyjnej sztuki dramatycznej, o czym niestety nie pamięta się w dzisiejszych szkołach z nazwy teatralnych, w rzeczywistości produkujących aktorów serialowych (świetnych zresztą – nie ma dwóch zdań).

Antyczność „Eleusis" nie wpływa na kształt przedstawienia. Wprawdzie pojawiają się na scenie przedmioty i brzmią słowa, o których wiadomo, że były używane w misteriach eleuzyńskich, ale stanowią one raczej świadome cytaty wewnątrz przedstawienia teatralnego, które ma na celu, jak sądzę, przypomnienie najstarszej i wciąż żywej wiary europejskiej – wiary w Wielką Boginię, Panią. Tę, którą czczono przed wiekami w jaskiniach Malty, w świątyniach Babilonu i Anatolii, Grecji i Rzymu, a dziś (nieświadomie) przywołuje się ofiarując latem naręcza ziół i kwiatów. Nie oczekuje się jednak, że pojawi się w teatrze. Powtórzenie historii porwania Persefony, rozpaczy matki i ustanowienia misterium nie jest rewizją. Jest tym, czym zajmowały się przed wiekami przedstawienia starożytne – przypomnieniem mitu i odnowieniem jego obecności w pamięci świadków.

Ktoś powie, że to spotkanie z „Eleusis" wydało mi się szczególnie ważne, bo oznaczało powrót do przeszłości i do własnej teatralnej młodości. Być może. Ale jest w tym przedstawieniu potencjał nowego początku, siła zwrócona nie w przeszłość, lecz w przyszłość. I jest ważna dla tej przyszłości wiedza, może nawet mądrość, którą uważam za fundamentalnie teatralną – choć na pewno nie wszystko będzie dobrze, to właśnie nie chodzi o iluzyjne pocieszanie się, że kiedyś to nastąpi, ale o znalezienie sensu pomimo zła i cierpienia. Dorota Ficoń powtarza wielokrotnie, że jej opowieść to pieśń żałoby i ekstazy. Brzmi to dziś może zbyt podniośle, ale trudno powiedzieć inaczej: by wyjść z rozpaczy, trzeba wyjść poza siebie. Jeśli nie do świątyni, to choćby do teatru.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

▪ **MISIDE**, *producent: AIHASTO, wydawca: IndieArk, Shochiku*

Jasny pokój, niepościelone łóżko i puste kubki po zupkach instant. Ta zwyczajna sceneria zmienia się w przestrzeń niepokoju, kiedy pełna napięcia muzyka zapowiada, że zaraz wydarzy się coś strasznego. Ping, ekran telefonu budzi się do życia, wyświetlając nowe powiadomienie. Nic się nie dzieje. Szybko zapominamy o tej anomalii, bo gra pozwala nam zatracić się w powtarzalnych czynnościach i poznać głównego bohatera – introwertycznego młodego mężczyznę, który niechętnie opuszcza swoją sypialnię, a większość swojego czasu poświęca pracy i graniu w mobilną grę *bishōjo* (japońskie gry romansowe). Jednak niepokój powraca niczym bumerang, kiedy Mita, animowana sympatia, zaczyna obsesyjnie domagać się jego uwagi i przekraczać kolejne granice fikcyjnego świata z piłą łańcuchową w ręku. Kiedy bohater orientuje się, że został wciągnięty do gry mobilnej, jest już za późno na ucieczkę. Już pierwsze minuty „MiSide" pokazują, że konwencja psychologicznego technohorroru nie jest obca jej twórcom. Gra mistrzowsko bawi się kliszami japońskich powieści wizualnych, jednocześnie unikając utartych ścieżek dekonstrukcji gatunku. Rozpaczliwie poszukując wyjścia z gry mobilnej, przemierzamy kolejne jej iteracje i mierzymy się z nowymi wcieleniami zaborczej Mity, która za wszelką cenę stara się pokrzyżować nam plany. Albo, jeśli akurat dopisze jej dobry humor, zagrać z nami w karty. I chociaż gra jest stosunkowo krótka, zachęca do ponownej eksploracji w poszukiwaniu ukrytych zakończeń i bonusów. © MAGDALENA KOZYRA

▪ **HILDEGARDA**, *Heinali & Andriana-Yaroslava Saienko, Unsound*

Kiedy dwa i pół roku temu rozmawiałem z Olehem Shpudeiką (znanym szerzej jako Heinali), ten ukraiński kompozytor mieszkał w Niemczech, niedaleko Bingen. W trakcie wywiadu wspomniał, że chciałby odwiedzić muzeum poświęcone średniowiecznej świętej. W jego głosie brzmiała jednak wątpliwość – czy w trakcie rosyjskiej inwazji można pozwolić sobie na taką przyjemność.

Jego najnowszy album zatytułowany „Гільдеґарда" („Hildegarda") sugeruje, że artyście udało się ostatecznie poradzić sobie z obiekcjami. Przy czym ta płyta nie jest dziełem przypadku, bo fascynacja Heinaliego muzyką dawną nie rozpoczęła się na uchodźstwie.

Już na płycie „Madrigals" z 2020 r. kompozytor przedkładał średniowieczne harmonie na język syntezatorów modularnych. Po ataku na Kijów nie miał możliwości kontynuowania swoich badań w tym zakresie. Zamiast tego nagrał prostsze, ambientowe „Kyiv Eternal" – podszyty tęsknotą hołd dla ukochanego miasta.

Dramaty współczesności nie odciągnęły jednak kompozytora od muzyki dawnej. Przeciwnie, we wspomnianej rozmowie Heinali przyznawał, że tak jak dzisiejsza sztuka wydaje mu się nieistotna w kontekście tragedii wojny, tak duchowy wymiar średniowiecznych mszy czy motetów czynił je jeszcze bliższymi.

Nie powinno więc dziwić, że na najnowszy album składają się dwie dwudziestominutowe kompozycje, dla których punktem wyjścia są motety Hildegardy z Bingen. Od oryginałów odróżnia je nie tylko hipnotyzujący drone syntezatorów modularnych, ale także śpiew Andriany-Yaroslavy Saienko, który czerpie z ludowych tradycji ukraińskiej wsi.

Umieszczone w nowym kontekście muzycznym (a także politycznym) pieśni średniowiecznej mistyczki brzmią poruszająco, niezależnie, czy usłyszymy w nich lament, czy pieśń dziękczynną. Na tę dwuznaczność zdaje się wskazywać okładka albumu, która może symbolizować zarówno kolejne wizje świętej Hildegardy, jak i rosyjską rakietę, która w 2022 r. spadła nieopodal kijowskiego studia Heinaliego. © JAN BŁASZCZAK

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek specjalny **Bezpieczne lato**

- Jak przeżyć bezpiecznie wakacje i wrócić wypoczętym
- Cyberbezpieczeństwo na urlopie
- Podróże w głąb siebie
- Jak iść bezpiecznie w góry i wiele więcej

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 2 LIPCA

PARTNERAMI WYDANIA SĄ:

ERGO HESTIA

blik

SUBARU

Chcę mieć z tobą psa

ANITA PIOTROWSKA

Ludzie coraz rzadziej łączą się w pary. Problemem jest już sama chęć, by poznać kogoś bliżej, a co dopiero pierwsza randka – szczególnego rodzaju teatr godowy.

Komedie romantyczne działają niczym kolorowy plasterek przyklejany tam, gdzie potrzeba gruntownej terapii. Pozwalają na chwilowe i bezbolesne odmóżdżenie, a tym samym ucieczkę z nieromantycznej rzeczywistości w rozmaite klisze i fantazje. Co by jednak było, zapytuje reżyser Paolo Genovese, gdyby tak zajrzeć do mózgu bohaterów tak zwanego rom-comu? I to w strategicznym dla nich momencie, jakim jest inicjowanie związku?

Taki pomysł przyświeca filmowi „Follemente. W tym szaleństwie jest metoda". Z typowo włoskim wdziękiem (brawurowym, choć chwilami nieco przyciężkim) inscenizuje gonitwę myśli i emocjonalną karuzelę towarzyszącą zapoznawczym spotkaniom. Niczym w głośnej animacji „W głowie się nie mieści" lub w jednym z odcinków dawnego serialu rysunkowego „Było sobie życie" mechanizmy sterujące ludzkimi reakcjami mają tu swoje twarze, ciała, kostiumy. Są jak chór zatroskanych wujów i ciotek, kibicujących bądź ostrzegających zza kadru – tyle, że każde mówi zupełnie innym głosem.

Przypomnijmy znaną diagnozę: ludzie, a przynajmniej ci z naszego kręgu kulturowego, coraz rzadziej łączą się w pary. Problemem jest już sama chęć, by poznać kogoś bliżej, a co dopiero pierwsza randka – szczególnego rodzaju teatr godowy. Liczy się bowiem nie tylko dobre wrażenie, doskok do czyichś oczekiwań i wyobrażeń, ale coraz częściej sprostanie własnym autoprezentacjom, tworzonym na użytek portali czy aplikacji randkowych. Im więcej narzędzi, poradników bądź zwykłych kalkulacji, tym większy stres przed spotkaniem w realu. Bezlitosny algorytm oceniający i eliminujący uruchamia się również w naszych głowach, stając się bronią obosieczną.

Lecz są przecież jeszcze nagie uczucia: tęsknoty, nadzieje, lęki. Zwykle przykryte uśmiechem, makijażem czy błyskotliwą frazą i wiele komedii romantycznych właśnie z tego rozziewu między odwiecznym pragnieniem a jego okolicznościowym przebraniem czerpie swój humor. Tak jest i w „Follemente", gdzie rozwiedziony nauczyciel Piero (Edoardo Leo) i zajmująca się renowacją mebli singielka Lara (Pilar Fogliati) próbują uniknąć niezręczności typowych dla tego rodzaju spotkań. W czym pomagają im, a czasem także przeszkadzają, ich skłóceni ze sobą wewnętrzni suflerzy.

Świetnym pomysłem było obsadzenie w tych abstrakcyjnych rolach aktorów w różnym wieku, o różnej aparycji i temperamencie, oraz nadanie ich postaciom rozmaitych, często sprzecznych funkcji. Kiedy Piero i Lara podczas pierwszej randki, odbywającej się u niej w domu, ostrożnie obwąchują się nawzajem, w tym czasie dwie oddzielne grupy, męska i żeńska, zebrane w jakichś wyobrażonych i stereotypowo zagraconych mieszkaniach, zawiadują zdalnie przebiegiem spotkania.

Podpowiadają, często w tym mocno przestrzelając, gotowe zachowania i teksty, zaczynając od standardowej gadki szmatki, poprzez sytuacje trudniejsze, gdy wychodzą na wierzch rozmaite dziwactwa, fobie i sekrety. Aż po finał łóżkowy, który może przesądzić o wszystkim.

Genovese, niczym włoski Woody Allen z wczesnego okresu, lubi w swoich filmach czerpać i pokpiwać z psychoanalizy, toteż słychać w tych doradczych głosach i „superego-sabotażystę", i „regresję libido", pojawiają się także mniej lub bardziej opresyjne widma ojców i matek. Owe freudowskie wrzutki, podobnie jak cytaty z Italo Calvino czy feministyczne gotowce, mają pewnie uczynić tę historię, napisaną przez aż pięcioro scenarzystów, bardziej błyskotliwą. Niepotrzebnie, bo w samej konfrontacji dwóch umysłów, inaczej ukształtowanych przez biologię i kulturę, krył się potencjał nieprzebrany.

Twórcy filmu wykorzystują go cząstkowo i raczej sięgając po stereotypy, niż igrając nimi. Nie będę ich wszystkich wymieniać, choć niektóre wywołują gromki śmiech na widowni, co można przyjąć za dobrą monetę. Albo uznać, że dobrze konserwują wyobrażenia o dzisiejszych „starych pannach", mrożących na zaś swoje jajeczka i wyskakujących z komplementem typu: „jest coś, co sprawia, że chciałabym mieć z tobą psa". Tak jak u współczesnych mężczyzn w średnim wieku, dostrzega się tu głównie futbolową gorączkę i niedźwiedziowatą zgrabność w kontre-

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

FOLLEMENTE. W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA
(„Follemente”) – reż. Paolo Genovese. Prod. Włochy 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 4 lipca. Wcześniej pokazy przedpremierowe.

Paolo Genovese znany jest przede wszystkim jako twórca włoskich komedii. Najsłynniejsza, „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” (2016), pobiła rekord Guinnessa w liczbie remake'ów (było ich 24, w tym polski, nie licząc adaptacji teatralnych). Inne jego filmy, jak „Superbohaterowie”, „Pierwszy dzień mojego życia” czy „Sycylijskie lwy”, nie powtórzyły tamtego sukcesu.

Kadr z filmu „Follemente. W tym szaleństwie jest metoda”

dansach erotycznych. Z jednym trzeba się zgodzić: za dużo po obu stronach kombinowania i rozkminiania, albowiem wewnętrzny krytyk, wcielony w lękliwą ciotkę czy przemądrzałego wuja, może zabić każdą międzyludzką chemię.

„Follemente” krąży więc wokół prastarego tematu „rozważnie czy romantycznie”, w czasach Tindera tęskniąc oczywiście za tym drugim. Ale też pokazuje przy okazji, że jest to w gruncie rzeczy fałszywy dylemat, czego najlepszym przykładem scena erotyczna, po której dwa oddzielne chóry, ten Lary i ten Piera, mogą wreszcie zaśpiewać jednym głosem. Choć nie wystarczy już do tego romantyczna aura. Film, na który jeszcze niedawno waliły we Włoszech tłumy, warto zestawić z innym hitem tamtejszych kin, „Jutro będzie nasze” (2023) Paoli Cortellesi, żeby zobaczyć zakres obyczajowych przemian w kraju uchodzącym przez lata za ostoję patriarchatu. Dopasowanie się do siebie w związku znaczy dziś zupełnie coś innego niż dostosowanie się, zwłaszcza jednostronne. Zamiast fantazji są konkretne oczekiwania po obu stronach, dlatego tak trudno zaakceptować się nawzajem i „dotrzeć”.

Wcześniejszy film tego reżysera, „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”, sięgał po podobną formułę – kameralnego spotkania przy kolacji podlewanej winem, kiedy to ci, którzy podobno znają się najlepiej, mówią sobie „sprawdzam”. W równie rozgadanym „Follemente” oglądamy odcinek dopiero założycielski, który niekoniecznie stanie się pilotem dłuższego serialu zwanego wspólnym życiem. Obrana metoda trochę jednak za bardzo przykrywa i delikatność tematu, czyli powszechny lęk przed odsłonięciem się oraz czyjąś oceną, i rozpętane na ekranie „wewnętrzne” szaleństwo.

Można sobie tylko wyobrazić, jaką przepyszną farsę zrobiły z takiego materiału niegdysiejszy Pedro Almodóvar, mistrz tkliwości i awantury. Genovese, celując w szeroką widownię, słyszy naraz wiele głosów, lecz ostatecznie trochę za bardzo się kontroluje, jakby chciał uczynić z filmu kolejny format, który dobrze się sprzeda w każdym filmowym towarzystwie. Póki co czekamy na polską wersję, tę o naszych randkach i głosach w naszych głowach. ©

Lektor:
Europa wielokrotnie

▪ *Czesław Miłosz*
RODZINNA EUROPA
Znak, Kraków 2025, ss. 412

W 1961 r. Maria Dąbrowska notowała w dzienniku: „Nocą czytam Miłosza »Rodzinną Europę«. Co za dziwne przeoczenie. Od paru lat ta książka stoi na półce i ani do niej nie zajrzałam (...) Teraz czytam nie mogąc się oderwać. (...) To jest Miłosza arcyksiążka”.

Nie chcę się porównywać z Dąbrowską (która *nota bene* Miłosza niezbyt lubiła), ale dla mnie to też najważniejsza z eseistycznych książek Miłosza, ważniejsza od „Zniewolonego umysłu” i „Ziemi Ulro”. Ta „znakomita monografia jednostki wpisanej w koło Historii”, z postaciami szkolnych antagonistów, katechety i łacinnika, oraz przyjaciela-kusiciela Tygrysa, czyli heglisty Tadeusza Krońskiego, jest autoportretem (zdystansowanym, nie wyznawczym, jak zaznacza autor w dopisanym po latach posłowiu). Jest też próbą wprowadzenia na scenę literatury „wschodniego galimatiasu”, z którym autor się utożsamia.

Oksana Zabużko, wybitna pisarka ukraińska, znajduje się dziś na pierwszej linii frontu intelektualnej walki o własną kulturę, o uświadomienie innym jej istnienia i wartości, negowanych przecież nie tylko przez rosyjskie władze. Miłosz – którego zdążyła jeszcze poznać osobiście – staje się dla niej sojusznikiem w procesie samookreślenia i szukania źródła siły w obliczu katastrofy, jaką jest wojna.

Wydanie „Europy” z esejem Zabużko „Rozmowa trwa” będzie już czwartym na mojej półce. Najpierw jest paryski pierwodruk, znaleziony w antykwariacie. Potem – wydanie w ramach dzieł Miłosza. Trzecie ma osobliwą historię. „Rodzinną Europę” przeczytałem po raz pierwszy w roku 1979 w egzemplarzu wydania paryskiego. Drugi obieg dopiero raczkował, ale przyjaciel miał zaufanego dysponenta nowoczesnej kserokopiarki w jednym z biur. Zwykła kserokopia była poniżej naszych ambicji, rozebraliśmy więc egzemplarz na arkusze (i tak się już rozpadał z zaczytania), sporządzono dziesięć dwustronnych kopii, po czym zaufany introligator pociął je fachowo i oprawił, nie zapominając o napisie na grzbiecie. Nie zapomnieliśmy też, by na stronie przedtytułowej wkleić karteczkę „przedruk Kraków 1979”.

Organizatorem nielegalnego przedsięwzięcia był mój kolega ze studiów historii sztuki, Jaś Motyka. Świetny znawca grafiki i fotografii, przepracował wiele lat w Gabinecie Rycin krakowskiej Biblioteki PAN i PAU, umarł nagle w ubiegłym roku. Niech ta jedna z wielu jego zasług zostanie przypomniana. ©℗

ANNA WEBBER

Yellowjackets

Kraków oddycha jazzem

KINGA DAWIDOWICZ, WITOLD WNUK

Summer Jazz Festival świętuje 30. edycję. O jego korzeniach w Piwnicy pod Baranami, sile krakowskiego środowiska muzycznego oraz idei festiwalu, który łączy tradycję z nowoczesnością, opowiada jego twórca – Witold Wnuk.

KINGA DAWIDOWICZ: Gdzie szukać początków Summer Jazz Festival?

WITOLD WNUK: Niewątpliwie w legendarnej Piwnicy pod Baranami – i do dzisiaj bije tam jego serce. Czuję się w pewnym sensie kontynuatorem, spadkobiercą i osobą odpowiedzialną za jazzową część muzycznego rozwoju tego miejsca. Z Piwnicą przyjaźnię się od połowy lat 70. zeszłego wieku. Zacząłem się tam pojawiać jako młody chłopak, akompaniowaliśmy z siostrą, Joanną Wnuk-Nazarową, piosenkarce Oli Maurer, potem grałem w zespole Ewy Demarczyk, w spektaklach Koniecznego i Radwana.

Jazz był w Piwnicy obecny od powstania kabaretu w 1956 roku. Jazzmani grali wówczas jazz tradycyjny i swing, do którego ludzie bardzo chętnie tańczyli przed i po programach kabaretowych. Po mniej więcej dwóch latach przyjechał Krzysztof Komeda z Janem Ptaszynem Wróblewskim. Przywieźli ze sobą nowoczesny jazz, mieli dużą potrzebę eksperymentowania. Dziś te dźwięki zapewne nazwalibyśmy tradycyjnymi, ale wówczas to była mocna kontra do jazzu tanecznego, takiego, jaki życzył sobie mieć w Piwnicy Piotr Skrzynecki.

Ostatecznie ci nowocześni muzycy przenieśli się do klubu Helikon, w dużej mierze również do Jaszczurów, Rotundy, Klubu Plastyków, część wyjechała zarobkowo do Warszawy. Nie znaczy to jednak, że jazz zniknął z Piwnicy. To był gatunek muzyczny, który kojarzono nierozerwalnie z tym miejscem.

Przygoda z Piwnicą przerodziła się później w coś trwalszego?

Tak. W latach 80. zacząłem w lecie organizować serie koncertów „Bossa nova od nowa", razem z Janem Muniakiem, Marianem Pawlikiem, Janem Budziaszkiem. To był początek, zalążek późniejszego festiwalu. Spotkaliśmy się ze świetnym odbiorem, bardzo dużo osób przychodziło wówczas na te letnie koncerty.

Później związałem się na okres 30 lat z Kuwejtem, gdzie początkowo grałem z orkiestrą w hotelach, a następnie zostałem wykładowcą wiolonczeli na tamtejszej Akademii Muzycznej. Zżerała mnie jednak tęsknota za Krakowem, wracałem regularnie w okresie letnim. Podczas jednego z tych powrotów zdarzyło się, że Piotr Skrzynecki namówił mnie, by w ramach obchodów 40-lecia Piwnicy zaznaczyć rolę jazzu, to, jak bardzo

MATERIAŁ PROMOCYJNY

istotny wpływ wywarł ten gatunek na życie kabaretowe kultowego krakowskiego miejsca.

W 1996 roku odbył się pierwszy festiwal, który okazał się dużym sukcesem. Smaku dodawał również fakt, że wszystko to działo się w wyjątkowych okolicznościach. Polska odnajdywała się w trudnych latach 90., był odczuwalny niezwykły głód wrażeń, powszechna ciekawość różnorodnych zjawisk. Na bazie tego letniego festiwalu powstała ogromna fiesta stu kilkudziesięciu koncertów. Festiwal był w jakiejś mierze kontynuacją życia kabaretowego i życia, które kwitło od początku kabaretu do lat 90.

W tym roku festiwal będzie świętował swoją 30. edycję.
Tak, a w przyszłym roku czeka nas 70-lecie Piwnicy pod Baranami. Festiwal, do 2017 roku występujący pod nazwą Letni Festiwal Jazzowy w Piwnicy pod Baranami, a później Summer Jazz Festival, w swojej idei posiada kilka wektorów. Czasami spotykam się z zarzutami, że mniej więcej połowa nazwisk wykonawców powtarza się co roku. W czasie festiwalu jest 130 koncertów, na których występuje około 50-60 grup krakowskich. Co roku praktycznie te same, ale też nie jest to przypadek czy pójście na łatwiznę.

Festiwal przyjmuje dwie główne role. Z jednej strony chcemy sprowadzić nowe gwiazdy światowe dla środowiska Krakowa – tak, by zagościły u nas po raz pierwszy. Ale z drugiej strony, ponieważ prawie połowa, około 40 proc. publiczności, to ludzie z zagranicy, chcemy umożliwić im poznanie środowiska krakowskiego, które ma mnóstwo do zaoferowania, jest bardzo liczne, obfituje w muzyczne talenty.

Mówimy o reprezentacji około stu krakowskich artystów, nie tylko tych zakorzenionych już na scenie jazzowej Krakowa, ale mam na myśli również nowe, młode talenty, czekające na odkrycie przez szerszą publiczność. Zasadą, która zawsze mi przyświeca i spaja różne wątki festiwalu, jest dążenie do prezentowania jazzu, który ludzie kochają i którego chcą słuchać – jazzu zakorzenionego w tradycji dobrego, amerykańskiego brzmienia.

Na festiwalu można usłyszeć różnorodne style.
Pokazujemy na festiwalu wszystkie style jazzu. Koncerty około dziesięciu, piętnastu grup nowoczesnych, awangardowych odbywają się w krakowskiej Alchemii. Scena Młodych w Pałacu Potockich również temu służy. Podobnie jak koncerty w ramach Spiritual Music Days, gdzie bardzo ciekawe rzeczy będą tworzone choćby przez Jorgosa Skoliasa, Grażynę Auguścik, Adama Bałdycha czy Ibrahim Trio. Mnóstwo muzyków gra jednak jazz środka, mainstream, ale często w sposób nowoczesny, eksperymentujący. Jest tam dużo miejsca dla indywidualnej, nieskrępowanej improwizacji.

Gdyby miał Pan polecić osobie, która nie jest obeznana z jazzem, jeden koncert w czasie Summer Jazz Festival, to co by to było?
Jeżeli pójdziemy kluczem światowych gwiazd, to niewątpliwie wybija się na pierwszy plan projekt Kurta Ellinga, w tej chwili czołowego śpiewaka, którego można bez wahania określić numerem jeden na świecie. Razem z grupą Yellowjackets, również legendarną, będą śpiewać, wykonywać muzykę Weather Report, słynnej jazzowej formacji, która już nie istnieje. Warto posłuchać Adama Makowicza, Leszka Możdżera czy Johna Scofielda lub Marcusa Millera. Pod koniec festiwalu będzie okazja uczestniczyć w koncertach Adama Bałdycha czy Daniela di Bonawentury, włoskiego akordeonisty. To projekty, które zapowiadają się niezwykle ciekawie.

Natomiast z punktów programu może nie tak spektakularnych, „światowych", ale nie mniej interesujących, które szczególnie polecam, jest powrót po 30 latach do projektu Namysłowski i Górale. 32 lata temu Zbigniew Namysłowski – wielka legenda, który często w swojej muzyce przemycał elementy ludowe już w latach 60., 70. – wydał świetną płytę „Kujaviak Goes Funky". Dogadał się wówczas ze słynnym góralem, skrzypkiem, wokalistą, architektem – Janem Karpielem Bułecką – i udało im się stworzyć kwartet, który odniósł niebywały sukces. W Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha" usłyszymy swego rodzaju powrót kwartetu. Zrealizuje to Jacek Namysłowski, syn Zbyszka, wybitny puzonista, jeden z czołowych polskich muzyków, razem z kapelą Jaśka Karpiela.

Program obfituje również w wydarzenia towarzyszące.
Przykładem może być turniej golfowy Golf and Jazz w Paczółtowicach na tamtejszym polu golfowym – pod patronatem marszałka województwa małopolskiego. W stulecie willi Domańskich, pięknego pałacu, odbudowanego 100 lat temu w stylu klasycystycznym, odbędzie się koncert „Lata dwudzieste, lata trzydzieste. Jazz i tańce" z Boba Jazz Band. Wydarzenie zaplanowano jako otwarte, niebiletowane. Na wszystkich chętnych czekają również trzy koncerty plenerowe na zamku Tenczyn w Rudnie.

Kraków może pretendować do bycia polską stolicą jazzu?
Zawsze to podkreślam, że główną rolę podczas Summer Jazz Festival gra miasto – Kraków. To miejsce naprawdę niepowtarzalne pod wieloma względami i nie jest to tylko moja prywatna opinia, ale wielu muzyków, którzy przyjeżdżają na nasze wydarzenie z różnych zakątków świata.

Kraków oddycha jazzem na co dzień. Nie ma innego polskiego miasta, w którym codziennie odbywałyby się koncerty jazzowe w tylu miejscach. Mamy codziennie Harrisa, klub u Muniaka, kilka razy w tygodniu organizujemy koncerty w klubie Globus, a jeszcze Alchemia, Piwnica i wiele, wiele innych miejsc.

W Krakowie jest około 1000 muzyków grających jazz. Na to składa się 500 osób studiujących jazz w trzech ośrodkach. Akademia Muzyczna dysponuje katedrą jazzu, posiadamy Szkołę Muzyki Rozrywkowej i Jazzu Grzegorza Motyki, szkołę średnią na Józefińskiej, gdzie jest bardzo mocny wydział jazzowy. Druga grupa 500 osób to profesjonaliści żyjący z grania jazzu, jak i stylów pokrewnych temu gatunkowi. Razem np. z bluesmanami czy muzykami fusion, latin – to tworzy wyjątkową siłę. To jest muzyczna armia. Podobnej sytuacji nie ma w innym mieście w Polsce. Dlatego uważam, że Summer Jazz Festival jest nierozerwalnie sprzężony z Krakowem i czerpiąc z Piwnicy, ze źródła, jest nieprzerwanie zasilany współczesnym duchem.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

MATERIAŁY PRASOWE

WITOLD WNUK jest twórcą i założycielem Summer Jazz Festival.

Kraków

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

SUMMER JAZZ FESTIVAL KRAKOW
30th edition 2025

koncerty klubowe

Piwnica Pod Baranami | 21:00

01.07 Henryk Miśkiewicz Special Quartet „Music of Jan Ptaszyn Wróblewski”
02.07 Marek Bałata Quintet
03.07 Bernard Maseli &Piotr Domagała Duo
04.07 Hildegarde Wenzlawa Quartet (Francja)
05.07 Cezary Gadzina Band
06.07 Old Metropolitan Band
07.07 Dorota Miśkiewicz & Marek Napiórkowski.
08.07 Marek Napiórkowski Trio
09 .07 Krzysztof Ścierański Quartet
10.07 The Kicker Band Quintet (Cypr)
11.07 Adam Czerwiński Trio
12.07 Grzegorz Pałka Trio
13.07 Friends (Baron/Napiórkowski/Galas/Dębski/Czerwiński)
14.07 Kajetan Galas Organ Spot feat.Shachar Elnatan (Polska/Izrael)
15.07 Jacek Kochan MusiConspiracy (D.Wania/ R.Kubiszyn/Skowroński)
16.07 Mike del Ferro/Kacper Smoliński Quartet (Holandia/Polska)
17.07 Leszek Kułakowski Quintet
18.07 Boba Jazz Band
19.07 Andrzej Olejniczak Special Quartet
20.07 Martin Listabarth Trio (Austria)
21.07 Adam Palma Duo
22.07 Krzesimir Dębski Project
23.07 Włodzimierz Nahorny Trio
24.07 Mike Parker - Nat Osborne (USA)
25.07 Piotr Schmidt/Paweł Tomaszewski Quintet
26.07 Robert Majewski - Piotr Rodowicz - Kazimierz Jonkisz Quintet
27.07 John Daversa feat.AMC Trio (USA/Słowacja)
28.07 Szymon Mika Trio
29.08 Pawel Wlosok Quintet” (Czechy/Polska) „Tribute to Janusz Muniak”
30.07 Mateusz Pałka Quartet „Tribute to Polish Jazz Masters”
31.07 M.Sikała/W.Pulcyn/S.Frankiewicz Trio

GLOBUS MUSIC CLUB | 19:30

03.07 Hot Strings Quartet
04.07 Aldo Joshua - Elvio Ghigliodini Quintet (Włochy)
05.07 Hildegarde Wanzlawe Quartet (Francja)
10.07 Les Souvenirs Quartet
11.07 Alexandros Adam Quartet (Cypr)
12.07 Agnieszka Grochowicz Song Time
17.07 Duo Gitarowe Krzysztof Fetraś & Tomasz Król
18.07 Mike del Ferro Trio (Holandia)
19.07 Big Gilson Trio (Brazylia)
24.07 Szymon Kozikowski Trio
25.07 Władek Grochot Just Jazz
26.07 Jerzy Małek Quartet
31.07 Groovosophers meets Satish Robertson (USA/Polska)

SCENA MŁODYCH | 19:00

Pałac Potockich-Zbaraskich

03.07 Manuel Margini solo piano (Włochy)
10.07 SICMHO band (Cypr)
17.07 Hania Derej solo piano
24.07 Julia Szarek Ensemble
31.07 Jan Piwowarczyk Band

alcH emia | 20:00

10.08 Grzegorz Karnas/Adam Oleś Duo

koncerty klubowe

Harris Piano Jazz Bar | 21:30

01.07 Marian Pawlik Quartet
02.07 jam session
03.07 Italian Night: Aldo Joshua/Elvio Ghigliordini Quintet & Manuel Margini, Bertil Lagerman
04.07 Tomasz Chyła Quintet
05.07 KaroliNa band
06.07 Yelsy Heredia Trío (Kuba)
07.07 Jacek Pelc/Maciej Sikała/Maurizio Rolli/Giulio Gentile „On The Road” (Polska/Włochy)
08.07 Grzegorz Masłowski Quintet
09.07 jam session
10.07 Alexandros Adam Quartet (Cypr)
11.07 The Kicker Band Quintet - Cypriot Night Jam Session (Cypr)
12.07 Mili Morena & Fortet (Kuba)
13.07 Electric Shephard
14.07 Sarnecki/Lemańczyk/Golicki Trio
15.07 Prince JeanPierre
16.07 jam session
17.07 Michael Parker Trio (USA)
18.07 Big Gilson Trio (Brazylia)
19.07 Wojciech Groborz Project feat.Joanna Knitter
20.07 Hot Swing
21.07 Bartek Leśniak Electric Trio
22.07 Magdalena Zawartko/Grzegorz Piasecki feat. T.Wendt i G.Pałka
23.07 jam session
24.07 Mariusz Bogdanowicz Quintet feat.Marcelina Gawron
25.07 Funk de Nite& Bryan Corbett (Polska/Wielka Brytania)
26.07 Adam Kawończyk Quintet
27.07 New Bone
28.07 Wojtek Justyna Band
29.07 Marta Rubik Quintet
30.07 Tomek Grochot Band
31.07 Marcin Ślusarczyk Quintet feat.Pavel Wlosok (Czechy) „Trzaskowski”
04.09 Pietro Mirabassi Quartet (Włochy)

specjalne gwiazdy 30. edycji

Leszek Możdżer - Adam Makowicz

Kino Kijów | 30.06 | 20:00

Kurt Elling feat YellowJackets

Music of Weather Raport

Kino Kijów | 4.07 | 20:00

John Scofield Quartet

Kino Kijów | 25.07 | 19:00

Marcus Miller

European Tour 2025

ICE Kraków | 26.07 | 19:00

Nigel Kennedy& band

COSMIC BROTHERS feat. Cleveland Watkiss

Auditorium Maximum | 07.09 | 20:00

SUMMER JAZZ FESTIVAL KRAKOW

spiritual music days ▶

KRAKÓW SPIRITUAL MUSIC DAYS | 20:00

24.08 Adam Pierończyk Project | Klub Alchemia
25.08 Ibrahim Trio | Klub Alchemia
26.08 Horntet | Klub Alchemia
27.08 Jorgos Skolias 75.lecie | Radio Krakow
28.08 Grażyna Auguścik & Jarosław Bester | Bazylika na Skałce
29.08 Grupa Laboratorium 55.lecie | Muzeum Manggha
30.08 Adam Bałdych Quartet feat. Daniele di Bonaventura
| KONCERT FINAŁOWY CYKLU | Filharmonia Krakowska

06.07 NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

12.00-16.00 Koncerty w ogródkach na Rynku Głównym
Boba Jazz Band, JBBO, Old Metropolitan Band, Playing Family, Hot Swing

17.00 Parada Nowoorleańska z Rynku na pl.Szczepański
17.30 Koncert Finałowy na pl.Szczepańskim:
Yelsy Heredia Trío (Kuba), Maurizio Rolli/Claudio Gentile/Maciej Sikała/Jacek Pelc - On The Road (Włochy/Polska), Adam Kawończyk Special Quartet, Andrzej Bachleda & The Technicolor Orchestra

Uroczystość wręczenia nagrody „Baranek Jazzowy"

wydarzenia plenerowe ▶

TAJEMNICZY OGRÓD | 18:00

pl. Wszystkich Świętych 3-4

01.7 Marek Stryszowski - Tomasz Kudyk „Pstryczki Elektryczki"
08.07 Soul Finger
15.07 Tadek Pocieszyński Blues Trio
22.07 Magda Bożyk z Zespołem
29.07 Maciek Kłeczek i Przyjaciele

zameK w rU dnie | 18:00

19.07 Mili Morena Cuban Show (Kuba)
09.08 Magda Hanausek&Soul Finger
16.08 Maciek Kłeczek i Przyjaciele

radio KraK Ów - sTU dio s5 | 20:00

20.07 Recital Lory Szafran z Zespołem
27.08 Jubileusz Jorgosa Skoliasa

mUzeU m manGGHa | 20:00

02.07 „Namysłowski i Górale - 30.lecie projektu" w wykonaniuKwartetu Jacka Namysłowskiego i Kapeli Jana Karpiela Bułecki

16.08 Koncert „Młynarski, Bynajmniej!" w wykonaniu m.in. Wojciech Myrczek, Krzysztof Herdzin, Piotr Schmidt z Zespołem

Kraków loves Miles ▶

KraK Ów loVes miles

25.07John Scofield Quartet
(John Medeski - piano) | Kino Kijów

26.07 Marcus Miller European Tour 2025 | ICE Kraków
+ koncerty klubowe zespołów trębaczy z Polski i zagranicy, m.in .John Daversa, Brian Corbett, Robert Majewski, Piotr Schmidt, Jerzy Małek, Adam Kawończyk, Piotr Damasiewicz, Tomasz Kudyk, Władek Grochot

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE

01.08 Lata 20./30. Jazz i tańce
z Boba Jazz Band w 100.lecie Willi Domańskich w Nawojowej Górze k.Krzeszowic | 19.00

02.08 „Golf&Jazz" Turniej o Puchar Marszałka Województwa Małopolskiego | Kraków Valley Golf & Country Club w Paczółtowicach

16.08 Koncert Adama Makowicza z Orkiestrą AUKSO pod dyr. Marka Mosia - organizowany w ramach Festiwalu Emanacje | Europejskie Centrum Muzyki im.Krzysztofa Pendereckiegow Lusławicach.
Wystawy fotograficzne w Piwnicy pod Baranami oraz barze Vis a Vis

solo piano week ▶

RADISSON BLUHOTEL | 19:00

06.07 Hot Swing

sHeraTon Grand KraK ow | 20:00

06.07 Jazz Band Ball Orchestra
20.07 Sylwia Stańczyk Latin Trio

FilH armonia KraK owsK a | 18:00

25.08 Dominik Wania
26.08 Michał Wierba
27.08 Piotr Orzechowski
28.08 Mateusz Pałka
29.08 Adam Makowicz

wydarzenia towarzyszące ◀

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Patronat Honorowy: Łukasz Smółka Marszałek Województwa Małopolskiego

bilety: ticketmaster.pl | kup w biurze ze zniżką 10%, ul. Karmelicka 52/1 od poniedziałku do piątku 10.00-17.00, tel. 12 357 69 22

PAWEŁ

Bravo:
Bourdain wiecznie żywy

ENTERTAINMENT PICTURES / ALAMY / BE&W

Pięćset trzydzieści siedem głosów na ponad pięć milionów dało George'owi Bushowi młodszemu wygraną w wyborach na Florydzie w roku 2000, a tym samym taką przewagę w kolegium elektorskim, by zostać prezydentem. Ponowne liczenie w całym stanie – wynik bowiem od razu został oprotestowany – budziło potężne kontrowersje proceduralne i zostało przerwane po jakimś czasie przez Sąd Najwyższy (też „cienką" większością 5 do 4), więc nawet liczba podana na początku nie odpowiada z pewnością prawdzie materialnej. A jednak Bush okazał się wcale nie takim najgorszym prezydentem, z perspektywy czasu widać zresztą, że jego rywal Al Gore był poronioną próbą zrobienia powtórki z Clintona, a nie materiałem na lidera. Nawet jeśli dziś uznajemy, że Bush dokonał paru złych wyborów, np. idąc na niekonieczne wojny, to równocześnie wydaje się nam człowiekiem nawet nie z innej planety politycznej, tylko kosmitą w porównaniu z materiałem ludzkim, który działa dziś pod szyldem jego partii. Ale nie kupicie ode mnie teoryjek o końcu jakiejś epoki i przełomie.

Jedyne, na co stać naszą osobniczą pamięć, to stopklatki klikane w dowolnym momencie tej nieustannej zmienności życia. A jednak mamy odruch, by przy każdej okazji robić obrachunki. Ten automatyzm to chyba magiczny sposób, żeby odczynić lęk przed tym, że na kolejnym zakręcie slalomu się po prostu nie wyrobimy. Tyle gadamy o zmianie, by na moment zyskać pewność, że już dość z nią, że wszystko zostało wywrócone na lewą stronę i można zacząć układać koszule w szafie wspomnień.

GRAŻYNA MAKARA

Jest dobra chwila, żeby takie ćwiczenie odbyć w kuchni. Dokładnie wtedy, kiedy na Florydzie trwały uliczne burdy pod siedzibami komisji wyborczych, świat poznał talent Anthony'ego Bourdaina. 25 lat temu wyszła jego pierwsza (w sumie jedyna, bo potem to już były tylko sequele) książka „Kitchen Confidential", na polski przełożona pod niezłym tytułem „Kill Grill". Potem były superpopularne programy telewizyjne, bo okazało się, że nie tylko świetnie pisze, ale radzi też sobie z kamerą. Zaczęło się jednak od książki, absolutnie wyjątkowej. Nikt, kto w owych latach interesował się gastronomią, nie mógł jej nie znać. Kiedy autor się zabił w 2018 r., także i nasza rubryczka go żegnała jako jednego z fundatorów nowoczesnej narracji o jedzeniu.

Z racji tego ćwierćwiecza wydawca szykuje jubileuszowe wznowienie ze wstępem Irvine'a Welsha, w którym autor równie kultowej powieści „Trainspotting" próbuje uczynić z Bourdaine'a kucharskiego punka. Buntownika i pirata w wiecznym starciu z popkulturą, która mniej więcej w okresie przełomu wieków potraktowała jedzenie i gastronomię jako kolejny gatunek dochodowej rozrywki.

Welsh, którego czytam na łamach tygodnika „The Observer" – skądinąd powstał w tym samym roku, kiedy Polacy uchwalali Konstytucję 3 maja i wychodził nieprzerwanie, a teraz został przejęty przez wilczków ze start-upa, który co prawda deklaruje przywiązanie do papieru, ale raczej tylko dla uspokojenia starszych czytelników – jedzie w lekturze Bourdaine'a po swoim, bo tyle sam ma do sprzedania: prawa do dawnych opowieści o byciu na dnie czy raczej na podłodze zarzyganego kibla. Najgorszego kibla w Szkocji, pamiętacie scenę z wielkiego filmu pod tym samym tytułem. Otóż musi tak czynić, żeby ułatwić czytelnikom przeoranym przez to, co zadziało się przez ćwierć wieku, smakowanie tej genialnej książki. Bo w sporych fragmentach brzmi jak zapis świadomości sprzed całych stuleci.

Jasne, nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o praktyczne i życiowe przestrogi Bourdaina. Dlatego dalej unikajcie niedzielnego brunchu. „Menu na brunch to pole do popisu dla liczącego się z każdym dolarem szefa kuchni, złomowisko wszystkich pozostałości z piątkowego i sobotniego wieczoru lub resztek, jakie restauracja w naturalny sposób zawsze wytwarza. Ryba,

Kadr z filmu Morgana Neville'a o Anthonym Bourdainie i jego karierze szefa kuchni.

Marchewki ołówkowe duszone w winie

SKŁADNIKI:

Pęczek młodej marchewki
100 ml białego wina 50 ml wody
20 ml białego octu winnego
20 ml oliwy ▪ ziele angielskie
▪ liść laurowy ▪ łyżeczka ziaren pieprzu
1-2 goździki ▪ tymianek i inne przyprawy, które mogą nam pasować

ALEKSAKARINA / ADOBE STOCK

Na liście przepisów bezwzględnie sezonowych, możliwych tylko przez 2-3 tygodnie w roku, ten lubię szczególnie i co roku robię go choć raz, by się ucieszyć, że udało mi się znów dożyć. Chodzi o młodziusieńkie marchewki, grubości małego palca lub ołówka – dlatego tak je nazywam, nie znajdziecie tego terminu w książkach. Szykujemy marynatę: podgrzewamy na dużej patelni wino, wodę, ocet, zioła i przyprawy, doprowadzamy do lekkiego wrzenia i gotujemy kilka minut, żeby wyparował alkohol. Dolewamy oliwę, utrzymujemy na małym ogniu. Szorujemy marchewki porządnie pod wodą, zostawiamy króciutki ogonek z natki. Rzucamy do osolonego wrzątku na 2-3 minuty. Przekładamy na patelnię, tak by wrząca marynata ledwo je przykryła (jeśli jest jej za mało, możemy dolać trochę rozwodnionego wina). Dusimy na minimalnym ogniu jeszcze z 10 minut. Podajemy letnie lub wystudzone, polane pozostałą marynatą (powinna w trakcie duszenia o połowę zredukować objętość). ©℗

która zdecydowanie lepiej smakowałaby lekko upieczona i podana z ćwiartką cytryny, pojawia się nagle podrasowana sosem winegret? Słowa „w sosie winegret" w menu należy odczytywać jako: „zakonserwowane" lub „zamaskowane".

Pragmatyka i logistyka pracy w żywieniu zbiorowym, także tym z pretensjami do sztuki, pozostaje bez zmian w stosunku do opisów Bourdaina. Nikt nie wymyślił lepszych sposobów przechowywania niż wiecznie niedomyte i ciągle otwierane lodówki. Nadal z brudem można walczyć tylko czystą ścierką i odkażaczem. Pozostaje więc w mocy rada, by sprawdzać stan toalet, bo nadal sprząta się je o wiele łatwiej od kuchni. No i podłe warunki pracy są wciąż podobne, jak z reportaży Orwella z Paryża lat 30.

Ale po drodze pękło wiele rzeczy – np. ten piracki duch, pozwalający wyrzutkom z kuchni po męsku i z grymasem znosić upokorzenia, po czym odgrywać zemstę na właścicielu i gościach. Piracki i bardzo męski. Opowieści Bourdaina ociekają masłem, czosnkiem i testosteronem. Te dwa pierwsze składniki dalej są niezbędne, ale ostatni uważamy już dziś za toksynę. Podobnie jak wyzysk i upokorzenia, coś oczywistego ćwierć wieku temu, konieczny element legend i kolorytu.

Nie chcę powiedzieć, że mamy prawo czuć się wiele lepsi. Podejrzewam, że Bourdain rzekłby z szyderczym śmiechem, że jedzenie w gastronomii nigdy nie będzie idealnie czyste – ani w sensie higieny, ani w sensie etycznym. O pierwszym brudzie napisał sam dużo. A tego drugiego wyszło tymczasem przez te lata na jaw tyle, że przynajmniej mamy obowiązek o nim wiedzieć i zobaczyć jego niewidzialny zapis w ciągu liczb na rachunku, jaki, ku naszej uciesze, okazał się całkiem niski.

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

TEN MOMENT

JACEK TARAN: Mamy dobre światło?

CHRIS NIEDENTHAL: Słoneczny dzień, lekkie zachmurzenie – idealna pogoda na fotografowanie krajobrazu albo miasta. Z portretem byłoby trudniej.

Jakie światło jest najlepsze?

Polska ma w ogóle bardzo bogate światło, dysponuje całą jego paletą. Nie chciałbym mieszkać w tropikach, robić zdjęcia w nieustannie mocnym słońcu – to byłoby nudne.

A co znaczy być fotoreporterem?

To styl życia. Z jednej strony ciężka praca, również fizyczna, a z drugiej, jeśli fotografia jest twoją pasją, masz dużo zabawy. Fotografowie w ogóle są jak dzieci, które zawsze pragną nowej zabawki. Uwielbiają najnowsze aparaty, obiektywy. Wielką zaletą naszej pracy jest także to, że możemy zwiedzać świat, być świadkami tworzącej się historii.

CHRIS NIEDENTHAL, FOTOGRAF:

W dobrym zdjęciu chodzi o trafiony punkt, o zatrzymany w idealnym momencie gest.

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

CHRIS NIEDENTHAL / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORA

Protest po śmierci Doroty z Nowego Targu. Warszawa, 14 czerwca 2023 r.

Po lewej: Para młoda wychodząca z kościoła przed wyborami w maju 1989 r.

Załapałem się na końcówkę najlepszych czasów dla fotoreporterów, schyłek pewnej epoki. Pracowałem dla magazynów „Time", „Newsweek", „Der Spiegel". Redakcje ceniły fotografię i walczyły o to, by mieć jak najlepsze zdjęcia. Koszty nie grały roli. Potrzebujesz lecieć do Samarkandy? Proszę bardzo.

Dziś, choć robienie zdjęć jest coraz łatwiejsze, dla fotografów nadeszły dość trudne czasy.

To prawda. Nie musimy targać czterdziestu rolek filmu, sprzęt jest coraz dokładniejszy, ale – po pierwsze – właściwie nie ma gdzie drukować zdjęć, a po drugie – zdjęcia wcale nie są lepsze. W prasie nie ma wielkich rozkładówek, fotoreportaży, inne są też niestety stawki. Wielu ludzi chce robić zdjęcia, tylko co z nimi potem robić?

Zawód bez przyszłości?

Prasa jest głównie w internecie, a dla fotografa internet nie jest takim samym medium jak papier. Nie zazdroszczę tym, którzy dziś zaczynają. Młodym fotografom mówię, że będzie im ciężko, ale żeby mimo wszystko robili swoje i uczyli się na własnych błędach. Tym bardziej że ta nauka nie jest już tak kosztowna, jak kiedyś. Sam z niechęcią przeszedłem na cyfrę i do tej pory trudno mi uwierzyć, że na małej plastikowej karcie mieści się nie 36 klatek, a kilkaset.

Dzisiejsze prawo też jest dość okrutne dla fotografów. Tzw. RODO to śmierć fotografii ulicznej, być może w ogóle fotografii reporterskiej. Proszenie o zgodę na fotografowanie nie ma sensu – jak poprosisz, to już nie masz zdjęcia, bo ludzie albo się nie zgadzają, albo zaczynają pozować.

Tymczasem ja lubię cichutko się kręcić i nie zawracać nikomu głowy. Przechodnie nawet nie wiedzą, że zrobiłem im zdjęcie, i o to właśnie chodzi.

Trudno ludziom odmawiać prawa do decydowania o tym, gdzie pojawi się ich wizerunek.

W miejscu publicznym nikt nie ma praw do swojego wizerunku. Ludzie często się buntują, a potem sami publikują mnóstwo zdjęć w mediach społecznościowych. Służby miejskie też cały czas nas filmują na ulicy.

Czy młody fotoreporter ma dzisiaj szansę na międzynarodową karierę?

Jest to na pewno o wiele trudniejsze niż pięćdziesiąt lat temu. Ja miałem łatwo, wkradłem się do wielkich tygodników dzięki temu, że byłem tu, w Polsce, a nie w Londynie. I w pewnym sensie dzięki Janowi Pawłowi II. Wybór polskiego papieża niespodziewanie otworzył mi drogę do kariery.

Opowiedz.

Krzysztof Bobiński, wówczas korespondent „Financial Times", polecił mnie korespondentowi „Newsweeka" z Bonn. Facet przyjechał do Polski miesiąc po wyborze Wojtyły na papieża i chciał napisać tekst o polskiej religijności. Krzysztof powiedział mu, że jest taki Niedenthal, który mówi po angielsku i potrafi robić zdjęcia. Gdybym miał chodzić po redakcjach i błagać o spotkanie, pokazywać swoje portfolio i ciągle słyszeć – nie dzwoń, my zadzwonimy – byłoby mi trudno.

↦

↦ **Tytuł Twojej najnowszej książki „Właściwy moment – pół wieku z fotografią" to nawiązanie do bressonowskiego pojęcia „momentu decydującego". Co ono znaczy dla Ciebie?**

Myślę podobnie jak Henri Cartier-Bresson. W dobrym zdjęciu chodzi o trafiony punkt, o zatrzymany w idealnym momencie gest. Oczywiście w dobrze skomponowanym kadrze. Nie wiem, czy jestem dobry w łapaniu momentu, ale tak właśnie starałem się zawsze patrzeć na fotografię.

Krzysztof Miller mówił o momencie „niedecydującym". Ubolewał, że zdjęcia rzadko zmieniają świat.

Jeszcze w czasie wojny w Wietnamie to się mogło zdarzać. Słynne zdjęcie Nicka Uta znane jako „Napalm Girl" [niedawno Fundacja WPP podważyła autorstwo tego zdjęcia – przyp. red.] rzeczywiście miało taki efekt. Po jego publikacji ludzie zaczęli mieć wątpliwości co do sensu tej wojny. Ale już zdjęcie Kevina Cartera z sępem i głodującym dzieckiem nie zatrzymało fali głodu, miało za to tragiczny wpływ na jego własne życie.

Czy dziś kogokolwiek poruszają zdjęcia z wojny w Ukrainie? Oczywiście, że tak. Ale czy są w stanie wpłynąć na decyzję o zakończeniu wojny? Moje zdjęcie „Czas apokalipsy" też niczego nie zmieniło, choć przykleiło się do mnie na zawsze.

A czy zdjęcia zmieniły coś w Tobie?

To, że zostałem fotografem, miało ogromny wpływ na mnie i moje życie. Decyzja podjęta kilkadziesiąt lat temu, żeby przyjechać do Polski i zobaczyć z bliska kraj rodziców, była kontrowersyjna. Miałem tu być przez kilka miesięcy, a jestem już pięćdziesiąt dwa lata. Nie żałuję ani trochę, bo to zbudowało moją karierę i mnie jako fotoreportera. A może nawet jako człowieka.

W roku 1973 to była decyzja właściwie szalona.

Absolutnie, wszyscy mieli mnie za wariata. Chcieli stąd wyjechać, a ja starałem się za wszelką cenę zostać. Na szczęście moi rodzice nie należeli do tej części Polonii londyńskiej, która zabraniała swoim dzieciom wyjeżdżać do Polski. Nie przeszkadzali mi poznawać kraju przodków, co było dla mnie wtedy bardzo pociągające. Pewnie było im ostatecznie trochę smutno, kiedy powiedziałem *bye-bye London*. Ta decyzja, naiwna i nieprzemyślana, okazała się jednak najlepszą w życiu.

Zostałeś kronikarzem najważniejszych polskich wydarzeń.

Rzeczywiście, tak wyszło, choć tego nie planowałem. Ja w ogóle mało rzeczy planuję. Wszystko działo się samo, kwestia szczęścia.

Miałeś go sporo.

Kiedy w 1978 r. Karol Wojtyła został papieżem, zrozumiałem, że jestem w dobrym miejscu i czasie, a do tego potrafię w miarę nieźle fotografować. Wiedziałem, że coś się zaczyna w Polsce zmieniać.

W pracy fotoreportera przypadek odgrywa bardzo ważną rolę. Jednym z najważniejszych zadań jest umieć wykorzystać ten przypadek i zaprzęgnąć go do własnej roboty.

Co Cię w Polsce pociągało?

Młodzież, którą wolałem bardziej niż tę londyńską. Tam dzieciaki wszystko miały na wyciągnięcie ręki. Chcesz wywoływacz albo utrwalacz? Proszę bardzo – idziesz do sklepu i kupujesz. Natomiast w Polsce każdy musiał zawalczyć o to, żeby coś zdobyć. Trzeba się było nakombinować, żeby kupić film. Styl życia oparty na tym, że ciągle musisz o coś walczyć, załatwiać, że nie możesz się poddać, bo wtedy niczego nie osiągniesz – to mi bardzo imponowało. Myślę, że takie nieustępliwe podejście do życia jest słuszne. Ciężkie życie tworzy świetnych ludzi.

A Polska po 1989 roku?

Wiedziałem, że to przejście będzie trudne, a okazało się chyba jeszcze trudniejsze, niż myśleliśmy. Polacy od razu zaczęli narzekać, marudzić, że nie tędy droga, że trzeba inaczej. A trzeba było po prostu wziąć się za robotę i pomóc. Ludzie są niecierpliwi.

Fotografowałeś protesty kobiet, protesty w obronie sądów i konstytucji. Czy były momenty, kiedy miałeś ochotę odłożyć aparat i przyłączyć się do protestujących?

Już fakt, że tam byłem, to jakaś forma opowiedzenia się, wsparcia sprawy. Mógłbym przecież tego nie zauważać, a jednak poszedłem tam z aparatem, bo te chwile wydawały mi się bardzo ważne, może nawet najważniejsze po 1989 r. Ludzie często podchodzili do mnie, żeby podziękować za to, co robiłem kiedyś, lata temu, i za to, że jestem teraz z nimi.

Za komuny oczywiście nie mówiłem, kogo popieram, bo raz, że było to dość oczywiste, a dwa, że pracując dla poważnych, zagranicznych czasopism, musiałem być neutralny. Teraz już dla nikogo nie pracuję, więc się wypowiadam. Mam tę swobodę i wolność, na którą pracowałem przez lata. Ale żeby wykrzykiwać hasła i wymachiwać banerami – to jednak nie w moim stylu.

A marsze niepodległości?

Fotografowałem ten dzień raz czy dwa jeszcze przed 1989 r., kiedy to było w ogóle zabronione, a marsze były nielegalne. A kilkadziesiąt lat później? Pamiętam taki 11 listopada – wracałem ze zdjęć i raptem w Śródmieściu zaczęli się zbierać ludzie, szli przez miasto, krzyczeli. Zobaczyłem z bliska, jak to wygląda. Akurat nie było co prawda żadnej bijatyki, ale te wszystkie race i twarze w maskach – to było odpychające. Zrobiłem w miarę niezłe zdjęcia, choć jak zwykle – w ogóle tego nie planowałem. Czasami to, co nam się nie podoba, czego nie akceptujemy, jest jednak fotogeniczne.

Wojna jest fotogeniczna?

Dla niektórych tak, ale ja nigdy nie chciałem być fotografem wojny. I chociaż pracowałem na początku wojny bałkańskiej, szybko zdecydowałem, że to nie dla mnie. Jak zobaczyłem, co lata mi nad głową i spada koło mnie, pomyślałem – no nie, czas do domu. Za fotografowanie wojny można zapłacić wysoką cenę. Nie wiem, czy jakieś zdjęcie jest tego warte.

Oczywiście, gdyby tutaj była wojna, to inna sprawa, bo jesteś u siebie i nie można po prostu uciec. Podczas stanu wojennego nikt nie wiedział, co się właściwie stało i co się stanie.

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

ARCHIWUM PRYWATNE CHRISA NIEDENTHALA

Po lewej: Bogusław Święcicki na strajku okupacyjnym studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Łódź, luty 1981 r.
Po prawej: Spotkanie po latach podczas promocji albumu „Niedenthal fotografuje Łódź". 14 marca 2025 r.

Zdarzają się łzy?

Tak. Tyle że ja wzruszam się banalnymi sprawami, nie tylko upadkiem muru w Berlinie czy pielgrzymką papieża do Polski.

Fotografowałem kiedyś roczną dziewczynkę, którą papież w 1979 r. podniósł na rękach na Jasnej Górze. Ona zaczęła płakać, bo maluchy nie lubią być podnoszone i ściskane przez obcych. Po latach, kiedy papież miał po raz kolejny przyjechać do Polski, Agencja Forum poprosiła mnie, żeby przygotować wybór zdjęć z jego poprzednich pielgrzymek, akurat to zdjęcie znalazło się potem w „Vivie" na całej stronę. Rodzice napisali wówczas do redakcji, prosząc ją o kontakt do mnie – chcieli odbitkę zdjęcia na pamiątkę. Pojechałem więc do Wrocławia zrobić reportaż o tej dziewczynie, była już dorosła, studiowała weterynarię. Przyznam, że było to jedno z bardziej wzruszających przeżyć w moim zawodowym życiu.

Potem jeszcze raz fotografowałem tę dziewczynę, gdy papież przyjechał do Polski po raz ostatni. Wziąłem ją na mszę na krakowskich Błoniach. Założyła na głowę tę samą chustkę, co kiedyś na Jasnej Górze, wiele lat wcześniej.

Takich historii było więcej.

Jest takie zdjęcie zrobione w czasie strajku studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Rok 1981. Chłopak stoi przy wieszakach w szatni, ale na hakach zamiast płaszczy wiszą kiełbasy. Dziwnie, prawda? Kiedy go fotografowałem, myślałem, że pilnuje równego podziału kiełbas. Lata później na którejś wystawie pojawił się starszy pan, który okazał się tamtym studentem. Wytłumaczył mi, że wcale nie pilnował mięsa, tylko zgłodniał i przyszedł sobie odkroić kawałek kiełbasy do zjedzenia, to był prowiant dla strajkujących.

Zatem zdjęcia mogą mieć jednak wpływ na czyjeś życie, zmieniają świat w skali mikro.

Wiesz, ludzie nazywają mnie gawędziarzem, co mnie zawsze dziwi, bo nigdy nie lubiłem dużo gadać, jestem raczej cichy. Ale jak pokazuję zdjęcia i zaczynam o nich mówić, to okazuje się, że opowiadam jednak jakąś historię. Historię świadka, który był w miejscu zdarzeń.

Nie chcę umniejszać pracy dziennikarzy, bo też muszą być w centrum akcji, ale reporter może napisać tekst zza biurka na podstawie depeszy i własnych przemyśleń, a fotoreporterzy i ekipy telewizyjne muszą być zawsze na miejscu, czasami w samym środku tragicznych wydarzeń, tam gdzie jest najgoręcej. Inaczej nie zrobią materiału.

Opowiadasz w domu, co fotografowałeś?

Na początku nie potrafiłem. Wracałem do domu i niczego nie mogłem opowiedzieć. Czasami dlatego, że było tak ciekawie, że po prostu brakowało mi słów. Czy to był plac Tiananmen w Chinach w 1989 r., czy mur padający w Berlinie, czy rakieta startująca na Bajkonurze – jak o tym opowiedzieć? I po co, skoro mam zdjęcia?

Czasami sam nie potrafię od razu wrócić do świeżo zrobionych zdjęć. Pracowałem kiedyś nad wystawą o dzieciach niepełnosprawnych intelektualnie „TABU – portrety nie portretowanych". Mam w rodzinie takiego chłopca, więc byłem przyzwyczajony do obcowania z dzieckiem, które nie widzi, nie słyszy, nie mówi, nie chodzi... Jednak po sesjach dawałem filmy do wywołania i nie mogłem przez jakiś czas wrócić do zdjęć.

Podchodzisz bardzo blisko fotografowanych.

Używam aparatu z szerokim obiektywem, więc siłą rzeczy muszę podchodzić blisko i, owszem, czasami muszę się przełamać. Ale fakt, że nie zawsze pokazuję emocje, nie znaczy, że ich nie mam. Tylko na zewnątrz bywam czasami trochę „pokerowy". W tym zawodzie dobrze jest być po prostu chłodnym Anglikiem.

©Ⓟ Rozmawiał JACEK TARAN

JACEK TARAN

CHRIS NIEDENTHAL, ur. 1950 w Londynie w rodzinie polskich emigrantów. Od 1973 r. mieszka w Polsce. Dokumentował kluczowe momenty PRL, m.in. narodziny Solidarności, strajk w Stoczni Gdańskiej, stan wojenny i wizyty Jana Pawła II. Pracował dla „Newsweeka", „Time'a", „Der Spiegel". W 1986 r. otrzymał nagrodę World Press Photo za portret Jánosa Kádára.

TOMASZ

Stawiszyński: *Pytania bez odpowiedzi*

Do jakiego stopnia (nie)stabilna jest równowaga naszego świata? Czy przywódcy największych potęg militarnych działają racjonalnie? I co to właściwie w tym przypadku znaczy „działanie racjonalne"? Czy jest to działanie raczej w stylu Václava Havla i jego „Siły bezsilnych", czy też Johna Mearsheimera i jego „Jak myślą państwa? Racjonalność w polityce zagranicznej"? Abstrahując zaś od definicji racjonalności: ile w ich działaniach jest rozumu, ile cynizmu, ile naiwności, ile ślepoty, a ile szaleństwa? Tego „szaleństwa władzy", o którym przed laty pisała wspaniała Barbara Tuchman w książce pod takim właśnie tytułem. Pokazywała tam na wybranych przykładach – od starożytności po Wietnam – że nawet ludzie obdarzeni największą sprawczością potrafią niekiedy zachowywać się wbrew własnym interesom. Co się fatalnie kończy dla wszystkich, którzy im w jakikolwiek sposób podlegają.

A skoro tak, to na ile systemy, których tacy władcy zawsze są częścią – bo przecież każdy dyktator jest trybem w jakimś systemie, który utrzymuje go na wierzchołku (do czasu, oczywiście) – opierają się na instynkcie samozachowawczym? A na ile – i czy w ogóle – działają pod przemożnym urokiem rozmaitych apokaliptycznych ideologii? Tych uwodzicielskich opowieści, w których śmierć okazuje się środkiem do jakiegoś innego celu, bramą do lepszego świata, ekstazą, w której warto się zatracić, o ile pociągnie się w nią również swoich wrogów?

Czy zatem kolporterzy tych opowieści naprawdę w nie wierzą, czy też są one co najwyżej poręcznym instrumentem wywierania wpływu na masy, stosowanym przez garstkę świadomych manipulatorów? Sposobem radykalizowania, omamiania naiwnych, rekrutowania i podporządkowywania sobie zwolenników, nie zaś źródłem przekonań o świecie? Czy – mówiąc innymi słowy – widmo globalnej jądrowej zagłady jest dziś bardziej realne niż kilkadziesiąt lat temu? Czy też może w naszej sytuacji nie zmieniło się nic poza retoryką, zintensyfikowaną jedynie, podkręconą do niebotycznych poziomów z powodu rozwoju mediów społecznościowych oraz innych parametrów sprzyjających powszechnemu rozemocjonowaniu i paranoi?

I jeszcze: co jest prawdą, a co fałszem w tych analizach, odezwach, wezwaniach, potępieniach, oburzeniach, ostrzeżeniach i filipikach osaczających nas z każdej strony, wylewających się *non stop* z komputerowych i smartfonowych ekranów? Co jest faktem, a co sprawnie skrojoną propagandą, ustawioną pod współczesnego obywatela, wiecznie wzmożonego, wiecznie egzaltowanego, wiecznie poszukującego pewności, słuszności i moralnego uniesienia? Co jest standardową metodą mobilizacji elektoratów przepuszczoną przez algorytmiczne młyny, co natomiast potrzebnym alarmizmem, adekwatną reakcją na rzeczywiste zagrożenia czy nadużycia?

Takich pytań oczywiście można by sformułować jeszcze więcej, znacznie trudniej jednak z odpowiedziami. W miarę bowiem, jak rośnie nasze poczucie niepewności, a lęk staje się bardziej i bardziej dojmujący, rozszczepiają się rzeczywistości, w których żyjemy, powstają kolejne równoległe wszechświaty, domknięte całości, osobne uniwersa, gdzie na te pytania udziela się w każdym przypadku zupełnie innych odpowiedzi. W efekcie pozostaje fatalna alternatywa: albo kurczowo, dogmatycznie trzymać się swojego „świata", albo pogrążać w coraz większym zagubieniu i pomieszaniu. Ale nawet co do oceny tego stanu rzeczy nie ma dzisiaj zgody.

Jedni przekonują, że to dobrze, a nawet doskonale. Dzięki rozpadowi tego, co jeszcze do niedawna (ale niekoniecznie zasadnie) nazywano „głównym nurtem" – politycznym, medialnym, ekonomicznym, kulturowym, społecznym, światopoglądowym itd. – zdemokratyzowało się pole informacyjne. Pojawiły się niezależne ośrodki analityczno-publicystyczne, narracje wolne od wpływów wielkich sił politycznych i biznesowych. Ludzie dostali dostęp do odmiennych perspektyw, to fantastycznie, nieprawdaż?

Drudzy, usłyszawszy coś takiego, przytomnie zwrócą jednak uwagę, że załamanie się „głównego nurtu", a zwłaszcza tradycyjnych mediów – z redakcjami, reporterami i dziennikarzami śledczymi pracującymi po kilka miesięcy nad materiałem i mogącymi liczyć na ochronę prawną – sprawiło, że zapanowała kompletna poznawcza anarchia. W efekcie propaganda zlewa się z bezstronnym opisem, treści sponsorowane z niezależnymi, kłamstwa i teorie spiskowe z prawdą, a polityka z psychologią tłumu. Słowem, galimatias.

Rzecz w tym, że w owym galimatiasie, do którego, mówiąc szczerze, zdążyliśmy się już chyba nawet przyzwyczaić, od pewnego czasu robi się coraz niebezpieczniej. Zbiera się na burzę, tu i ówdzie już grzmi, leje i błyska. Wojska przekraczają granice, rakiety spadają na obiekty wojskowe i domy mieszkalne, giną i głodują ludzie, a w powietrzu, oprócz pocisków, fruwają wizje globalnej wojny. Jest to doprawdy niesłychane – jaką mrzonką były wszystkie te hurraoptymistyczne opowieści, którymi jeszcze do niedawna żyliśmy, a w których przyszłość jawiła się w jasnych barwach, nawet jeśli teraźniejszość bywała trudna do wytrzymania.

Dzisiaj zamiast hurraoptymizmów mamy tylko te natrętne pytania, które wciąż na nowo sobie zadajemy, ale na które – jak na razie przynajmniej – nie znamy żadnych wiarygodnych odpowiedzi. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, DO CIEBIE.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.
W prezencie **UNIKALNA TORBA „TYGODNIKA”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu,
ZAWSZE W ŚRODĘ – w dzień premiery. Dodatkowo **ROCZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika” za **1 ZŁ**. W prezencie książka z autografem **STANISŁAWA MANCEWICZA „KRONIKI DOBREJ ZMIANY”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości.
Wybierz, jak Ci wygodniej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: MAREK BEDNARZ

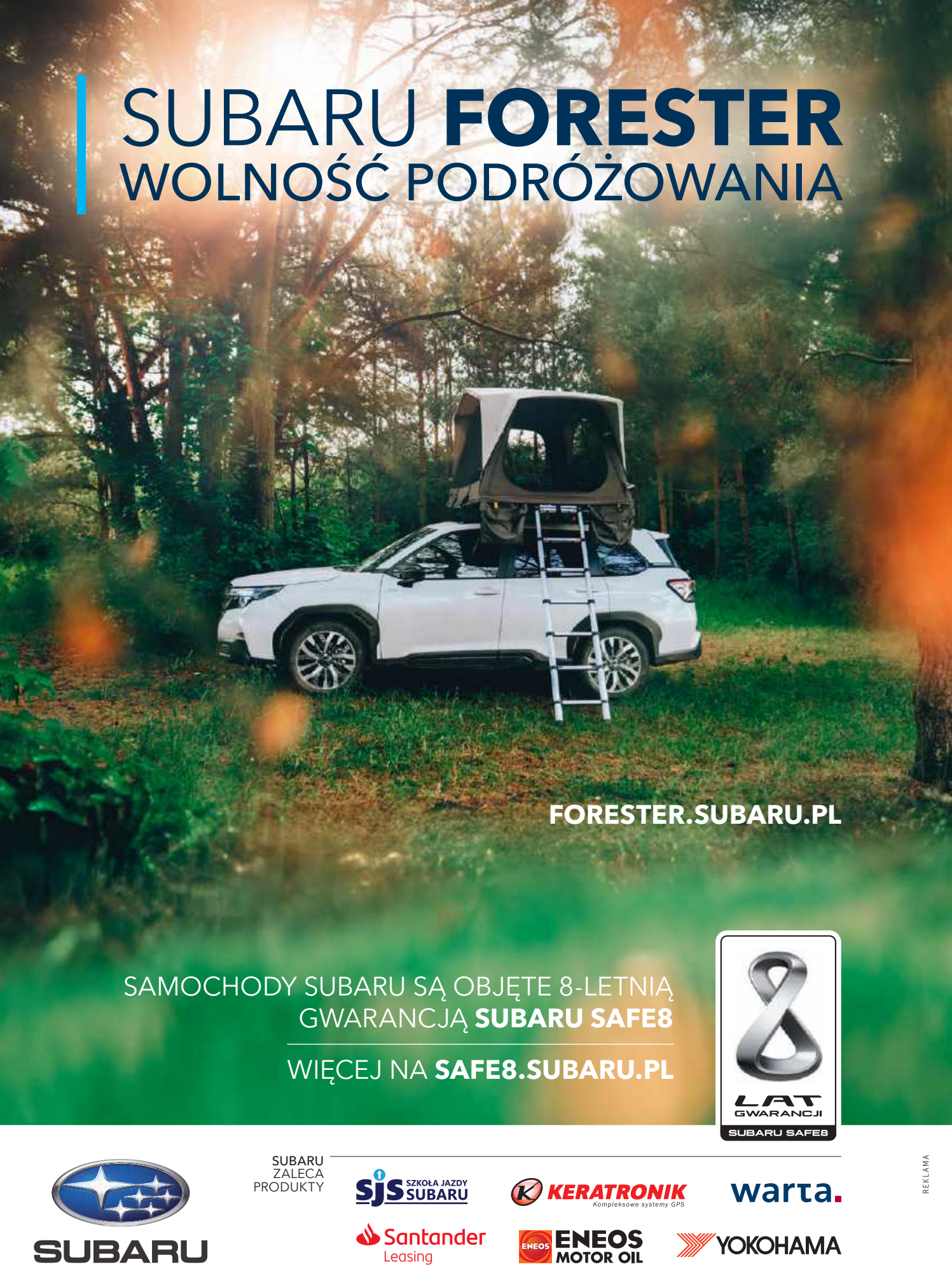
SUBARU FORESTER
WOLNOŚĆ PODRÓŻOWANIA
FORESTER.SUBARU.PL
SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ SUBARU SAFE8
WIĘCEJ NA SAFE8.SUBARU.PL
LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8
SUBARU
SUBARU ZALECA PRODUKTY
SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
YOKOHAMA
REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 26/2025

TYGODNIK MŁODYCH

SPEAK UP • THROUGH ART / O

OSHEE VITAMIN WATER D+K:
MŁODZI ARTYŚCI, ZDROWIE PSYCHICZNE I INSPIRUJĄCE HISTORIE
– ODKRYJ SZTUKĘ, KTÓRA WSPIERA DOBROSTAN DZIECI I MŁODZIEŻY

5% ZE SPRZEDAŻY TEGO PRODUKTU PRZEKAZUJEMY NA PROGRAM POMOCY PSYCHOLOGICZNEJ ORAZ PSYCHIATRYCZNEJ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Zaobserwuj akcję, aby dowiedzieć się więcej

REKLAMA

CZEŚĆ!

Z młodymi ludźmi, których spotkają Państwo na następnych stronach, spędziliśmy razem w redakcji „Tygodnika Powszechnego” kilkanaście godzin. Rozmawialiśmy o tym, jak powstaje gazeta, jak się ją układa, kto dobiera treści. Zobaczyliśmy, na którym etapie nanosi się na teksty korektę, kto wybiera zdjęcia, jak wygląda wysyłka kolumn do druku. W czasie spotkań rozmawialiśmy nie tylko o technikach pracy dziennikarskiej, ale przede wszystkim o odpowiedzialności, jaką niosą ze sobą drukowane słowo i obraz.

Czego sama się nauczyłam? Warsztaty dziennikarskie z udziałem krakowskich licealistów pokazały jednoznacznie: mamy do czynienia z ludźmi niezwykle uważnymi i krytycznymi, samodzielnie myślącymi i gotowymi do zadawania trudnych pytań.

To, co szczególnie nas w redakcji ujęło, to autentyczna ciekawość świata, otwartość młodzieży na różne punkty widzenia i gotowość do analizowania rzeczywistości z różnych perspektyw. Młodzi uczestnicy warsztatów nie zadowalali się prostymi odpowiedziami – drążyli temat, dyskutowali z dziennikarkami i dziennikarzami. W ich wypowiedziach słychać było nie tylko potrzebę zrozumienia mechanizmów rządzących mediami, ale też świadomość wpływu, jaki media – w tym społecznościowe – wywierają na postrzeganie świata.

Zaskoczyła nas także ich krytyczna postawa wobec social mediów. Świetnie rozumieją, że wśród atrakcyjnych obrazków i chwytliwych haseł kryją się często manipulacje, skróty myślowe, czasem kłamstwa. Wiedzą, jak ważne jest sprawdzanie źródeł, selekcja treści i odpowiedzialność za to, co się udostępnia.

Podczas tych spotkań nie zabrakło również rozmów o dobrostanie psychicznym – uczestnicy otwarcie mówili o presji sukcesu, nadmiarze bodźców i potrzebie dbania o swoje emocje. Ślad po tych dyskusjach znajdą Państwo na kolejnych stronach.

Te warsztaty były nie tylko inspirującymi spotkaniami z młodymi ludźmi – to także ogromna dawka nadziei. Jeśli to właśnie oni mają tworzyć przyszłość mediów, możemy być spokojni: będzie w nich miejsce na rzetelność, empatię i odwagę myślenia. Zresztą, sprawdźcie sami.

Oto „Tygodnik” wymyślony i napisany właśnie przez nich, „Tygodnik Młodych”.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH

SPIS TREŚCI

4-8 STYL

10-11 FOTOGRAFIA

12-15 SZKOŁA

16-19 PSYCHE

20-27 BOOKMEDIA

28-30 NAUKA

32-34 TEATR

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 26/2025
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD: Zuzanna Kardyś
GRAFIKA NA OKŁADCE: Blanka Biernat
OPIEKA ARTYSTYCZNA: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz | OPIEKA WYDAWNICZA: Marek Bednarz, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska

PARTNER GŁÓWNY DODATKU: OSHEE SPEAK UP

PARTNER WSPIERAJĄCY: ERGO HESTIA

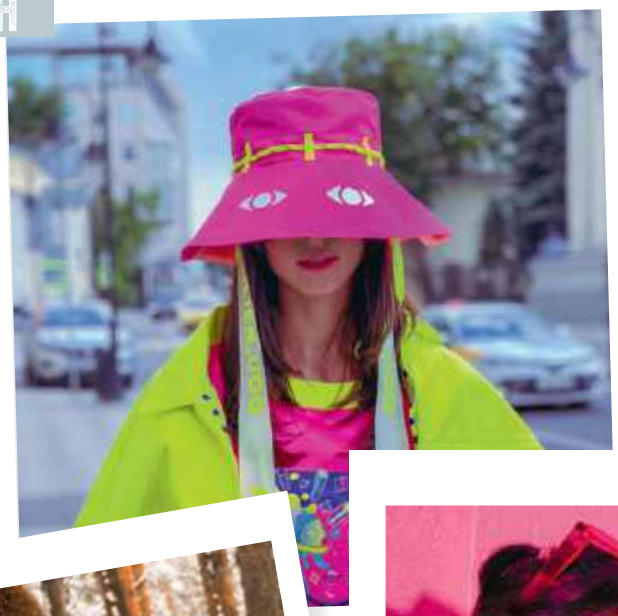

OD LEWEJ: ISI PARENTE / DENY HILL / TANYA LAYKO / TYT HOLODNO / KATSIARYNA ENDRUSZKIEWICZ // UNSPLASH // MONTAŻ: ZK

KUBA

Absolutnie nie mam pojęcia, co jest teraz modne. Nie czuję presji, by być na czasie, to nawet troszeczkę po mnie widać. Niespecjalnie wiem, co dzieje się w wielu aspektach mody, i nie czuję, żebym musiał to wiedzieć. Nie sądzę, że kupiłem coś tylko dlatego, że było modne. W ogóle jestem osobą, która mało kupuje.

MARYSIA

Co jest teraz modne? Spodnie baggy, wielkie dresy i adidasy, już nie nike. No i takie brzydkie kolczyki w kształcie metalowej łezki. Nie czuję, że potrzebuję być na czasie w kwestii ubioru, ale pod innymi względami trochę tak. Gdy jako jedyna nie wiem, o co chodzi w rozmowie, czuję się inna. Czasami postrzegam to jako atut, a czasami wadę, bo niektórzy oceniają po ubraniu. Ubieram się bardziej rockowo i hipisowsko, więc wychodzą z tego dziwne połączenia. Lubię rzeczy oryginalne. Te, które są modne, są z poliestru, a ja nie lubię poliestru. Kiedyś były modne buty na megagrubej, wysokiej podeszwie i nigdy mi się nie podobały, ale poszłam do sklepu i stwierdziłam „dobra, kupuję takie, jak wszyscy". Dobrze, że mama mnie powstrzymała.

MARIA

Myślę, że mam swój indywidualny styl, ale nie pokazuję tego. Raz na ruski rok się odwalę. Wiem, co jest na wybiegach, ale nie to, co się ludziom podoba. Jak byłam młodsza, kupiłam piżamę jednorożca, bo każdy w klasie taką miał. Wiecie, jaka byłam zazdrosna? Teraz to ja decyduję o trendach, a nie trendy o mnie. Uważam, że jestem piękna i nie ma znaczenia, co ubiorę.

NIE TYLKO DUBAJSKA CZEKOLADA, CZYLI TRENDY NA STERYDACH

Pamiętacie „Barbie" z Ryanem Goslingiem i Margot Robbie? Minęły dwa lata, odkąd akcja promocyjna filmu zawładnęła rynkiem i wprowadziła do sklepów modę na róż oraz brokat inspirowane słynną lalką. Od tamtej pory TikTok zdążył wypromować już cztery nowe estetyki, sześć razy zmienić zdanie na temat idealnych butów oraz nadać nazwę *coquettecore* dziewczęcemu stylowi ubioru z naciskiem na kokardki i baleriny. Kompletnie nie przejmując się tym, że to prawie to samo co *balletcore* promowane rok wcześniej.

Barbiecore to popularny mikrotrend w modzie i designie. Odważny i wyrazisty styl, charakteryzujący się jaskrawymi kolorami, połyskującymi materiałami i detalami. W modzie to krótkie spódniczki, obcisłe sukienki i wysokie obcasy, często z dodatkami w postaci brokatu i cekinów. W designie to taka aranżacja wnętrz, w której dominują jasne kolory i pastelowe odcienie różu.

Misie i aniołki

Mniej więcej od pandemii zauważyć można pewien powracający schemat. W krótkim czasie platformy społecznościowe są zalewane treściami o rewolucyjnym stylu, makijażu, dodatku. Algorytmy bazujące na szybkiej konsumpcji informacji i ciągłym stymulowaniu użytkowników nadają tempa aspirującemu mikrotrendowi, promując treści z nim związane. A jednocześnie tworząc przy tym iluzję globalnej sensacji, którą wszyscy się interesują.

Na materiały jednych influencerów inni odpowiadają testami nowej techniki makijażu lub propozycjami stylizacji. Nie trzeba długo czekać na reakcję konsumentów. Wkrótce wielu daje się porwać, wyposażając swoje szafy i kosmetyczki w „nowości".

To zastanawiające, bo mikrotrendy zwykle nie są czymś odkrywczym. Opierają się na podobnych zasadach. Weźmy na przykład Sonny Angels i misie Labubu. Oba produkty są ↦

JAKUB

Nie noszę z pewnością tego, co jest modne. Żyję w średniowieczu lub w XIX wieku. Czy kupiłem coś, bo było modne? Nie, nigdy. No chyba że kostkę Rubika i *fidget spinner*.

KAROLINA

Chciałabym powiedzieć, że mój styl jest jedyny w swoim rodzaju, ale to nieprawda. Pewnie nie zdaję sobie sprawy, ile z rzeczy, które mi się podobają, faktycznie mi się podoba. Nie ma co ukrywać: moda jest kreowana przez trendy. Wystarczy popatrzeć na ulicę. Typowy nastolatek zimą? Czarna puchowa kurtka North Face, czarny prosty plecak Adidasa, białe buty AirForce i luźne jeansy. Kiedyś sama kupiłam panterkową spódnicę, bo słyszałam, że niedługo będzie modna. I faktycznie była, co zauważyłam, gdy na wakacyjnej konferencji przynajmniej trzy dziewczyny z mojego otoczenia tego samego dnia założyły panterkową spódnicę. Wydaję mi się, że dzięki świadomości tego, jak działają mikrotrendy, jestem prawie na nie odporna.

STANISŁAW

Uważam, że mam indywidualny styl. Wiadomo, że inspiruję się rzeczami, które są trendy, ale nie idę w to tak bardzo. Traktuję TikToka jako inspirację, nie nakaz. Z popularnych rzeczy kupuję tylko to, co mi się podoba. Jestem w miarę zorientowany w tym, co jest teraz modne. Nie czuję zewnętrznej presji, żeby być na czasie. Chcę być na czasie dla siebie. Mieć trochę indywidualny styl, ale też mieć to, co mają inni. Oczywiście zdarzyło mi się kupić coś tylko dlatego, że było modne: Stanley Cup albo panterkowe etui na AirPodsy.

uroczymi figurkami lub pluszakami, które można doczepić do przedmiotów codziennego użytku (pierwsze do telefonu, a drugie do torebki). Są także towarem ekskluzywnym, który trzeba sprowadzać z zagranicy, za spore pieniądze. Labubu zawładnęły TikTokiem niedługo po odejściu Sonny Angels, pomimo że cała koncepcja niewiele się różni. Skąd więc ich fenomen?

Jako młodzi ludzie szukamy akceptacji, poczucia przynależności, a mikrotrendy karmią się naszą niepewnością i zagubieniem. Wrażenie, że wszyscy się nimi interesują, doprowadza do sytuacji, w której,w obawie przed byciem pominiętymi, podążamy za modą, szukając akceptacji i poklasku. Łatwiej otrzymuje się komplementy, wpasowując się w obowiązujący nurt, kiedy wszyscy ulegamy złudzeniu, że właśnie to jest teraz „on top". Szczególnie żenoszenie modnych ubrań jest sygnałem dla otoczenia, że zna się aktualne trendy. Zwiększa to status społeczny i pewność siebie, upragnione przez wszystkich bez wyjątku.

Klamry i kowbojki

Jesteśmy bombardowani dopaminą z ekranów. Potrzebujemy odkryć, przełomów. Mikrotrendy zapewniają nam ekscytację, stają się małymi obsesjami. Wywołują poczucie nowości oraz radości ze zmian, które są proste i niewymagające. W końcu to żaden wysiłek kupić klamrę do włosów w kształcie kwiatka lub zacząć malować się inaczej. W połączeniu z potrzebą przynależności oraz poczuciem pilności, by odpowiedzieć na trend, to mieszanka, której mało kto się opiera.

Mikrotrendy komercjalizują subkultury. Co ciekawe, nie zawsze mają odzwierciedlenie w rzeczywistości. Dla przykładu: klamry w kształcie kwiatków można było zobaczyć zarówno na półkach w sklepach, jak i w użyciu, a buty kowbojki (modne zeszłej wiosny) raczej nie były spotykane na ulicach, pomimo forsowania tego trendu w social mediach.

A to wszystko dlatego, że mikrotrendy wcale nie są czymś, czym ludzie realnie się interesują. Tylko sztucznie kreowanym przez

> Czym są mikrotrendy? To trwająca zwykle od trzech do pięciu miesięcy moda albo fascynacja, która pojawia się znikąd i bardzo szybko zyskuje na popularności. Następnie, z podobną prędkością, zostaje całkowicie zapomniana. Nie martwcie się, na horyzoncie widać już jej następczynię.

> Mikrotrendy to nie tylko ubrania. Na pewno większość z was słyszała o słynnej dubajskiej czekoladzie i słowiańskiej diecie amerykanek – to również są mikrotrendy. Tak jak gry pobierane na telefon (Suika Game, Block Blast) czy akcesoria (Stanley Cup, własnoręcznie robione naczynia z gliny). Czasem nawet piosenki albo całe albumy inicjują mikrotrendy. Był nim np. „Brat", który rozpoczął się od piosenkarki Charli XCX. Zdarza się, że trendami są całe style, w nazwie zakończone na „-core", w skład których wchodzą makijaż i dodatki.

MINH DANG / UNSPLASH

CO BYŁO MODNE?

MIKROTRENDY OSTATNIEGO ROKU

▪ MAJ – CZERWIEC 2024

BRAT AESTHETIC

Zainspirowany albumem „Brat" Charli XCX trend promował buntowniczy, chaotyczny styl z limonkowymi akcentami, cienkimi topami i nonszalanckim podejściem. Makijaż: mocny eyeliner i rozmazana szminka.

MOB WIFE GLAM

Renesans przepychu – panterki, sztuczne futra i dopasowane sukienki. Makijaż dramatyczny: wyraźna kreska i czerwone usta.

▪ CZERWIEC – SIERPIEŃ 2024

Y2K REVIVAL

Powrót stylu wczesnych lat 2000 — biodrówki, małe torebki (bagietki) i metaliczne tkaniny.

GLAMOUR

Panterka wszędzie.

▪ SIERPIEŃ – LISTOPAD 2024

COQUETTE AESTHETIC

Róż, błyszczyk, delikatny makijaż oczu, kokardki, koronki i tiule.

TENNISCORE & BALLETCORE

Plisowane spódniczki, polo, bolerka i ocieplacze.

producentów szałem. Najznamienitszym przykładem jest promocja Stanley Cupów. Zaczęło się od tego, że popularnej tiktokerce spłonęło auto, w którym całkowicie „przypadkiem" znalazł się ten „przypadkowy" kubek, a w nim – cudem przetrwały lód. A ona, zamiast myśleć o ubezpieczeniu, postanowiła nagrać wypadek, promując ognioodporny kubek. Tak oto firmy płacą za kampanie reklamowe, które udają, że wcale nimi nie są.

To wróci

Czy zastanawiacie się czasem nad ceną podążania za aktualną modą? Czy kosztem ulegania mikrotrendom jest utrata indywidualności? Czy to, co kupujemy, naprawdę nam się podoba? Czy ubranie, wzorek i kolorek pasują do naszej urody?

Kupujemy rzeczy zgodne z najnowszymi trendami, bez refleksji nad tym, ile razy tego użyjemy. Często są to „jednorazówki". Używane tylko w jednym sezonie, a po prawdzie – czasami na jedną imprezę. Ba – na jedno wyjście na kawę w galerii. Po kilkunastu tygodniach popularności takie rzeczy (np. spódniczki w panterkę) są już paskudnie *passé*.

Na koniec pocieszenie: trendy wracają. Nie załamujmy rąk i nie wyrzucajmy ubrań w panterkę, kowbojek oraz cienkich rajstop w kolorze. Za jakiś czas znów będą modne, a my gotowi, by odgrzebać je z dna szafy.

© BOGNA BUDZYŃSKA, EMILIA JARCZEWSKA

Jestem **BOGNA**, za rok będę pisać maturę międzynarodową. Choć rozszerzona fizyka i matematyka sugerują inaczej, ciągnie mnie w stronę nauk humanistycznych. Uwielbiam patrzeć na otaczający mnie świat, a szczególnie ludzi. Analizować: co robimy? Dlaczego i dokąd zmierzamy? Co nas motywuje? Smuci? Pociesza? Przez to też angażuję się w wolontariat i interesuję się umiejętnościami interpersonalnymi. To nie jest jednak jedyny skutek zamiłowania do obserwowania. Od dłuższego czasu realizuję się jako fotografka na wielu wydarzeniach. A po godzinach gram w siatkówkę, organizuję przeróżne wydarzenia, czytam, tańczę i próbuję wymyślić, na jakie studia chcę ostatecznie iść.

FOT. MAREK BEDNARZ X2

Mam na imię **EMILIA**, ale preferuję zdrobnienie Emilka. Uwielbiam czytać książki i jak tylko mam chwilę, sięgam po którąś ze stosu ,,do przeczytania". Uwielbiam tworzyć: rysować, malować, szkicować. Tańczę od 10 lat i naprawdę kocham to robić. Mam dwa psy i od niedawna kotkę. Zabawa z nimi, spacery i wspólne spędzanie czasu można nazwać moją pasją.

SONNY ANGELS

breloczki do telefonu.

- **PAŹDZIERNIK 2024 – KWIECIEŃ 2025**

OFFICE SIREN

Zmysłowe biurowe stylizacje – golfy, skórzane spódnice, wąskie okulary inspirowane Miu Miu. Makijaż: cienkie brwi i mocno obrysowane usta.

- **GRUDZIEŃ 2024 – STYCZEŃ 2025**

CHERRY GIRL AESTHETIC

Czerwone i wiśniowe tony w makijażu i stylizacjach.

- **LUTY 2025 – KWIECIEŃ 2025**

STYL COUNTRYCORE

Moda inspirowana życiem na wsi — jeansowe kombinezony, kowbojki, kraciaste koszule i kapelusze.

RAJSTOPY W KOLORZE

Cieniutkie rajstopy w różnych kolorach, takich jak czerwień, biel czy granat.

- **LUTY – KWIECIEŃ 2025**

QUIET LUXURY

Wysokiej jakości tkaniny, neutralne kolory, brak logotypów, elegancka prostota.

- **KWIECIEŃ – MAJ 2025**

DODATKI Z LABUBU

Maskotka Labubu jako uroczy gadżet do torebki – nowa fala trendu na breloki i figurki.

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!

SZÓSTY ZMYSŁ

Świat doświadczany wszystkimi zmysłami. Opowieści o miejscach, ludziach i fenomenach wymykających się codzienności.

Prowadzi **MICHAŁ OKOŃSKI**

WEEKEND Z SENSEM

Eseje, reportaże i analizy, które uczynią Twoje wolne dni spokojniejszymi, ciekawszymi i pełnymi dobrych myśli.

Prowadzi **PIOTR MUCHARSKI**

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC & MAREK RABIJ**

FILMY & SERIALE

Przewodnik po ekranowych premierach i klasykach: recenzje, rekomendacje i analizy trendów w kinie i na platformach streamingowych.

Prowadzi **ANITA PIOTROWSKA**

dowiedz się więcej! TygodnikPowszechny.pl/newsletter

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH X6 // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CO ROBIĄ ZDJĘCIA: ZBIERAJĄ CZY ZABIERAJĄ NAM ŚWIAT

Według danych serwisu photutorial.com w każdej sekundzie robimy 61 400 zdjęć. Żadnej innej formy dokumentacji rzeczywistości nie da się generować tak prosto i szybko, jak fotografii. Pytanie brzmi, czy przy jej masowości, łatwej dostępności i nieskomplikowanym procesie tworzenia nadal można fotografię określić sztuką? I jak wśród miliardów zdjęć znaleźć to, które jest wyjątkowe?

Od wynalezienia pierwszych metod fotografii przez Williama Foxa Talbota (twórcę kalotypii) oraz francuskiego fizyka Josepha Nicéphore'a Niépce'a i malarza Louisa Jacquesa Daguerre'a rozpoczęła się trwająca do dziś era dokumentacji, czy – zapożyczając określenie Susan Sontag, amerykańskiej pisarki i eseistki – era „zbierania świata".

W zbiorze esejów „O fotografii" Sontag proponuje takie spojrzenie na fotografię, które wnika w sens robienia zdjęć i obnaża prawdy na jej temat. Wydana pod koniec lat 70. książka spotkała się z negatywnym odbiorem ze strony środowiska fotografów, co autorka przyjęła jako potwierdzenie swoich tez. Jej eseje, ze wszystkimi swoimi kontrowersjami, pozostają moim zdaniem nadal aktualne. Być może są nawet coraz bardziej aktualne w świecie, który częściej i chętniej przedstawia siebie w obrazach.

Schowani za aparatem

Sontag w ciekawy sposób odkrywa na przykład sens fotografii turystycznej. Dziś zapewne trudno nam sobie wyobrazić pobyt w Koloseum czy przy wieży Eiffla bez zrobienia sobie przy tej okazji zdjęcia, którym podzielimy się z bliskimi lub społecznością mediów. Sontag wskazuje istotny mankament takiego podróżowania – zamiast przeżywać otaczającą rzeczywistość, skupiamy się na jak najlepszym jej ujęciu na ekranie.

Co więcej, autorka określa takie zachowanie jako ucieczkę od świata, w którym jesteśmy otoczeni obcą kulturą, językiem, nasze zmysły odbierają dotąd nieznane bodźce. Robimy zdjęcia albo temu, co jest dla nas bardzo bliskie – naszym krewnym, przyjaciołom, miejscom, z którymi wiąże się wiele wspomnień, albo bardzo dalekie – jak widoki, na które napotykamy podczas podróży.

„Odgrodzenie się aparatem fotograficznym" jest według Sontag sposobem na niepewność, w jakiej stawia nas nowa sytuacja i środowisko. W obecnym świecie, gdzie wiele doświadczeń – głównie za sprawą internetu – przeżywamy submersyjnie, a nie immersyjnie, taka strategia na zetknięcie z innością może być naturalna.

Submersja jest charakterystyczna nie tylko dla naszej obecności w otaczającym świecie. Cechuje także sposób, w jaki patrzymy na same fotografie. Media społecznościowe codziennie zalewają nas ogromną ilością informacji. Łatwość, z jaką możemy przeskoczyć od jednego wątku do drugiego, sprawia, że uwagę przykuwają tylko niektóre obrazy, te najbardziej wyraziste, dynamiczne i często dramatyczne.

Iluzja rzeczywistości

Fotografia wojenna przyniosła pozytywne skutki – przyczyniła się na przykład do zakończenia wojny w Wietnamie, gdy za sprawą fotoreportaży opinia publiczna zmieniła swoje stanowisko w sprawie działań amerykańskich władz i stała się przeciwna kontynuowaniu konfliktu. Sontag zwraca jednak uwagę na fakt, iż ma ona swoją drugą, ciemniejszą stronę.

> **Fotografię można łatwo sfabrykować, wyjąć z kontekstu, poddać błędnej interpretacji. Zwłaszcza za sprawą sztucznej inteligencji, coraz lepszej w tworzeniu iluzorycznej rzeczywistości.**

Fotografowanie dramatycznego, okrutnego wydarzenia to w jej opinii nieme przyzwolenie na to, aby zło działo się dalej. A jednocześnie wyklucza, by fotografujący jakkolwiek się angażował. I chociaż z pozoru fotograf tylko dokumentuje rzeczywistość, to przez sposób, w jaki to robi, obejmując konkretny kadr, przyjmując określoną perspektywę – nigdy nie będzie obiektywny. Fotografia jest zatem medium, które można łatwo sfabrykować, upozorować, wyjąć z kontekstu, poddać błędnej interpretacji – zwłaszcza w dobie sztucznej inteligencji, coraz lepszej w tworzeniu iluzorycznej rzeczywistości.

Czym jest sztuka

Fotografia już od swoich początków starała się dołączyć w poczet dziedzin sztuki. Nurt zwany piktorializmem, powstały

NICOLAS LADINO SILVA / UNSPLASH

> Robimy zdjęcia temu, co dla nas bardzo bliskie – krewnym, przyjaciołom, miejscom, z którymi wiąże się wiele wspomnień. Albo temu, co bardzo dalekie – jak widoki, na które trafiamy podczas podróży. Ale czy każda chwila jest warta tego, by ją dokumentować, a nie po prostu przeżywać?

w latach 80. XIX wieku, koncentrował się na ujmowaniu rzeczywistości w sposób podobny do tego, w jaki robi to malarstwo. W tym celu manipulowano na przykład ostrością obrazu czy jego ziarnistością. Sprawiało to, że wykonane fotografie do złudzenia przypominały obrazy. Jednym z popularniejszych fotografów, tworzących w tym nurcie, był Alfred Stieglitz. Jednak nawet założone przez niego stowarzyszenie Photo-Secession nie pomogło w wypromowaniu piktorializmu. Choć fotografia przez dekady starała się podążać drogami promowanymi przez kolejne nurty w sztuce, nie znalazła swojego stałego miejsca w ich gronie.

Być może to kwestia prostoty wykonania, która zdegradowałaby sztukę jako coś kojarzącego się nam z elitarnością, z założenia zawierającego głębię, przekaz. Obnażającą jakiś aspekt rzeczywistości w sposób skłaniający do refleksji. Mówi się, że każdy, kto posiada odpowiednio zaawansowany sprzęt, jest w stanie zrobić dobre zdjęcie. Ale jeśli tak, to bylibyśmy w posiadaniu niezliczonych cyfrowych galerii sztuki. Tymczasem tylko nieliczne prace fotografów można uznać za wyjątkowe i budzące takie emocje, jak prawdziwa sztuka.

Często w parze z pięknem fotografii podąża przekaz, który ukierunkowuje naszą uwagę na taki aspekt rzeczywistości, który zawiera ból, cierpienie i rozpacz. Sontag wyraża niechęć do poszukiwania i dokumentowania takich spraw, pisząc o „zmniejszaniu moralnej i sensorycznej wrażliwości", co prowadzi do pozornego oswojenia się z sytuacją. A to, zdaniem autorki, niweluje naszą zdolność do reagowania na krzywdę w codziennym życiu. Warto jednak pamiętać, że choć większość zdjęć przemknie nam przed oczami, to pozostaną takie, które odcisną piętno w naszej pamięci i skłonią do refleksji. A zatem – czy nie jest to aspekt, który charakteryzuje sztukę?

To, w czym odnajdujemy wartość i piękno, jest sprawą indywidualną, podobnie jak indywidualna jest nasza definicja sztuki. Jeśli jednak przyjąć, że fotografia wpisuje się w poczet dziedzin artystycznych, zostawia mnie to z pozytywną wizją rzeczywistości, w której sztuka jest wreszcie dostępna na szeroką skalę i dla niemal wszystkich.

Warto przy robieniu zdjęcia zadać sobie jednak pytanie o jego cel. Dla kogo ono powstaje, co chcemy uwiecznić. I czy naprawdę ta chwila jest warta tego, by ją dokumentować, a nie przeżywać?

© WIKTOR WOLANIN

ARCHIWUM PRYWATNE

Mam na imię **WIKTOR** i jestem absolwentem jednego z krakowskich liceów. Interesuję się szeroko pojętymi dziedzinami humanistyki, a szczególnie literaturą, poezją, eseistyką i fotografią. Lubię także podróżować. Najbardziej w pamięć zapadły mi południowa Francja, gdzie mieszkałem przez jakiś czas, a w Polsce – Mazury. W wolnym czasie szydełkuję i słucham muzyki.

NIE MA GŁUPICH PYTAŃ

Historia uchodzi za przedmiot fundamentalny dla rozumienia współczesności. Jednocześnie bywa uznawana za trudną i nużącą – kojarzy się z nadmiarem dat, nazwisk i wydarzeń oderwanych od realiów życia uczniów. Funkcjonując w świecie dynamicznych bodźców i mediów społecznościowych, często nie znajdujemy w tradycyjnie prowadzonej lekcji historii przestrzeni do zaangażowania i refleksji.

Tymczasem potrzeba głębszego rozumienia przeszłości nie traci na aktualności. Przeciwnie – w świecie uproszczeń i dezinformacji staje się coraz bardziej paląca. By jednak historia mogła pełnić tę funkcję, sposób jej nauczania musi ulec zmianie. Jak można tego dokonać w szkole?

STANISŁAW ANIOŁ: Czego mogą nas nauczyć lekcje historii?

JOHN PATRICK ANTHONY MCCUMISKEY, NAUCZYCIEL: Największą wartością płynącą z nauki historii jest rozwój krytycznego myślenia. Historia to nie tylko opowieść o przeszłości. To narzędzie, które pozwala nam analizować, porównywać i rozumieć złożoność świata. Dzięki niej uczymy się dostrzegać zależności przyczynowo-skutkowe i mechanizmy rządzące społeczeństwami. Lepiej rozumiemy nie tylko to, co było, ale i to, kim jesteśmy dzisiaj – jako jednostki i jako zbiorowość.

Dlaczego powinniśmy się w XXI wieku uczyć historii?

Historia w XXI wieku to nie zestaw dat i biografii wielkich ludzi – to interdyscyplinarna dziedzina, która łączy elementy politologii, socjologii, psychologii i stosunków międzynarodowych. W programie IB uczniowie mają okazję zgłębiać na przykład teorię „Great Man", która bada wpływ jednostek na bieg dziejów. Ale to tylko przykład. Głębszy sens polega na tym, że ucząc się historii, młodzi ludzie uczą się również interpretować wydarzenia, analizować decyzje polityczne i rozumieć społeczne zmiany. To kompetencje kluczowe dla świadomego obywatela XXI wieku.

Jak historia może pomóc zrozumieć współczesny świat?

Historia pozwala zrozumieć procesy, które stoją za dzisiejszymi konfliktami i decyzjami politycznymi. Dzięki niej widzimy, że obecne napięcia nie biorą się znikąd, ale mają głębokie źródła w przeszłości. Przykładowo, rosyjska agresja na Ukrainę staje się zrozumiała dopiero w kontekście rozpadu ZSRR, chaotycznych lat 90. i polityki Putina po Jelcynie. Z kolei interwencja NATO w Kosowie w 1999 r. pomaga wyjaśnić, skąd w Europie Wschodniej bierze się nieufność wobec Zachodu. To pokazuje, że bez znajomości historii trudno trafnie ocenić, co naprawdę dzieje się wokół nas.

Jak historia wpływa na nas jako społeczeństwo?

Każde społeczeństwo nosi w sobie ślady przeszłości – w mentalności, systemach wartości, strukturach społecznych czy relacjach. W Polsce zmiany, jakie zaszły od lat 90., są szczególnie widoczne w dużych miastach, gdzie transformacja ustrojowa wpłynęła na sposób myślenia, otwartość i stosunek do świata. Gdańsk, Wrocław czy Kraków stają się przestrzeniami bardziej progresywnymi i inkluzywnymi, co jest efektem nie tylko współczesnych trendów, ale też świadomego przetwarzania historycznych doświadczeń. Historia nie jest więc zamkniętym rozdziałem – to aktywna siła kształtująca sposób, w jaki budujemy wspólnoty i odpowiadamy na wyzwania teraźniejszości.

Co powinien wynieść uczeń z nauki historii?

Uczeń nie powinien wychodzić z lekcji historii jedynie z głową pełną dat i wydarzeń. Znacznie ważniejsze są kompetencje analityczne: umiejętność formułowania argumentów, dostrzegania różnych perspektyw i tworzenia logicznie uporządkowanych narracji. Historia uczy też pracy ze źródłami – oddzielania faktów od interpretacji i rozpoznawania manipulacji. Taka umiejętność jest dziś bezcenna.

To zdolność interpretowania kontekstu odróżnia nas od sztucznej inteligencji.

> John Patrick Anthony McCumiskey, nauczyciel:
>
> **Zdolność interpretowania kontekstu odróżnia nas od sztucznej inteligencji. Uczniowie, którzy poznają historię w sposób świadomy, są nie tylko lepiej wykształceni, ale też bardziej odporni na dezinformację.**

FOT. MAREK BEDNARZ

Mam na imię **STANISŁAW** i jestem uczniem programu matury międzynarodowej (IB – International Baccalaureate) w VIII PALO w Krakowie. Uczę się historii i geografii na poziomie rozszerzonym, ale najważniejsza jest dla mnie nie sama wiedza, tylko zadawanie pytań. Co kształtuje świat? Skąd biorą się granice, zarówno te fizyczne, jak i mentalne? Chciałbym studiować prawo międzynarodowe na zagranicznym uniwersytecie, bo wierzę, że da się małymi krokami zmienić świat na lepsze. Interesują mnie ludzie i ich emocje. Relacje są dla mnie bardzo ważne, a empatia to według mnie nie mniej istotna forma inteligencji niż ta mierzona testami. Uwielbiam podróże, szczególnie takie, które pozwalają naprawdę się zatrzymać i czegoś o sobie dowiedzieć. Udzielam się w projektach i wymianach międzynarodowych, żeby choć trochę lepiej lepiej zrozumieć świat i moją rolę w nim. Ten tekst jest refleksją o tym, jak uczymy historii. Czasem odnoszę wrażenie, że za bardzo skupiamy się na faktach, a za mało na człowieku. A przecież to o człowieku jest cała ta opowieść.

BRUNO COELHO / ALAMY STOCK PHOTO / EAST NEWS

Lekcja historii w muzeum Topografia Terroru w Berlinie, 2016 r.

Uczniowie, którzy poznają historię w sposób świadomy, stają się nie tylko lepiej wykształceni, ale też bardziej odporni na dezinformację. Bardzo stawia na to program IB, w którym uczeń jest oceniany wyłącznie na podstawie krytycznego myślenia, umiejętności analitycznych, wyszukiwania informacji oraz pracy ze źródłami.

Co sprawia, że uczniowie się angażują w naukę historii?

Kluczem do zaangażowania jest poczucie sensu i wpływu. Programy takie jak IB, mimo że wymagające, oferują przestrzeń na indywidualną eksplorację, np. poprzez projekty badawcze jak *Internal Assessment* (projekt, w którym uczeń bada wybrane przez siebie zagadnienie i pisze na jego temat pracę naukową). Dzięki temu uczniowie nie są tylko odbiorcami wiedzy, ale stają się jej odkrywcami.

Ale zaangażowanie trzeba kształtować znacznie wcześniej – już w szkole podstawowej. Warto rozwijać w dzieciach naturalną ciekawość świata, zachęcać je do stawiania pytań i myślenia przyczynowo-skutkowego. W końcu historia nie daje gotowych odpowiedzi. Uczy zadawać właściwe pytania, a kiedy uczniowie czują, że historia ma związek z ich życiem i pozwala im coś samodzielnie odkrywać, chcą te pytania zadawać i uczą się z pasją.

Co zniechęca uczniów do nauki historii?

Jednym z najczęstszych błędów jest prezentowanie historii jako listy faktów, oderwanej od współczesnych realiów. Jeśli uczeń nie widzi, jak przeszłość wpływa na jego codzienne życie, szybko traci zainteresowanie. Historia powinna być dialogiem – przestrzenią, gdzie każde pytanie ma wartość, nawet jeśli wydaje się „głupie". Nie ma głupich pytań. Brak elastyczności i empatii ze strony nauczyciela sprawia, że uczniowie czują się zniechęceni i wykluczeni z procesu nauczania.

Dobra lekcja historii powinna być nie tylko źródłem wiedzy, ale i przestrzenią do refleksji, rozmowy, myślenia krytycznego. W klasie każdy uczeń musi się czuć dobrze – nie bać się zabrać głosu czy zadawać pytań. Należy wykreować komfortową dla każdego przestrzeń, w której nikt nie będzie się bał nauczyciela ani rówieśników. Nauczyciele często o tym zapominają.

Jak pogodzić wymogi programowe z pasją?

Nie jest to łatwe, ale możliwe. W krajach zachodnich, np. w Wielkiej Brytanii, skąd pochodzę, nacisk kładzie się na rozwijanie zdolności do samodzielnego myślenia i argumentacji. Zamiast wymagać zapamiętywania treści, uczniowie uczą się konstruować eseje i bronić swoich tez. Na takich samych zasadach oparty jest program IB.

Wprowadzenie metod takich jak prace projektowe, mapy myśli czy debaty sprawia, że uczniowie czują się uczestnikami, a nie tylko wykonawcami programu. Niestety, mimo wszystko wymagania edukacyjne są duże, program przeładowany, a uczniowie przeciążeni, dlatego możliwości nauczyciela są ograniczone.

Chciałbym mieć więcej możliwości wyjść do muzeów czy przeprowadzania nietuzinkowych lekcji.

Jak rozmawiać z uczniami o trudnych tematach, np. ludobójstwach?

Rozmowa o traumatycznych wydarzeniach, takich jak ludobójstwo, wymaga ogromnej delikatności, ale i odwagi. Kluczowe jest stworzenie bezpiecznej przestrzeni, w której uczniowie mogą nie tylko słuchać, ale i zadawać pytania, także te niewygodne.

Wspomnienie Rwandy, Kosowa czy głodu w Bengalu ma służyć nie tylko poznaniu faktów, lecz również refleksji nad tym, dlaczego takie wydarzenia miały miejsce i czy można było im zapobiec. ↦

↦ Ważne też, by nie ograniczać się do jednej narracji – otwarta rozmowa o Holokauście w Niemczech czy trudne rozliczenia z kolonializmem w Wielkiej Brytanii pokazują, że świadomość historyczna to nie tylko wiedza, ale i moralna odpowiedzialność.

W naukę trzeba włączyć nie tylko empatię, ale i chęć zrozumienia i poznania drugiej strony. Zrozumienie motywów i celów, jakie kierowały agresywnymi państwami na przestrzeni wieków, jest równie ważne jak empatia dla ofiar.

Jakie są różnice między polskim a zachodnim podejściem do nauki historii?

W systemach edukacyjnych krajów zachodnich, jak Wielka Brytania, dominują metody analityczne – uczniowie są zachęcani do formułowania samodzielnych sądów, argumentowania i logicznego rozumowania. W Polsce podejście do historii bywa bardziej zachowawcze – często unika się tematów trudnych lub kontrowersyjnych, np. politycznych. Tymczasem właśnie otwartość na niejednoznaczność i gotowość do dyskusji pozwala kształtować postawy dialogiczne, demokratyczne i odpowiedzialne. Historia uczona w sposób krytyczny nie dzieli – łączy, bo uczy szacunku do różnych perspektyw.

Jakie cechy powinien mieć dobry nauczyciel historii?

Taki nauczyciel to ktoś, kto nie tylko zna materiał, ale potrafi nim zainspirować. Nie chodzi wyłącznie o przekazywanie wiedzy, ale o budowanie relacji, tworzenie atmosfery zaufania i przestrzeni do wymiany myśli. Taki nauczyciel zadaje pytania, ale też słucha, wspiera proces samodzielnego myślenia i pozwala uczniom na błędy, które są częścią nauki. Historia w jego wykonaniu nie przypomina lekcji z podręcznika – staje się żywym doświadczeniem, które zostaje z uczniami na długo po opuszczeniu szkolnej ławki.

© Rozmawiał STANISŁAW ANIOŁ

JOHN PATRICK ANTHONY MCCUMISKEY
jest nauczycielem historii w VIII PALO w Krakowie.

JEŚLI WYCHODZĘ Z LEKCJI I CZUJĘ, ŻE „PYKŁO", TO DLA MNIE NAJWIĘKSZA SATYSFAKCJA

Część z nas traktuje dziś wiedzę historyczną jako zbędną. Te wszystkie daty i wydarzenia zdają się nam zupełnie niepotrzebne, przedawnione. Ludzie nie widzą wartości płynącej z kontekstu historycznego, który pozwala kontrastywnie i krytycznie patrzeć na teraźniejszość i przyszłość.

Przeprowadziłem wywiad z moim nauczycielem ze względu na to, że jest to osoba z mojego najbliższego otoczenia, która posiada ogrom wiedzy politologicznej i historycznej.

KUBA HADUCH: Czego powinna nas uczyć historia?

PAWEŁ WIERZBICKI: Zrozumienia. Chcę, żebyście po lekcji wiedzieli, o czym rozmawialiśmy, i umieli to odnieść do świata, w którym żyjecie. Nie chodzi o to, żebyście pamiętali każdy szczegół, tylko żebyście mieli narzędzia do myślenia i analizowania rzeczywistości.

I lekcje historii mogą nam dać narzędzia do analizowania XXI wieku?

Zdecydowanie tak. Młody człowiek, który wkracza w dorosłość, powinien rozumieć mechanizmy społeczne, polityczne i kulturowe. Jeśli ktoś nie zna przeszłości, nie zrozumie teraźniejszości, a bez zrozumienia teraźniejszości, nie da się świadomie funkcjonować w świecie. W liceum kształtuje się światopogląd, a nie da się tego zrobić bez wiedzy o historii i społeczeństwie.

Proszę podać przykład.

Podejmowanie decyzji wyborczych. Bez znajomości historii relacji z Rosją czy Niemcami nie jesteśmy w stanie rozsądnie ocenić, którzy politycy mogą zapewnić nam bezpieczeństwo. Nie jestem rusofobem, nie straszę Niemcami, ale trzeba znać proporcje i mieć świadomość kontekstu historycznego. Wiedza historyczna pozwala świadomie uczestniczyć w życiu społecznym i politycznym.

A daty, chronologia?

Daty są tylko narzędziem. Na sprawdzianach wymagam pewnych dat, żebyście poćwiczyli pamięć, ale najważniejsze jest zrozumienie. Historia to procesy. Lepiej zrozumieć genezę wydarzeń i ich konsekwencje, niż znać dziesiątki dat.

Jakie są różnice pomiędzy nauczaniem historii w krajach zachodnich i w Polsce?

Nie mam dużego doświadczenia z nauczaniem za granicą, ale wiem, że istnieje coś takiego jak polityka historyczna. Niektóre kraje, jak Niemcy, marginalizują temat II wojny światowej i Holokaustu. Jeden z moich kolegów, który studiował w Niemczech w ramach Erasmusa, po powrocie musiał uzupełniać wiedzę z XX w., bo tam po prostu tego nie przerabiano. U nas nie pomijamy tematów trudnych: mówimy o wszystkim i o tym, co chwalebne, i o tym, co mniej wygodne.

W jaki sposób należy rozmawiać o tematach trudnych, takich jak ludobójstwo, zbrodnie wojenne?

Trzeba mówić prawdę. *Veritas est adequatio rei et intellectus.* Prawda jest tylko jedna – zgodność myśli z rzeczywistością. Nawet jeśli to boli, trzeba mówić dosadnie. Jeśli temat tego wymaga – jak rzeź wołyńska czy Holokaust – nie można udawać, że to się nie wydarzyło. Trzeba być uczciwym wobec faktów.

Czy zdarzyło się Panu, żeby ktoś miał pretensje do Pańskiego sposobu mówienia o takich tematach?

Tak, był jeden przypadek – uczeń, którego kraj pochodzenia był związany z tematem poruszanym na lekcji, przyszedł do mnie z zastrzeżeniami.

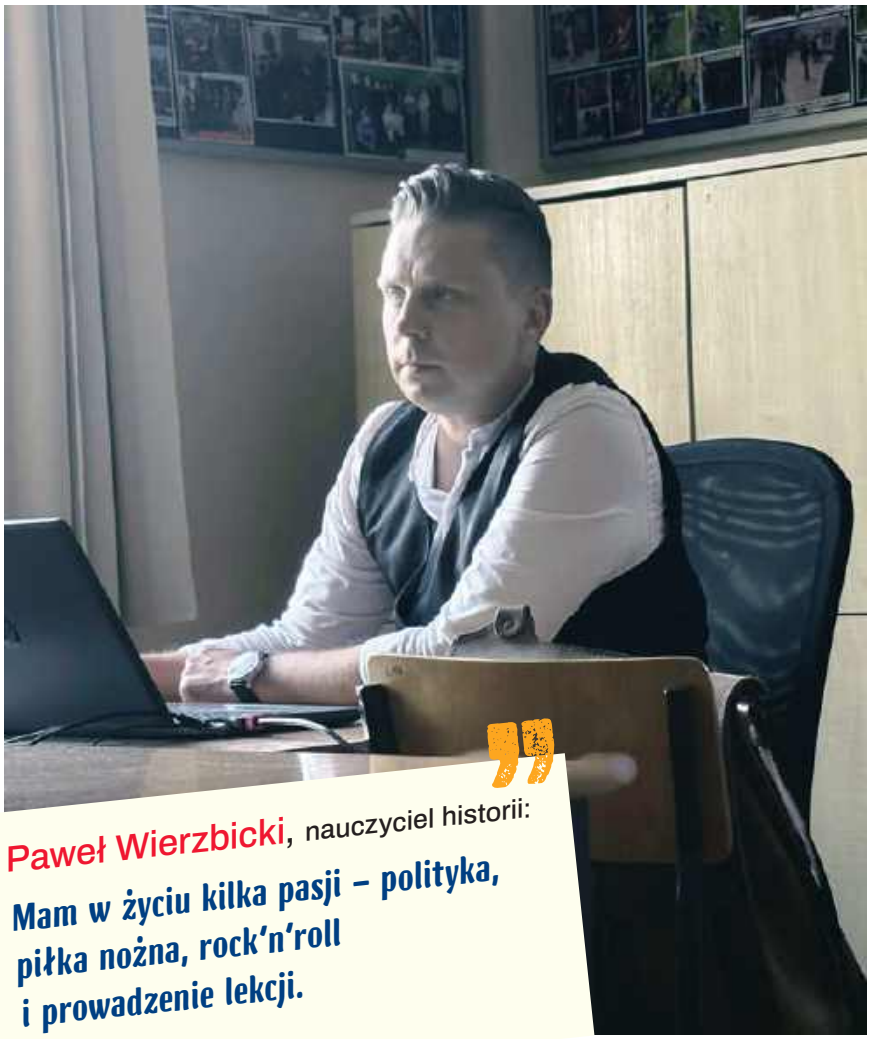

ARCHIWUM PRYWATNE

Paweł Wierzbicki, nauczyciel historii:

Mam w życiu kilka pasji – polityka, piłka nożna, rock'n'roll i prowadzenie lekcji.

Odpowiedziałem: „Przepraszam, ale powiedziałem tak, jak było". Wytłumaczyłem to jeszcze raz i myślę, że rozstaliśmy się w zgodzie. Ten uczeń w ogóle nie słyszał wcześniej o tych wydarzeniach. Może nie uczono go tego w jego kraju. Ale poza tym jednym przypadkiem – nigdy nie spotkałem się z pretensjami, ani ze strony uczniów, ani rodziców, ani dyrekcji.

Lubi Pan uczyć?

Uczenie w szkole jest bardzo fajne z wielu względów. Cieszę się, gdy uczę przedmiotów historia i wiedza o społeczeństwie na poziomie rozszerzonym, bo wtedy mam uczniów, którzy wybrali te przedmioty, są nimi zainteresowani, wiążą z nimi swoją przyszłość. Nie jest to dla nich przedmiot obowiązkowy, który muszą odhaczyć.

Co Pana motywuje do pracy?

Wy jesteście moją motywacją. Jeśli wychodzę z lekcji i czuję, że „pykło", to jest dla mnie największa satysfakcja.

Czyli bycie nauczycielem było Pana marzeniem?

Może nie samo bycie nauczycielem, ale prowadzenie lekcji – tak. To coś, co bardzo lubię. Mam w życiu kilka pasji – polityka, piłka nożna, *rock'n'roll* i prowadzenie lekcji. Cała ta biurokratyczna otoczka zawodu nauczyciela jest trudna, ale samo nauczanie rekompensuje wszystko.

Jak łączyć pasję z koniecznością realizacji podstawy programowej?

Traktuję swoich uczniów poważnie. Przez 12 lat, odkąd uczę, nie zdarzyło mi się ani razu przyjść na lekcję nieprzygotowanym. Podstawę programową można połączyć z ciekawymi lekcjami, ale wymaga to pracy. Trzeba tak dobrać treści i metody, żeby nie tylko „odhaczyć" materiał, ale też zaangażować uczniów.

Zdarza się Panu popełniać błędy w pracy?

Czasami za dużo mówię, próbuję przekazać za dużo szczegółów. Uczę się z tego rezygnować – szczególnie na poziomie podstawowym. Z biegiem lat mówię coraz więcej i chociaż staram się nie zbaczać z tematu, lekcje historii mogą być przegadane, a to utrudnia uczniom skupienie. Kolejny problem to zbyt statyczna postawa nauczyciela. Dobrze, jeśli nauczyciel się porusza, zadaje pytania kontrolne – nie na ocenę, ale żeby sprawdzić, czy uczniowie są skupieni, czy rozumieją temat.

Czyli nie wolno tylko puszczać prezentacji?

Nie, absolutnie nie. Nie podpisuję się pod takim modelem pracy. Gdyby miało mi to przyjść do głowy, to bym się zwolnił. Sam wiesz, że nasze lekcje tak nie wyglądają. Prezentacja, owszem, ale nie po to, żebym sobie usiadł i wypił kawę. Nie zadaję też uczniom referatów – uważam, że skoro za prowadzenie lekcji mi płacą, to ja mam to robić.

© Rozmawiał JAKUB HADUCH

PAWEŁ WIERZBICKI *jest politologiem, historykiem, nauczycielem w LO im. Świętej Rodziny z Nazaretu.*

Mam na imię **JAKUB**, mam 17 lat, jestem uczniem III klasy LO im. Świętej Rodziny z Nazaretu w Krakowie. Zdecydowałem, że będę pisał o historii i sposobach jej nauczania, ponieważ zależy mi na zwiększaniu świadomości historycznej wśród społeczeństwa. Prawda, nawet trudna, otwiera drzwi do zrozumienia. Przeszłość definiuje naszą teraźniejszość i przyszłość.

FOT. MAREK BEDNARZ

FOT. OLIWIA ŚWIĄTEK X3

POD PRESJĄ. CZY OCZEKIWANIA RODZICÓW I NAUCZYCIELI SPRAWIAJĄ, ŻE ODWRACAMY SIĘ OD RÓWIEŚNIKÓW?

> Od dziecka słyszymy to jedno pytanie: co chcesz robić w przyszłości, kim chcesz być? W przedszkolu odpowiedzi brzmiały: wróżka, księżniczka, Batman, syrena, opiekun w zoo. W szkole podstawowej: modelka, strażak, policjant. A w liceum... No właśnie, co w liceum? Im jesteśmy starsi, tym bardziej odpowiedzi ubywa. Dlaczego?

Presja może mieć różne źródła. Może przychodzić ze strony rodziców, rówieśników, nauczycieli, albo wypływać z nas samych. To trudne, ponieważ narzucić presję jest o wiele łatwiej niż się spod niej wyzwolić.

Presja oczywiście nie musi mieć negatywnych skutków – odpowiednia jej dawka motywuje nas do działania. Ale czy ulegając jej i biorąc na siebie coraz więcej obowiązków w szkole i poza nią, nie gubimy najważniejszej rzeczy – siebie samych?

Przebodźcowani młodzi ludzie o wiele łatwiej tracą pewność siebie, zaczynają wierzyć, że są gorsi. Wykluczonym można zostać z miliona różnych powodów – od niewłaściwego koloru butów po orientację seksualną. Środowisko polityczne nie pomaga, a społeczeństwo przyswaja zbyt wiele różnych wzorców naraz.

Uważamy, że presja jest najczęstszym powodem wypalania się nastolatków oraz ich złego samopoczucia psychicznego. Bardzo mało się o tym mówi. Być może również dlatego, że młodzi ludzie walczą o to, by się pod tą presją nie złamać.

Rodzice

Jak wskazują badania Rzeczniczki Praw Dziecka, „36 proc. uczniów 6. klasy szkoły podstawowej i 21 proc. uczniów 2. klasy szkoły średniej doświadczyło dręczenia ze strony koleżanek i kolegów. Co drugi nastolatek i 45 proc. starszej młodzieży obawia się przemocowej reakcji ze strony rówieśników". Wykluczenie i problemy w grupach rówieśniczych to naprawdę poważny problem.

Jednak, naszym zdaniem, bardzo rzadko mówi się o mechanizmach, które to wykluczenie powodują. Tymczasem presja to jeden z czynników prowadzących do tego zjawiska. My, nastolatkowie, żyjemy w błędnym kole. Doświadczając wielu bodźców i wzorców na raz, podejmujemy wiele wyborów, które mogą być odbierane negatywnie, zwłaszcza przez starsze pokolenie.

Rodzice często nie rozumieją naszych potrzeb. Starając się nas chronić, nie pozwalają nam na popełnianie własnych błędów. To w efekcie prowadzi do naszego buntu. Bardzo często mówi nam się, że jesteśmy „za młodzi", by zrozumieć, „za mało doświadczeni", by coś zrobić, zbyt „asertywnie nastawieni" do rozmowy. Efekt? Zamykamy się w sobie.

Pandemia

„Poczucie odrzucenia przez rówieśników wyraża 19 proc. uczniów 2. klasy szkoły podstawowej, 17 proc. uczniów 6. klasy szkoły podstawowej i 16 proc. uczniów 2. klasy szkoły średniej" – czytamy w raporcie RPD. Pandemia pogłębiła ten problem – brak kontaktu z rówieśnikami dotknął wiele osób, prowadząc do smutku albo problemów psychicznych.

Jak pisze Zbigniew Formella w książce „Młodzież 4.0 – konteksty rozwoju społecznego i ekologicznego" (2022), główną przyczyną tych problemów „jest stres, który trwa długi czas, a na który przede wszystkim młodzi nie są przygotowani i z natury swej odporni".

Brak kontaktu i umierający wciąż wokół nas ludzie – to bardzo wpłynęło na nasz system wartości. Media społecznościowe i komórka zaczęły wypełniać pustkę. To także doprowadziło do systematycznego zamknięcia się na innych. Zostanie w domu stało się lepszą opcją niż pójście ze znajomymi do kina czy parku. Mimo wszystko możemy z tym walczyć. Ale jakie są sposoby, by pomóc sobie i najbliższym? Czy jesteśmy w stanie pomóc samym sobie?

Szkoła

Szkoła z jednej strony ma kształtować w nas indywidualizm, lecz z drugiej – ten indywidualizm ogranicza do systemowych ram, takich jak oceny czy wybór konkretnych przedmiotów, które na kilka lat zamykają nas na jednej ścieżce nauki, bez łatwej opcji zejścia z niej.

Ten pozór wyboru skłania do odrzucenia albo uzależnienia od nauki, a w późniejszym życiu – od pracy. Rozumiejący niedoskonałości szkoły ↦

FOT. OLIWIA ŚWIĄTEK X 2

nastolatek może kształtować siebie, uwalniając się od presji szkolnej, torując własną ścieżkę edukacji równolegle do założeń systemowych.

Prywatne rozpoznania wiążące się z eksploracją pasji, kontaktów społecznych i ustalaniem własnych poglądów politycznych prowadzą do tworzenia własnych sposobów czerpania szczęścia, niezależnie od sukcesów akademickich czy osiągnięć na ścieżce zawodowej.

> Brak kontaktu z rówieśnikami i umierający wciąż wokół nas ludzie w czasie pandemii – to bardzo wpłynęło na nasz system wartości.

Jestem **ZOSIA**, chodzę do VIII PALO, mam 16 lat, fascynuje mnie sztuka, literatura i taniec. Bardzo często przed osiąganiem celów powstrzymuje mnie perfekcjonizm. Myśl, że nie jestem wystarczająco dobra i zdolna, to dla mnie codzienność. Próbuję z tym walczyć, choć nie jest łatwo. Wpływ mediów na moją tożsamość i gusta widzę bardzo wyraźnie. Osobiście nie wiem, kim będę w przyszłości, mam za dużo opcji, a świadomość, że muszę wybrać, przeraża mnie każdego dnia.

FOT. MAREK BEDNARZ X2

Mam na imię **PATRYK** i jestem uczniem II klasy liceum. Nie mam wybranego kierunku studiów czy wymarzonego zawodu, który chciałbym wykonywać przez resztę życia. Jestem odzwierciedleniem grupy osób, którą opisaliśmy w artykule, ponieważ wyczuwam pewną społeczną presję obrania określonego kursu, a zarazem czuję się odosobniony. Myślę o sobie jako odbiciu wszystkich środowisk, których jestem częścią, a równocześnie staram się zachować pewien indywidualizm i unikatowość. Choć bywam też otwarty, zrelaksowany, mam tendencję do prokrastynacji.

Takie postawy ułatwiają czerpanie przyjemności z pasji. Są też przydatne w radzeniu sobie z opisaną wcześniej presją społeczną, ponieważ pozwalają na wyznaczenie własnych standardów i celów. Nie zawsze prowadzą jednak do rozwiązania problemu wykluczenia, który objawia się najczęściej w szkole, gdzie nastolatek spędza ogromną część swojego czasu.

Czas wolny

Większość nastolatków zmagających się z izolacją społeczną nie zdaje sobie sprawy z powagi problemu oraz jego implikacji, więc nie jest skłonna do wdrażania rozwiązań, priorytetyzuje inne aktywności. W badaniach dla Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach Bogumiła Bobik uwidacznia, że aktywność pozaszkolna uczniów skupia się głównie wokół trzech sfer: mediów społecznościowych, gier komputerowych i spotkań z rówieśnikami.

Dwie pierwsze sfery prowadzą często do dalszej izolacji przez przeświadczenie o samowystarczalności, a ostatecznie uzależnienia od tych aktywności. W tych samych badaniach Bogumiły Bobik ankietowana młodzież wskazała brak wsparcia ze strony innych, konieczność podejmowania decyzji (wybór szkoły lub zawodu) oraz kłopoty rodzinne jako największe problemy, z którymi się mierzą.

FOT. MAREK BEDNARZ

Odpowiedzi ankietowanych pedagogów w tym samym badaniu wskazują na niezrozumienie bolączek młodzieży. Nauczyciele jako nasze największe problemy wskazali brak autorytetów, konflikt z rodzicami oraz trudności z kontaktem z płcią przeciwną, a trudności, które faktycznie dotykają młodzież, uplasowały się o wiele dalej.

Pokazuje to, że sami pedagodzy, którzy mają kontakt z narażonymi na stres nastolatkami, nie znają źródeł naszej zmniejszonej koncentracji lub emocjonalnych epizodów. Uważamy więc, że dorośli muszą naprawdę chcieć nas poznać, zanim będą próbowali nam pomagać.

Szczęście

Duża część izolującej się młodzieży oraz nastolatków mierzących się ze stresem pada ofiarą własnego nastoletniego buntu przeciwko rodzicom czy nauczycielom, którzy faktycznie próbują skłonić ich do jakiejkolwiek integracji społecznej, czy miałoby to być kopanie piłki z kolegami na osiedlu, czy dołączenie do zajęć pozaszkolnych. Nastolatek może uważać, że te osoby próbują narzucać mu swoje wizje siebie samego i dlatego woli pozostać odizolowany, nie zauważając ryzyka, które wynika z takiego zachowania.

Powinniśmy poszerzać swoją wiedzę na temat zdrowia psychicznego. Wielu z nas wydaje się, że wie wszystko, lecz takie zachowania jak świadome czy nieświadome izolowanie się od rówieśników lub przytłoczenie stresem są często pomijane w rozmowach, a przecież ważne dla higieny zdrowia psychicznego. To równie ważne jak zachęcanie do dołączania do grup dzielących nasze pasje.

Oczywiście sami nie jesteśmy zdolni do odwrócenia tak skomplikowanych mechanizmów. Jesteśmy natomiast w stanie ograniczyć własną frustrację na rówieśników, którzy zachowują się w niezrozumiały czy nielogiczny dla otoczenia sposób. Może zmagają się z nagromadzonym stresem? Próbujmy namawiać najbliższe nam osoby zmagające się z wykluczeniem do odzyskania sprawczości i poszukiwania szczęścia.

© ZOFIA RYŁO, PATRYK PAWEŁCZUK

Na zdjęciach uczniowie dwóch krakowskich liceów na warsztatach dziennikarskich w redakcji „Tygodnika Powszechnego". W ich trakcie o pracy w mediach opowiadali redaktorzy i redaktorki Edward Augustyn, Ewelina Burda, Anna Goc, Michał Kuźmiński, Andrzej Leśniak, Grażyna Makara, Monika Ochędowska oraz Maciej Szklarczyk. Warsztaty trwały od 26 maja do 9 czerwca, a ich efektem jest właśnie „Tygodnik Młodych". Fot. Marek Bednarz & Oliwia Świątek.

OSHEE SPEAK UP

OSHEE SPEAK UP to akcja firmy OSHEE, która jest **odpowiedzią na pogarszający się stan zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży w Polsce.** OSHEE z niepokojem obserwuje, jak problem narasta, nie chcemy pozostać obojętni.

Projekt powstał z potrzeby działania. OSHEE zależy, by każdy młody człowiek, niezależnie od sytuacji, miał dostęp do wsparcia, zrozumienia i bezpiecznej przestrzeni do rozmowy.

WADY I ZALETY INTERNETOWYCH POLECEŃ KSIĄŻKOWYCH

Czy w dalekiej przyszłości książki wciąż będą istniały? Na to pytanie natknęłyśmy się ostatnio na jednym z kont autorskich na bookstagramie. Francis Bacon powiedział kiedyś, że „książki są jak okręty myśli żeglujące po oceanach czasu, troskliwie niosące swój drogocenny ładunek z pokolenia na pokolenie". W tej kwestii wszystko zależy od czytelników.

Czytanie to jedna z najbardziej fascynujących form ucieczki od rzeczywistości – książki pozwalają odciąć się od codziennych problemów. Z drugiej strony są doskonałym treningiem mózgu. Chwile z książką sprzyjają koncentracji i poprawiają pamięć. Gdy wczuwamy się w sytuacje, które towarzyszą bohaterom, przeżywamy ich emocje, radości, smutki, miłości i trudności, stajemy się bardziej empatyczni i wrażliwi na otaczający świat.

Ważną rolę w rozwoju czytelnictwa odgrywają dziś media społecznościowe. To miejsce, w którym ludzie pragną dzielić się z innymi tym, co kochają. Tym, co sprawia, że czują się potrzebni, tym, co ich pasjonuje i co motywuje ich do działania. Zatem czy bookmedia, takie jak booktok czy bookstagram, mogą pomóc dotrzeć do młodych czytelników? Jakie są zalety, a jakie wady korzystania z internetowych poleceń książkowych?

Zalety bookmediów

Bookmedia, poprzez prezentowanie i rekomendowanie książek, potrafią zachęcić do sięgania po literaturę nawet najmłodszych. Osoby prowadzące książkowe kanały w mediach popularyzują utwory, oddając klimat i realia życia bohaterów. Inspirują w ten sposób odbiorców do ich poznania – choćby po to, by na chwilę poczuć się częścią przedstawionego świata.

Czytanie książek staje się atrakcyjną alternatywą dla korzystania z telefonu czy bezrefleksyjnego przeglądania internetu. Zamiast spędzać czas online, bookmedia proponują inną formę spędzania czasu – lekturę, która może rozwijać, relaksować i dostarczać wartościowych przeżyć.

Bookmedia pozwalają także poznać opinie innych osób, co sprzyja spojrzeniu na przeczytaną książkę z nowej perspektywy. Dzięki różnorodnym obecnym tam preferencjom czytelniczym, użytkownicy mają szansę zetknąć się z wieloma gatunkami literackimi, odkrywając nowe obszary literatury. Lektura może stać się formą odpoczynku oraz ucieczką od

REKLAMA

JAK ROZMAWIAĆ Z DZIECKIEM ZANURZONYM W ŚWIECIE GIER?

W KSIĄŻCE ZNAJDZIESZ OŚMIOTYGODNIOWY PROGRAM, KTÓRY POMOŻE CI:

- wyznaczyć i egzekwować zdrowe granice dotyczące grania,
- poradzić sobie z emocjonalnymi reakcjami dziecka – od rozdrażnienia po agresję,
- zrozumieć, jakie potrzeby psychiczne zaspokajają gry oraz jak można je zaspakajać w świecie rzeczywistym.

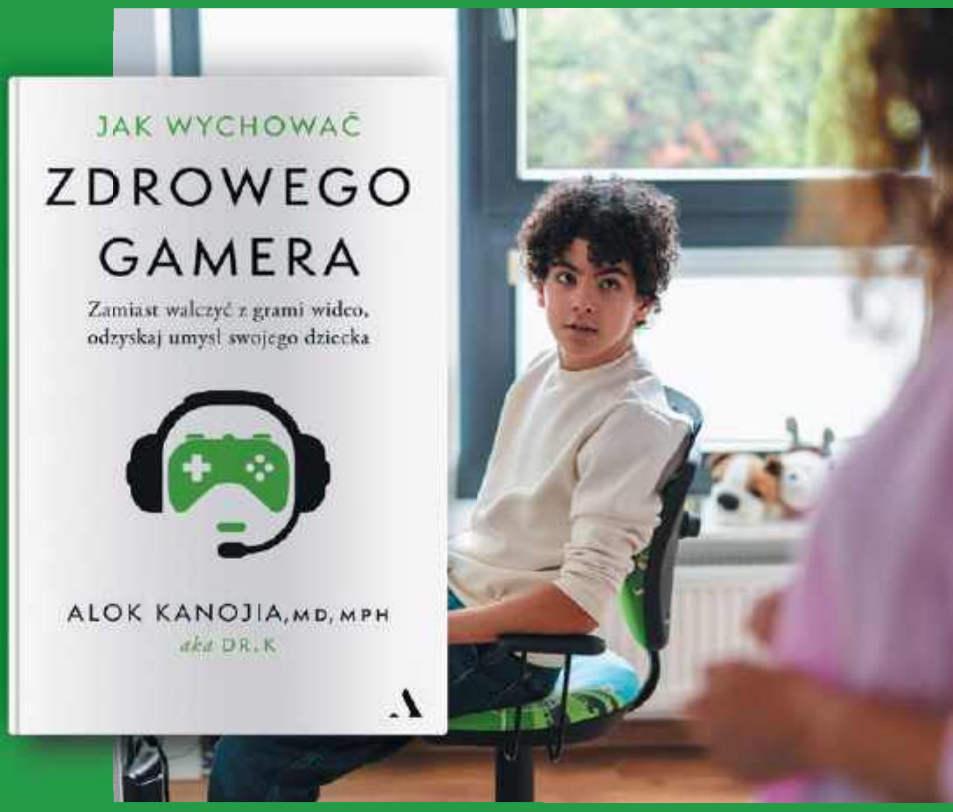

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

MICHELLE MCEWEN / UNSPLASH

Wzrastająca popularność bookmediów wpływa na promocję literatury. Czy booktok i bookstagram naprawdę mogą pomóc w dotarciu do młodych czytelniczek i czytelników?

rzeczywistości – zagłębieniem się w fikcyjny świat, w którym czasem łatwiej odnaleźć odpowiedzi na nurtujące pytania.

Dużą zaletą bookmediów jest także wsparcie dla małych wydawnictw, które dzięki nim mogą dotrzeć do szerszego grona odbiorców, na co wcześniej miały niewielkie szanse. Książki promowane w przestrzeni bookmediów nie tylko bawią, ale również uczą empatii, wrażliwości na sztukę i literaturę. Stanowią przeciwwagę dla cyfrowego rozleniwienia, a zarazem uświadamiają w zakresie problemów społecznych i ważkich tematów.

Wady bookmediów

Wzrastająca popularność bookmediów wpływa na promocję literatury, szczególnie wśród młodych czytelników. Nie zawsze jednak przynosi to pozytywne rezultaty. Zdarza się, że popularyzowane treści prezentują negatywne wzorce moralne, które zaburzają czytelnikom obraz świata. Normalizuje się, a wręcz romantyzuje picie alkoholu, palenie papierosów, zażywanie narkotyków czy innych używek, przemoc, zazdrość i zaborczość. Mniejszą wagę przywiązuje się do przekazywania fundamentalnych wartości, pokazania prawdziwej istoty książek, ich roli w rozwoju intelektualnym, na rzecz popularności i rozrywki. Promuje się czytanie dla mody, a nie z autentycznej potrzeby.

Czytelnicy sięgają po polecane utwory tylko dlatego, że są „na topie", co sprawia, że czytanie staje się elementem wizerunku, a nie osobistym przeżyciem. Rozpowszechnia się tytuły, które dobrze „sprzedają się wizualnie" – mają ładne okładki, chwytliwe opisy, a niekoniecznie głębszą i wartościową treść. Dla zysku tworzone są wydania specjalne i dodatki, które mają uatrakcyjnić utwór, zwrócić uwagę na jego opakowanie, a nie treść. Rosnąca moda na czytanie i presja na ilość, nie jakość sprawiają, że tworzone treści są kiepskie językowo.

Autorzy stosują uproszczenia językowe i wulgaryzmy, aby wypromować książki wśród młodzieży, przez co język literatury staje się bardziej prymitywny. Promowane są książki słabej jakości, które często przyćmiewają na rynku wydawniczym utwory wartościowe. Podsuwa się nam utwory o tej samej tematyce, takie jak romanse i fantastykę, co mocno ogranicza różnorodność czytelniczą.

© ZOFIA BOBEK, ALICJA GIL, JOANNA KONIK, ALINA MAŁEK, AMELIA PIWOWOŃSKA

PATRICIA HELLINGER / UNSPLASH

Oto cztery tytuły, które królowały na listach książkowych bestsellerów przez ostatnie trzy lata. Przyjrzyjmy się im z bliska – czy zasługują na popularność?

REKOMENDACJE BOOKTOKA. CZY NAPRAWDĘ ZASŁUGUJĄ NA UWAGĘ?

Aleksandra Negrońska
CLONE. STUDENTS
Wydawnictwo NieZwykłe, 2022

Rossana, główna bohaterka, wyjeżdża na studia i przeprowadza się do swojej siostry bliźniaczki Lilianny, której nie widziała przez wiele lat. Rosie uczy się nowego życia i poznaje świat, który jest codziennością Lily. Historia opisuje uniwersyteckie życie grupy młodych ludzi, problemy, z jakimi się mierzą, ale też punktuje złe wzorce, jakie przekazują im rodzice.

Styl, w jakim została napisana powieść, pozostawia wiele do życzenia. Język zawiera wiele przekleństw, które są niepotrzebne, irytujące. Ten zabieg zdecydowanie osłabia tytuł, choć sama historia opisana przez Negrońską ma potencjał. Minusem jest także to, że większość relacji w książce to związki toksyczne, pozbawione wartości. Zabrakło mi pogłębienia siostrzanej więzi pomiędzy Lilianną a Rossaną. Liczyłam, że to ona będzie tematem książki. ▪ **JK**

Książka została napisana potocznym, bardzo wulgarnym językiem. Zawiera błędy stylistyczne, co jest męczące i ogłupiające, a równocześnie sprawia, że fabuła jest prosta w odbiorze, a książkę czyta się szybko. Bohaterowie są płytcy, choć relacje między nimi zostały całkiem dobrze przedstawione. Historia jest przewidywalna, humor nie trafi do wszystkich. ▪ **AM**

Książka jest napisana bardzo potocznym językiem, dzięki czemu szybko się ją czyta. Cała seria przedstawiona została w bardzo ciekawy sposób, pozwala poznać perspektywę wszystkich osób z paczki przyjaciół, nie tylko głównych bohaterów. Porusza wiele wątków prawniczych. ▪ **ZB**

Ana Huang
MIŁOŚĆ. SERIA TWISTED,
Czwarta Strona, 2023

Fabuła jest pospieszna i momentami absurdalna, w przedstawiane wydarzenia trudno uwierzyć. Intrygi są niewiarygodne, a postaci bardzo stereotypowe – utrwalają wizerunek bogatego, przystojnego i egoistycznego mężczyzny, który jest w związku z delikatną, naiwną i słodką dziewczyną. Bohaterowie niczym się nie wyróżniają, autorka sprowadza ich osobowości do posiadanego majątku i fizyczności.

Dobór słownictwa jest wyjątkowo nieprzyjemny, a sam język sztywny (może za sprawą tłumaczenia). Sceny bliskości są mocno kontrowersyjne i dla wielu czytelników mogą być nie do przejścia: kobieta jest tu całkowicie podporządkowana mężczyźnie. Dzięki ogromnej popularności tej pozycji w bookmediach sięga po nią, moim zdaniem, zbyt wiele młodych osób. ▪ **AP**

Weronika Marczak
SKARB. RODZINA MONET
You&YA, 2022

Życie Hailie Monet zmienia się całkowicie, gdy umiera jej mama. Dziewczyna przeprowadza się za granicę i poznaje swoich pięciu braci. Książka skupia się na przedstawieniu realiów życia nastolatki, która poznaje codzienność funkcjonowania w bardzo bogatej rodzinie. Oczywiście nic nie może obyć się bez przeszkód, a Hailie musi stawić czoło wielu różnym przeciwnościom.

„Rodzina Monet" to seria, która podbiła serca młodych czytelniczek i czytelników, zyskała też ogromną popularność w mediach społecznościowych. Czy zasłużenie? Byłaby to świetna książka dla młodszych odbiorców, gdyby nie wulgarny język. Przeszkadzała mi też główna bohaterka: infantylna i wyidealizowana. O ile pierwsza część bardzo mi się podobała, uważam, że każda kolejna jest coraz słabsza. ▪ **AM**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Maria Krasowska
FALA
You&YA, 2023

Książka ma dość oryginalny pomysł. Opowiada historię o nastolatkach, którzy sami zmuszeni są poradzić sobie z konsekwencjami katastrofy naturalnej, a konkretnie tsunami. Plusem jest ciekawy, autentyczny rozwój bohaterów, jego obserwowanie jest angażujące. ▪ **AP**

Ta historia stawiała opór, ciężko było się wciągnąć, przez kilka rozdziałów zmuszałam się do czytania. Krasowska podejmuje oryginalny temat, jakim jest świat w erze katastrofy klimatycznej, walka o przetrwanie młodych ludzi w nadzwyczajnych warunkach pogodowych. Niezbyt przypadł mi do gustu ten motyw, ponieważ pogoda została tak naprawdę użyta do generowania sztucznego napięcia między bohaterami. Początkowo bardzo irytował mnie też główny bohater. Elvis to typowy *bad boy*, egoista, toksyczny mężczyzna. Liczyłam, że zajdzie w nim przemiana, i widziałam, że jest na to szansa, zwłaszcza w chwilach, gdy przebywał z Paris. Niestety, zawiodłam się. Zakończenie napisane jest tak, by zachęcić czytelnika do zakupu następnego tomu, ale to zbyt łatwy chwyt marketingowy. ▪ **JK**

Byłam dość sceptycznie nastawiona do tej popularnej młodzieżówki, niepotrzebnie. Całkiem ciekawa fabuła, przyjemny styl. Nie jest to nic wybitnego, powieść zapewnia miłą rozrywkę na jeden wieczór. Podoba mi się motyw przetrwania i przymusu samodzielnego radzenia sobie w spartańskich warunkach. Nie polubiłam bohaterów Krasowskiej, ale według mnie świadczy to o tym, że zostali dobrze wykreowani przez autorkę. Szkoda, że opis na okładce książki tak wiele zdradza. ▪ **AM**

Książki recenzowały ZOFIA BOBEK, ALICJA GIL, JOANNA KONIK, ALINA MAŁEK, AMELIA PIWOWOŃSKA

REKLAMA

JAK TOWARZYSZYĆ NASTOLATKOM W DORASTANIU?

Wszechstronna, głęboka, serdeczna książka dla rodziców, którzy często stają bezradni wobec swoich nastoletnich dzieci. Nie mogłam się zdecydować, czy lepsze są w niej pytania, czy odpowiedzi – ostatecznie uznałam, że jest remis: świetne pytania, mądre odpowiedzi.

NATALIA DE BARBARO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

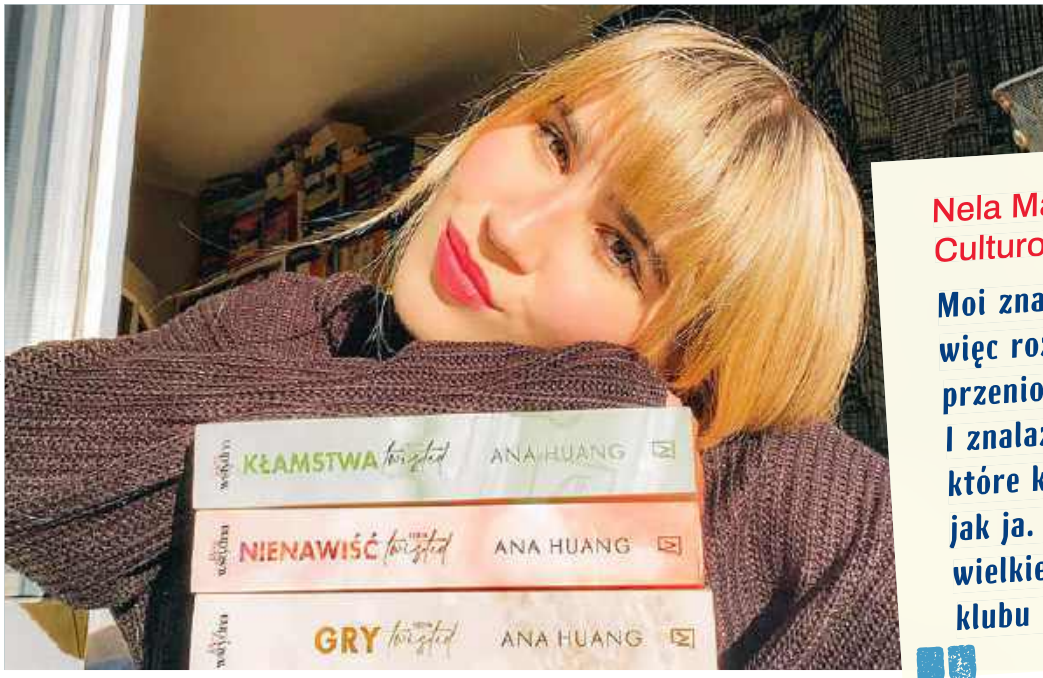

ARCHIWUM PRYWATNE NELI MAŃKOWSKIEJ / MATERIAŁY PRASOWE

> **Nela Mańkowska, Culturomaniaczka:**
> **Moi znajomi czytają mało, więc rozmowy o książkach przeniosłam do internetu. I znalazłam tam osoby, które kochają to tak samo jak ja. Mamy coś na kształt wielkiego, internetowego klubu książki.**

BOOKMEDIA TO MIEJSCE SPOTKAŃ

ZOFIA BOBEK, ALINA MAŁEK: Jak wybierasz książki?

NELA MAŃKOWSKA: Wszystko zależy od nastroju. Gdy pada deszcz, sięgam po kryminał albo coś, co daje mi komfort. Gdy potrzebuję czegoś lekkiego – wybieram młodzieżówki albo romanse. Po reportaże sięgam, kiedy chcę zgłębić temat, który mnie ostatnio zaciekawił – np. po filmie czy dyskusji w internecie. Często wybór książki jest impulsywny – coś zauważę w księgarni albo na profilu wydawnictwa.

Zawsze sprawdzam autorkę albo autora. Jeśli to np. książka z Wattpada, podchodzę do niej inaczej – czasem nawet w ogóle jej nie czytam. Muszę uważać na to, co promuję, dlatego przed każdą współpracą robię dokładny research.

Czy współpraca z wydawnictwem wpływa na Twoją opinię o książce?

Absolutnie nie. Codziennie dostaję około 10 propozycji współpracy od wydawców i 90 proc. z nich odrzucam – brak mi czasu lub ochoty. Mam firmę, obowiązki, nie mogę czytać wszystkiego. Nie piszę pozytywnych recenzji tylko dlatego, że coś przyszło w ramach współpracy. Jeśli książka mi się nie podoba, kontaktuję się z wydawnictwem i mówię wprost: „To nie dla mnie, mogę napisać szczerą, ale krytyczną recenzję, albo zrezygnujmy". Nigdy nie publikuję opinii za pieniądze wbrew własnemu zdaniu.

Czy fakt, że książki są częścią Twojej pracy, odbiera Ci przyjemność z czytania?

Czasem tak. Gdy gonią mnie terminy, a jestem zmęczona i czuję presję, żeby „coś przeczytać". Ale sama radość z czytania nigdy nie zniknęła. Najtrudniejszy jest moment, by się zmotywować i w ogóle otworzyć książkę. Gdy już zacznę – przyjemność wraca. Tylko że wcześniej było tak, że czytałam, bo chciałam, a teraz bywa, że po prostu muszę.

Jak oceniasz społeczność bookmediów?

To sinusoida. Mieliśmy w tej grupie duży wzrost, teraz widać spadek – zauważają to wydawnictwa, widać to też na targach książki. Bookmedia to miejsce spotkań ludzi z różnymi gustami, poglądami i opiniami. I właśnie to jest ich siłą – wymieniamy się recenzjami, prowadzimy dyskusje. Oczywiście, czasem pojawia się hejt, ale to problem całego internetu, nie tylko naszej społeczności.

Bookmedia to ważna część sieci – uczą, motywują, rozwijają. Każdy znajdzie tu coś dla siebie – czy to romanse, młodzieżówki, czy reportaże. Zdarza się, że jestem zmęczona ciągłym pytaniem „poleć książkę" – dostaję tysiące takich wiadomości i nie da się na wszystkie odpowiedzieć. Ale cieszę się z każdej rozmowy o książkach i tego, że mogę być częścią tej społeczności.

Co Cię najbardziej motywuje do tworzenia treści?

Zabawa i kontakt z ludźmi. Moi znajomi czytają mało, więc rozmowy o książkach przeniosłam do internetu. I znalazłam tam osoby, które kochają to tak samo jak ja. Mamy coś na kształt wielkiego, internetowego klubu książki – polecamy sobie tytuły, ekscytujemy się nowościami, wspólnie dyskutujemy. To jest największa motywacja.

Bardzo wzruszają mnie także wiadomości od rodziców: „Dzięki tobie moja córka znów zaczęła czytać", albo „Moje dziecko w wieku 10 lat zaciągnęło mnie do księgarni, bo ciebie obserwuje". Takie słowa mają ogromną moc. Właśnie dlatego to robię – bo wiem, że to ma sens.

© Rozmawiały ZOFIA BOBEK, ALINA MAŁEK, NELA MAŃKOWSKA

NELA MAŃKOWSKA (CULTUROMANIACZKA) *– kojarzona ze swojego uśmiechu, pozytywnej energii, obsesji na punkcie książek i „Małego Księcia". Na swoim tiktokowym koncie zebrała prawie 350 tys. obserwatorów. Od kilku lat promuje w mediach czytelnictwo. Jest również założycielką klubu książki Hot Coffee Book Club, który organizuje spotkania dla czytelniczek i czytelników z całej Polski.*

KSIĄŻKI, KTÓRE POLECAMY

Oto pięć najciekawszych książek ostatnich lat, prezentujących różne gatunki literackie.

Polecają ZOFIA BOBEK, ALICJA GIL, JOANNA KONIK, ALINA MAŁEK, AMELIA PIWOWOŃSKA

Holly Jackson, **PRZEWODNIK PO ZBRODNI WEDŁUG GRZECZNEJ DZIEWCZYNKI**, *tłum. Ernest Kacperski, Books4YA, 2019*

▪ THRILLER MŁODZIEŻOWY

Niesamowicie wciągająca trylogia kryminalna dla młodzieży, która swoimi zagadkami porwała i zachwyciła tysiące młodych czytelniczek i czytelników. Przez całą serię można obserwować niesamowitą przemianę wewnętrzną głównej bohaterki. Fabuła każdej części została bardzo dopracowana, a przyjemny styl pisania autorki sprawia, że od lektury nie można się oderwać. „Przewodnik" zapewnia nie tylko rozrywkę, ale też trening dla umysłu, który pracuje na najwyższych obrotach, by wydedukować rozwiązanie. Książka została zaadaptowana na serial przez telewizję BBC, dziś można go oglądać na Netfliksie.

Markus Zusak, **ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK**, *tłum. Hanna Baltyn, Nasza Księgarnia, 2008 (nowe wydanie: 2019)*

▪ LITERATURA PIĘKNA

„Złodziejka książek" to historia rozgrywająca się podczas II wojny światowej, przedstawiona z perspektywy niemieckiej dziewczynki. Czy można tak bardzo kochać książki, by ratować je z różnych opresji? No pewnie! Niepowtarzalna narracja zapewnia ogrom wzruszeń, dogłębnie opisuje życie zwyczajnych ludzi i niesprawiedliwość świata. Refleksyjna, piękna i zadająca czytelnikowi wiele ważnych pytań, na które odpowiedzi nie są tak proste, jak mogłoby się wydawać. Wyjątkowi bohaterowie, konstrukcja i przekaz sprawiają, że jest to lektura, która skradnie wasze serca. Powieść została zekranizowana przez Briana Percivala.

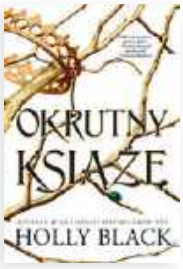

Holly Black, **OKRUTNY KSIĄŻĘ**, *tłum. Stanisław Kroszczyński, Jaguar, 2023*

▪ FANTASTYKA

Jeszcze kilka lat temu najpopularniejsza seria w bookmediach, aktualnie mało kto o niej pamięta. Niesłusznie, bo wyróżnia się rozbudowanym światem, charyzmatyczną bohaterką, wciągającą fabułą i nieprzewidywalnymi zwrotami akcji. Obowiązkowa pozycja dla fanów fantastyki, ale także dla tych, którzy dopiero próbują się do tego gatunku przekonać.

Fredrik Backman, **MĘŻCZYZNA IMIENIEM OVE**, *tłum. Alicja Rosenau, Marginesy, 2022*

▪ POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

Urzekająca historia mężczyzny, który, mimo bardzo trudnego życia, nigdy nie zwątpił w swoje zasady. Pozwala zrozumieć, skąd biorą się nasze dziwne, niekiedy niezrozumiałe zachowania. Podkreśla wartość popełnianych błędów, mówi, że mylą się nawet najlepsi. Książka napisana jest prostym językiem, dlatego polecamy ją zarówno osobom młodszym, jak i starszym. Lektura poszerza horyzonty i skłania do refleksji. Książka doczekała się szwedzkiej adaptacji w reżyserii Hannesa Holma.

Weronika Pawlak,

▪ ROMANS

Jeśli kochacie „Anię z Zielonego Wzgórza”, jest to zdecydowanie książka dla was. „Nie całuj się pod kapliczką”

NIE CAŁUJ SIĘ POD KAPLICZKĄ, *Esprit, 2021*

to jedna z tych historii, które zasługują na większy rozgłos. Piękna, poruszająca, wartościowa opowieść o tym, co w życiu najważniejsze. Opowiada o przyjaźni, miłości, nadziei oraz wierze w Boga i drugiego człowieka. Świetnie wykreowani bohaterowie trylogii oraz ich historie sprawią, że nie będziecie mogli się oderwać od lektury, a urokliwe Sercowo pozostanie na długo w waszej pamięci. ©

Mam ma imię **ZOSIA** i w ostatnich latach wciągnęłam się w niesamowity świat książek. Jest to miejsce, w którym mogę odciąć się od problemów i codziennego zgiełku. Jedną z moich innych największych pasji jest muzyka, która towarzyszy mi na co dzień, choćby dlatego, że poza liceum chodzę do szkoły aktorsko-wokalnej, w której muzyka mnie nie opuszcza. W moim życiu ważną rolę pełni też harcerstwo, które pozwala mi bardziej otworzyć się na nowych ludzi. Jestem osobą energiczną i postrzeganą jako wulkan pozytywnej energii.

FOT. OLIWIA ŚWIĄTEK

Jestem **ALICJA** i interesuję się literaturą, historią oraz filmografią. Lubię czytać książki, bo pozwalają mi przenieść się do innych światów i poznać życie ludzi z różnych epok. Historia fascynuje mnie tym, jak kształtowała naszą rzeczywistość i jak wiele możemy się z niej nauczyć. Często oglądam filmy akcji, bo dostarczają mi emocji, adrenaliny i są świetną formą oderwania się od codziennych spraw. Cenię w nich dynamiczną fabułę, bohaterów z charakterem i zaskakujące zwroty akcji. Na co dzień spędzam dużo czasu z rodziną – bardzo lubię domową atmosferę i wspólne chwile. Opiekuję się moim młodszym rodzeństwem, co czasem bywa wyzwaniem, ale daje mi też dużo radości i poczucia odpowiedzialności. W wolnych chwilach spotykam się z przyjaciółmi.

Mam na imię **ASIA**, uwielbiam czytać, a moją pierwszą książkową miłością była „Ania z Zielonego Wzgórza”. Prowadzę konto na bookmediach. Lubię szydełkować i piec ciasteczka. Moją pasją jest język polski. W moim sercu gra poezja, kocham tworzyć i dzielić się z innymi tym, co czuję i myślę. Marzę o tym, by w przyszłości wydać tomik wierszy i własną powieść.

Jestem **ALINKA** i odkąd skończyłam 5 lat, książki są nieodłączną częścią mojego życia. Uwielbiam spędzać aktywnie czas: jeździć na rolkach i chodzić po górach, trenuję szermierkę, biegam, ćwiczę i wspinam się (głównie na drzewa). Jednak od zawsze moją największą pasją jest czytanie. W moim sercu specjalne miejsce mają książki z gatunku fantasy. Do życia staram się podchodzić z optymizmem, a do nowo poznanych ludzi z empatią i życzliwością. Swoją przyszłość wiążę z pracą z dziećmi. Od kilku lat działam w gromadzie zuchowej, a piątkowe zbiórki z dzieciakami to moja ulubiona część tygodnia.

FOT. MAREK BEDNARZ X4

Mam na imię **AMELIA**, a moim ulubionym zajęciem – co nie będzie zaskoczeniem – jest czytanie książek i zajmowanie się wszystkim, co się z nimi wiąże. Literatura połączona z nastrojową muzyką, klimatycznym otoczeniem to zdecydowanie moje ulubione połączenie (szczególnie z dodatkiem dobrego jedzenia). Największą zaletą książek jest nie tylko możliwość relaksu i ucieczki od rzeczywistości, lecz także możliwość dyskusji i spojrzenia na różne kwestie z wielu perspektyw – co, mam nadzieję, udało nam się uchwycić w artykule.

CZY ZA KILKA LAT PO NASZYCH PARKACH BĘDĄ CHODZIĆ DINOZAURY?

Amerykańska firma Colossal Biosciences, zajmująca się biotechnologią i inżynierią genetyczną, jest jedną z organizacji starających się przywrócić do życia wymarłe gatunki zwierząt. Nazywa ten proces *de-extinction*, czyli ożywieniem, bądź odtworzeniem gatunków, i zaznacza, że nie jest to to samo, co ich wskrzeszanie.

Na swojej stronie internetowej Colossal Biosciences wymienia trzy główne techniki, które pozwalają pracować nad tym projektem: hodowlę selektywną, klonowanie oraz edycję genomu. Hodowla selektywna pozwala na wybór osobników posiadających konkretne, pożądane cechy, w tym wypadku najbliższe charakterystyce danego wymarłego gatunku. Klonowanie umożliwia stworzenie identycznej, żyjącej kopii danego organizmu, a edycja genomu, używając technologii CRISPR, sprawia, że naukowcy mogą nadać zwierzęciu pożądane cechy.

Łącząc ze sobą te sposoby, naukowcy znajdują współczesne gatunki zwierząt, które są najbliżej spokrewnione z wymarłymiosobnikami, kopiują DNA znalezione np. w inkluzji w bursztynie lub w zamarzniętych szczątkach, a następnie edytują geny żyjących zwierząt i łączą je z genami wymarłych osobników. Tak zmodyfikowana gameta wszczepiona zostaje do macicy samicy zwierzęcia. Po pewnym czasie powinien urodzić się zdrowy osobnik, bardzo podobny do swojego wymarłego przodka. W ten sposób firma chce przywrócić do życia gatunki takie jak mamut włochaty, tygrys tasmański, ptak dodo oraz wilk straszny.

Zawody przyszłości

Choć temat przywracania wymarłych gatunków może wydawać się odległy od codziennego życia młodych ludzi, jego wpływ na naszą przyszłość jest znacznie bardziej namacalny, niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim rozwój genetyki i technologii takich jak CRISPR nie pozostaje jedynie niszowym tematem laboratoriów czy akademickich badań – staje się motorem napędowym całej gałęzi nowoczesnej gospodarki, która wkrótce zacznie kształtować nowe ścieżki kariery, edukacji i życia codziennego.

Uczniowie, którzy uczą się dziś podstaw biologii czy chemii, mogą za kilka lat znaleźć zatrudnienie w dynamicznie rozwijających się sektorach związanych z bioinżynierią, analizą danych genetycznych, a także szeroko pojętą medycyną spersonalizowaną.

Raport „Future of Jobs" opublikowany przez Światowe Forum Ekonomiczne wskazuje, że dziedziny takie jak biotechnologia, analiza danych, inżynieria genetyczna czy bioinformatyka będą należeć do najbardziej poszukiwanych i najszybciej rozwijających się obszarów zawodowych w nadchodzącej dekadzie.

W połączeniu z rosnącym znaczeniem medycyny precyzyjnej, która już teraz wykorzystuje informacje genetyczne do planowania terapii, wiedza z zakresu genetyki staje się coraz bardziej praktyczna i pożądana. To zjawisko stawia przed nami zupełnie nowe możliwości rozwoju i ścieżki edukacyjne, które jeszcze dekadę temu nie istniały.

Wraz z rozwojem technologii edycji genów otwierają się drzwi do zastosowań tej branży nie tylko w kontekście ekologii czy odbudowy gatunków, ale także w ochronie zdrowia i walce z chorobami dziedzicznymi, nowotworami czy zaburzeniami neurologicznymi. Zrozumienie

Mam na imię **NINA** i jestem uczennicą VIII PALO, a dokładniej – wydziału z maturą międzynarodową (IB). Interesuję się naukami ścisłymi, w przyszłości chciałabym zajmować się inżynierią biochemiczną. Bardzo chętnie chodzę z rodzicami po górach i regularnie się wspinam. Wspinaczka pozwala mi indywidualnie, we własnym tempie, poprawiać technikę i ćwiczyć formę fizyczną. Uwielbiam spędzać czas na łonie natury i podróżować. Ciekawią mnie nowe odkrycia i rozwiązania technologiczne. Chciałabym, aby moi rówieśnicy więcej wiedzieli na ich temat, ponieważ rzadko są one omawiane w szkole, a innowacje i nowe wynalazki mogą mieć znaczny wpływ na naszą przyszłość.

FOT. MAREK BEDNARZ X2

Jestem **JAKUB**, mam 17 lat i za rok piszę maturę międzynarodową. Rozszerzam biologię i chemię, a w przyszłości chciałbym być psychiatrą. Moim ulubionym kolorem jest zielony, ulubionym daniem burrito. W wolnym czasie lubię czytać książki i słuchać muzyki. Lubię również jeździć na nartach, grać w siatkówkę, pływać na żaglówce i uprawiać windsurfing. Od dłuższego czasu interesowało mnie, w jaki sposób osoby z zaburzeniami psychicznymi funkcjonują w codziennym życiu i co powoduje te zaburzenia. Dlatego też chciałbym w przyszłości studiować medycynę. W warsztatach wziąłem udział z ciekawości. Chciałem zobaczyć, jak wygląda praca nad tworzeniem pisma i czy jestem w stanie coś napisać sam.

zasad działania DNA staje się kluczowe w zawodach przyszłości – nie tylko dla naukowców, ale również dla specjalistów IT analizujących dane biologiczne, bioinformatyków, techników laboratoryjnych czy nawet nauczycieli przygotowujących nowe pokolenie do życia w świecie biologicznej rewolucji.

Zaginione ekosystemy

Firma Colossal Biosciences wielokrotnie podkreśla, że jednym z jej celów jest edukacja i kształcenie nowego pokolenia specjalistów, którzy będą mogli wykorzystać zdobywaną wiedzę nie tylko w laboratoriach, ale również w sektorach związanych z klimatem, środowiskiem, ochroną gatunków czy medycyną.

Warto również zauważyć, że te przełomy zmieniają nie tylko możliwości zawodowe, ale także nasz sposób myślenia. Rośnie zainteresowanie tematami odpowiedzialności za środowisko, ochrony ginących gatunków i zrównoważonego rozwoju. Młodzi ludzie coraz częściej zadają sobie pytania nie tylko o to, co można zrobić, ale także, czy warto i czy powinniśmy.

To świadczy o wciąż dojrzewającym podejściu do nauki jako narzędzia, które niesie ze sobą zarówno potencjał, jak i etyczne zobowiązania. Przyszłość genetyki nie będzie budowana wyłącznie przez specjalistów od DNA, ale także przez młodych ludzi potrafiących łączyć wiedzę biologiczną z refleksją moralną, społeczną i kulturową.

W tym kontekście kluczowe staje się nasze przygotowanie nie tylko do roli odbiorców tych zmian, lecz także aktywnych uczestników procesu ich kształtowania. Dlatego edukacja w zakresie biologii molekularnej, inżynierii genetycznej i bioetyki powinna przestać być niszową ciekawostką, a zacząć pełnić ważną funkcję w podstawowych programach nauczania. Już dziś wiele szkół, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, wprowadza programy STEM (Science, Technology, Engineering, Math), które obejmują również elementy związane z nowoczesną biotechnologią i naukami przyrodniczymi.

Wielu ekspertów podkreśla, że ci, którzy dziś w szkolnych laboratoriach uczą się pipetowania i mikroskopii, już za kilkanaście lat będą mogli uczestniczyć w projektach na skalę globalną – pomagając przywracać zaginione ekosystemy, projektować terapie genowe dla rzadkich chorób czy tworzyć nowe gatunki odpornych na zmiany klimatyczne roślin uprawnych.

A to oznacza, że przyszłość genetyki, choć z pozoru odległa, zaczyna się w naszych klasach biologii, salach komputerowych i w młodzieńczych głowach pełnych pytań.

© NINA BITNER-PRZYBYLSKA, JAKUB URBANIEC

> **Współczesne odkrycia i postępy technologiczne w wielu przypadkach dotyczą aspektów z pozoru szalonych i niemożliwych, lecz najczęściej wywodzą się ze znanych w nauce od lat mechanizmów oraz zjawisk. Jednym z nich jest próba wskrzeszenia wymarłych gatunków przez nowoczesne firmy biotechnologiczne. Czy to naprawdę możliwe?**

MAC CERVANTES / UNSPLASH

CO MYŚLIMY O AI

Teoria AI narodziła się w roku 1956 za sprawą Alana Turinga i Johna von Neumanna. Od tego czasu jej rozwój niewyobrażalnie przyspieszył. Uznając ją za nowinkę technologiczną, często nie zdajemy sobie sprawy, jaki ma wpływ na naszą przyszłość. Tymczasem na rynku pracy i w wielu branżach już wprowadziła ogromne zmiany.

W branży finansowej AI umożliwia szybką analizę ogromnych ilości danych, natomiast w medycynie pomaga analizować i stawiać diagnozę we wczesnych stadiach choroby. Sztuczna inteligencja pozwala na zautomatyzowanie wielu procesów. Praca, która wcześniej zajmowała godziny, może zostać ukończona w parę sekund.

Co więcej, samo pojawienie się sztucznej inteligencji otworzyło zupełnie nowy rynek pracy, związany zarówno z jej rozwijaniem, jak i budową zabezpieczeń mających na celu jej kontrolowanie. Nie da się zaprzeczyć, że AI wprowadza wiele usprawnień, nie można jednak zapomnieć, że każde narzędzie da się wykorzystać na różne sposoby.

Sztuczna inteligencja ma duży wpływ na przeprowadzanie badań naukowych: pozwala na automatyzację wielu zadań, analizowanie danych i wyciąganie wniosków. Czasem takich, które wydawały się niemożliwe ze względu na dużą ilość informacji do obróbki.

Dzięki postępom w dziedzinie AI naukowcy we wszystkich obszarach nauki mogą robić progres w znacznie szybszym tempie, poprawić jakość swojej pracy, dokonywać przełomowych odkryć. Sztuczna inteligencja bardzo dobrze sprawdza się przy analizowaniu bardzo obszernych zbiorów danych naukowych oraz generowaniu możliwych prognoz na ich podstawie. Zostawiając tego typu czynności programowi komputerowemu, badacze mogą skupić się na kreatywnych i strategicznych aspektach – obmyślaniu nowych technologii i wynalazków.

Te właściwości i umiejętności najnowszych programów AI znajdą zastosowanie w badaniach związanych z genetyką i modyfikacją genów. Sztuczna inteligencja może badać jednocześnie duże ilości sekwencji kwasu deoksyrybonukleinowego, szukać na nich odcinków palindromicznych oraz analizować podobieństwa w genomach, np. pomiędzy wymarłymi osobnikami a ich współczesnymi krewnymi. Znacznie przyspieszyłoby to prace naukowców nad odtworzeniem wymarłych gatunków zwierząt, pozwoliłoby na nowe odkrycia i eksperymenty w tym zakresie.

W życiu codziennym młodzież często używa sztucznej inteligencji do nauki, wyszukiwania danych lub tworzenia grafik. Najwięcej młodych ludzi korzysta z narzędzia Chat GPT od OpenAI. Pozwala on nie tylko na prowadzenie konwersacji, lecz również na szukanie ciekawych informacji, pomoc w rozwiązywaniu zadań z każdej dziedziny, a nawet pisanie prac. Różne programy korzystające z AI pozwalają nam na generowanie obrazów oraz tworzenie animacji i filmików. W szkołach uczniowie mogą poprosić Chata GPT o pomoc przy zadaniach domowych, tworzeniu notatek, tabeli i materiałów do nauki.

© NINA BITNER-PRZYBYLSKA, JAKUB URBANIEC

JEZAEL MELGOZA / UNSPLASH

> Dzięki AI naukowcy mogą robić postępy w bardzo szybkim tempie. Praca, która wcześniej zajmowała godziny, zostaje ukończona w parę sekund. Uczniowie proszą Chata GPT o pomoc przy tworzeniu notatek, tabeli i materiałów do nauki.

REKLAMA

15—17.08.2025

Olsztyn green festival

NA WARMII I MAZURACH

PLAŻA NAD JEZIOREM UKIEL

PIĄTEK 15 SIERPNIA:

BRODKA O.SADZA ✷ MARGARET ✷ PRO8L3M ✷ ZALIA
WIKTOR DYDUŁA ✷ MIKROMUSIC ✷ ORGANEK MTV UNPLUGGED
RAT KRU ✷ JULIA ROVER ✷ STACH BUKOWSKI ✷ KATHIA

SOBOTA 16 SIERPNIA:

MROZU ✷ NATALIA SZROEDER ✷ NOSOWSKA/KRÓL
MARCIN MASECKI & BOLEROS ✷ WOMEN'S VOICES: ANIA KARWAN,
DAGADANA, IFI UDE, PAULINA PRZYBYSZ, RENATA PRZEMYK,
ŁĄKI ŁAN ✷ PAWEŁ DOMAGAŁA ✷ A_GIM ✷ BARANOVSKI
MICHAŁ FOX KRÓL ✷ KONCERT DO FILMU CHŁOPI: L.U.C. & REBEL
BABEL FILM ORCHESTRA, NATALIA PRZYBYSZ, LOR ✷ MEEK, OH WHY?

NIEDZIELA 17 SIERPNIA:

SOBEL ✷ ROGUCKI & NORMALNI LUDZIE ✷ MELA KOTELUK
NATALIA KUKULSKA ✷ FISZ EMADE TWORZYWO
KUBA KARAŚ ✷ KASIA LINS ✷ EVELINA ROSS
JACKO BRANGO ✷ LIVKA ✷ SARA JAMES ✷ CINNAMON GUM

ORGANIZATOR: wyborcza.pl
WSPÓŁORGANIZATOR: OLSZTYN, ORGAŃO ZWIĄZKU
PARTNER GŁÓWNY: WARMIA MAZURY
PARTNER STRATEGICZNY: LOTTO
SPONSORZY STRATEGICZNI: HYUNDAI, ING, PEPSI, PERŁA
PARTNER PŁATNOŚCI: PayPo
PARTNERZY TECHNOLOGICZNI: NASK, Ministerstwo Cyfryzacji
PARTNER EKO: dobra energia
PATRONI MEDIALNI: ZET, chillizet, GAZETA.PL, ams, HELIOS, helios media
PARTNER TERENU: OSiR
PARTNERZY EDUKACYJNI: KORTOSFERA, Centrum Popularyzacji Nauki i Innowacji
SPONSORZY: Niskich Cen, buena, ORIFLAME, AZZARO, cacharel, instax FUJIFILM, Jordan, essence, Alcon, MPEC Olsztyn, zook, GALERIA WARMIŃSKA, Aura, REMONDIS

FOT. BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. SŁOWACKIEGO X2

Jan Peszek jako Nowosilcow w scenie balu u Senatora w spektaklu „Dziady" (reż. Maja Kleczewska). Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, 2021 r.

TEATR BUNTOWNICZEK

Teatr od zawsze przyglądał się polityce i próbował ją komentować. Antyczne tragedie rozważały dylematy związane ze sprawowaniem władzy i propagowały określone wzorce społeczne, komedie zaś służyły obśmianiu rządzących. W 493 r. p.n.e. ateński tragik Frynichos wystawił „Zdobycie Miletu", które spotkało się z krytyką władz i doprowadziło do nałożenia na autora grzywny (to pierwszy znany nam przykład cenzury w teatrze). Tragedia opisywała spalenie miasta przez Persów. Jak pisał aktor i reżyser Zygmunt Hübner, sztuka Frynichosa za bardzo „przypominała o domowych nieszczęściach", a zatem źle służyła interesom państwa.

I dzisiaj rola komentowania spraw bieżących i kształtowania opinii publicznej przez scenę jest nie mniej istotna, co widać na przykładzie wielu spektakli ostatnich lat. Bazując na klasycznych tekstach, teatr próbuje opowiadać nam o Polsce i Polakach na nowo.

Mickiewicz i Strajk Kobiet

„Dziady" w reżyserii Mai Kleczewskiej w krakowskim Teatrze Słowackiego wywołały aferę. Za sprawą zakazania szkolnym wycieczkom oglądania sztuki przez ówczesną małopolską kurator oświaty, tytuł zyskał status legendy, porównywano go do słynnych „Dziadów" Kazimierza Dejmka. I chociaż skala represji w tych dwóch przypadkach jest oczywiście nieporównywalna, to pokazuje, iż „Dziady" są jednym z tych utworów, których adaptacje – zaktualizowane, zreinterpretowane oraz wsparte nowymi znakami – nieustannie powracają na polską scenę, przypominając o nieprzemijalności pewnych problemów i jednocześnie opowiadając o zupełnie nowych.

Już na samym początku widzimy różnicę w przedstawieniu tytułowego obrzędu z części II utworu. Duchy wywoływane są przez przedstawicieli narodu (kibiców, aktywistów, reprezentantów mniejszości, influencerów, powstańców warszawskich, Obrońców Maryi), którzy – w otoczeniu symboli patriotycznych – raczej próbują się wzajemnie zagłuszać niż porozumieć.

Sam obrzęd ma na celu nie przypomnienie o nieuchronności poniesienia kary za grzechy czy przekazania uniwersalnych prawd moralnych, lecz jest próbą rozliczenia się z dawnymi urazami i krzywdami przez zgromadzonych. Obecność wyłaniających się widm nie ma charakteru zjawisk nadprzyrodzonych, jest raczej umowna, pokazując tym samym, że nasze społeczeństwo samo tworzy nawiedzające je mary.

Postaci Konrada oraz reszty filomatów i filaretów zostały zagrane przez kobiety. Nie tylko dodało to uniwersalności problematyce, którą uosabiają bohaterowie (w końcu nie tylko mężczyźni byli prześladowani politycznie), ale i skupiło się na bardzo aktualnym wydarzeniu, jakim było zaostrzenie prawa aborcyjnego i wywołana przez nie fala strajków kobiet. Na ograniczanie własnych praw nie godzą się tutaj buntowniczki, których solidarność i sprawczość zostaje dodatkowo wyartykułowana w śpiewanej wspólnie „Pieśni zemsty".

Sama główna bohaterka (Dominika Bednarczyk-Krzyżowska) przedstawiona jest w zupełnie inny sposób niż w tekście. Jej nonkonformizm nie jest wyrazem pychy, a dogłębną niezgodą na zło. Siłę – ale i dojmującą samotność – bohaterki uwydatniają kule, które, oprócz naznaczenia symbolem kalectwa, stawały się podporą w przepięknej, hipnotyzującej choreografii.

Wprowadzenie do tekstu tak mocnych wątków musiało oczywiście pociągnąć

Spektakl „Wesele" w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, marzec 2024 r.

za sobą falę krytyki oraz pytań o zasadność takiego zabiegu. Nie chodziło przecież wyłącznie o odwrócenie oryginalnego wartościowania postaci, lecz o krytykę współczesnej polityki państwa i Kościoła: jego wrogości wobec kobiet, braku egzekwowania sprawiedliwości wobec duchownych, którzy sięgali po przemoc, czy pychy kryjącej się pod płaszczykiem pobożności.

Finał tego widowiska stanowi scena Balu u Senatora, podczas której oglądamy groteskowy, upiorny momentami, występ Jana Peszka w roli Nowosilcowa. Chociaż obsesyjne dążenia bohatera do zachowania władzy są tak skrajne, że momentami śmieszą, to nasuwają na myśl refleksję na temat tego, jak obecnie wygląda polityka – prowadzona nie tylko przez wyrachowanych oportunistów, ale i szaleńców. Natomiast krzywda i desperacja Rollisonowej spotykają się nie tyle z obojętnością, co z szyderą.

Wyspiański i polaryzacja

Nowa adaptacja „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego według Kleczewskiej została wystawiona w tym samym teatrze w Krakowie dokładnie w 123. rocznicę prapremiery i była ważnym wydarzeniem dla całej społeczności teatru. W kontekście powołania nowego rządu – a wraz z nim ministra kultury – stanowiła manifest siły i wyraz tryumfu w walce o autonomię po kontrowersjach spowodowanych „Dziadami". Podobnie jak w inscenizacji Mickiewicza – także w tej sztuce nie brakowało bezpośrednich, pobudzających do refleksji nawiązań do sytuacji politycznej.

Już od początku „Wesele" angażuje widza, hipnotyzuje kolorowymi strojami ludowymi, wirem tańca i narastającym dynamizmem relacji. Wiele wypowiedzi bohaterów zostało niestety zakrzyczanych przez głośną muzykę i stukot butów, co z jednej strony może być zarzutem, ale z drugiej – buduje chaos scenerii (rozgrywającej się fizycznie w skromnej, bronowickiej chacie) i zmusza odbiorcę do nieustającej uwagi oraz wyłapywania szczegółów. Początkowo to właśnie z tych szczegółów wyłania się obraz pozornie pojednanych, wspólnie celebrujących, w gruncie rzeczy podzielonych Polaków.

> **Czy Strajk Kobiet pozostał wierny swoim ideałom? A może zmienił się w zbiór pustych haseł i jednostkowych motywacji? Czy jako naród wciąż jesteśmy pogrążeni w chocholim tańcu? Szkolne lektury wystawione w teatrze opowiadają nam zaskakująco wiele o współczesności.**

Ta polaryzacja – reprezentowana przez chłopów i inteligencję – widoczna jest np. w postaci Radczyni, podchodzącej do chłopów z fałszywą uprzejmością. Albo w miejskich dziewczynach traktujących wieś jako obiekt chwilowej fascynacji. Albo w Gospodarzu rozdartym między tymi dwoma światami. Stopniowo drobne zgrzyty w kreacji sielankowej wspólnotowości przechodzą w poważniejsze napięcia, uosabiane m.in. w ekspresyjnej, temperamentnej postaci Czepca, który wprost wyraża swoją niezgodę na lekceważenie i pogardę ze strony inteligentów.

Jeszcze większe zachwianie – już i tak tylko powierzchownej – równowagi wprowadza II akt, a wraz z nim wejście na scenę widm. Ich uwspółcześnienie jest niezwykle istotnym elementem spektaklu, pokazuje bowiem, że problemy przekazywane przez zjawy są jak ↦

najbardziej aktualne. Przykładowo, zamiast klasycznego zafrasowanego Stańczyka Matejki widzimy częściowo komiczną, częściowo upiorną kreację Krzysztofa Głuchowskiego. Ubrany w koronę z nagłówkiem „Gazeta Polska" uwydatnia on stan prasy i mediów, które zatraciły wiarygodność i rzetelność w przedstawianiu faktów. Hetman (uosobienie zdrady narodowej) jest eleganckim oligarchą w garniturze, nie kryjącym swojej pogardy w stosunku do pospólstwa, nieustannie wykonującym także telefony do Moskwy.

Największe kontrowersje wzbudziły chyba reinterpretacje Rycerza i Wernyhory. Ten pierwszy – ucharakteryzowany na żołnierza wyklętego – strzela do Żydów, podnosząc tym samym dwie niezwykle ważne kwestie: traumę narodową (którą tutaj jest nie rzeź galicyjska, a Holokaust) oraz kult pamięci żołnierzy wyklętych. Z kolei Wernyhorę zagrała u Kleczewskiej ukraińska aktorka Anna Syrbu. Legendarny bohater został tym samym zamieniony w posłankę z kraju pogrążonego w wojnie, czemu towarzyszy dojmujące wykonanie pieśni upamiętniającej ofiary Majdanu. Takie przypomnienie o ofiarach trwających działań zbrojnych jest niesamowicie ważne, szczególnie że ten konflikt coraz bardziej schodzi na drugi plan.

Z kolei relacja Rachel z Poetą opowiada o stosunku polskich twórców do tematów politycznych. Poeta odrzuca brutalnie potraktowaną Żydówkę – wracającą do bronowickiej chaty w zakrwawionej halce i z ogoloną głową – mówiąc jej, że będzie co prawda kultywował jej pamięć w swoich utworach, ale nie czuje potrzeby pomocy jej samej. Nie sposób nie wspomnieć także o Chochole, niezwykle makabrycznym, przyprawiającym o dreszcze.

Finał przedstawienia pokazuje, że jako społeczeństwo jesteśmy pogrążeni w marazmie, wciąż wirujemy w chocholim tańcu, którego nie przerwała chwilowa perspektywa zmian. Polacy dalej są wewnętrznie podzieleni i niezdolni do rozmowy. „Wesele" zostawia nas więc z gorzkimi refleksjami, wzmagając poczucie bezradności.

> **Teatr od zawsze podejmował tematy polityczne, próbował komentować świat, kształtował opinie. Robi to do dziś, pokazując ponadczasowość dzieł, w tym także starych szkolnych lektur.**

Witkacy i Solidarność

Kolejnym, niewątpliwie politycznym w wymowie spektaklem z ostatnich lat, są „Cnoty niewieście albo dziwki w majonezie" w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego na podstawie „Szewców" Stanisława Ignacego Witkiewicza. Sztuka – wystawiana na scenie Teatru Stu – podobnie jak „Dziady" Kleczewskiej nadała klasycznemu dziełu feministyczny wymiar, poprzez bezpośrednie (widoczne nawet na plakacie ze słynną czerwoną błyskawicą) odniesienie do Strajku Kobiet. Tutaj również zastosowany został zabieg zmiany płci bohaterów: Sajetan zostaje Sajetaną (graną wymiennie przez Beatę Rybotycką i Marię Seweryn), a Czeladnicy – Czeladniczkami.

Żywymi symbolami rewolucji stają się więc kobiety, których bunt zostaje podkreślony już na początku spektaklu: w rytm piosenki Marii Peszek „Sorry, Polsko" bohaterki niszczą popiersia mitycznych dla naszej najnowszej historii postaci: Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego i Jana Pawła II. Tak dosadny gest może wskazywać na pogardę współczesnych szewczyń wobec stronniczej pamięci narodowej, która tak często zapomina o kobietach. Ale pokazuje też bezsens nieustannego stawiania pomników.

Reinterpretacja dzieła Witkacego jest – przy całym ukazaniu kobiecej siły i sprawczości – bardzo krytyczna, w czym pozostaje wierna oryginałowi. Widzimy, jak Sajetana gubi początkową pewność siebie i siłę przebicia, z kolei Czeladniczki zatracają się w przywilejach płynących z władzy, zapominając o pierwotnej idei, która je do tego miejsca doprowadziła. Wydźwięk takiej prezentacji bohaterek może prowadzić do refleksji nad tym, jak bardzo ruch Strajku Kobiet pozostał wierny swoim ideom, a na ile zmienił się w zbiór pustych haseł i jednostkowych motywacji.

Kreacja postaci Księżnej oraz cały jej repertuar piosenek i strojów nie tylko potęguje – już i tak obecną – groteskę, ale też służy krytyce elit. Draga (jak nazwał ją Witkiewicz, co zostało bardzo dobrze wyegzekwowane przez reżysera) lawiruje między narracjami obecnych na scenie stron konfliktu, nawet swoją płcią operuje jak kostiumem. Jest niby znudzona pozycją arystokratki, przez co brata się z szewczyniami, ale nie może przy tym ścierpieć samej pracy. Uwodzi Scurvy'ego obietnicami, pastwi się nad jego niemożliwym do ziszczenia pragnieniem władzy i tytułu hrabiego, co pokazuje wewnętrzne podziały elit. Z kolei Hiperrobociarz, którego wejściu na scenę towarzyszy wielki napis z imieniem bohatera stylizowanym na logo Solidarności, może stanowić pretekst do krytyki tego związku zawodowego, któremu zarzuca się przecież zatracanie początkowych, rewolucyjnych idei.

Bardzo ciekawym zabiegiem, zastosowanym podczas przedstawienia, było wykorzystanie multimedialnych prac Katarzyny Babis. Te ilustracje oraz nawiązania do innych elementów popkultury (wejście postaci Dartha Vadera czy zagranie piosenek disco polo) pokazują, z jak wielu mediów może korzystać teatr, by budować sceniczną absurdalność – oddającą chaotyczną i pełną społecznych napięć rzeczywistość, która wciąż balansuje między pragnieniem rozwoju a pędem do autodestrukcji.

© ALICJA CHMURA

Mam na imię **ALICJA** i uczęszczam do drugiej klasy VIII PALO. Interesuję się literaturą, modą, filozofią i sztuką, w szczególności teatrem. Od zawsze miałam bliską relację ze słowem, dlatego wiążę swoją przyszłość z pisaniem. Chciałabym również zajmować się zarządzaniem kulturą. Uwielbiam inspirować się rzeczami wokół mnie, podróżować i pić kawę.

FOT. MAREK BEDNARZ

TYGODNIK POWSZECHNY

Tygodnik z innej półki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wypróbuj nas online.
Przez 3 miesiące za DARMO.

TygodnikPowszechny.pl/OfertaKulturalna

ERGO HESTIA®

REKLAMA

Materiał marketingowy
Sopockiego Towarzystwa Ubezpieczeń
ERGO Hestia S.A.